



Nie zdążyła zapalić światła, gdy uchyliło się jedno skrzydło drzwi od salonu i ukazała się straszna głowa, właściwie nie głowa, tylko czaszka. Pozbawiona nosa, wystająca zębami w trupim uśmiechu, z czarnymi oczodółkami. Światła z pewnością nie było, tylko jakiś blask,

**Helena Sekuła**

**demon  
z bagiennego boru**

CZYTELNIK

**Helena  
Sekuła**  
**demon z  
bagiennego boru**  
**Czytelnik**  
**Warszawa**  
**1981**

Okladkę i kartę tytułową projektował

**ZBIGNIEW CZARNECKI**

Copyright by Helena Sekuła. Warszawa 1981

**ISBN 83-07-00224-9**

Fotografia przedstawiała dojrzałego mężczyznę w okularach; proporcjonalny nos, energiczne usta, kształtny podbródek, wyraźnie zarysowana nad czołem linia jasnych, krótko przyciętych włosów. Nie ^adysz. O takim mówią: męski. Na odwrocie zdjęcia skreślono cdówkiem: dwudziesty stycznia, tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku. Data urodzenia?

Ta twarz wydała mi się znajoma.

- Spójrz, Bej! - podsimąłem mu fotografię; Bej ma dwadzieścia pięć lat, świeżo likończone studia, stopiSi podporucznika i pochodzi z rzutu licznych Bartłomiei, a gdy przybył do naszego wydziału jako trzeci tego imienia, musieliśmy go przechrzcie. Ofiara mody na zgrzebne, czerstwe jak razowiec miana. Stąd te falangi Maciejów, Tomaszów, Błażejów, zaludniające świat. Niemal bez pudła można odgadnąć, z jakiego są rocznika.

- Podobny do Kruposza - waha się Bej. - Tylko Kruposz jest szatynem i nie nosił szkieł.

Głównego księgowego zakładów metalowych ze Szcze-

ciną, Wacława Kruposza, poszukiwano listem gończym, rozpisany przed dwoma miesiącami. Afera banalna, lecz straty poważne, kilka milionów nadużyć. Sprawę malowała centrala, facet znikł, jakby go nigdy nie było.

- Skąd tu t a j jego konterfekt? — na ulicy Wróblej w Warszawie, w domu' z zadęciem do willi zmarł śmiercią gwałtowną Tadeusz Stelmaszczyk, szef firmy posadzkarskiej: układanie, cyklinowanie, lakierowanie parkietów, odświeżanie i czyszczenie wykładzin podłogowych - tyle szyld na parkanie.

- Wypadek! — zawiadomił oficera dyżurnego klient, który pr^szedł tam z zamówieniem. Szef posłał nas. W sam raz zajęcie dla praktykanta i nowicjusza, czyli Beja

i mnie, dopiero rozpoczynającego samodzielną praktykę kryminalną.

Dom z piętrem w stanie surowym, tylko z wykończonym parterem. Jego połowę zajmował olbrzymi salon urządzone masywnymi meblami. Bogato rzeźbione czarne drewno sprzętów kontrastowało z białą ścianą.

- Zakrycia - rozejrzył się Bej; na długim stole, okolonym dwunastoma krzesłami o wysokich oparciach, stały przedmioty z cyny: misy, dzbany, talerze, ozdobione reliefami, nabijane miedzią.

Właściciel leżał na podłodze, zniekształconą twarzą zwrócony do ciężkiej kredensowej szafy, pozbawionej górnej części. Głowica z profilowanym gzymsem wieńczącym, mieszcząca w sobie dwie półki zamykane, teraz z rozswartymi drzwiczkami, stała obok na dywanie. Wokół wały się skorupy rozbitych naczyń.

- Zdjęłem z niego ten segment - wyjął młody wielkolud, odziany w szykownie zlachmanione farmery. Nazywał się Adam Zapala, plastyk z zawodu. To on zawiadomił o wypadku. Jeszcze poprzedniego dnia umówił się z przedsiębiorcą telefonicznie.

- Kazał mi przyjść przed siódmą rano - wyjaśnił plastik; koniec lipca, część pracowników firmy na urloпах, grafik zamówień napięty. Każdego dnia przed rozpoczęciem pracy posadzkarze informowali szefa o zaawansowaniu lub zakończeniu zleceń. Przewidywał, że jeden z rzemieślników będzie wolny, tylko trzeba mu pomóc przewieźć ciężką elektryczną cykliniarkę.

Klient przyszedł, jak się umówili. Zastał drzwi otwarte, w domu nikogo. Z początku nie spostrzegł zwłok. Zasłaniał je ten wielki stół otoczony krzesłami, stojący na środku salonu. Najpierw zwrócił uwagę na zdekapitowaną kredensową szafę i włączony telewizor, w którym kończyły się właśnie zajęcia dla technikum rolniczego.

Kiedy zobaczył leżącego mężczyznę, podsadził ramię pod nastawkę, uniósł ją i odsunął na bok. Pomoc okazała się spóźniona, facet był zimny. Zapala wyłączył telewizor, świdrujący już sygnałem, i zadzwonił do pogotowia milicyjnego.

- Z pół kubika dębiny spadło mu na głowę - klepnął nastawkę.

- Kodeks Hammurabiego przewidywał kary dla stolarzy? - Bej opukiwał kredens; był wykonany z masywnego drewna, stolarka wyglądała rzetelnie. Ze zwalonej głowicy sterczało dziewięć solidnych bolców, w architrawie znajdowały się ich wklęsłe repliki, dziewięć nawierconych otworów.

- Ściągnął to na siebie? - oglądałem segment; można było sądzić, że Stelmaszczyk wspiął się po coś tam na półkę mieszczącą się pod zwieńczeniem, a straciwszy równowagę, odruchowo przytrzymał się głowicy, zaś ta przechyliła się pod jego ciężarem i runęła wraz z nim.

- W takim wypadku powinny złamać się frontowe bolce - nie zgadzał się Bej.

- Konieczny jest eksperyment - zaznaczyłem swoje prawa zwierzchnika, wprowadzie mianowanego tylko do tej sprawy, ale zawsze, i starszego stopniem - jestem pełnym porucznikiem.

- Przed wejściem do domu nie spostrzegł pan niczego szczególnego? - zająłem się niefortunnym klientem.

- Uszkodzone drzwi — przyznał skwapliwie Zapala; pomyślał nawet, że właśnie są reperowane.

- Uszkodzone! Wyłamane i zerwane zawiasy. A furtka w ogrodzie?

- Była otwarta - stropił się.

- Ma wyrwany zamek.

- Nie przypatrywałem się, wszedłem, bo była uchylona.

. Wszystko wskazywało na włamanie. Wprowadzie nie

stwierdziłmy ewidentnych śladów rabunku, ale przecież mogły tu być pieniądze lub cenne przedmioty. I ten wypadek wyglądał podejrzanie, jakby na martwego już lub może tylko ogłuszonego zrzucono ten element szafy.

Bej inteligentnie milczał, natarczywie przyglądał się wielkoludowi.

- Zdjąłem i zaprawiłem faceta tym sarkofagiem - Zapala przejrzał odkrywczą myśl podporucznika Bartłomieja; olbrzym miał wzrost koszykarza, dłuższy ode mnie o głowę, a nie należę do ułomków, i kompleksję zapaśnika.

- I lko po co, pomyślcie, panowie? - perswadował łagodnie, jak niebezpiecznym p^główkom. - A swoją drogą człowiek powinien się mocno zastanowić, zanim spełni tak zwany obywatelski obowiązek - zwątpił w możliwość porozumienia się z nami.

- Stelmaszczyk nie mógł sam ściągnąć na siebie tego całego kramu - Bej swoje twierdzenie uzasadniał jakimś tam prawem fizyki. W tej dziedzinie podobnie jak ja nie był mocny, ale braki uzupełniał tupetem.

- Nie jestem cyklopem, pan mnie przecenia - obruszył się nasz koszykasz.

- Czego pan tu jeszcze dotykał?

- Gdybym wiedział, że będę podejrzanym, tobjro notował.

Weszli technik z fotografem; telefonicznie zażądałem brygady operacyjnej, także „karawanu” z medycyny sądowej. W tym stanie rzeczy konieczna okazała się sekcja.

- Muszę pana zdaktyloskopować - powiedziałem. Zapala nie protestował, wyciągnął przed siebie obie dłonie.

- Wal pan, byle szybko.

- Zabieg niesympatyczny, lecz konieczny - usprawie-  
dliwiał nas Bej.

- Mam do was szczęście! - westchnął Zapala. - Niedawno naraziłem się sierżantowi nadętemu jak ropucha.

- Co mu pan zrobił? - chciał wiedzieć Bej.

- Poradziłem słownik języka polskiego.





- Pamięta pan położenie głowicy kredensu? - przerwałem.
  - Nie pamiętam.
  - Zanotowałem jego personalia i wyprawilem.
  - Musi pan poszukać mniej pechowego przedsiębiorcy
- pożegnał go Bej.

Przyszyliśmy się do oględzin. Trzeba było czym prędzej wyekspediować zwłoki, bo zapowiadał się upał, a pod domem wałkonili się już sanitariusze z anatomopatologii.

Na podwórko wtoczył się fiat-combi, wysiadła z niego kobieta.

- Gdzie pan parkuje?! - natarła ostro na szofera ambulansu stojącego przed wejściem i tarasującego wąski podjazd. - Co się stało? - przestraszyła się mimdurowego milicjanta, który zagroził jej drogę na progu hallu. - Proszę mnie przepuścić, ja tu pracuję!

Iwona Biedroniówna okazała się jednoosobowym biurem firmy, ba! instytucją. Świetnie utrzymana, elegancka blondynka, w doskonałych szmatkach, jakich próżno by szukać w warszawskich domach towarowych. Liczyła trzydzieści sześć lat, ale to było nader wypiełgnowane trzydzieści sześć lat i nawet z bliska wyglądało na znacznie mniej.

- To jest mój szef, pan Stelmaszczyk! - stwierdziła bez wahania, gdy uchyliłem prześcieradło okrywające nosze; pobladła, ścisnęła dłońmi skronie, na palcach zamigotały pierścionki, po przedramieniu z cichym brzękiem przesunęła się bransoletka z kilku wąskich, złotych kótek.

Przeszliśmy do małego pokoju stanowiącego kantor przedsiębiorstwa: proste biurko, telefon, regał z segregatorami.

- Od wczoraj go nie widziałam... - wyjaśniła; pracuje od ósmej do czwartej, przyjmuje zamówienia klientów, także do niej należy pilnowanie terminów i harmonogramów robót.
- Gdzie jest terminarz? - zaniepokoiła się nie widząc

go na biurku; Bej w drugim kącie pokoju cierpiał obłożony dokumentacją firmy, zdębiał popstrzony gęsto notatkami kalendarz.

Przedsiębiorstwo zatrudnia szpść osób, pięciu posadzkarzy i jednego pracza wykładzin podłogowyci. Na inwentarz składa się fiat-combi, cztery szlifierki elektryczne i jeden kombajn myjący, importowany z Niemiec.

- Kiedy pracownicy przychodzą po zlecenia?

- Rzemieślnicy nie chodzą, tylko pracują! - pouczyła z wyższością; płaci się od metra kwadratowego, po ukończeniu roboty w jednym miejscu, ona lub szef wymierzają i obliczają należność, następnie przewozi się fachowca i sprzęt do kolejnego klienta. Wymieniła adres, gdzie właśnie ukończono cyklowanie, zaś fachowca i narzędzia odtransportowała na nowe miejsce, zgodnie z ustalonym planem.

Solidność i punktualność - oto dewiza firmy. Klient nie lubi czekać, płaci i wymaga, a jeśli niekontent, obszczekuje firmę na prawo i lewo. Wprawdzie zapotrzebowanie na usługi posadzkarskie jest duże, ale też i konkurencja jest znaczna.

- Ogłaszamy się w prasie, ale opinię ugruntowują klienci.

- Ilu pracowników jest na urlopie?

- Pracuje komplet - podkreśliła; na urlop idą wszyscy równocześnie. Rozwiązanie najbardziej ekonomiczne, gwarantujące rytmiczność pracy przez cały sezon. Oczywiście, nie mogą zamknąć zakładu, kiedy im się podoba, na to otrzymują zezwolenie odnośnego wydziału rady narodowej, dbającej, aby nie wszystkie placówki usługowe pauszowały równocześnie. W tym roku urlop mają zaplanowany na sierpień. Tak, rzemieślnicy także otrzymują cztery tygodnie wolnego i wtedy średnią zarobków, wypracowaną przez rok.

- Jeden cykliniarz miał tu być dzisiaj rano -

konfrontowałem informację Zapają.

- Niemożliwe - zaprzeczyła kategorycznie i jeszcze raz wyliczyła nazwiska robotników oraz adresy, gdzie aktualnie

pracowali. - Dziś kończy pan Tolo, ale dopiero około drugiej. Mogę zadzwonić, u tego klienta jest telefon. Przekona się pan!

- Może szef coś zmienił?
- Wykluczone, aby zdjął człowieka z zajętej roboty.

Nie praktykuje się, zaręczam.

- Przed siódmą był tu klient.
- Bardzo możliwe, często przychodzą nawet wcześniej.
- On poprzedniego dnia umówił się telefonicznie -

wymieniłem nazwisko plastyka.

- Ze mną nie rozmawiał! Może z szefem, tylko dlaczego nie zapisał go w terminarzu? — nie, szef nie jest bałaganiarzem, notował wszystkie przyjęte zlecenia. Ona także do godziny czwartej po południu, czyU do końca swoich zajęć, nie miała takiego zgłoszenia. Mur.

Kiedy wychodziła, szefa jeszcze nie było, więc jak zwykle zamkn<sup>^</sup>a biuro, dom i furtkę, po czym odjechała samochodem firmy. Oto są klucze od mieszkania i od wozu.

Zostawiłem ją pod opieką Beja, niech przyjmuje telefony i pomaga mu ziębić arkana firmowej dokumentacji.

Fotografię Kruposza, wetkniętą w czystą kopertę, znalazłem w jednej z licznych szufladek kabinetu stojącego w rogu salonu. Nie miał nic wspólnego z garniturem mebli z czarnego dębu bardzo świeżej daty. Nawet ja dostrzegłem różnicę, chociaż zupełnie nie znam się na antykach. Jego wartość potwierdzili stolarze zaproszeni w charakterze biegłych, zaś później konserwator z muzeum rozpoznał w nim autentyk świetnego hiszpańskiego varqueno z szesnastego wieku, heban zdobiony markieterią z kości i metalu. Jego wartość przekraczała wszelkie wyobrażenia, jakie miałem na ten temat.

Także w varqueno znalazłem albumy wypełnione kolorowymi fotografiami. Prezentowały różnorodne przedmioty sztuki; rzeźby, obrazy, miniatury, naczynia, tkaniny. Przy każdym zdjęciu starannie wykaligrafowano objaśnienia: styl, epoka, czasem

nazwisko twórcy lub pracownię, z jakiej rzecz pochodziła, rodzaj tworzywa, technikę wykonania, miejsce, gdzie się aktualnie eksponat znajduje. Przeważnie były to muzea, kościoły, ale trafiały się również zbiory prywatne.

Odłożyłem albumy, bo przyjechał biegły-stolarz, który pomagał nam już przy różnych okazjach. Kierowca pr<sup>^</sup>- wiół dwóch, właściciela zakładu i jego majstra. Byli dostatecznie dobrymi rzemieślnikami, aby wydać opinie o wytrzymałości kredensu, z czarnego dębu.

To była stara kadra, obaj około siedemdziesiątki, każdy blisko pięćdziesiąt lat w zawodzie. Można było ufać, że znają się na swoim rzemiośle.

Mistrzowie w milczeniu obejrzeni meble, dopiero przy głowicy fatalnej szafy rozgorzał krótki, lecz ostry spór.

- Powinno być na fache? - zakwestionował szef.

- T<sup>^</sup>lko na dybie! - oponował majster, pan Władzio, porównując wymiary otworów nawierconych w architra- wie ze średnicą sterzących z krawędzi głowicy bolców.

- Na fache!... na dybie!... - zaperzyli się fachowcy. Jeden drugiemu nie chciał ustąpić. Zagrała ambicja, podniecało zgromadzone, pilnie strzygące uchem audytorium.

Cierpliwie czekałem, aż się wyindyczą, urzeczony niepojętą terminologią. Ani w ząb nie mogłem zgłębić, podobnie jak pozostali, wyższości farchy nad dyblami, mętnie tylko domyślając się, że dybie to te czopy popierane przez pana Władzia, a poddane miazdzącej dezaprobacie szefa.

- Znaczy knot? - wtrąciłem się wreszcie nieśmiało, bo dyskusja nie rokowała rychłego porozumienia.

- Nie! Solidna stolarka - ocenili obaj zgodnie; tamto to był czysto akademicki spór między odrębnymi metodami konstruikcyjnymi i nie dyskwalifikował wykonania tej szafy.

- Nastawka nie miała prawa spaść - zabrzmiał jedjio- głośny werdykt.

- Błędy kucliarza skrywa majonez, lekarza cmentarz, a stolarza? - nie dowierzał Bej.

- Mówisz do starszego cechu, chłopcze! - w ten sposób majster skwitował pomawianie ich o solidarność z anonimowym autorem szafy. Zaś szef nawet nie raczył się odezwać, w ogóle nie zauważał Beja.

- Trzeba założyć nastawkę - zażądał majster.

Unieśliśmy i ulokowali głowicę na korpusie kredensu. Zgrzytnęły osiadające w łożyskach bolce.

- Dybie nie mają luzu - z satysfakcją podkreślił pan Władzio.

Obie części mebla dopasowały się idealnie. Fiyz osiadł na architrawie nie pozostawiając najmniejszej szczeliny szafa sprawiała teraz wrażenie, jakby była z jednej bryły.

- Co pan robi?! - Bej przeszkodził majstrowi w despe-rackim salto. Pan Władzio chciał uczepić się zwieńczenia, aby zademonstrować wytrzymałość konstrukcji.

- Niech nam pan nie robi konkurencji - odsunął go technik; z wozu przyniesiono cylindryczny wór'o wadze sześćdziesięciu ośmiu kilogramów, dostarczony z komendy na moje żądanie. T^le ważył nieboszczyk. Obciążona w ten sposób głowica ani drgnęła. Pan Władzio miał rację preferując dybie, trzymały na mur. A my uzyskaliśmy pewność, że Tadeusz Stelmaszczyk nie ściągnął na siebie tej nastawki.

Wrócił plutonowy, wyprawiony poprzednio po odbitkę listu gończego, zawierającego zarządzenie poszukiwań Kruposza. I chociaż zmieniał go inny kolor włosów i szkła w grubej oprawie, nie mieliśmy wątpliwości, że fotografia,

znaleziona w kabiniecie z Vargas, przedstawia głównego księgowego ze Szczecina. Skąd się wzięła w domu warszawskiego cykiiniarza?

- Może to kolega albo krewny? - podpowiadał Bej.

- Dłubiemy dalej, czy... - podpuszczałem Beja; ze względu na to zdjęcie sprawę można było podrzucić centrali, z taką przynętą chwyciliby ją bez wahania.

- A ptassita! - obruszył się Bej i wykonał łobuzerski gest; co by się nie powiedziało o naszych umiejętnościach, na ambicji nam nie zbywało.

- I tak trzeba będzie zameldować szefowi.

- Zdążysz, mam tu coś pilnego do wyjaśnienia - pokazał mi zapis w terminarzu szefa firmy: p. **302**, godz. **22.00** - widniało w klatce kalendarza Stelmaszczyka pod dzisiejszą datą.

- Pytales Biedroniównę?

- Nie pytałem i lepiej nie pytać - zastrzegł Bej. - To mi wygląda na numer pokoju hotelowego i godzinę spotkania z kimś, kto mieszka pod takim numerem!

- Chcesz tam znaleźć Kruposza?

- Chcę się dowiedzieć, z kim umówił się przedsiębiorca, zanim spuszczone mu szafę na głowę. Nie sądzę, aby dotyczyło to cyklinowania czy mycia podłóg.

- Znajomy, z którym umówił się na wódkę - bagatelizowałem małodusznie, bo ucięła mnie zawiść przez to zagarnianie inicjatywy.

- Nie nudź, tylko wystaw tę Iwonę, muszę dorwać się do telefonu - rozkazał; przesadziłem tę Iwonę do klitki koło kuchni i ostentacyjnie poprawiłem brak przezorności Beja, na wszelki wypadek dodając jej do towarzystwa plutonowego. A Bej, ten zarozumialec, skwitował moje taktyczne posunięcie pukaniem w głowę. W żaden sposób nie mogłem wyegzekwować od niego należącego zwierzchnikowi respektu.

- Tu porucznik Oskierko... - połączył się z oficerem dyżurnym; zaraz musi znać wszystkie warszawskie hotele, w których istnieje pokój numer trzysta dwa. - Bardzo pilne!... kapitan będzie uprzejmy przekazać wiadomość telefonicznie pod numer... - wielce z siebie rad odłożył słuchawkę.

Kapitan był uprzejmy, po godzinie podał zamówioną informację. Takich hoteli było sześć. Ale żaden recepcjonista nie chciał zawierzyć przewodom telefonicznym tak cennej wiadomości, jak nazwisko i profesja hotelowego gościa, chociaż

musiał je znać nie byle kto, lecz sam porucznik Oskierko.

- Upojenie administracyjne - Bej cisnął słuchawkę.

- Odźwierni to skrzyżowanie ciama z buldogiem - dorzuciłem do jego cytatu z Dostojewskiego. Bej często i z upodobaniem posługiwał się cytatami. - Bierz wóz i zajrzyj do tych hoteli - przestałem się na niego boczyc, ten szczególnie należało sprawdzić.

Oczekując na efekty Bejowej misji sięgnąłem po jeden z albumów. Prezentował antyczne naczynia. Teraz bez pośpiechu mogłem przyjrzeć się fotografiom. To były dobre artystyczne zdjęcia, większość przedmiotów przedstawiono na nich w różnych ujęciach. Wyraziście odzwierciedlały kształt, zbliżenie lytów, osadzenie kamieni, wpojonych w metal kolorowych, drobnitkich gładzisz, tworzących ornament.

...akwamania, kielich późnogotycki, meluzyna, roztru- chan, ryton, świecznik przyścienny... filigran, puklowanie, granulowanie, t<sup>^</sup>clinika niello, emalia, aplika, kaboszon, rocaille... Muzeum... muzeum, zbiory prywatne. Zaginiony, nie figuruje w spisach... eksponat zaginiony w czasie wojny - wiele zdjęć miało takie podpisy.

Ten zbiór nie podlegał żadnej kompozycji, przeplatały się style, odległe epoki sąsiadowały ze sobą. Przemieszane były rodzaje technik złotniczych. Nawet porządek alfabetyczny nie miał tu zastosowania. Nagromadzenie fotografii dzieł sztuki, bardzo pięknych, rzadkich, wartościowych i tyle.

Kolejne strony: tak zwane srebra podkanclerskie—prze- czytałem podpis. Ta nazwa wydała mi się nieobca, gdzie ją musiałem słyszeć, ale przy jakiej okazji?

Muzeum regionalne w Brożanach — podpowiadało objaśnienie. Nigdy nie byłem w muzeum regionalnym w Brożanach, w ogóle nie miałem pojęcia, gdzie leżą te Brożany.

Przyglądałem się dokładnie odfotografowanym naczyniom zbioru podkanclerskiego. Jakieś dzbanuszki, mała wazka, większa wazka, coś na modłę sosjerki, kafetiera, półmisek w kształcie elipsy z frymuśnie powycinanymi brzegami. Razem czterdzieści osiem sztuk. Wszystkie zdobione reliefami przypominającymi asymetrycznie powyginane wstęgi, miejscami przekształcające się na podobieństwo muszli, gdzie indziej przypominające strzępiaste grzebienie.

Wszystkie zdjęcia sreber miały w rogu znak plus. Takie znaki zauważyłem także na innych, zaś niektóre ocechowano kółkiem

lub literą V, czyli zwyczajnym ptaszkiem. Ktoś oznaczył je niebieskim długopisem.

Bej ze swojej ekspedycji przywiózł równo pół tuzina nazwisk: Syrena - technolog huty z Katowic, hotel Warszawa - dyrektor z Zielonej Góry, Polonia - aktorka z Poznania, Metropol - japoński przemysłowiec, Forum - francuski przedstawiciel handlowy, Grand na Kruczej - rodak z Chicago.

- Cholera! Nie sądziłem, że wszystkie te trzysta dwa będą zajęte!  
- biadał Bej - i żaden z tych gości dzisiaj nie wyjeżdża.

- W hotelach zawsze jest pełno - pouczyłem go o życiu.

- No i co my teraz zrobimy? - Bej, żywe srebro, kipiący od pomysłów, jak zwykle nie rozważył sprawy do końca. Teraz nadmiar nazwisk, wśród których należało bezbłędnie trafić na to właściwe, odebrał mu rozpęd.

- A czego się spodziewałeś, jedyne go faceta, właśnie tego od Stelmaszczyka?

- Ale przecież nie sześć osób! - denerwował się Bej.

- Wybór między dwiema byłby tak samo trudny.

- Japończyka i Francuza można wyeliminować - na oślep szukał wyjścia Bej.

- A czym gorszy ziomek z Chicago? Zamykamy kram, wracamy do komendy. Zadzwoiwi niech przysła tutaj jakąś dziewczynę, podyzuruje z plutonowym. Później coś się wymyśli, aby ich zmienić.

Od dobrej chwili zawodził telefon, przesadzona do klitki przy kuchni Biedroniówna nie wytrzymała.

- Odbiorę? - z bolesciwą miną, jakby miała fluksję, zatrzymała się w drzwiach kantoru. Cierpiała! Najwyraźniej w cichości ducha liczyła bezpowrotnie tracone złotówki. Zrozumiała, ona nie brała pensji, była na procencie, • za tym dżwoniem przeczuwała klienta.

- Proszę - przepuściłem ją do aparatu - tylko żadnych wzmianek o wypadku.

- Już mi pan raz to mówił - burknęła. - Niech pan posłucha! - daleko odstawiła słuchawkę od ucha. Mikrofon pluł, porykiwał, kłął Szpetnie i groził. Na drugim końcu przewodu szalał pan Tolo, który od godziny bezskutecznie oczekiwał na przewiezienie do następnej roboty. Widocznie też przeliczał tracony czas na metry kwadratowe i czuł, jak mu z kieszeni wyjmują pieniądze. Ten rozbój wprawiał go we wściekłość.



Zakryła dłonią słuchawkę: - Muszę po niego pojechać!

- Proszę powiedzieć, że zepsuł się combi.
- Szef ma jeszcze osobowy - przypomniała przytomnie.
- Szefa nie ma, combi reperują, niech złapie taksówkę i przewiezie maszynę na koszt firmy - zarządziłem. Przekazała słowo w słowo, słuchawka przestała wrzeszczeć.
- Przecież na dłuższą metę i tak pan nie likryje śmierci szefa - zauważyła.
- Wystarczy mi dzisiejszy dzień.
- I po co to wszystko, przecież ja mogłam pojechać.
- Pani jest potrzebna na miejscu.
- Pan mi nie ufa, ale o czwartej i tak mnie pan musi puścić

- ostrożnie badała moje zamiary.

Nie puściłem pani Iwony o czwartej. Była mi potrzebna do urzeczywistnienia planu rozpoznania umówionej na dzisiaj ze Stelmasczykiem osoby - i jeśli w ogóle ten zamiar miał się powieść, udział Biedroniówny był nieodzowny.

- Liczę na pani pomoc - gdy dowiedziała się, że zabieram ją ze sobą, ze strachu wpadła w złość. Nigdzie nie pojedzie, co do niej mam? Nie życzy sobie, aby ją mieszano w jakieś milicyjne przedsięwzięcia, nie ma takiego prawa! A w ogóle to jest umówiona, musi przynajmniej zadzwonić, aby się usprawiedliwić.

Miałem niejasne podejrzenie, że ten cały atak był po to, aby wymusić na mnie zezwolenie zatelefonowania do kogoś. To znaczy, mimo niefrasobliwości Beja, ona nie miała okazji lub odwagi, co na jedno wychodzi, porozumieć się z miastem bez naszej zgody.

- Pani szefa zamordowano - nie powiedziałem jej tego dotychczas i nie zastanawiałem się, czy ona domyśla się, jak jest naprawdę. Ale przecież to i owo musiała dostrzec będąc przez tyle czasu razem z nami.

Przestała domagać się telefonu, nie zapytała o nic, ale uderzyła ją ta wiadomość. Już bez protestów wsiadła z nami do samochodu, przez całą drogę nie odezwała się ani słowem.

- Masz zamiar posłużyć się Biedroniówną? - zapytał Bej, gdy roztasowaliśmy się w swoim pokoju. Zamyśl był prosty i oczywiście dość ryzykowny, lecz na inny nie było czasu ani środków.

Głos Iwony Biedroniówny ludzie mający kontakt z firmą znają, w każdym razie na pewno wiedzą, że biuro Stelmasczyka prowadzi kobieta. Więc jej telefon nie wywoła podejrzeń. Zatem

niech próbuje porozumieć się z gośćmi hotelowymi zajmującymi numery trzysta dwa.

*Gb* ma mówić? Zapisana w terminarzu godzina to niewątpliwie termin spotkania, ale gdzie? U Stelmaszczyka, w hotelu czy w irymy uprzednio umówionym miejscu?

- Niech zawiadamia tylko o przesunięciu czasu, powiedzmy o pół godziny - zaproponował Bej.

- Staramy się o wywiadowców? — nigdy nie wiadomo, co może się trafić w trakcie wstępnej obserwacji; kontakty, adresy. Należało zabezpieczyć się na różne ewentualności.

- O wywiadowców? - z ociąganiem powtórzył Bej; on także nie miał chęci na włączenie do naszego planu facetów z tej służby. I nie chodziło w tym przypadku o względy ambicjonalne, uruchomienie wywiadowców wymagało akceptacji szefa. Było już dawno po godzinach pracy i w ten afrykański upał on z pewnością moczył teraz kij nad Zalewem Zegrzyńskim, gdzie ma letni slums, ergo domek kempingowy.

- Wyciągać go z kałuży - ta myśl brzydziła Beja podobnie jak mnie. A do tego te wszystkie: 'trzeba było, dlaczego nie zawiadomiłeś, takich pdnomocnictw ci nie dałem! Jednym słowem piłowanie.

- Sami załatwimy — tu byliśmy z Bejem zgodni.

Z dyżurnym komendy poszło jak zwykle gładko, a nasze wymagania były skronme: ma sprawdzić i zawiadomić nas, czy mieszkańcy numerów trzysta dwa są u siebie.

Teraz pani Iwona. Przedstawiłem jej zadanie w pimk- tach. A. mówi dzień dobry, B. potwierdza nazwisko rozmówcy, C. nadaje właściwy tekst: - Tu mówi sekretarka pana Stelmaszczyka- - wyakcentować - mój szef bardzo przeprasza, prosi b przesiunięcie godziny spotkania na wp^ do jedenastej.

Nie była zachwycona, chociaż starała się nie okazywać mi niechęci. Wtedy myślałem, że to z powodu jej wysublimowanego poczucia etyki.

- Nie wolno pani zmienić ani jednego słowa - uprzedziłem; przysunąłem do siebie pomocniczą słuchawkę, podłączoną do aparatu, z którego miała rozmawiać.

- Indiańskie podchody - uśmiechnęła się niespodziewanie, uśmiechem przeznaczonym chyba dla najlepszej klienteli firmy.

Pierwszy na rozkładzie znalazł się Grand Hotel na Kruczej. Rodak z CMcago wyraźnie się nudził. Nie, nie znał pana Stelmaszczyka, tp zapewne pomyłka, ale z panią o tak uroczym głosie gotów spotkać się choćby zaraz. Może w barze, na dole? Będzie nosił bordową muszkę w białe grochy.

Pani Iwona wyraźnie roztajała, lecz nie wdała się w nieplanowaną konwersację, chociaż zdaje się miała na to wyraźną ochotę. Melodyjne do widzenia — zagruchała jak Irena EicUerówna.

A jeśli to ona miała się porozumieć z tą osobą, a nie Stelmaszczyk? - dopadła mnie spóźniona refleksja. - No, to kłapa naszej wspianiałej inicjatywy.

Następny hotel: Warszawa - dyrektor z Zielonej Góiy był rzeczowy. Pomyłka, nie zna nikogo o takim nazwisku.

Metropol - japoński przemysłowiec powiedział; - za chwylę, moja tłumacza! I zaraz słuchawkę opanował męski głos mówiący dobrze po polsku.

- Pomyłka, proszę pani, wśród klientów pana Kimosa- wy nie ma nikogo o takim nazwisku. Z cslą pewnością, panią chyba źle połączono!

Forum - monsieur Roger de Villefort, francuski przedstawiciel handlowy Berlieta, przy telefonie hostessa.

- Dziękuję, przekażę panu de Villefort. Będzie na spotkaniu o dwudziestej drugiej trzydzieści.

Nie, tegośmy się obaj nie spodziewali. Stawiałem raczej



na rodaka z Chicago, Bej typował dyrektora z Zielonej Góry, bo w zakładzie tej samej branży nakradł Kruposz.

- Może zwyczajnie pójść i pogadać z Villefortem? To poważny facet - ogarnęły mnie wątpliwości.

- Skąd wiesz, że poważny? Bo jest z firmy, od której kupiliśmy licencję? A co mu powiesz? Ponieważ pan Stelmaszczyk zginął tragicznie pod kredensem, nie stawi się niestety na spotkanie, więc proszę nam powiedzieć, w jakim celu pan się z nim umówił... Może w ogóle nie zechcieć z nami gadać, a potem jeszcze naszczeka u swego radcy handlowego, co rykoszetem via nasz szef trafi w nas. I ani się obejrzyś, jak cię wrobią za naruszenie ugruntowanych od wieków dobrych stosunków polsko-francuskich... Kto was upoważnił do takiej rozmowy, poruczniku Oskierko? Samowola, poruczniku Oskierko! - Bej naśladował wściekły ton naszego starego, który w takich chwilach stawał się niesłychanie oficjalny, bo zwykle mówił nam ty.

- Nie przesadzaj, najwyżej Francuz odmówi wyjaśnień.

- To na taką rozmowę zawsze masz czas, więc co tracisz?

A jako kombryg już się przede mną wykazałeś.

- Masz rację, jadziemy - nie mniej niż Beja korciło mnie, aby zająć się de Villefortem nieoficjalnie. Wciągnęło nas to odkrycie jak gra i trochę przysłoniło cel. Wydawało nam się wówczas, że trafimy na ślad, który doprowadzi do malwersanta z zakładów metalowych, a może rzuci jakieś światło na sprawę zabójstwa Stehnaszczyka.

Dyspozycyjny wóz zaparkowałem przed perfumerią na Nowogrodzkiej. Liberia strzegący wrót hotelu nieufnie zmierzył nasze rozpięte koszule i szykownie wytarte levisy.

- Panowie do kogo? - w jego opinii ostatecznie pogąrzyły nas sandały na bosych nogach; nie chciałem torować sobie drogi legitymacją służbową, do diabła, nie mogę wejść jak zwykły człowiek!

Uprzedził mnie Bej. Szczeknął coś po niemiecku, według najlepszych filmowych wzorów, i odsunął go na bok. Facet stracił rozpęd akurat na tyle, że zdążyliśmy dojść do recepcjonisty. Rozpoznał Beja.

- Odpraw pan tego cerbera - nie wytrzymałem, bo liberia nadciągnął i z groźną miną stanął za naszymi plecami.

- Wszystko w porządku - skinął na niego recepcjonista i czujny szwajcar odtruchtał dostojnie na swój ważny posterunek.

Rozsiedliśmy się z Bejem w dwóch kątach westybulu, tak aby

mieć w polu widzenia recepcję.

Przed dziesiątą urzędnik recepcji wyciągnął chustkę i trzykrotnie energicznie utarł w nią nos - to był umówiony z nami znak. Dobrze, że facet nie ma kataru - nasza mnie spóźniona refleksja.

Szczupły, ciemnowłosy gość z brzękiem położył na kantorku klucze od numeru.

- Taxi - zadysponował Gerard de Villefort. Oczekiwał spacerując po hallu, mógł mieć po trzydziestce, ©palony, średniego wzrostu, dobrze zbudowany. Nosił modne, duże okulary w oprawie z wąskiego, niklowanego drutu, dobrego kroju garnitur z beżowego połyskliwego materiału i szafirową koszulę z miękkim rozchylonym kołnierzykiem.

Prezentował się świetnie, poruszał ze swobodą. Monitował o taksówkę bez zniecierpliwienia, a jego mer ci i uśmiech, jakim obdarzył odźwiernego na wiadomość, że taxi właśnie zajęła, mogły usatysfakcjonować każdego, z wyjątkiem tego buldoga. Nachalnie wyciągnął łapę po napiwek i dostał go, drań!

Minąłem ich przy tej operacji i dopadłem naszego wozu w momencie, gdy Villefort ładował się już do taryfy.

Dłużej nie mogłeś? - skarcił mnie Bej; przeczornie przeniósł się do samochodu, jak tylko przedstawiciel Ber- Ueta zażyczył sobie sprowadzenia taksówki.

Ruszyłem za nim; Rondo, Marszałkowska, Nowotki. Przejechaliśmy Maiymont, za Młocinami wyskoczyliśmy na szosę. Tu już niska podmiejska zabudowa, domki w ogródkach, niewielki ruch.

- Zorientował się i chce nas zgubić? - zaniepokoił się Bej.
- Zrobiliby to w mieście, na prostej drodze nie ma szans.

Przyhamowałem. W bliskiej perspektywie czerwony neon z napisem: „Przydrożna”. Tamten zwalnia. Widzę stąd ścianę tarasu z girlandą kolorowych żarówek pod markizą i stoliki z płamami światła spod abażurów. Nieco dalej, w głęboko wciętej zatoczce^ parkuje kilkanaście aut. Wolno podjeżdżam bliżej, jakbym szukał dogodnego miejsca do zatrzymania się.

- Dziwokątek automobilistów - Bej kładzie dłoń na klamce.

Villefort płaci za kurs. Z otwartych okien „Przydrożnej”, płonących szkarłatną luną, bucha hałaśliwa muzyka. Odjeżdża taksówka, która przywiozła naszego Francuza. Zgasilem silnik.

Nagle przy przedstawicielu Berlieta wyrasta facet, ogarnia go

przyjacielsko ramieniem, nikną mi z pola widzenia, bo domek mieszczący restaurację stoi cofnięty w głąb ogrodu, oddzielony od chodnika gęstym runem żywopłotu.

- Wsiadamy? - niecierpliwi się Bej wciąż z ręką na klamce.

Nagle u czoła zatoki znów pojawia się Villefort, tym razem w towarzystwie dwóch mężczyzn. Wszyscy wsiadają do samochodu, zdaje się renault, i ruszają.

Wystartowali dobrym zrywem, zyskali dodatkową przewagę, zanim uruchomił silnik, i oderwali się od nas spory kęs. Zmalały ich światła pozycyjne i zaraz zniknęły za łagodnym łukiem szosy.

- Figielmany - cedzi Bej. - Urywają się!  
- Meteor nie wóz, spostrzegłeś numer? - wyduszam gaz do oporu.

- Nie... Zawiadomić stanowisko dowodzenia? — Bej sięga po słuchawkę radiotelefonu. Daje mu sójkę w bok. Pomaga, zabiera łapę z nadajnika.

- Brakuje ci maminej spódnicy? - cóż tii zaradzi oficer dyżurny. Jeśli nawet w pobliżu jest radiowóz patrolowy, to jakie postawię mu zadanie? Przecież nie każę ich zatrzymać. Szkoda słów. Bej, jak zwykle krótkodystansowiec, nie rozważył sytuacji.

- No, to nie ma sprawy - ponownie daje ^os, gdy przekraczamy strefę zasięgu naszej radiostacji.

Wychodzę z zakrętu, tuż przed nami rozwidlenie, i nie do wiary! Pozycyjne światła tamtego wozu. Tak, to granatowy reniaalt. Stoi. A kilka metrów od niego, na łysinie wśród drzew, jeden facet nakopuje drugiego. I ten, co nakopuje, już nas widzi.

Osadzam fiata, zarzuca. Napastnik puszcza swoją ofiarę, która wali się na ziemię jak worek z piaskiem. Wyskakujemy z Bejem równocześnie. Facet rzuca się w kienmku otwartych drzwiczek swego auta czekającego z nie wygaszonym motorem, ma do niego dosłownie kilka kroków.

- Stój, bo strzelam! - ryczy Bej, repetuje pistolet. Sadzi kawał przede mną wielkimi susami kangura. Uciekający nie słucha i już niemal dopada samochodu. W tym momencie jeden po drugim trzy strzały.

Bandyta nieruchomieje, renault rusza z miejsca jak rakieta, ale odnotowuję w pamięci jego numer rejestracyjny.

- Ręce do góry! - wydziera się Bej, tamten dźwiga ramiona nad głowę. Oddycham z ulgą, przez chwilę sądziłem, że mój szalony kolega wykropił do faceta.

Bej obszukuje go dokładnie, jakby zdawał egzamin z regulaminu pod tytułem: unieszkodliwienie niebezpiecz- 24 nego przestępcy. Nie znalazł przy nim żadnego groźnego narzędzia. Zabrane dokumenty odczytuję w świetle reflektorów naszego fiata, nazywa się Edmund Zelek i liczy dwadzieścia osiem lat.

Bej ładuje Mundzia do sarnochodu, ja idę do ofiary, bo nie daje znaku życia. Pan de Villef ort żyje, tylko jest ciężko przestraszony. Pomagam mu się dźwignąć, podprowadzam i wskazuję miejsce obok siebie. Opada na siedzenie, jakby uszło z niego życie.



- Bien! Straciłem okulały-skarży się mrużąc oczy, pod dolną powieką dojrzeła dorodna śliwa. - Mały, bardzo mały wzrok, widzę tylko plamy - milknie, odchyła głowę na oparcie.

Ponownie ożywa dopiero w okolicach Żoliborza, nerwowo oklepuje kieszenie.

- Przepraszam, inżynier Gerard de VUlefort, pełnomocnik koncernu Berlieta — recytuje. — Bien! Excuser moi — biedny światowiec zapomniał się od razu przedstawić. — Berliet, compri? - upewnia się, czy zrozumiałem, że on sroce spod ogona nie wypadł. Dalej obszukuje kieszenie i podaje mi wizytówkę. Podsuwa caporale, podaje ogień. Sam także zapala i przerzuca papierosy przez oparcie Bejowi.

- Temu zbójnikowi też - przyzwala wielkodusznie. Znów myszkuje po kieszeniach. - Mon portefeuille! - woła dramatycznie. Zginął mu portfel z pieniędzmi i dokumentami.

- Nie tknąłem portfela tego pedała - daje ^os Mundzio; Bej rzeczywiście niczego takiego przy nim nie znalazł, ale mogli obrabować Francuza już w wozie.

- Le voleur! On zabrał - skarży Villefort.

- Znajdziemy - obiecuję.

- Ładne towarzystwo pan sobie znalazł - Bej, nasz poliglota, przechodzi na francuski.

- Ja nie, to on - protestuje po polsku Villefort.

- Bezwstydny perwers, nachalnie ludzi zaczepia, a jaka nieprzywoita Świnia! - gorszy się Mundzio.

Mundziowe wstawki Villefort zupełnie ignoruje. Powietrze. Wzdycha smętnie i milknie wyciągnięty na siedzeniu, tylko wciąż szuka dogodniejszej pozycji dla ułożenia głowy. Wyraźnie źle się czuje.

Mijamy Królewską.

- Pardon. J'ai mai au coeur! - zawiadamia Villefort.

Szybko przdyka. - Bien! Jak to będzie po polsku? - zastanawia się zdławionym głosem. - Ten ptak! Zatrzymać! - dopiero spostrzegam, że on usiłuje powstrzymać torsje. Nie zdążyłem przyhamować wozu. Wypuścił tego ptaka, odchyliwszy się ku drzwiczkom i zatulając usta chusteczką. Przepraszają zażenowany.

- Jedziemy na pogotowie - dodają gaz; takie objawy bywają przy wstrząsie mózgu. A diabli wiedzą, jak mu Mundzio dołał. Wkroczyliśmy w końcowej fazie operacji.

- Tak, le medecŁn -popiera słabym głosem przedstawiciel Berlieta. - Merci.

Pogotowie ratunkowe przy Hożej - gromada pacjentów. Nie mam sumienia pchać się z moim Francuzem poza kolejnością. Upycham go na brzegu zatłoczonej ławki. Wychodzę do Beja.

- Połącz się z dyżurnym, niech zabiorą Mundzia - Bej podnosi słuchawkę radiotelefonu.

Gdy wracam, Villeforta nie ma.

- Wzięli go na zabiegowy - zawiadamia mnie kobieta z poranioną ręką. Francuz ostoił się z ławki i chyba zemdlął, tak wynika z jej informacji.

- Nie wchodź! - wyrzuca mnie lekarz, gdy tylko uchylam drzwi. Nie ma rady, sięgam po legitymację.

- La police - anonsuje mnie wyciągnięty pod rentgenem Francuz. - Mon sauveur, mon ratownik!

Lekarz zaprasza mnie gestem. Gasi światło, szumi aparat nad głową pacjenta. Znów światło. Villefort nadaje bez przecinków w swym francusko polskim narzeczu: chce do hotelu, musi od^skać portfel i dokumenty, musi do banku po pieniądze, jutro ma ważną konferencję u radcy handlowego.

- Niech się pan uspokoi! Siostrzo, zastrzyk - ordynuje lekarz i odprowadza mnie pod okno. - Gadatliwość bywa reakcją na szok psychiczny. Kontuzji kości czaszki pacjen-  
. ta nie stwierdziłem. Niewykluczony lekki wstrząs mózgu - nie, nie zatrzyma go, nie widzi konieczności hospitalizacji, a szpital pogotowia kipi od przepełnienia.

- Dzisiaj należy zapewnić mu absolutny spokój — zastrzega. - Mózg to bardzo delikatny instrument.

I do Francuza: - Pan się zaraz położy. Jutro proszę się zgłosić do lecznicy „Eskulap”, tam pana dokładnie przebadają, trzeba sprawdzić dno oka - zapisuje mu adres lecznicy i numer telefonu.

- Oka - przytakuje pacjent, przybliży do twarzy notkę doktora, mruży powieki. - Plama, okular - wzdycha, z rezygnacją chowa kartkę do kieszeni.

- Okulary także dopasują panu u Eskulapa - pociesza go lekarz.

Bej czeka na nas w wozie, jest już sam, zdążył wyekspediować Mundzia. Odwozimy Villeforta pod Forum. Ciągnie nas do siebie, na chwilę.

- Na kieliszek koniaku!

- Prowadzę wóz - wymawiam się, ale to nie jest dla niego argument.

- Monsieur Bej nie prowadzi, on może un petit cognac

français! - to będzie wielka przykrość, jeśli odmówimy, on bardzo prosi. Przecież to zupełnie symboliczny wyraz jego wdzięczności.

Musimy się zająć napastnikiem, odzyskać dokumenty, jest późna noc, służba - nic, jak rozmowa z głuchym. Przyczepił się niczym rzep. Już dłużej się chandryczymy, niżby nam zajęło wejście na górę. Idziemy. Odźwierny szeroko rozwiera przeszklone drzwi, gnie się w ukłonie przed Francuzem, bo ten już z bocznej kieszeni marynarki wylawia jakiś pomięty banknot.

Bej sp<sup>^</sup>ia z Villefortem petit koniak. Ciekły bursztyn z ciemnozielonej butelki.

- Gascogne Armagnac - rozmarza się nasz gospodarz. - Samo słońce! -wskazuje na butelkę; ma ujmujący uśmiech i w ogóle jest w nim coś sympatycznego. Kolejne: - merci, au revoir - i już nas nie zatrzymuje.

Mundzio siedzi w naszym pokoju. Uwalniamy czuwającego przy nim sierżanta.

- Coś zrobił z portfelem Francuza? - Nie widział żadnego portfela ani żadnych pieniędzy. Perwers szkaradnie go wrabia przelz zemstę. Bo to było tak; siedział sobie spokojnie i popijał oranżadę na werandce w „Przydrożnej”, gdy ten gość zapytał, czy może się do niego dosiąść. Czemu nie? Mundzio jest towarzyski z natury i życzliwy ludziom, a ten cudzoziemiec wygląda inteligentnie, zaś Mtmdzio ceni sobie ludzi kulturalnych, takich, co to coś ciekawego o szerokim świecie mogą powiedzieć.

- Napije się pan koniaku? - zaproponował Francuz. Mimdzio przystał, bo, koniak lubi, a jeśli gość ma życzenie poczęstować go wytworną gorzałką, to nie powie nie!

Wypili, przekazali prażonymi w soli migdałami. Gość obstałował jeszcze po secie - lże Mundzio, jakby z książki czytał. Gdybym pod „Przydrożną” wtedy nie był i nie widział, w jakiejś przynajmniej części bym mu uwierzył, bo zgrabnie tkął realiami.

- Mów mi Gerard - spoufalił się gość.  
- Mnie Mundek - zrewanżował się na poziomie.  
- Mimdziu, co tu będziemy od tej marnej szafy grającej głuchnąć, a smrody wachać...

- Przecież siedzieliście na tarasie - nie wytrzymał Bej.  
- Na werandce jeszcze gorszy smród, spaliny - ani nie zająknął się Mtmdzio i nadaje dalej: - Bierzemy flaszkę - mówię Francuz - i odetchniemy na świeżym powietrzu...

Mundzio znowu nie powiedział: nie! Gerard zatankował<sub>7</sub>

butelkę radzieckiego koniaku i zaprosił go do samociodu. A tamten, za kierownicą, musi jego szofer, warował jak pies. Takiemu pasożytowi z kapitalizmu to dobrze, nawy- syskuje się taki, nawyzyskuje i tylko zbytki mu w ^owie, żeby nie powiedzieć wręcz przeciwnie.

Pojechali przed siebie, nawet przyjemnie było, bo szosa szczerym lasem prowadzi i właśnie księżyc jak cygańska patelnia wylał. Gdy dojechali do tego rozstaja, Gerard kazał szoferowi zatrzymać się. I zaprosił Mundzia na przechadzkę. Mundzio poszedł w najlepszej wierze, myśląc, że w plenerze sobie po męsku flakon z interesującym płynem odszypuntują, lecz zamiast wypicia spotkał Mundzia afront, którego żaden prawdziwy mężczyzna nie zniesie.

Gerard zaczął się do niego nieprzyzwoicie dobierać i różne przy tym plugastwa wygadywać o Mundziowych wdziękach. Niezwyczajny jest takich karesów, no to z nerw wyszedł i jak nie szło po dobremu, to stuknęła perwersa w limo.

- I parę razy w dupę go kopnąłem, skaz mnie Bóg, jeśli to nie cały incydent!

Uciekał do wozu? Coś się panu śledczemu w oczach przestawiło! Czy on głupi, żeby się do samochodu perwersa pchać? Owszem, uciekał, nie przeczy, ale na drugą stronę szosy, w las chciał nurknąć - patrząc mi w oczy łął płynnie, bez zająknięcia.

- Co ja jestem jaka dziwka, żeby mnie facet obmacywał, wyglądam na taMego?! - Rzeczywiście, nie wyglądał na kasek dla pederasty. Gęba niemal po oczy ze smugą po gęstym, wygolonym zarostie, grube rysy, kaczy nos. Pod rozchelstaną koszulą kłębią się ciemne kudły, obrośnięty jak mandyl.

Nawet nie próbowałem Mundzia rozsupłać. Sklepał sobie wiarygodną czy nie, ale okrągłą opowieść, dowodów świadczących o rabunku przy sobie nie miał, współnik zbiegł, nawet nie wiemy, jak wygląda.

Odesłałem Mundzia do przechowalni.

- Mamy numer ich samochodu, rano się sprawdzi. Zobaczymy, co powie Mundzio, gdy odszukamy jego kompana.

- Nic innego, niż powie - przewiduj e Bej; bardzo możliwe. Zelek wybrał jedyną możliwą w jego sytuacji linię obrony. Gra o dużą stawkę, kwalifikację prawną: napad rabiinkowy czy pobicie, kilka miesięcy czy kilka lat więzienia. Więc będzie walczył do

końca, aby wykpić się od lat.

- Dlaczego Villefort wsiadł z nimi do wozu, rozumiesz coś z tego? - zastanawiał się Bej.

- Nie!... Może nasłał ich Stelmaszczyk, ale w jakim celu?

- Homoseksualista? - Obaj w to nie wierzymy, chociaż Villefort ani razu nie zaprzeczył ani nie sprostował pomówień Mundzia. Jakby nie słyszał lub nie rozumiał.

- Czarujący Mtindzio! Można nim ludzi straszyć - otrząsa się Bej.

- Wyjaśnimy tę sprawę z Villefortem.

- Z tego, co Francuz mi naparlował, wynika, że portfel odebrał mu Mtindzio i nie w wozie, tylko w plenerze. Więc mógł go drań w ostatniej chwili odrzucić! Trzeba było przeszukać tę łączkę. No, można to jeszcze zrobić! - rozprostowuje się Bej.

- Rozwidlenie dróg pamiętam, ale miejsce? — Nie mam pewności, czy je odnajdziemy; mogę liczyć jednak na Beja, ma dobry zmysł orientacji i wręcz fotograficzną pamięć.

Świta, gdy trafiamy do punktu, gdzie stał renault. Na czworakach bobrujemy wśród trawy, poniżej pobocza szosy aż do pierwszych drzew.

- A jeśli współnik Zelka nas uprzedził? - nachodzi mnie

spóźniona myśl; oczywiście, mó<sup>^</sup> wziąć pod uwagę taki manewr ze strony Mundzia i wrócić, aby odnaleźć porzucony łup.

- Jesteś przeżuwać i nic na to nie można poradzić - przewrotnie pociesza mnie Bej. Rozróżnia dwa gatunki: przeżuwaczy i błyskotliwych. Naturalnie siebie zalicza do tego drugiego rodzaju.

Rzeczywiście, jakież pomysły, jakież cięte riposty, celne odpowiedzi przychodzą mi zawsze na myśl, gdy już minęła okazja, przy której byłyby przydatne.

Jednak po dwóch godzinach pełzania znajdujemy ten portfel, wgnieciony w kopczyk kretowiska.

Zdobycz zawozimy wprost do laboratorium kryminalistycznego. Asystent zabezpiecza na jaszczurczej chropawej skórze, co się da, ale nie przewiduje z tego pożytku.

- Nic, co by się nadawało do identyfikacji - komunikuje nam ostatecznie i zwraca portfel; a taką mieliśmy nadzieję, że znajdziemy na nim ślady paluchów Mundzia.

W środku jest francuski paszport na nazwisko Gerarda de Villefort, kilka jego firmowych wizytówek, sto dolarów w jednym banknocie, pięć tysięcy złotych i... wytarta na brzegach fotografia przedstawiająca pękaty dzbanek z białego metalu, rytowany w kapryśny wzór, z czarnym uchwytem przy pokrywce.

Nie dowierając sobie, rzucam się na albumy zabrane z domu Stelmaszczyka. Wśród zdjęć prezentujących srebra podkanclerskie odnajduję identyczną odbitkę kafetierki z hebanowym uszkiem przy pokrywce. Ten sam ornament: fantazyjnie wijące się taśmy przekształcają się w muszle, dalej harmonijnie przemieniają w pierzaste grzywacze.

Teraz już uważnie przeglądamy zdjęcia sreber. Te same przedmioty fotografowano w różnych wariantach, niektóre na tle ciemnego matowego drewna, inne przed ciemną, miętko udrapowaną tkaniną.

Podniszczona fotografia kafetierki z portfela Villeforta ma w tle ciemne drewno. Odbitka pochodzi prawdopodobnie z tej samej kliszy, co i jej odpowiedniczka znajdująca się w albumie cykUniarza. Ma tylko stłirte rogi, jest poź<sup>^</sup>-kła, wyblakła i sprawia wrażenie, jakby ją wykonano o wiele lat wcześniej niż tę u Stelmaszczyka.

- Osobliwe? - dziwi się Bej; obaj rozumiemy, że trafiliśmy na coś ważnego, coś, co łączy Villeforta ze Stelmaszczy-kiem.

- Bej, co to była za heca ze starymi srebrami? - kołaczce mi po głowie strzęp opowieści starszych kolegów o pałacu i rodowych srebrach.
- Chyba jakiś kant, nie wiem dokładnie.
- Znajdź tę sprawę, jestem ciekaw bliższych szczegółów.
- Poruczniku Załęski, my działajmy najpierw d o k u m e n t — podkreśla specjalnym tonem, bo nasz stary o wszystkich papierach mówi: dokument i żąda tych dokumentów przy każdej okazji.
- Nie ma d o k u m e n t u , znaczy sprawy nie było, roboty rue widać - przedrzeźnia dalej starego, nie przepuści żadnej śmiesznotki. - A nie zapominaj, że ja dodatkowo muszę uzasadnić zużycie trzech, słownie t r z e c h pocisków! - wzdycha i właśnie na to wchodzi nasz pułkownik.
- Podobno przez całą noc marnowaliście służbową benzynę?
- Już zakapowali-mruczy Bej,
- Czego się czaicie? - bada nas wzrokiem stary. - Macie dokument?
- Trzeba tylko przepisać na maszynie - beczelnie kłamie Bej. I po cholerę robi taki numer! A jeśli stary zechce zaraz obejrzeć nasz raport w brudnopisie.
- Oddajcie maszynistce i idźcie spać - niebezpieczeństwo mija bokiem.
- Muszę jeszcze wyjaśnić pewne okoliczności - odbieram wreszcie inicjatywę Bejowi, temu nieodpowiedzialnemu idiocię. - I wołałbym przyjść z pełnymi danymi pojutrze.
- To się dobrze' składa - przystaje pułkownik; z ulgą dowiadujemy się, że dziś on i tak nie ma czasu, bo jest zajęty w centrali. - Potrzebujecie jakiejś pomocy?
- Nie. Poradzimy sobie - skromnie zapewnia Bej.
- Bierz się za d o k u m e n t ! — rzucam się na Beja, gdy tylko za szefem zamknęły się drzwi. Wiem, że nie cierpi pisania sprawozdań, ale w sprawie d o k u m e n t u z szefem żartować nie należy. Każdy ma swego fioła, jego nie jest jeszcze najgorszy.
- Karbowy - miażdży mnie pogardą Bej; obrażony robi kawę tylko sobie i... zasypia w naszym jedynym fotelu, który wyludziliśmy od kwatermistrza.
- Wypijam jego kawę, niech się prześpi, łatwiej mu pójdą zmagania z raportem, dopisze inwencja.
- Kiedy otwieram teczkę z umorzonym przeszło cztery lata

temu dochodzeniem o oszustwo, uderza mnie widok dobrze już znajomych fotografii. Srebra podkanclerskie! Dopiero z akt dowiem się, że są to chyba najkosztowniejsze zdjęcia na świecie.

Oszustwo popełniono w Warszawie, ale większa część związanych z nim wydarzeń rozegrała się we wsi Nowice na Lubelszczyźnie.

W środku nocy odezwał się dzwon alarmowy i podniósł na nogi wieś, bo niemal w każdym domu ktoś należał do ochotniczej straży pożarnej. Gdy gromada mężczyzn, dopinając moderimek, zbiegła się pod remizę, dzwon umilkł, natomiast z wież<sup>3</sup> sygnalizacyjnej zagrział baryton dziadka Antoniego.

- Na pomoc, grabią zabytek! - po czym, mimo co ukończonych osiemdziesięciu pięciu lat, stary szparko zeszedł po zewnętrznej drabinie.

Dziadek był nieco zalany, ale mu złego słowa nie powiedziano. Na hasło; zabytek! strażacy rozbiegli się po zdi-

2  
D e m o n 3  
3  
czalym parku, okalającym ruiny siedemnastowiecznego dworku. Jednak rabusiów nie zdołano chwycić, bo uciekli samochodem, ale wóz ugrzązł na chwilę w błocie, w miejscu, gdzie niegdyś biegła główna aleja angielskiego parku, i ktoś zdążył dostrzec numer rejestracyjny pojazdu. Miał warszawskie oznakowania.

Komendant miejscowego posterunku chciał wyjaśnić, z jakiego powodu ów samochód ma być ścigany, bo na dobrą sprawę nie bardzo wiedział, co było tutaj do zrabowania.

Pałacyk, należący przed parcelacją do klucza ordynacji książąt o historycznym nazwisku, niszczał w zanedbanium. Przed laty służył jako skład pasz dla miejscowego PGR, następnie jako magazyn gminnej spółdzielni, a potem już niczemu nie służył, bo runęły stropy. Aż gdy, wzniecona przez prasę, rozpętała się akcja ratowania zabytków, zainteresował się ruiną bogaty zakład przemysłowy. Jego pełnomocnicy załatwili co trzeba, w budynku co nieco przykryto, oszalowano, podstępłowano, przybito odnośną tabliczkę: obiekt zabytkowy i pod ochroną, oraz naturalnie zaangażowano dozorcę, czyli dziadka Antoniego. Z wiosną miał mszyć remont szacownej budowli, przeznaczony na dom rekreacyjny.

W świetle dnia komendant obejrzał teren, stwierdził ślady protektora samochodu osobowego i... świeżo wykopany dodek.

32 Co zginęło? - Skonfundowany dziadek Antoni, trzeźwy



już i zawstydzony, przyznał, że nic, co potwierdził na piśmie.

Na wszelki wypadek komendant wysłał do województwa lakoniczną wiadomość o wydarzeniu.

Wóz z rejestracją warszawską? Województwo pchnęło notatkę do Warszawy. Tutaj zaś też nikt się nie przejął dołkiem wykopanym w zabytkowej ruinie, z której nic nie

ukradziono, bo nie było co. I oczywiście nie szukano właściciela wozu z wiadomą rejestracją.

Walentyń Kownacki, kolekcjoner-amator, a w ogóle człowiek lubiący mieć pieniądze ulokowane w czymś trwałym i artystycznym, sam zgłosił się do milicji.

Otóż w środowisku kolekcjonerskim pojawił się nader dystyngowany starszy pan, który dał się poznać jako były kamerdyner ostatniego księcia ordynacji nowickiej. Delikatnie sondował rynek prezentując poźółkłe fotografie bardzo cennych starych sreber Czjnił to na zlecenie księcia, który po trzydziestu latach wrócił do kraju, aby tu dokonać żywota, a także aby odzyskać kolekcję ukrytą przez wiernego kamerdynera zaraz po wojnie, jeszcze przed wywłaszczeniem. Dotąd spoczywała w ziemi, bo nie było możliwości przesłania jej prawowitemu właścicielowi.

Teraz książę osobiście także nie może ich wydobyć, bo jego pojawienie się w rodowych dobrach wywołałoby poruszenie wśród starszego pokolenia oddanychmu kmieci i spowodowałoby zbędny roznoś. Natomiast wiemy kamerdyner posiada tam rodzinę, a jego ciotecznego wuja niedawno mianowano strózem posiadłości. I to jest doskonała okazja.

Sędziwy arystokrata zajmował apartament w hotelu Bristol, a hotelowa obsługa wiedziała, że goszczą ostatniego spadkobiercę historycznego nazwiska.

Zbieracz-amator zafascynowany genealogią wielkiego pana, którego przodkowie wymieniani są w podręcznikach i literaturze, oraz perspektywą zdobycia cennych sreber, nie zadawał zbędnych pytań. Tedy umówiono się: Kownacki uda się z wiernym kamerdynereń księcia do Nowicy, kamerdyner wskaże miejsce i pomoże wykopać skarb, a przede wszystkim zabezpieczy przed krewnym Antonim, dozorcą ruin.



Bisiażę zobowiązuje się odsprzedać Kownackiemu cały serwis po cenach, jakie określi rzeczoznawcy, ale tytułem zabezpieczenia Kownacki złoży u jego pełnomocnika prawnego tysiąc dolarów. I Kownacki wpłacił tę sumę facetowi, który w apartamencie księcia wylegitymował się jako mecenas C.

Na miejscu w Nowicy wierny kamerdyner posiłkując się sliwownicą usypiał czujność dziadka Antoniego - który, jak się później okazało, nie był mu żadnym krewnym ani nawet znajomym - a Kownacki ze szwagrem kopali. W pewnym momencie kamerdyner znikł, a dziadek spostrzegł, że ktoś bobruje w ruinach, więc włączył na wieżę i uruchomił dzwon.

Gdy wypłoszony z Nowicy Kownacki wrócił do Bristolu, już ostrygł ślad po księciu i jego wiernym kamerdynerze, o mecenasie C. także słuch zaginął. W żadnym zespole adwokackim nie znano człowieka o takim nazwisku. Pozostały tylko fotografie sreber, za które kolekcjoner-ama- tor zapłacił tysiąc dolarów.

Oszustów nie odnaleziono, śledztwo zostało umorzone.

Teraz przeglądając akta sprzed czterech lat widzę, że to dochodzenie potraktowano powierzchownie. Nawet nie próbowano wyjaśnić, co właściwie prezentują zdjęcia, które skusiły Kownackiego. Nie zasięgnięto opinii w muzeach, nie pytano historyków sztuki.

Fotografie prezentowane i ofiarowane Kownackiemu przez oszustów były świeżej daty, tylko sztucznie postarzone, przekonująco poźółkłe. Wykonane na tle płaszczyzny ciemnego, matowego drewna, pasowały jak ulał do odbitki z kafetierą, znalezionej w portfelu Francuza.

Wróciłem więc do albumów Stelmaszczyka i teraz inaczej odczytałem plusy, jakimi oznaczono wszystkie fotografie sreber podkanclerskich w zbiorze cykliniarza.

- Dzieła sztuki wyeksploatowane - podzielił moje przypuszczenia Bej. - Czyżby naciął się na nie także Villefort?

- A Stelmaszczyk?

- Książę pan we własnej osobie! Spuścił mu szafę na łeb jakiś rozgoryczony kolekcjoner. Oto i motyw zabójstwa.

- Tak się dać zrobić w konia! - wciąż dziwił mnie Kownacki: nie mieściło mi się w głowie, jak można być aż tak naiwnym. Niebawem miałem się przekonać, że sam zaliczam się do tej kategorii.

- Inteligencja plus talent... - Bej wdał się w rozprawy o psychofizycznych właściwościach hochsztaplerów: wrodzony wdzięk, łatwość budzenia zaufania, wcielanie w kreowaną postać.
- Czystej próby aktorstwo i...
- Też to czytałem - zbuntowałem się przeciwko teoretycznym wywodom żywcem wyjętym z podręcznika kryminologii. - Powiedz lepiej, mądralo, dlaczego uczepili się właśnie tej kolekcji?
- Bo jest mało znana! Niebezpieczeństwo przedwczesnego zdemaskowania kantu redukuje się do minimum, chyba że trafi się na profesjonalistę. Czy ty słyszałeś o muzeum w Brożanach? Bo ja nie!
- Nie słyszałem. Przynieś encyklopedię. Dowiedzieliśmy się, że Brożany leżą nad rzeką Wisłą, dopływem Biebrzy, liczą ponad trzy tysiące mieszkańców, mają klasztor i kolegiatę kościoła pijarskiego, zespół barokowy z XVII wieku, przebudowany w XIX, pocztę także z XIX wieku, a złoty wiek osady przypada na siedemnaste stulecie, wtedy to została rozbudowana przez podkanclerzego litewskiego, Stanisława Antoniego Szczukę.
- Pisarz polityczny, autor traktatu *Eclipsia Poloniae orbi publico demonstrate* - błysnął erudycją Bej; hochsztapler, zanim przyniósł tom, z pewnością przeczytał informację. Nie byłby sobą, gdyby natychmiast nie sprzedał tej wiadomości jako rzeczy znanej mu od kolebki. Kolegium pijarów i barokowy kościół ufundowany przez Sobieskiego po wyprawie wiedeńskiej, ślady zamku... - encyklopedia nie wspomina o muzeum, ale zawiera dane sprzed dziesięciu lat.
- Barokowe srebra należały z pewnością do podkanclerzego litewskiego, stąd ich nazwa - interpretuje Bej; mylił się, nie stanowiły spadku po sławnym reformatorze, nie były także barokowe, ale o tym dowiedzieliśmy się znacznie później.
- W każdym razie dostatecznie interesujące dla zbieracza.
- A Villefort to następny do golenia.
- Albo już ogolony - sięgnąłem po słuchawkę. Połączyłem się z Forum; pokój trzysta dwa nie odpowiada.
- Pokój trzysta dwa nie odpowiada, w spółdzielni lekarskiej Eskulap nie ma pacjenta o takim nazwisku. Może pełnomocnik Berlieta zachorował i wyekspediowano go do szpitala?
- Pan de Villefort wyjechał z hostessą - dowiaduję się, gdy

pytam o niego w hotelu. - Kiedy wróci? - nie opowiadał się. W każdym razie apartament zatrzymał, zapłacił z góry za dziesięć dni. Tylko zdał wypożyczony u nich wóz.

- Kiedy wyjechał?

- Nad ranem. Telefonował do niego radca handlowy — informuje mnie szef piętra, na którym mieszkał Villefort. Z rozmowy domyślił się, że Francuz musi natychmiast pojechać ^zieś z radcą. Padła przy tym nazwa jakiejś fabryki. Szef piętra nie wie jakiej, nie podsłuchuje rozmów gości.

- To skąd pan wie, że telefonował do niego radca, a nie on do radcy?

- Sam odebrałem telefon i prosiłem pana de Villefort, bo w jego apartamencie zepsuły się aparaty.

- Wspomniał pan o wypożyczonym wozie - trochę mnie zdziwiło, że przedstawiciel wielkiego przedsiębiorstwa nie dysponuje firmowym samochodem, chociażby dla reklamy.

- Tak, zdał przed wyjazdem - potwierdza pracownik recepcji; większość cudzoziemców przylatuje samolotami, tutaj korzysta z usług agencji wynajmującej auta. Taniej się kalkuluje.

Zły jestem na Villeforta, nawet nie zadzwonił, gdzie go szukać, a jeśli nie wróci jutro, będę musiał wypuścić Mundzia. Nie mam nawet świadectwa lekarskiego o obrażeniach Francuza, co pozwoliłoby wszcząć dochodzenie przynajmniej o pobicie.

Jedyny świadek oskarżenia i pokrzywdzony w jednej osobie na razie nieosiągalny, numer granatowego renault w rejestrze wydziału komunikacji nie figuruje, jutro upływa czterdzieści osiem godzin od zatrzymania Zelka i dłużej bez sankcji prokuratora tr^Tnać go nie mogę, a po sankcję nie mam z czym iść. Amen.

- Villefort wyjechał - zawiadamiam Beja; mówię mu, o czym dowiedziałem się w hotelu.

- I nawet nie raczył zostawić wiadomości dokąd, zabojad! - oburza się Bej. - Sziikać go! Biuro radcy handlowego, ambasada.. - zapędza się Bej i hamuje, bo to już zupełnie cudze podwórko i nie nasze kompetencje.

- Muszę z tym iść do starego.

Nie ma rady, zawiadamiam szefa o kłopotach z cudzoziemcem. Słucha uważnie, lecz nie wydaje się wstrząśnięty perspektywą zwolnienia Mundzia, jeśli ja do jutra nie skomunikuję się z Francuzem.

- Zostaw mi paszport Villeforta - odprawia mnie puł-

kownik.

Dopiero nazajutrz woła nas do siebie.

- Ułożyłeś go w łóżeczku, a on znikł? - demonstracyjnie ogląda wizytówki przedstawiciela francuskiej firmy.

Zupełnie nią podoba mi się ten wstęp, wyczuwam jakąś chryję i nie myślę się.

- Człowiek\* o nazwisku Villefort nigdy nie starał się o polską wizę, nie przekroczył w żadnym punkcie granicy Rzeczypospolitej, w biurze radcy handlowego przy ambasadzie, w przemyśle maszynowym, w zakładach licencyjnych nikt nie wiedział ani nie słyszał o przedstawicielu Berlieta, inżynierze Gerardzie de Villefort-recytuje nasz stary.

- A jego paszport? - bąka Bej; obaj jesteście zaskoczeni.

- Mnie także wydał się w należyłym porządku - lojalnie przyznaje s<sup>tef</sup>; dopiero po uzyskaniu tych wiadomości przekazał dokument do zbadania. Wyników jeszcze nie ma.

- Facet wpuścił nas w maliny! - Bej czuje się osobiście dotknięty.

- Można to i tak nazwać - zgadza się szef.

Wszystko, o Czym niedawno mądrzył się Bej, przytaczając podręcznikowe wiadomości o hochsztaplerach, mieliśmy okazję zobaczyć na żywo, in concreto. Ani słowa, gość zrobił z nami, co chciał!

Pułkownik przegląda streszczenie umorzona sprawą oszwabienia Kownackiego. Już teraz kolekcjoner-amator nie wydaje mi się pół<sup>ówkiem</sup>. A my z Bejem naiwnie typowaliśmy na oszusta Stelmaszczyka!

- Kto wie, może wyratowaliście z opresji samego księcia pana - natrząsa się stary przerzucając fotografie sreber. - Próbcujcie wyjaśnić, kto i gdzie robił te ws<sup>stkie</sup> zdjęcia. Poza tym obejrzyjcie te srebra.

- Co robić z Mundziem? - pytam; nie mogę się spodziewać, by ofiara napadu kiedykolwiek złożyła na niego skargę. Zelek i ten drugi to wynajęta pięść. Egzekutor<sup>działający</sup> prawdopodobnie na zlecenie oszukanego. Kogoś, kto z pewnych względów także nigdy nie zwróci się do milicji. Mógł to być Stelmaszczyk, podobnie oskubany jak Kownacki. |

- Zelka wypuścisz po dwóch dobach, ani minuty wcześniej - podkreśla pułkownik.

- Próbcować wydhubać z niego, kto go nasłał i za co lał

oszusta.

- Nie powie. - Zdaniem szefa, Mundzio wie, że nic mu nie grozi, delikwent nigdzie się nie poskarży.

Jasne. Dlatego Villefort nie przeczył Mundziowym pomówieniom o perwersyjne skłonności, odpowiadała mu taka interpretacja wydarzenia. Dwuznacznym milczeniem pomagał swemu oprawcy wrzuce z nami. Z drugiej strony przy naszej pomocy chciał odzyskać portfel, na szczęście dopiero później znaleźliśmy jego dokumenty.

Symulował wstrząs mózgu, aby wykręcić się od wyjaśnień. Na wszelki wypadek zaciągnął nas do siebie, demonstrując przed obdugą hotelową zażyłe układy z milicją. *Czy* nasze pojawienie się na szosie uznał za przypadek? Odzalał dokumenty, pieniądze i nawiał.

Wstępne badanie paszportu rzekomego Francuza nie ujawniło naruszenia suchej pieczęci na fotografii, wytrawiania danych lub przerabiania poszczególnych rubryk. Stwierdzono natomiast sfalszowanie wizy oraz stempli i wpisów służby granicznej.

- Komu i gdzie skradziono paszport? - zastanawia się szef; zaś my z Bejem jesteśmy pewni, że ta fotografia przedstawia człowieka znanego nam jako Gerard de Villefort. Te same gęste, ciemne włosy, modne okulary w stalowej oprawie, oczy, owal twarzy.

- *Czy* książę pan okazał jakiś dowód Kownackiemu?

- Nie. Kownacki nie żądał. Natomiast pełnomocnik prawny księcia legitymował się dowodem osobistym i legitymacją zespołu adwokackiego. Pewno ukradzionymi lub sfalszowanymi.

- Kto był zameldowany w hotelu?

- Obywatel Zamoyski, lat sześćdziesiąt osiem, przybyły z Krakowa. Po skardze Kownackiego wyjaśniono, że żaden Zamoyski nigdy nie mieszkał pod krakowskim adresem odnotowanym w meldunku warszawskiego hotelu.

Różnica wieku międ<sup>^</sup> księciem a Villefortem jest bardzo duża. To mogą być dwie różne osoby - zauważa Bej.



Pułkownik obiecuje wyjaśnić sprawę paszportu za pośrednictwem Interpolu, nam każe zająć się kartoteką rodzimych oszustów. Jego zdaniem paszport skradziony lub podrobiony we Francji trafił do rąk tubylca. W tej konkurencji mamy świetne tradycje.

Szturmowe wejście w dochodzenie i zdawałoby się obiecujące spostrzeżenia pozostają jak kamień rzucony w wodę. Rozeszły się kręgi i... trzeba wrócić do milicyjnego abecadła, to znaczy najpierw zgromadzić wszystkie możliwe wiadomości o zabitym człowieku, odpowiedzieć na pytanie: kim był Stelmaszczyk, z kim się prysjaźnił, czy miał wrogów, z kim prowadził interesy i jakie to były interesy.

Młóć jego terminarz, wysłuchuję jego klientów, odpowiadają na pytania chętnie i wyczerpująco - tylko nic nie wnoszą do sprawy.

Przewijają się dostawcy deficytowych materiałów budowlanych - klepki, wykładziny podłogowej, terakoty, kleju od parkietów mozaikowych i lepiku do zwykłych. Ci nie odpowiadają ani chętnie, ani wyczerpująco.

Ryję się wśród papierów firmy: oferty z dawno przebrzmiałych przetargów, nieaktualne faktury, odcinki ubezpieczeń pracowniczych. Trafiam na rachunek spółdzielni stomatologicznej. Dowiaduję się z niego o wykonaniu i dopasowaniu dwóch pełnych protez szczękowych dla Melanii Kazimierczak.

- Kto to jest Melania Kazimierczak? - telefonuję do Iwony Biedroniówny.

- Kazimierczak? - chwila zastanowienia. - Ach, to talca emerytka. Przychodziła do sprzątania u szefa - Iwona nie mówi inaczej o Stelmaszc^ku, tylko szef. - Odprawił ją chyba gdzieś przed rokiem.

Iwona nie zna powodów zwolnienia. Adres Melanii? Z pewnością mieszka na Żąbkowskiej, ale numer? Nie pamięta. Wyglądu domu też nie potrafi określić, nigdy tam nie była.

Wpisuję emei^tkę na listę moich rozmówców, może mieć interesujące spostrzeżenia, zwłaszcza jeśli to osoba wścibska i jeśli szef ją o d p r a w i ł - jak podkreśliła Biedroniówna.

Proszę dzielnicowego, aby odszukał właściwy dom i zebrał opinię o Melanii Kazimierczak.

Sierżant odnajduje ją bez wielkiego trudu. Dowiaduję się, że jest to kobieta gołębiego serca, zdominowana całkowicie przez

energiczną i wyszczekaną siostrę, z którą mieszka; ta siostra to emerytowana dozorczyńni. Obie tr u d n i a się produkcją pyzów sprzedawanych na bazarze Róż'ckiego.

Sierżant z gorliwością, Czy też opacznie tłumacząc moje sugestie, czepia się tych nieszczęsnych ziemniaczanych klusek, bo gdy odwiecka mieszkanie sióstr, właśnie fabrykacja jest w pełnym toku.

Na płycie biilgocą' ogromne sagany, siostra Melanii nabiera z wanierJd kartoflaną masę i ze zręcznością żonglera kulga ją w dłoniach, a nadaws^ kształt kiilkł, robi wgłębienie p a l c e m ! i ciska na wrzątek. Zaś Melania wyławia ugotowane kluski kopyścią wielką jak przetak i rozkłada w aluminiowe miseczki. Następnie polewa je tłuszczem ze skwarkami z osmolonej rywierJd.

- Na bazar - zagaja sierżant, ogarniając sokolim okiem również przepastne wiklinowe kosze, przyzmę widelców i sokowżyżmałkę „Malina”, jedyny element mechanizacji wspierający tę rękodzielniczą wytwórczość.

- Sześćdziesiąt obiadów domowych wolno mi wydać, ale miejsca dla stołowników nie mamy! - replikuje energiczna siostra Melanii, przytomnie wspierając się stosownym zarządzeniem; a miejsca rzeczywiście brak, bo siostry mieszkają w tak zwanej pojedyncy. - ... No to nieśe na bazar!

- Robi je pani rękoma! - gorszy się dzielnicowy, facet z młodej generacji, znający pyzy jedynie z chłodniczych lad sklepowych.

- Można kłaść na wodę i łyżką - zgadza się siostra Melanii, która nie rozumie lub nie chce zrozumieć intencji sierżanta. - Ale konsument woli taczane i z dołkiem, bo się w nim tłustość zatrzymuje.

- Niehigienicznie! - brnie sierżant.

- To już złodziei i szumowiny zabrakło, że się pan dzielnicowy starych kobit czepia?! - bierze się pod boki emerytowana stróżka i wtedy po raz pierwszy odzywa się Melania, usiłując powściągnąć swą pyską siostrę.

Sierżant jest z gatunku waźniaków, pełen łaskawości dla pokornych, hardych lubi „usadzić”. W jego interpretacji jest to troska o autorytet. Dbając o ten autoiytet napuszcza mnie, rozaczając możliwości poskromienia producentki pyzów.

Można ich san-epidem przycisnąć, sprawdzić w radzie narodowej, czy rzeczywiście mają to zezwolenie na wolne od

podatków obiady, zresztą na pewno przekraczają przepisy i robią ich więcej niż sześćdziesiąt.

Powściągłam jego inwencję; siostry Kazimierczak to bardzo ważni świadkowie - podkreślam znacząco - w bardzo ważnej sprawie. Nie należy ich źle usposabiać.

Do Melani Kazimierczak wysyłam wezwanie.

- Obie z siostrą mamy bardzo małe renty, rio to gotujemy te pyzy - zaczyna, gdy tylko usiadła.

- Nie interesują mnie pyzy - zapewniam. - Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci Tadeusza Stelmaszczyka.

- Umarł?! Mój Boże! Taki młody człowiek - milknie nagle, kurczy się w sobie — ...chyba niezwyczajną śmiercią on umarł, jeśli milicja...

- Niezwyczajną. Pani u niego pracowała.

- Sprzątałam na przychodne i o pranie dbałam.

- Sekretarkę Stelmaszczyka pani zna?

- Taka tam i znajomość, ja dla niej nie ta s z f e r a! Lala wyprndrzona, co jak na człowieka spojrzała, to jakby psu kość rzuciła - rozjątrza się Kazimierczakowa; musiała jej pani Iwona nielicho dopiec.

- Przez nią pani odeszła?

- Nie przez nią.

- Stelmaszczyk panią odprawił?

- Odprawił.

- Dlaczego? - milczenie. Stara kobieta sztywnieje w-wTiętrznie. Nie patr^ na mnie.

- Jeśli pani nie chce, nie musi pani mówić.

- Pan pewno myśli, że zrobiłam co złego i dlatego nie chcę powiedzieć - podnosi na mnie wystraszone oczy, nie rozumiem, czego ona tak się bardzo boi - ... ale później,

i siostra mówiła to samo, co pan Stelmaszczyk.

- Co mówił pan Stelmaszc^k?

- Że za zęby zapłacił, ale za Tworki nie będzie i... odprawił. A siostra powiedziała: Melka, nie opowiadaj nikomu takich szpasów, bo u czubów cię zamkną!

- Co siostra zabroniła pani opowiadać?

- Panie, ja jestem wierząca - zawiadamia mnie od rzeczy - ja wierzę w życie pozagrobowe i w dusze pokutujące i sama na własne oczy widziałam, i nie żadna ze mnie wariatka...

Stelmaszczyk gdzieś wyjechał, Melania zrobiła wielkie pranie, bo chociaż pralnia i automat, i ca& wygoda była w suterenie, pan nie

lubił, gdy się prało podczas jego obecności.  
Następnego dnia wałek z bielizną do magła odniosła, ale

koszule musiała uprasować własnoręcznie. Bo pan był czuły na tym punkcie. A do popelinowej koszuli jak się ręki nie pr<sup>o</sup>łoży, to wyglądu nie ma.

-Dobrze płacił, a na zęby, znaczny na protezę, to ekstra pieniądze mi dał, żebym po ubezpieczalniach się nie prosiła, a nie wyczekiwała, ale miał swoje wymagania.

Uprasowała koszuile i wróciła do domu. Kładła się spać, gdy ogarnęło ją okropne podejrzenie: nie wyłączyła żelazka!

-No to ubrałam się i wio z powrotem, a to przecie drugi koniec miasta i tramwaje już do zajezdni zjeżdżały.

Na Wróblą dotarła po północy, weszła do domu. Nie zdążyła zapalić światła, gdy uchyliło się jedno skrzydło drzwi od salonu i ukazała się straszna głowa, właściwie nie głowa, tylko czaszka. Pozbawiona nosa, szczerząca zęby w trupim uśmiechu, z czarnymi oczododami.

Światła z pewnością nie było, tylko jakiś blask, który jednak nie świecił, w tym blasku nadpłynęła ta głowa i znieruchomiała. Sama głowa, tułowia nie zauważyła, zresztą ona nie wie, bo widzenie trwało krócej niż mgnienie oka.

-Wszelki duch paha Boga chwali... — wyszeptwała zbielełymi wargami i rimęła na kolana. Wtedy usłyszała cichy szmer zamykających się drzwi salonu. Ledwo kołatającą świadomością odgadła, że to pobożne zakłęcie w czas wymówione cofnęło zjawę, lecz klęczała jeszcze z twarzą ukrytą w dłoniach, powtarzając w myśli modlitwę za umarłych.

Do podniesienia się z klęczek zmusiła ją dojmująca myśl o nie wyłączonym żelazku, więc już teraz głośno odmawiając „wieczne odpoczywanie” i błagając o „światłość wiekiustą” dla wszystkich dusz pokutujących, zeszła do pralni, gdzie wszystko było w należyтым porządku, a żelazko wyłączone i dawno ostygłe. Wtedy chora z przerażenia uciekła zapominając zaryglować drzwi. Nazajutrz na Ząb- 46 kowskiej zjawił się Stelmaszczyk i tłumiąc wściekłość odebrał jej klucze.

- Niepoczytalna osoba, zostawiła otwarty dom - poskarżył się jej siostrze, a Melania zaczęła go zaklinać, aby ten dom kazał wyświęcić. Wtedy powiedział o Tworkach i zrezygnował z jej pracy.

Znów wracam do rachur.Jtów i faktur firmy Stelmaszczyk. Przedemną pękate teczki kopii raportów dla wydziału finansowego. Są to miesięczne zestawienia przepracowanych

przez rzemieślników godzin, i m i e n n e zestawienia. Trafiam na jeden arkusz i czuję się jak dudek.

- Czytaj! - podsuwam pod nos Bejowi.

- Edmund Zelek - duka mój kolega, jakby nagle zapomniał alfabetu. - Może to tylko zbieżność nazwisk.

Milczę; obaj dotkliwie zdajemy sobie sprawę, że mieliśmy Zelka przez dwie doby, w ciągu których te papiery tkwiły tu, u nas! Wystarczyło starannie przejrzeć. Ale my nie lubimy dłubania, dzięciolenia, pracy mola, biurka! Gdzie nam było do biurka po takim starciu! Tajemniczy cudzoziemiec z hotelu kategorii lux, pościg, efekty pirotechniczne. Zorro!

- Technik budowlany, zatrudniony w przedsiębiorstwie „Polwnętrz” - Bej odczytuje z protokółu przesłuchania Zelka to, co zostało spisane z jego dowodu osobistego.

Po przejrzeniu teczki personalnej w kadrach przedsiębiorstwa nie ma już żadnych złudzeń; posadzkarz z firmy Stelmaszczyka, sprawca napadu na fałszywego Francuza i technik z „Polwnętrza” to ten sam człowiek.

W kadrach potrafią jeszcze tylko powiedzieć o specjalności Zelka i nazwisku jego majstra, bo już co do adresu nie mają pewności.

- Przedsiębiorstwo liczy ponad p<sup>^</sup>tora tysiąca ludzi - usprawiedliwia się urzędniczka. - Potrzebujemy wielu rzemieślników wykwalifikowanych w różnych dziedzinach, lecz nie ma ich skąd brać. Dlatego przyjmuje się każdego, kto ma jakie takie pojęcie o fachu, i przymyka oczy na różne nieformalności.

Przedsiębiorstwo samo takie nieformalności popelnia nagminnie. Wydział zatmdnienia kieruje do nich ludzi tyle co kot napłakał, więc werbują bez wiedzy wydziału. Na co wydział replikuje doniesieniami do kolegium orzekającego. Kolegium zaś rąbie kary kłusownikom rynku pracy, czyli dyrektorom i personaLnikom przedsiębiorstwa.

Szczerby poczynione przez kolegium w menadżerskich budżetach osobistych łatanе są z okazji różnych premii, tak że wychodzą na swoje, i dalej jedna firma wydziera innym deficytowych fachowców czy chociażby tylko przyuczonych do zawodu. Bo w wielkich osiedlach mieszlciano- wych na Piaskach, Stegnach, Nad Dolinką, na Fortach, Sadybie, Ursynowie, Chomiczówce i innych czekają tysiące metrów kwadratowych wnętrz na wykończenie, tysiące metrów bieżących instalacji na

założenie. Pogania plan związana z nim wysokość zarobków menażerskich i całego nadzoru, a i urzędnicy są z nim sprzężeni.

Z tych przyczyn wiele akt personalnych jest niekompletnych. Bierze się od kandydata podanie, spisze się go z dowodu, wciągnie na listę płac i jazda do brygady; później taki, jak nie chce, nie pokaże się w biurze, nie śpieszy mu się z uzupełnianiem dokumentów, a monity majstrowie lekceważą, wypracowanych pieniędzy wstr^ - mać nie wolno, no to kadry nie mają sankcji.

Takie to są rozkosze personalnego w przedsiębiorstwie, któremu dobór ludzi utrudnia chroniczny brak fachowców. I z tego powodu nic nie wiedzą o techniku Edmundzie Zelku.

Mundziowego majstra odnajdljemy na Ursynowie.

- Zelek? Owszem, jest w pracy, ale na Chomiczówce - objaśnia majster; część brygady musiał zdjąć z Ursynowa, bo czegoś nie dowieźli, a tam właśnie przywieźli. Ludzie nie mogą mieć przestojów, bo pracują na akord i nie zarobią, a jak nie zarobią, to się rozłażą, podłapują lewiznę i nie ma ich po kilka dni.

- Zelek mówił, że go milicja na dwa dni zwinęła... - majster rozmawiając ze mną odbiera telefony, podpisuje faktuiy, nie chce pokwitować dostawy dębowych listew, bo nie odpowiadają. parametrom, wydaje dyspozycje. Żongler.

- Pić to nie pije, ale nygus - opiniuje majster; nie, Zelek nie jest perłą, chociaż niezły fachowiec. Co z tego, kiedy znarwiony. Potrafi nie pokazać się w pracy przez kilka dni z rzędu. Ma jedną zaletę, kiedy się już pokaże, to robi, jakby jutrzejszego dnia miało nie być, i nie fuszeruje. Iyiko dlatego majster go w ogóle jeszcze trzyma, no i jeszcze dlatego, bo nikogo nie ma na jego miejsce.

- Z dwojga złego wolę pół robotnika niż wcale - tłumaczy; jeśli się tylko ktoś trafi, majster chętnie rozstanie się z Mundziem.

- *Czym usprawiedliwia nieobecność?*

- Nie tłumaczy się. Ale, poruczniku, cała Polska się buduje. Państwowo, spółdzielczo i prywatnie ciągną ludzie mury, a każdy chce parkiet, a każdy chce terakotę, a posadzkarzy brak. Jak go skaperują na prywatną parta- ninę i zapłacą więcej, to mi odskoczy na parę dni... Takich Zelków mam kilku.

Jak wynika z zestawienia godzin roboczych firmy Stelmaszczyka, Zelek i tutaj się nie przepracowywał w fachu posadzkarza. Jego związki z zakładem na Wróblej wyglądają dość

enigmatycznie. A ta praca z doskoku w „Polwnę- trzu”?

- Zaczepił się dla stempla w dowodzie, bądź co bądź przedsiębiorstwo państwowe, wynikają z tego różne profity.

- Wezwać go, przesłuchać! - domaga się Bej; po odkryciu Mundziowego nazwiska w spisie posadzkarzy zatrudnionych u Stelmaszczyka uczulił się na Zelka. - Niech powie, co robił tamtego wieczoru, gdy zamordowano jego pracodawcę!

- Wie pójdziemy na taką taniochę. Bej.

- Obserwacja?

- Obserwacja - potwierdzam i obaj myślimy o tym samym; zaangażowanie służby wywiadowczej nie obejdzie się bez pułkownika, a zanim stary da decyzję, zechce wiedzieć; dlaczego. I jak tu przyznać się, że w pogoni za wielkimi efektami zaniedbałem rzeczy elementarnych. Przez dwie doby nawet nie próbowałem dowiedzieć się czegoś więcej o człowieku, zatrzymanym pod zarzutem napadu, niż to wynikało z danych w jego dowodzie osobistym.

- Wysrfo coś nowego już po jego zwolnieniu z aresztu? - pyta stary, gdy mu podsuwam do podpisu zlecenie obserwacji Mundzia.

- Dorywco pracował u Stelmaszczyka, ujawniłem to dopiero teraz, po kontroli dokumentacji firmy - wyjaśniam; szef podpisuje wniosek bez słowa.

Otrzymuję wreszcie ekspertyzy i protokół sekcji zwłok; Stelmaszczyk, zanim spuszczone na niego głowicę dębowej szafy, otrzymał śmiertelne ciosy w głowę jakimś tępym narzędziem - tyle opinia anatomopatologa. Czas śmierci: międ<sup>^</sup> dziewiątą wieczorem a dwunastą w nocy. Ślady: zamek u furtki wyważony metalowym narzędziem, mógł to być stalowy pilnik lub łom, świadczą o tym znalezione tam mikroskopijne drobiny metalu. I nic o narzędziu, jakim posłużono się pr<sup>^</sup> wyłamaniu drzwi, tylko stwierdzenie, że ustąpiły pod silnym naporem, który staranował powierzchnię i zerwał zawiasy.

Stolarze zaproszeni do wypowiedzenia się o wytrzymałości kredensu, nie pytani, sami zwrócili uwagę na te drzwi i orzekli to samo, co nasi biegli, tylko barwniej.

- Krajcfiga i złudzenie - ocenił majster; w ich zawodowym dialekcie krajcfiga to przemienne kwadraty forniru utworzone z trójkątów przez odpowiednie zestawienie słoja okleiny. Natomiast złudzeniem nazwał licie deski, jakie ten fornir



skrywał, nadając im pozory solidności.

- Gdyby był młodszy i dojrzał, może byś go podsadził... - nostalgicznie westchnął pan Władzio.

Kojarzy się z tym Adam Zapala, krzepki olbrzym, który bez trudu podniósł dębową nastawkę, a o ileż łatwiej było ją zrzucić. Z drugiej strony on nie pasuje mi na mordercę.

Pozostają już tylko same pytania: jeśli sprawca wyłamał zamek stalowym narzędziem, dlaczego nie użył go do wyważenia drzwi? A może i cios zadano Stelmaszczykowi tym samym narzędziem, którym sforsowano zamek u furtki?

Wyrywanie zamku u furtki w parkanie można z domu nie usłyszeć, zwłaszcza gdy czymy jest telewizor, ale demolowania drzwi? Człowiek ma w domu telefon i nie wzywa pomocy? Drzwi mogły zostać otworzone siłą już po śmierci Stelmaszczyka. W takim razie on sam wpuszczał zabójcę, a więc prawdopodobnie znał go lub nawet był z nim umówiony. Dopiero później dostał się tam ktoś inny. Dość dziwny zbieg okoliczności: tej samej nocy morderstwo cykliniarza

i włamanie do jego domu? Lecz równie dobrze cała sceneria może być dziełem zbrodniarza.

Nic mi nie pasuje, moje rozważania przypominają anegdotę o przewożeniu przez rzekę wilka, kozy i kapusty.

Jaki związek ma z tym wszystkim hochsztapler? Bej zмага się z kartoteką oszustów, szuka w niej naszego Francuza.

- Krzysztof - właśnie wraca z miasta mój pilny kolega - czytałeś „Hrabiego Monte Christo”?

- Czytałem.

- A jak się nazywał królewski prokurator?

- Szykujesz quiz? Odczep się!

- Gerard de Villefort! - Bej ciska mi zaczytany tom; wcale się nie wałkonił, tylko po drodze wstąpił do biblioteki; bo jak powiada, ostatnio męczyło go to nazwisko i wreszcie sobie przypomniał, że zna je z Dumasa. Widać znudzony monotonią kartoteki oszustów zajął się genezą miana Villefort i trawił czas w sposób bardziej atrakcyjny, cicią niezupełnie bezowocny. - Jaki żywy człowiek tak się nazywa?

- Bezczelny żart! I fałszywy dokument.

- Zamówił paszport ze ściągniętymi z powieści personaliami i własną fotografią - cieszy się Bej swoim odkryciem.

- To należy się zastanowić, gdzie szukać pracowni tak

świetnych falsyfikatów - mówię i ogarnia mnie popłoch; czy poradzimy sobie z tą sprawą z dnia na dzień dzielącą się i rozmnażającą jak pierwotniak.

- Nie rób tego, co mogą zrobić za ciebie inni - to żelazna zasada Beja. - Poczekamy na odpowiedź z Interpolu.

- Zgoda - przystaję skwapliwie. - Bierzemy na warsztat srebra.

- Znowu fotografie — otrząsa się Bej. — Bańki nosem puszczam na ich widok.

Fotografie kolekcji antycznych naczyń z prowincjonalnego muzeum interesowały człowieka, którego zamordowano, były przedmiotem oszustwa, ma z nimi związek hochsztapler ocalony z rąk żuła będącego pracownikiem zabitego. Krąg się zamyka. Z tych elementów muszę ułożyć równanie.

Pierwsza grupa to zdjęcia z płaszczyzną ciemnego drewna w tle. Należą do nich:

odbitki z akt sprawy Kownackiego sztucznie postarzone, zdjęcie kafetery należące do Villeforta, także poddane

krakelurze,

jeden komplet z albumu Stelmaszc<sup>^</sup>ka, nie spatynowany.

Druga grupa to kadry z udrapowaną tkaniną, znajdujące się tylko w zbiorze cykliniarza, również bez krakelury.

Powinienem zatem w brożańskim muzeum ustalić osoby, które fotografowały srebra podkanclerskie.

Tego rodzaju eksponaty chronione są w gablotach. Do fotografowania musiały być za każdym razem wyjmowane. Kustosz może pamiętać, komu udostępnił eksponaty. Małego muzeum w zapadłym kącie z dala od linii kolejowej i szos pierwszej kategorii nie najeżdżają turyści, nie rozpieszcza prasa, film czy telewizja, nie oblegają ludzie z kamerami. Każda taka wizyta jest wydarzeniem, więc pamięć o osobach, dla których wydobywano spod szkła kolekcję, powinna być żywa. I to jest moja szansa.

Jadę do Brożan.

Z warszawskiego Pekaesu przesiadam się w Łomiy na autobus pośpieszny linii Grajewo-Augu-stów. Suwalsz- czynę trochę znam, natomiast o krainie wciętej między Pojezierze Mazurskie a Suwalsko-Augustowskie zupełnie nic nie wiem.

- Brożany - ogłasza szofer; wysiadam na małym, czystym rynku i pierwsze wrażenie pozostaje już najsilniejsze. Na środku

skwer kipi rozkwitłymi różami. Same róże. Pnąc na kratownicach tworzą całe ściany, szpalery wielkich krzewów wyrosniętych w drzewka z kwiatami lia długich łądogach, niżej ściele się pomniejszy różany plebs. Nasyca mocnym zapachem rozedrgany sierpniowy upał.

Ten zbytek pr^daje blasku skromnym dookólnym domkom, odwodzi uwagę od zmurszałych chałupek z kr^-^ wymi od starości i poszerzeniałymi od mchu gontami. G^ieniedzie widać piizmy pustaków i podmurówki z ciosów, wytyczające rozkład przyszłych siedzib. Pusto. Przed budynkiem posterunku baraszkuje psy.

Miasteczko leży na wzniesieniu, skarpą spada ku rzece. Góruje nad nim kolegiata i zespól klasztorny.

Obchodzę czworobok rynku, na dwóch rogach budki telefoniczne zaznaczają miejski szyk, na dwóch innych studnie z drewnianym kołowrotem pod daszkiem, przy-  
**Kryte** dekle z **poczerniałych** desek. Stuk odsuniętej pokrywy powiela echo objijające się o cembrowinę, w ^ębo- kim szybie połyskuje lustro wody. Nie mogę się oprzeć i posyłam głos w tę odchłań.

- Chce pan pić? - przylapuje mnie na tych praktykach kobieta z koromysłem na ramieniu.

- Tak, gorąco... -bąkam; głupio mi, stary byk zabawiający się jak malec. Pomagam jej wyciągnąć pełne wiadra.

- Nasza woda jak kiynica - zachęca mnie kobieta. - A pan z daleka? - Mówię, skąd. — Na wczasy pewno? - Dowiaduję się, że kolejny turnus Gromady spędza tu urlop pod gruszą, no i właśnie tej wody goście nachwalić się nie mogą, a i gospodę chwalą, bo obiady dobre. Pytam

o muzeum.

- A jakże, jest, o tam! - wskazuje - a jakby było zamknięta, to pani kustosa pewno w domu. - Wyjaśnia, jak mam tam trafić.

- To młoda osoba? - pytam niemądrze, bo nie wiadomo dlaczego wydało mi się, że to ktoś młody, na stażu.

- Cyganowi słonina na myśli - śmieje się. - Kustosa jest jeszcze przedwojenna i ma przedwojenny dyplom magistra, a w ogóle to tutejsza, swoja. I już w wojnę dzieci potajemnie uczyła, a po wojnie kierowniczką szkoły została i tak przez trzydzieści lat. A jak na rentę poszła, w muzeum dyrektorką została. Po prawdzie, muzeum to jej

1 jej męża zasługa, chociaż on nietutejsi, tylko ze świata, ale przez

tyle lat to już się jak swojak zrobił. Uczony człowiek, książki pisze, a tak! E t n o g r a f. - Widać uznaje, że jej informacja nie wywiera na mnie dostatecznego wrażenia, więc dodaje: - A w ogóle to on nie byle kto, weterynarz!

Patrzę za nią, jak odchodzi wymierzonym krokiem, podpierając dłońmi ramiona wspartego na karku koromy- sła, ani kropla wody nie przelewa się ze zwisających z niego wiader.

Muzeim mieści się w rynku, w narożnym domu u wylotu stromej uliczki, wybrukowanej kocimi łbami. Przyjmuje mnie srebrnowłosa pani. Niebieska płócienna sukienka z dużym wykładanym kołnierzem, obrzeżonym koronką, przydaje jej coś z kolorytu starych portretów.

- Dzień dobry, pani kustoszy - „pani kustos<sup>^</sup>” akcentuję i wymawiam tak, jak moja informatorka.

- Oho, już z kimś tu pan rozmawiał - uśmiecha się przyjaźnie. Wymawia dźwięcznie „ł” w sposób właściwy mieszkańcom wschodniej Polski.

Zbiory zajmują trzy salki parterowego drewniaka. Bielone sufity, ciemnym drzewem oszalowane ściany, podłogi z szerokich, chyba dębowych tarcic nie tkniętych żadnym lakierem, złociste, gładkie i lśniące. Pewno świeżo zaciągnięte pastą i wyfroterowane, bo woń terpentyny przebija przez charakterystyczny w muzeach konglomerat zapachów; starego drewna, tkanin i środków konserwatorskich.

A inwentarz wcale nie jest taki ubogi, jak sądziłem. Zwracają uwagę rozpięte, jakby o spelzłych barwach, kobierce.

- Brożańskie gliordesy - informuje kustosza; objaśnia, że to turecki rodzaj splotu dywanów. Jest jeszcze inny tradycyjny na wschodzie węzeł perski, sermeh. - Sermehy wiszą tam - pociąga mnie do sąsiedniej sali.

Dowiaduję się, że podkanclerzy litewski, Stanisław Antoni Szczuka, oprócz gorzelni i browarów, postawił w Bro- żanach manufakturę wytwarzającą te niezwykle dywany. Do ram tkackich zasadził zwolnionych z innych powinności pańszczyźnianych chłopów, zaś z Persji i Turcji sprowadził biegłych w rzemiośle tkaczy, którzy nauczyli poddanych pana podkanclerzego wiązać owczą przędzę węzłami z Izmiru i Sehne.

- Farbowane tynkturami roślinnymi - gestem podkreśla gamę barw pastelowych, lecz żywych w kolorycie.

Zatrzymujemy się przed gablotami mieszczącymi znaną mi kolekcję.

-Srebra podkanclerskie! -popisuję się, zadowolony, że wreszcie i ja coś wiem.

-Utarła się taka nazwa - uśmiecha się kustosza; srebra nie są spadkierii po Szczuce, nawet nie wiadomo, czy należały do rodziny...

Przerywa nam dziewczynisko w opiętych, wylatanych, obciętych nad kolanami dżinsach, opalona jak czerwono- skóiy. Ma mokre włosy zebrane byle jak na czubku głowy, głośno klapie sabotami.

-Jestem! - oznajmia, jakby tego nie było widać; musiała dopiero co wyleźć z rzeki. Na brunatnych ramionach połyskują kropelki wody, żółta niczym jaskier bawrfniana koszulka gimnastyczna lepi się jej do piersi. Nieladna. Nijakiego koloru włosy, za masywna szczęka, zbyt pełne biodra i zbyt umięśnione łydki.

Nieladna, a trudno od niej oderwać oc^. Dostają zęza, bo zrzuciła drewniaki i boso podreptała w kąt sali. Szczupłe stopy, delikatnie związane kostki, małe, kształtne kolana i ładna linia ud harmonijnie przekształcająca się w te zbyt zarysowane biodra.

-Przez chwilę zajmie się panem Katarzyna, ja muszę coś załatwić - kustosza przedstawia rozmemlaną dziewczynę, która okazuje się historykiem sztuki.

-W czwartki muzeum zamknięte dla publiczności - oświeca mnie Katarzyna, gdy tylko za panią kustosz zamknęły się drzwi. Jest właśnie czwartek.

-Nie wiedziałem - usprawiedliwiam się; śliczne zadatki na biurokratę, już ćwic^ wprawki. Ziółko!

-**Na zewnątrz jest Avywieszka.**

Zblakłe od słońca ciemnoblonde włosy schnąc zwijają się jej w pierścienie nad czołem, nad banalnymi niebieskimi oczyma czarna krecha brwi, pięknych w rysunku, nie tkniętych żadnym smarowidłem, kanciasty podbródek, a wszystko razem wdzięk i obietnica. Ona należy do gatunku dziewczyn, których nie mija się obojętnie.

- Co pana u nas interesuje? - jej rzeczowy ton przywraca mnie obowiązkom.

- Srebra! Należały do Szczuków?

- Nie należały. Wie pan; kiedy umarł podkanclerzy litewski?

- Nie wiem. - Niby dlaczego muszę wiedzieć, kiedy umarł S.A. Szczuka, chociaż to pan możny i wielce dla Brożan zasłużony.

- Umarł w tysiąc siedemset dziesiątym roku. A teraz niech się pan dobrze przyjrzy ornamentowi na tym półmisku - podprowadza mnie do gabloty. Posłusznie kontempluję lyty pokrywające owalną tackę, znane mi już do obrodzenia z fotografii. I tak muszę doczekać się powrotu kustoszki, aby zapytać o to, po co jechałem tutaj rzemiennym dyszlem.

- To rocaille! - zawiadamia Katarzyna uznawszy, że już dość napawałem się tą doskonałością. - Rocaille, od około tysiąc siedemset trzydziestego roku, to ówony motyw ornamentyki rokokowej. A podkanclerzy litewski umarł na dwadzieścia lat przedtem, zanim Pineau, Oppenordt i Meissonier stworzyli wzór muszelkowy, inaczej zwany rocaille. A zatem S.A. Szczuka nie mógł obstalować sobie serwisu z takim motywem.

- Pani tu pracuje?

- Nie. Zbieram materiał.

- Jaką wartość przedstawia kolekcja?

- Jako dokument historyczny niewymierną i ma też bardzo dużą wartość rynkową. Kilkaset tysięcy dolarów.

- Skąd tak cenny zbiór w tej Chandrze Unyńskiej?

- To nie jest Chandra Unyriska, zarozumiała przynajmniej wiadomo skąd. Miasteczko nazywa się Brożany, a kolekcja jest darowizną.

f

Srebra stanowią część legatu zapisanego Brożanom testamentem pewnego lekarza, który osiadł tu i przeżył w miasteczku czterdzieści pięć lat. Umarł sześć lat temu dożywszy lat dziewięćdziesięciu ośmiu. Jego zbiory, wszystkie związane z tym regionem, dały początek muzeum. Razem z inwentarzem trafiły tutaj i jego notatki, nieledwie monografie poszczególnych eksponatów. Jest także w tych dokumentach szczegółowa rozprawa dotycząca sreber podkanclerskich.

- On nie miał wątpliwości, że to praca Meissoniera!

- Pani jest innego zdania?

- Jeszcze nie wiem. Ten dom to także darowizna doktora - zmienia temat; teraz przemówiło do mnie nazwisko wypalone na desce przytwierdzonej przy wejściu i wybite w kamiennej płycie znajdującej się w pierwszej salce. Muzeum jest nazwane imieniem ofiarodawcy.

- Interesujące? - powróciła kustoszka, uśmiechnęła się do mnie czliwie. Katarzyna bez słowa zniknęła w sąsiedniej salce.

Przez tę Chandrę Unyńską uznała mnie widać za prostaka i gbura.

- Porucznik milicji, Krzysztof Załęski - przedstawiłem się wreszcie.

- A ja myślałam, że pana interesuje muzeum - na widok mojej legitymacji spdził jej ciepły uśmiech. - Więc cóż pana sprowadza, poruczniku, aż z Warszawy?

- Te fotografie - rozkładałam przed nią zdjęcia.

- Owszem, robione u nas - wybiera odbitki z ciemnym drzewem w tle. - Poznaje pan? To biurko, przy którym siedzimy, i nasza boazeria - milknie. Zdziwiona pr^gląda się tym innym mającym za tło tkaninę. - Srebra nasze, ale ten wystrój... Gdzie i kto je tak fotografował?

- To ja chciałem panią o tó zapytać.

- Takich zdjęć u nas nie robiono, pewnie jakiś fotomontaż - zapewnia; ona jest przeciwna wszelkim sztafażom. Te srebra są dziełem sztuki, ale nie sztuką dla sztuki. Zostały

stworzone dla określonego uł^ku, stanowią zastawę stołową, więc powinno się je prezentować zgodnie z ich przeznaczeniem. Inaczej są martwe, stają się kosztownym bibelotem.

- A te gabloty?

- To sarkofagi, oszklone trumny! - kustoszka uważa je za przykrą konieczność, którą z czasem usimie, i rozwija przede mną wizję przyszłej ekspo^cji. W tej swojej pasji budzi szacunek. - Zapraszam, gdy będziemy mieli nowy budynek, wtedy pan zobaczy, jak powinno wyglądać współczesne muzeum. Dlatego też nie pozwalam na robienie takich zdjęć. Kto chce fotografować, musi przyjąć moje warunki.

- Czy mogło się zdarzyć, że zrobiono fotografie bez pani wiedzy?

- Wykluczone.

- Czy pani pamięta, komu pani zezwalała na zdjęcia?

- Niektórych pamiętam. Na przykład pierwszych dziennikarzy z prasy lokalnej, sześć lat temu, podczas uroczystości otwarcia muzeum. Z okazji wystawy XXX- -lecia nasza kolekcja eksponowana była także w województwie, następnie w Warszawie.

Moja koncepcja sypie mi się w rękach. Trop się rozplywa. Iluż ludzi ma dostęp do negatywów archiwalnych, przecież nie leżą w sejfach, nie stanowią żadnej tajemnicy.

- Proszę, oto serwis zdjęć wykonanych w Warszawie - wyjmuję z biurka pękatą kopertę; naiwny sądziłem, że nie przekroczą granic regionu, a one rozprzestrzeniają się po kraju w postępie geometrycznym. Lecz na tych warszawskich fotografiach również nie ma w tle żadnych udrapo- wanych szmat.

- Pani wybaczy, ale czy ta kolekcja to naprawdę taka rzadkość?

- Jedyna w Polsce, spośród trzech znanych na świecie, opatrzonych numerami! Rozumie pan, co to znaczy?

- Nie.

- Według tego projektu Meissoniera wykonano tylko niewielką, ściśle określoną ilość takich kompletów, dlatego oprócz gmerku oznaczono je jeszcze numerem.

- A może istnieje gdzieś kopia tej zastawy? - splywa na mnie olśnienie, bo przez cały czas usiłuję dopasować do czegoś te fotografie z tkaniną w tle, których tak zdecydowanie wypiera się



kustoszka.

- Może istnieje, ale mnie nic o tym nie wiadomo. Słynne dzieła sztuki zawsze były kopiowane.

- Pozwoli pani na zrobienie zdjęć, przysłałbym fotografa.

- Chce się pan przekonać, czy to nie kopia? - śmieje się kustoszka. - Może mi pan wierzyć, to oryginał. W tej sprawie wypowiadał się niejeden autorytet w dziedzinie historii sztuki. Ale pi-oszę, niech pan przyśle swego fotografa.

- Dziękuję pani. A ta... historyczka sztuki dawno u pani jest?

- Zaraz widać, że milicjant! Na rekonesans wpadła w lipcu, teraz będzie dłużej, może nawet do września.

- Istotnie, niedługo... - nit wiem, jak wybrnąć, aby nie urazić kustoszki. '

- Katarzynę rekomenduje jej promotor, to właśnie jeden z tych autorytetów od badania sreber. A ja też znam się na ludziach... ~ wyciąga z biurka skoroszyt. Na samym wierzchu wpięty jest list polecający mgr Katarzynę Polewicz z nadrukiem Warszawskiego Uniwersytetu, u dołu widnieje pieczęć katedry historii sztuki i podpis profesora doktora.

Kiedy śpieszę do pekaesu, widzę, jak od budki z lodami odchodzi Katarzyna i... Adam Zapała! Nie wiem, czy mnie widzą, ale dzieli nas niewielka odległość. Nie patrzę w moją stronę, opychają się lodami z waflowych kubeczków i nikną w wylocie krzywego zaiółką stromo opadającego ku rzece.

Zajeżdża autobus.

II

Czy to możliwe, aby człowiek, którego widziałem kilka razy i zaledwie pamiętałem jego imię, tak bardzo zaciążył na moim życiu? Od czego się zaczęło, w jaki sposób do tego doszło? - nie umiałem odpowiedzieć.

Kiedy go poznałem? Poznałem, to za wiele powiedziane, nie poznałem go nigdy, bo w ogóle mnie nie interesował. Pierwszy raz zetknąłem się z nim w Paryżu, przez Katarzynę. Wziąłem go za jednego z manipułu rodaków, tak czy inaczej zaczepionych w tym mieście, i nie tylko rodaków, ciągnących za Kašką.

Katarzyna! Kaprys Pana Boga, wywołujący nostalgiczną tęsknotę samców, bez względu na wiek, rasę, poziom umysłowy czy przekonania polityczne. Wcale nie jest ładna, ale erńanuje babstwem!

Miał na imię Tadeusz, to pamiętałem! O wiele za mało, <sup>57</sup> aby

odnaleźć człowieka w milionowym mieście. A odnaleźć go musi<sup>^</sup>em! lyiko z tego powodu, mimo kanikuły, wróciłem do Warszawy. Musiałem, jeśli miałem odzyskać spokój i zaufanie do Katarzyny. A jeśli nic nie odzyskam?

Mój wewnętrzny konformista odradzał poszukiwanie prawdy, przestrzegał przed sprowokowaniem sytuacji, z której nie będę mi<sup>^</sup> odwrotu, gdy nie pozostanie już żaden margines dla interpretacji, tylko jakaś paskudna rzeczywistość, odarta z wszelkidi złudzeń. Zaniechać?

Co mnie wreszcie obchodził zaledwie znajomy facet i czego chciałem się od niego dowiedzieć? To znaczy, wiedzi<sup>^</sup>em, czego nie chciałem się dowiedzieć. Naiwny idiota! W głębi duszy pragnąłem, aby mi zaręczył, że Kaśka nie miała z nim nic wspólnego, że to przypadek. Pr<sup>^</sup>uśemy, on mi tak na pewno powie. Przecież i tak nie uwierzę w ani jedno jego słowo. No to co, dam mu w zęby? Oczywiście, dam, jestem mu dłużny. Powiedzmy, zażądam dowodów, ale jakie to mają być dowody i czy w ogóle mo<sup>^</sup>y być takie dowody?

Więc zrezygnować, strusim obyczajem' ukryć łebek i udawać, że nic się nie stało. Niemożliwe. Wciąż będę tropił kłamstwo, dwiuznaczność, podejrzenia będą toczyć jak czei-w. Znienawidzę Katarzynę.

Porozmawiać z nią? To najprostsze wyjście budziło we mnie żywiolowy protest. Teraz jej wyjaśnienia nie miałyby dla mnie żadnej wartości. Zdałem sobie sprawę, jak bardzo jej nie wierzę. Wystarczyło zaledwie kilka dni, aby najbliższy człowiek stał się niemal wrogiem.

W takim razie nie zwlekając powinienem rozstać się z Kaśką pod byle pretekstem. A więc zbędne są dociekania, nie ma sensu szukanie tamtego obergnója, aby wydusić z niego wątpliwej wartości wyjaśnienia.

Ale ja nie chciałem, nie mo<sup>^</sup>em rozstać się z Katarzyną!

Nie, nie zostawię dziewczyny samej sobie, za uszy wyciągnę z tej kaczaj kałuży, muszę ratować człowieka! - no i już miałem godziwy pretekst, aby dać po mordzie facetowi imieniem Tadeusz.

Jak on się do diabła nazywał? Coś jak Krawczyk, Szewczyk albo Kowalczyk. Na ogół nie zawodziła mnie pamięć, ale tego cholernego nazwiska nie mogłem sobie przypomnieć. Nic, wycięta klatka taśmy, dziura!

Ser szwajcarski, nie pamięć; odruchowo pomacałem świeżą jeszcze bliznę na ^owie ~ zabolalo.

- Zabierz łapę z ciemienia - usłyszałem; Maciek, mój młodszy brat, rozwał się z książką na tapczanie i niby to czytał, ale nic z tego, co robiłem, nie uchodziło jego uwagi.

Był na pierwszym roku medycyny i korzystał z rzadkiej okazji, aby się na mnie wprawiać do zawodu.

- Zabierz się nad to swoje jezioro albo do drugiego pokoju, na co czekasz? - złościła mnie jego obecność, chciałem być sam.

- Na ciebie.

- Nigdzie z tobą nie pojedę, już ci to powiedziałem.

- Nie upieraj się, Adam, powinieneś odpocząć...

- Ty zasrana siostrzo miłosierdzia! Jeszcze jetoo słowo, a będziesz leczył własny zadek - zagulgotałem jak indor; jeśli teraz usłyszę o przyśpieszonych reakcjach, nadpobudliwości nerwowej, co jest następstwem zoperowania mi głowy łomem, puszczyć w niego sabotem.

- Czego się wściekasz? - odebrał mi kartę; czyżby było ze mną aż tak kiepsko? Maciek, który nigdy nie pozostaje dłużny, a na jedno słowo ma zawsze dwa, powściąga swoje naturalne odruchy.

- Coś taki miły?

- Nagły przypływ uczuć rodzinnych.

- Mara rzeszoto, nie pamięć - użaliłem się, mimo woli zdradzając swój niepokój.

- Hipochondryk! Nic ci nie jest, masz mocny czerep i zdrowie wołu.

Zmilczałem tego wołu, bo nagle przypomniałem sobie, że miałem gdzieś zapisane nazwisko i numer telefonu Tadeusza. Ależ tak! Chyba nawet sam mi go zapisał. Czy nie na jakimś spotkaniu rodaków w szambredonie, jak z polska nazywaliśmy pokoje na poddaszach, dawne służbówki, gdzie gnieździł się, dla ich taniości, moi znajomi i znajomi znajomych przybyli do Paryża na saksy. A może to było w którejś kafejce? Nieważne szczegóły, powinienem odnaleźć to w starym notesie.

Rzuciłem się do półek, wytrząsałem zawartość szuflad.

, - Depcesz moje skrypty - przypomniał o sobie Maciuś;

usiłował domyślić się pr^czyn mojej desperackiej aktywności.

-To nie kładź ich na mojej półce - powstrzymałem się, aby nie rzucić w niego zszywkami, podniosłem skrypt i położyłem na regale. -1 nie wiś nade mną jak sęp, dzisiaj nie jestem towarzyski, są wolne kojce w kurniku - byliśmy sami w domu, nasi starzy wyjechali na urlop.

-Ja mam zaledwie kąt -r- mieliśmy wspólny pokój - a ty oprócz tego jeszcze strydb!

Miałem pracownię na poddaszu naszego bloku. Po nie-

zliczonych zabiegach, plikach zaświadczeń, pomocy Akademii, poparciu Związku, po wielu miesiącach zacieklej starań otrzymałem zezwolenie na adaptowanie kilku metrów strychu i wybicie lukamy w dachu. Zaś przywilej dodatkowej normy powierzchni przyznał mi Ratusz - jako plastykowi z patentem Akademii, działającemu dla Kultury i Sztuki. Co zostało potwierdzone drukiem, trzcionką cyfero na wspaniałym kredowym papierze.

Mamę ten dokument wzruszył do łez; chciała zrobić kopię dla zarządu spółdzielni - w tym celu został wystawiony - a oryginał zachować. Bo mamę dręczyła niepewność, chociaż nigdy o tym nie wspomniała, czy mój dyplom nie jest gorszy niż z innych uczelni, i czy mój fach jest aby prawdziwym fachem, skoro nie mam stałej pracy, tylko zlecenia, jak jakiś ch^upnik. A tu proszę, sam magistrat przyznaje mi p r a c o w n i ę ! Zabawny był jej snobizm; nigdy nie powiedziała strych, tylko pracownia.

-Adam jest w pracowni! - informowała, gdy ktoś przychodził do mnie, i była dumna jak paw.

Strych był naprawdę świetny, miał tylko jedną wadę. Od wiosny do jesieni panowała tam temperatura sauny. Dopiero po wakacjach miałem założyć klimatyzację, bo zarobiłem trochę pieniędzy.

Znalazłem! Nie Krawczyk ani Szewczyk i nie Kowalczyk, tylko Tadeusz Stelmaszczyk, a obok numer telefonu 64

zanotowany w moim notesie obcym pismem. No to mam cię, ty makieto zerowoskrętna!

Właściwie to już był wieczór. Nosiło mnie - wyszedłem. Włączyłem się po mieście i telefonowałem z różnych automatów. Ogluściły, źle łączące, bezpowrotnie żarły złotówki - normalka. Kipiałem! Trasa Łazienkowska, Wisłostrada, Dworzec Centralny z wodotryskiem, i absolutna niemożność zapewnienia sprawności telefonicznej. Ukochane miasto!

Wreszcie trafiłem na sprawny aparat, ale był zajęty numer. Jeszcze kilka prób z takim samym skutkiem. Wciąż sygnał świadczący o rozmowie na linii.

To znaczy, jest ktoś w domu, i starczy mi tyle wiedzieć. I tak bym się nie zapowiedział telefonicznie. Uprowadzony skrzyknąłby tę swoją szpanę albo w ogóle mnie nie wpuścił. Dobrze wie, że nie przyszedłbym, aby go zapytać, co słychać.

A może ma mnie za nieboszczyka!

Jeśli chcieli mnie zabić, to dlaczego nie wykończyli roboty, co za nędzna fuszerka; chociaż, jak się okazało, głowę mam jak szyszak. Chyba jednak nie chcieli mnie zabić, gdyby mieli taki zamiar, nikt i nic by im nie przeszkodziło, albo ten Lombroso był pewien, że jego nie rozpoznałem, i dlatego darował mi życie.

Jechał sęk rozważania, wytrzęsę z niego odpowiedź na każde pytanie.

Wstąpiłem do kawiarni, poprosiłem o książkę telefoniczną. Tadeuszów Stelmaszczyków była spora gromadka, ale w eliminacji adresów pomógł mi numer telefonu.

65

Ulica Wróbla, gdzie to jest? Złapałem taksówkę. Daleki Służewiec, gdzie diabeł mówi dobranoc i płaci się za drugą strefę taryfową. Szofer dowiózł mnie tylko do rogu Puławskiej i jakiegoś zupełnego bezdroża - czeluść ziejąca wądołami, połyskującymi czarną brylą.

3 - Demon..

- Dalej nie pojedę, kto mnie będzie wyciągał z topieli! - zaparł się.

I

Począpiałem, odnalazłem ulicę i dom; budynek nie wykończony, parcela ogrodzona siatką, przy furtce tabliczka: „Cyklonowanie bezpyłowe, lakierowanie i układanie parkietów - Tadeusz Stelmaszczyk”. W taki sposób do mojej szczupłej wiedzy o tym ekshumie dodałem jego oficjalną profesję.

Dom nie otynkowany, piętro nie wykończone. Na parterze czteroskrzydłowe okno, zabezpieczone kratą naśladującą stare kowalstwo. Zza grubej, szczelnie zaciągniętej zasłony sączyło się światło.

Nacisnąłem dzwonek przy furtce, słyszałem jego jazgot w głębi mieszkania, nikt nie otworzył. Szarpnąłem klamkę - zamknięte. Obszedłem parkan z trzech stron - czwarta przylegała do podobnej posesji. Za domem było szczerze pole, aż do Wałbrzyskiej, która ulicą była tylko z nazwy. Rozejżdżony, zryty kołami ciężkiego sprzętu, gliniasty trakt, na którym ugrzęzły w błocie ciągniki i dźwigi pracujące przy budowie osiedla Służew Nad Dolinką. Wokół żadnej ludzkiej istoty. Podciągnąłem się na rękach i przeskoczyłem parkan.

Dostanę cię, gnido! - rozsadzała mnie wściekłość, nadal nikt nie odpowiadał na dzwonek, chociaż z wnętrza dochodził zapowiadający coś głos spikerki telewizyjnej. Zadzwoiłem jeszcze kilka razy, długimi, natarczywymi sygnałami - bez skutku! Umillda spikerka, zaczął się kolejny program. Wrzesałem.

Zanim zdążyłem pomyśleć, odsądziłem się od drzwi, rąbnąłem w nie barkiem, coś w zamku zgrzytnęło, w mojej niedawno reperowanej głowie też, znad futryny posypał się tynk. Poprawiłem - pękła lakierowana płyta, za trze-, cym razem puściły zawiasy. Natura obdarzyła mnie nieprzyswoitą krzepą.

Nie oświetlony hall, tym wyraźniejszy snop światła padający z jakichś uchylonych drzwi. Szedłem na to światło po bardzo miękkim i bardzo puchatym dywanie.

- Jest tam kto? - Nie, wcale nie byłem zażenowany sposobem, jakim wdarłem się do domu tego śmierdziela, tylko zaskoczył mnie zupełny brak reakcji. Żaden nawet do oporu<sup>63</sup>

ryczący telewizor - a ten szedł na średnich decybelach - nie był w stanie zagłuszyć trzasku demolowanych drzwi.

Smuga blasku przywiodła mnie do przestronnego pokoju. Pseudogdańskie meble, typowo nuworyszowskie wnętrza, przeladowane sprzętami: tyle więcej i bogaciej.

Od razu zwróciłem uwagę na ten zdemontowany kredens; z jego korpusu, dolnej pękatej szafy, sterczały obłe, toczone w czarnej dębinie kolumny, które wyżej niczego już nie wspierały. Tylko na ścianie pozostał jaśniejszy prostokąt ze strzępem pajęczyny.

Ominąłem podłużny stół, obstawiony krzesłami, bo zaglądał mi drogę do zrujnowanego kredensu, i wtedy zobaczyłem Stelmaszczyka.

Leżał przywalony nastawką, tą górną częścią, którą powinny dźwigać kolumny bufetu.

Nie zastanawiałem się nad przyczynami i okolicznościami kataklizmu; chwyciłem za zwieńczenie głowicy i podparłem ramieniem, bo był to ciężki, masywny dąb.

Spod skrzyni wyłoniła się przefasonowana głowa ze zniekształconą twarzą, zgnieciona kantem fryzu. Odruchowo Ujęłem go za rękę - była zimna. Ten człowiek nie żył, i to chyba od kilku godzin. Odwróciłem oczy. Dopiero teraz spostrzegłem dyndającą na sznurze słuchawkę telefoniczną, skuczającą sygn<sup>^</sup>em.

Wybiegłem z mieszkania i nawet nie przyszło mi do <sup>^</sup>owy zachować jakiejś ostrożności. Po raz drugi przeskoczyłem parkan, pobmąłem przed siebie. Aż do Puławskiej nie spotkałem nikogo.

Czułem się, jakbym dostał między oczy. Nie, nie żalowałem go, tylko przerażał absurd tej śmierci. Kto z nami tak igra? Jesteśmy poletkiem doświadczalnym pod mikroskopem olbrzyma, jakąś kolonią wirusów, powoływanych do życia i niszczonej przez siłę rządzącą się niepojętą logiką.

Ludzie topią się, giną pod kołami, okazuje się, można zginąć i pod kredensem! Sądziłem, że to wypadek

Nie zastanawiałem się, czy postępuję właściwie odchodząc tak, jak przyszedłem. Dopiero nad ranem pomyślałem o swoim zachowaniu i konsekwencjach. Teraz myślałem tylko o jednym: już nigdy nie wydostanę ze Stelmaszczyka żadnych wyjaśnień. Jeśli chcę znać odpowiedzi na moje pytania, muszę poszukać ich sam. I wiedziałem, będę szukał!

Gdy wracałem z W7róblej, nagle zagaściło się w mojej pamięci wszystko, co o nim wiedziałem, jak drobiny rtęci zbiegły



się naraz i scaliły nawet marginalne zdarzenia, sięgające daleko wstecz i bardzo pośrednio związane z tym człowiekiem.

Poznałem go w Paryżu. \*

Przez lata nikt z mojego najbliższego otoczenia nie jeździł za granicę, a moje najbliższe otoczenie pochodziło z osiedla. Tu jako wyż demograficzny przyszliśmy na świat, tu integrowali się nasi rodzice, przeważnie nie rdzenni warszawianie, ludzie przybyli z całego świata po wielkich migracjach lat pięćdziesiątych. My już byliśmy stąd, od zawsze.

Dopiero gdy kończyłem Akademię, granice przestały być hermetyczne, coraz liczniej zaczęli wyjeżdżać koledzy, ten pęd udzielał się jak grypa. Była w tym naturalna chęć poznania, tym silniejsza, że po latach izolacji przywilej przedtem dostępny wybrańcom - wręcz rodzaj nobilitacji towarzyskiej i społecznej - zdemokratyzował się. Było w tym pędzie sporo snobizmu, ale także terapia na nasze poczucie nie zawinionego upośledzenia. Przyniósł również ze sobą pewne pożytki.

Wzrosła frekwencja na lektoratach języków obcych, na które dotychczas chodziło się pod batem hsty obecności i groźbą nieotrzymania dyplomu.

- Nie będę rzeźbił po francusku. Kształt nie zna barier lingwistycznych, nie liczy się z granicami geograficznymi, istnieje ponad kordonami i ponad czasem, przemawia językiem uniwersalnym - usprawiedliwiałem swoje lenistwo.

Dlatego po dziewięciu latach nauki francuskiego - wliczając szkołę średnią - pozostałem takim sobie pniakiem. Jeszcze w liceum zadałem sobie trud wyuczenia się na pamięć kilku wybranych c<sup>^</sup>tanek z podręczników i miałem z głowy język obcy. Operując tym zasobem słów przeszwarcowałem się przez maturę i przez studia.

W rodzinie, w której dopiero ja i Maciek sposobiliśmy się na pierwsze pokolenie inteligentów, nikt nie suszył nam głowy o znajomość języka, skoro na cenzurze nigdy nie trafiały się niedostateczne. Teraz dostałem ostrogę i zabrałem się do mojej żalostnej francuszc<sup>^</sup>zny.

Nie uszło to uwagi ojca.

- Nie dosypiasz - zagadnął mnie; istotnie, mało sypiałem, ale nie z gorliwości do nauki, aż taki dzieciół nie byłem. Łapałem każdą okazję, aby zarobić na ten ewentualny wyjazd. Ale zlecenia studenckiej spółdzielni często bywają ciężkie, lecz rzadko tłu<sup>g</sup>te.

- Postaraj się o przydzi<sup>^</sup> dewiz — ojciec zaofiarował się pokryć koszt. Wzruszył mnie, ale miałem skrupuły. Dobrze zarabiał, lecz była to jedyna pensja w rodzinie, bo matka zajmowała się domem. Na tę dobrą pensję ciężko pracował w warszawskiej hucie i nie powinienem pozwolić, aby fundował mi takie kosztowne przyjemności. Nie chciałem, by się<sup>^</sup> do skromnych oszczędności, latami składanych dzięki skrzętnej zapobiegliwości matki.

Jeśli we Francji będę mógł popracować, to przyjmę od ojca pieniądze jako pożyczkę - nadkruszyłem się nieco i poszedłem zasięgnąć języka u byłego kolegi.

- We Francji nikt cię nie zatrudni, chyba że jakaś firma przyśle ci najpierw kontrakt - rozwiął moje nadzieje.

Będę zwracał ojcu ratami - ugięła się moja niezłomna wola i pomaszerowałem do Orbisu, aby się oświecić co do formalności wyjazdowych.

Powiało Europą; w pustawej sali eksponował się szykowny personel. Modne fryzury, makijaż. Powielona w kilkimastu egzemplarzach Greta Garbo rzędem tkwiła za kantorem. Rozmnożona Greta wytwornie ćmiła papierosa, popijała kawę, celebrowała i pieściła papierki, ale w całej swej atrakcyjnej zbiorowości była znużona i czegoś zła.

- Student to raczej z Juwenturem - odpowiedziała wreszcie na moje pytania Greta ciepiąca na spleen.

- Za silną konkurencją zasłużonych działaczy, oczywiście, młodzieżowych, jestem bez szans.

- Za bilet kolejowy płaci się dewizami - uroniła informację. - Tylko samolot jest za złotówki.

LOT-em bliżej! - zachęciło mnie hasło nad jej biurkiem.

- Wolalbym dalej, ale taniej - westchnąłem; cena biletu bardzo oddaliła ode mnie Francję w czasie i przestrzeni. No i przestałem zwracać sobie głowę wojażami.

W rok później byłem świeżo po dyplomie. Jacek, mój kolega ze studiów, zabrał mnie na wieczór do swojej szefowej.

- Dorobione na abażurach snoby, mecenas sztuki od siedmiu boleści, ale dobrze dają jeść!

Mecenas mieli sklep z lampami w pawilonach przy Królewskiej, a Jacek projektował i robił dla nich abażury. Dochodziło do dramatycznych scen, bo patronka wiedzia- < ła, co lubi klient, natomiast Jacek chciał kształtować smak **1** klienta i

tępił pomysły szefowej. Na co ona odpowiadała, / że nie jest rektorem Akademii, zajmuje się handlem, a nie | wychowaniem plastycznym, a handel to twarde prawa ekonomiczne. Jackowi łatwo być artystą, bo nie płaci domiarów.

Jednak nie rozstawali się, -Jacek nie rzucał chałtury, a szefowa nie wyrzucała Jacka, chociaż usposobienie mi^ trudne i upór muła. Z ich awantur rodziły się kompromisy, czyli abażuuy z walorami estetycznymi i handlowymi.

- Chodźcie - zagarnęła nas od drzwi szefowa - przedstawię was waszemu znakomitemu koledze!

Duża, ładna, z wydatnym biustem, pozęgłowała jak fregata wśród tłumku gości, holując nas za sobą. Tak poznałem Romana Rybarczyka.

Znakomity kolega, przedtem, zanim stał się znakomitym, czyli przeszło siedem lat temu, robił u szefowej to samo, co teraz Jacek - abażury. Potem przeniósł się do Paryża, lecz gdy przyjeżdżał do Warszawy, odwiedzał panią Izabelę - tak miała na imię fregata - a ona, rozczulona jego pamięcią, wydawała na powitanie wspaniałe party.

- Nazwiska nie zrobiłem - bronił się teraz przed entuzjastyczną rekomendacją fregaty.

Na to ona wyliczyła sławnych ludzi, którzy za życia nie mieli ani nazwiska, ani pieniędzy.

- Bo nie robili abażurów - podsumował Jacek; fregata uśmiechnęła się pobłaźliwie i odfalowała do innych gości.

- I po co jej dokuczasz? - skarcił go Rybarc^k; pozostał mu sentyment do dawnej szefowej. - Kiedyś jej abażury często ratowały mnie przed ^odem. — się zajmujesz?

- to było do mnie.

- Złotnictwem.

- Bizuteria?

- Także, ale przeważnie naczynia, w srebrze - mruknąłem, bo nie podobał mi się jego protekcyjnalny ton; w ogóle to miałem się za rzeźbierza, moja dyplomowa praca, wielki pień lipowego drewna, na żądanie matki został wwindo-

wany do mieszkania i w pokoju rodziców zawałał cały kąt, i-  
optychając się między kwiatkami mamy.

A pierwszy obstalunek otrzymałem od dziadka. Krzepki  
góral, mimo siedemdziesięciu lat gospodarzy w Gorcach na swych  
rozsianych po stokach, stromych poletkach. Jego chata stoi na  
końcu wsi uczepionej zbocza, dalej wiodą już tylko percie.

Co roku skrzykuje ród, czterech synów rozproszonych po  
kraju i gromadę wnuków, do pomocy. Zawsze przybywają kamie z  
co starszymi dziećmi, zdatnymi już do roboty.

Jestem najstarszy z trzeciego pokolenia rodziny Zapałów i  
dziadek wiązał ze mną wielkie nadzieje. Zresztą nadal z nich nie  
zrezygnował.

- Orkan żył w Porębie Wielkiej, w Grabcówce może osiąść  
rzeźbiarz! - stwierdził kategorycznie obejrzwszy mój dyplomowy  
majstersztyk i złożył ofertę na okazałego świętka.

W tamtym czasie było to pierwsze i jedyne zamówienie, jakie  
otrzymałem, więc na życie zarabiałem kształtując ze srebra  
przedmioty użytkowe; cukiernice, kieliszki, tace, na które  
wybuchła właśnie moda.

I te moje umiejętności bardzo zainteresowały Rybar- czyka.

- W Paryżu mógłbyś zarobić, znasz francuski? - powie-  
dział po kilku wódkach.

- Mniej więcej, a raczej mniej. Ale potrafię się porozu-  
mieć.

- Może mógłbym ci pomóc urządzić się, powiedzmy, na  
kilka miesięcy - wtrącił niedbale - lecz nie miej złudzeń, tam nie  
ma łatwego chleba, tylko ostre terminowanie i ciężka praca.

- Nie boję się pracy - wymruczałem powściągliwie; niech  
się nie spodziewa, że będę mdłał ze szczęścia albo się  
przypochlebiał.

- Zanim powiem coś wiążącego, muszę zobaczyć, co  
umiesz.

- Wpadnij, wieczorami przeważnie bywam w domu -  
dostroiłem się do jego nieobowiązującego tonu, chociaż taka  
perspektywa była dla mnie frapująca.

Wydał się nieco rozczarowany brakiem widomych oznak  
entuzjazmu z mojej strony. Trzymałem się jednak twardo, jeśli  
mówi poważnie, to rzecz może dojść do skutku. Jeśli natomiast  
zagadał tak sobie, objawianie radości niczego nie zmienia.

Nazajutrz warowałem w domu; na świeżo adaptowanym

strychu rozstawiłem ostatnio wykańczane prace. Niecierpliwie oczekiwałem go przez cały tydzień. Przyszedł, gdy przestałem już czekać.

- Syn jest w pracowni! - roztoczyła swój najpiękniejszy pawi ogon mama i z godnością powiedła go na poddasze.

Pod koniec lata paryska firma, Roger Sauville & Roger Cerdan z rue Grenelle, przysłała mi kontrakt. Wynajmowali mnie na sześć miesięcy, pierwsze trzy jako próbne, co znaczyło - jak wyczytałem z licznych punktów — że w ciągu tego okresu mogą mnie wylać w każdej chwili, po jego zaś upływie także mogą, jeno z ceregielami. A po okresie półrocznym mogą umowę odnowić lub nie. Tamże zapewniano mi mieszkanie ze śniadaniem, dwugodzinną przerwę obiadową, pięciodniowy tydzień pracy, tysiąc pięćset franków miesięcznie. O wymiarze godzin pracy było głucho.

W załączonym liście Rybarczyk informował: pieniądze dla mnie na podróż już przekazano przez bank handlowy w Warszawie, na bilet kolejowy klasy drugiej. Mam zawiadomić, kiedy przyjeżdżam, odbierze mnie z dworca.

Tak stałem się gastarbeiterem, a po naszymu pojechałem na saksy. Mama w dniu wyjazdu postawiła obok mego plecaka pękatą torbę.

- Trochę żywności, synku.

Trochę żywności to była pieczona gęś, dwie kaczki, łom schabu i połeć wędzonego boczku.

- Wszystkiego nie mogę zabrać - jęknąłem z żalem i pomyślałem, ile musiała się nastać po sklepach po te deficytowe mięsa.

- Adam, ja nic nie mówię, kiedy nie bierzecie swetra na zmianę, a po mrozie latacie w sabotach, jakby was nie stać było na porządne buty. Trudno, przywykłam do dzieci odmieńców, zresztą nie suknia zdobi człowieka...

- Lecz futro - przypomniał o swoim istnieniu Maciuś. - Mamo, on nie może tego wziąć, przepisy wzbraniają. Adam, dlaczego nie uprzedziłeś mamy? - zastępca ojca się znalazł.

- To chociaż gąskę weź - westchnęła.

- Gęś załatwię do granicy — podjąłem męską decyzję. - Dołóż kaczki.

Zostaw jedną bratu - upomniał się Maciek. - Zabierz boczek! Zawsze musiałem po nim łachy dodzierać, nie będę po nim dojadał! - niby to się wygłupiał, ale z jądrem goryczy.

Cała rodzina odprowadziła mnie na dworzec; mama się popłakała, jeszcze nigdy nie rozstawaliśmy się na tak długo.

- Uważaj na siebie, Synku! - zawołała przez łzy, gdy pociąg ruszył; stała na peronie drobna, mała. Trudno było uwierzyć, że to ona urodziła takich dwóch dragali jak ja i Maciek.

Po trzydziestu trzech godzinach wysiadłem na Gare de l'Est.

Z daleka dostrzeżem Rybarczyka, on też mnie zobaczył. Zamachał ręką i ruszył w moim kierunku pod prąd cizby wyrzuconej przez dwa pociągi; na sąsiedni tor, jednocześnie z naszym, wtoczył się długi skład z Brukseli.

- Jaka pogoda tam na górze? - zażartował na powitanie; mam metr dziewięćdziesiąt wzrostu i czasami, zwłaszcza gdy brakuje na mnie tak zwanego asortymentu, złorzeczę Panu Bogu za ten nadmiar. - Jaką miałeś podróż?

- Myślałem, że pociąg będzie mocno spóźniony.

- Według francuskieli kolei można regulować zegarki - pochwalił się Rybarczyk takim tonem, jakby punktualność kolei Republiki była jego wynalazkiem. - Europa, bracie!

- Ale trzęsie - prowokował do przekory, i nawet nie tym, co mówił, tylko jak; a kolej francuska rzeczywiście była imponująca.

Nasz pociąg przybył do Forbachu, niemieckiej stacji granicznej, z godzinnym opóźnieniem. Po wymianie elektrowozu, gdy służbę objęła załoga francuska, nasz lan-gsam-zug oszalał. Mój polski wagon, widać nienawykły do takiej szybkości, jęczał, rzeźił, podzwaniał i trzeszczał w wiązaniach; w nadgryzionym przez mole i żab czasu przedziały odpadły popielniczki, a my, aby nie kusić losu, zdjęliśmy z bagażników walizy.

W sanitariacie urwało się lustro, ponadto konduktor zmagął się z obluzowanymi śrubami, przytwierdzającymi sedes do podłogi, bo urządzenie balansowało jak pijane. Grupka globtroterów, miotana febrycznymi wstrząsami zajeżdżonego wagonu, z napięciem obserwowała, kiedy to niezbędne utensylium wróci do pionu.

- Oto masz Paryż - nadał się Rybarczyk, gdy wyszliśmy przed dworzec; sobotni ranek, uliczny ruch na zwolnionych obrotach, perłowe niebo nad miastem. Witalem je wzruszeniem.

- Pachniało świeżo parzoną kawą. Wspomnienie paryskiego ranka już zawsze kojarzyć mi się będzie z aromatem mocnej kawy, wydobywającym się z niezliczonych kafejek, jakimi gęsto obsadzone są ulice.

Na parkingu Rybarczyk bezskutecznie usiłował wydłubać

zamurowane ze wszystkich stron swoje alfa-romeo,

dwuosobowe cygaro, koloni gotowanego raka. Pienił się bezsilny, bo wokół nie było żywego ducha, tylko pozamykane pudła.

Pojawił się wreszcie jakiś człowiek, ale nie należał do żadnego auta blokującego wrzeczono Rybarczyka. Był w lepszej sytuacji, bo jego wóz parkował blisko brzegu.

Facet nawet się nie rozejrzył, aby kogoś poszukać. Wsiadł, włączył motor i grzmotnął samochód zagradzający mu drogę przed maską, potem na wstecznym biegu uderzył ten z tyłu. Powtarzał operację, aż zdobył niezbędną do manewru przestrzeń.

-To też jest Paryż - przy każdym zgrzycie tłamszonego żelastwa twarz Rybarczyka kurczył taki ból, jakby mu wybijano kolejny ząb.

Później już mnie nie dziwiło, skąd w Paryżu takie masy pokancerowanych samochodów.

Rybarczyk ruszył okrężną drogą, pokazywał mi miasto. Tego dnia, wolnego od pracy, nie widziałem tych monstrualnych korków, zatykających arterie, wstrzymujących krwiobieg metropolii, a w czasie szczególnego nasilenia ruchu będących jego zaprzeczeniem.

Ulice, bulwary, aleje, pomnik na placu Zgody, budowle w nadbiegającej perspektywie, i znów mijamy jakiś pomnik czy pałac, rotundę lub kościół. Migawkowe skróty z miasta wznoszonego przez pokolenia, naturalnie nakładające się epoki, pod patyną czasu.

Oglądanie z samochodu było irytujące, a do tego Rybarczyk z natrętnie powtarzanym pytaniem:

-Jak ci się podoba Paryż'z?

-Łomża, tylko bardzo duża - pochwaliłem; zerknął na mnie znad kierownicy opiętej zamszową skórą.

-Małpie grymasy! Dziwny jesteś.

**i**

-Bardzo dziwny, chciałbym się wykąpać.

Przejechaliśmy kolejny most nad Sekwaną w kamiennej



cembrowinie, z wodą jeszcze oru liejszą niż w Wiśle.

76

- Jesteśmy na miejscu - Rybarczyk zatrzymał cygaro przed starym domiszczem.

Nad trzema witrynami, w wykuszach na czarnym szkle, złożone litery nazwisk dubeltowego Rogera. Brama i maleńkie podwóreczko; pochyłe, wybrukowane kocimi łbami, startymi i wypolerowanymi od zuiycia. Na środku jedyne drzewo, wiekowy klon, z pniem poplombowanym latami z cementu.

Zza klonu wynurzył się i kroczył z godnością łaciaty bernard. W płytkiej kobiałce z wikliny, której pałak trzymał w pysku, leżały dwie litrowe butelki. Pies przeciął placyk i zniknął w sąsiedniej bramie.

- Codziennie przynosi wino swemu panu - roześmiał się Rybarczyk - poznasz ich obu, Fabre pracuje w naszej firmie.

Było tu cicho, kameralnie, nastrój jak ze starej litografii.

- Idziemy - wyrwał mnie Rybarczyk z nabożnej kontemplacji. - Winda jest od frontu - poinformował, zatrzymując się pod bystrym okiem węzowatego babska, tkwiącego w oszklonej klatce. Przypominała murenę w za małym akwariium.

- Poznaj madame Basque - przedstawił mnie konsjerż- ce; skłoniłem się. Zagadła coś prędko, lykła sylaby, łącząc końcówki z początkiem następnego słowa. Rozumiałem z tego niewiele. Minęło sporo czasu, zanim się osłuchałem z wymową pażyzan. Pani Basque miała ciepły uśmiech, tchnęła życzliwością; miałem się przekonać, że z natury była dobra i przyjazna, ale tylko do momentu, w którym nie naruszało się interesu podwójnego Rogera, a jak się okazało niebawem, człowiek potykał się o ich interesy tia każdym kroku.

Po prezentacji Rybarczyk poprowadził mnie na tył budynku, minęliśmy mroczną sień, wspięliśmy się na strome schody.

- Przecież od frontu jest winda! - zauważyłem odkrywco.

- Nie będziesz mieszkał od frontu, a piąta kondygnacja nie ma pr^jścia do windy - mruknał.

Poddasz; długi, wąski korytarz z jedyłą żarówką w drucianym kagańcu, po obu stronach szeregi drzwi, w perspektywie mosiężny kran nad żeliwnym zlewem. Aha! chambres de bormes - pokoje dla służby. Takie było ich pierwotne przeznaczenie. Teraz po prostu najtańsze mieszkania. Takie mieszkania widziałem kiedyś w starej warszawskiej czynszówce na Stalowej. Relikt.

Weszliśmy do wąskiej kiszki, ziejącej tropikalnym upałem. Przez zaszmelcowaną, umieszczoną w suficie lukamę, sączyło się mętne, zielonkawe światło.

- Za światło też płacą Rogery? - Rybarczyk skwapliwie potwierdził. - Pytam o światło dzienne! - wskazałem porośnięte brudem szybki.

- Oczekiwałeś apartamentu przy Champs-Elysées?

- Pluskwy to chyba gratis? - właśnie okazały insekt wychynął z pęknięcia tapety i promenował po ścianie. Rybarczyk zaczął się śpieszyć.

- Muszę już iść, jestem umówiony! Aha, byłbym zapomniał. .. - podał mi plan Paryża i sto franków - zaliczka od patrona! Mam nadzieję, że sobie poradzisz? - i już z ręką na klawce: - Przyślę ci madame Basque, we wszystko cię wprowadzi.

- Dziękuję! - krzyknąłem, bo już był za drzwiami; czego się czepiam człowieka, nie rozumiałem siebie. Przecież nie mam do niego pretensji o żywy inwentarz Rogerów łąjący po ścianach, chociaż dotychczas nie zdarzyło mi się współżyć z pluskwami.

Niezadowolony z siebie rzuciłem plecak na leżankę, na przeciw niej rozpięto się szerokie łóżko. Instytucja, nie łóżko. Oblazłe z niklu zagłówki odsłaniały mosiądz. Parę- naście kilogramów surowca zdatnego na mózdzierz, ron- die, okucia, tak teraz modne w Warszawie. Chyba pamiętało Belle Epoque, a sądząc po brudzie pod nim, przetrwało w tym miejscu dwie wojny i kilkadziesiąt lat pokoju.

Między kozetką a łóżkiem z trudem mo<sup>^</sup>em się przecisnąć. W kącie za drzwiami, na chwiejnym gerydonie, miednica i dzbanek, symetrycznie po drugiej stronie konsola z poźółldym marmurowym blatem i jeden taboret. Wszystko. I co tu jest do objaśniania? Naiwny! Zaraz się przekonałem, że jest, gdy tylko nadsięgnęła murena.

Przyniosła śniadanie. Dzbanuszek brunatnej cieczy, kieliszek mleka, przezroczystą rozetkę masła, na spodecz- ku dwa kleksy: marmolada i sztuczny miód, pół długiej biilki i croissant! - rogalik, rozbawiony przez wiele pokoleń pisarzy, pożarłem natychmiast. Nie, nie-przesadzali, bestie, to wyjątkowo dobre pieczywo.

Murena przystąpiła do instruktazu: śniadanie między szóstą a siódmą, do pokoju się nie nosi, dzisiaj wyjątkowo. Tace ocechowane numerem zostawiane są na półce na koiytarau.

Każdy ma obowiązek wystawić swoją tacę z czystą, umytą zastawą. Pościel należy szanować, w łóżku nie palić papierosów. Dobry obyczaj nakazuje gasić światło najpóźniej o jedenastej wieczorem.

Teraz spostrzegłem, że w pomieszczeniu nie ma kontaktów na wtyczkę. Aha, więc grzałka do wody, przemycona do mego plecaka przez mamę, do niczego się nie przyda, chociaż i tak nie byłoby z niej pożytku, bo tu inne napięcie prądu.

Nareszcie zrozumiałem, lokator warszawskiego Wues-emu, dlaczego piąta kondygnacja nie ma przejścia do windy. Podróże kształcą!

- Prysznic... - pouczenie, jak się mam obchodzić z tym nadzwyczajnym urządzeniem, aby go nie popsuć, bo reperacja kosztuje drogo. Ile pryszniców? - pytanie szczerze zdziwiło murenę. - A ileż ma być, jeden! Znajduje się na

końcu korytarza. Ten symbol wykwintu służył szesnastu lokalom.

Bidet nie jest do prania skarpetek, w wucecie należy zachować czystość i nie szarpać za rączkę spłuczki, tylko pociągnąć delikatnie, z wyczuciem. Ciepła woda bywa raz dziennie, od szóstej do ósmej. Za pranie Rogery nie płacą, tylko lokator, także lokator sprząta swoje piedater.

- Madame, po co ma tutaj niszczyć ten szacowny antyk z epoki tingel-tanglów - zaproponowałem, gdy zakończyła swój wspaniały monolog—proszę zabrać kozetkę, zrobi się luźniej, jestem zbyt ciężki na jej zżartą przez komiki ramę.

- Pewno - przyznała - nie powinien pan na niej siadać! Tu sypia Iram! - naiwny syn swojej mamy, dowiedziałem się, że dzielę pokój z Marokańczykiem. A poinformowany o moim gabarycie któryś z Rogerów, osobiście kazał przysposobić dla mnie to łóżko, bo jest metalowe, a zatem mocne. Oko opatrności dubeltowego Rogera wnikało nawet w takie detale.

- Madame! Bardzo nie lubię małych zwierzątek - ta sama pluskwa, a może inna, bezwstydnie nadal szlajała się po tapecie.

- Moustique! - nie speszona strąciła i rozdeptała insekta.

Mustik? To przecież komar! Czyżbym się mylił? Nie, nie myliłem się, nazywała to plugastwo komarami i wmawiała, że przylatują znad Sekwany. A pluskwy? Ona o czymś takim w ogóle nie słyszała. W całym Paryżu nie uświadczysz pluskwy. Skapitulowałem. Była niepokonana.

- Ach, ty Nike z szambredonu-westchnąłem po polsku.

Kłaniam się nisko panu, panie de Balzac, pańskie typy żyją i mają się dobrze!

Zachłysnąłem się miastem, zazdrościłem psom, że mają cztery łapy.

Katarzynę spotkałem na Champs-Elysees, zatopioną w kontemplacji wystawy Cardina. Za kryształową pano- 80 ramiczną szybą, olśniewająca lala prezentowała suknię obszytą piórami i kapelusz z olbrzymim rondem, przybrany w rajery. Kaśka już tak jest skonstruowana, że skupia na sobie, zainteresowanie mężczyzn jak soczewka promienie, a do tego miała przewieszoną przez ramię skórzaną torbę, wytłaczaną w parzenice, z miedzianą klamrą przypominającą zapinkę przy cuchach. Polka!

- Ahoj! Podaję moją pozycję, czterdziesty dziewięty

równoleżnik - ryknąłem jej nad uchem; nie pr<sup>^</sup>szło mi na myśl, że taką torebkę może sobie kupić każda tutejsza dziewczyna. Kilka ulic dalej zobaczyłem później witryny naszej Cepelii.

- Ahoj! Rodaku, skąd przybywasz na paryski bruk? - uśmiechnęła się.

- Z Warszawy.

- Ja także, możesz mi mówić Kaśka.

- Katarzyno, oblejmy nasze spotkanie i pogadajmy o starych Polakach. Jestem skłorny wydać na ciebie wszystko, co posiadam, prawie sto franków!

- Prostaku! Nikt cię nie nauczył ładniej zapraszać na wódkę młodą damę? Chodź, trzeba cię okrzesać.

Zatrzymałem się przed pierwszą mijaną restauracją.

- No, czegoś się zaparł? - nie rozumiała Katarzyna. - Aha, chcesz tutaj cisnąć swoją fortunę. Snob na dodatek! - lecz tknięta na<sup>^</sup>ym domysłem zapytała: - Od jak dawna jesteś w Paiżu?

- Drugi dzień, a bo co?

- Ach, ty zapadła prowincjo, na tej ulicy butelka wina kosztuje połowę twoich pieniędzy<sup>^</sup>.

Zawiozła mnie na Belleville do arabskiej knajpki. Jedliśmy ostre, czerwone od palącej papryki parówki. Marokańskie wino, cierpkie i chłodne, splukiwało płonące piekło.

Katarzyna, po zaliczeniu trzeciego roku historii sztuki, wzięła urlop dziekański i przybyła tutaj pod koniec sierpnia. Od września zapisała się do L'Alliance Française, aby dopracować swój francuski. To nie był jej pierwszy pobyt w Paryżu, przedtem już dwukrotnie przyjeżdżała na zaproszenie krewnych, ale nigdy na tak długo - miała zostać przez rok.

I za przyczyną Katarzyny trafiłem w polskie środowisko studentów, stypendystów, ludzi okresowo zarobkujących, a także osiadła na stałe powojenną emigrację, z otoczenia jej wujostwa.

Mieszkali w Joinville, w piętrowym wesołym domku z pretensjonalną wieżyczką nad łupkowym dachem, w niewielkim ogrodzie za wysokim kamiennym murem.

- To taki tutejszy Anin - wyjaśniła Katarzyna, zapraszając mnie do ich domu.

Mieli pracownię konfekcji skórzanej w handlowej dzielnicy Paryża przy rue Poissoniere, dzielnicy skór i futer. Przez tr<sup>^</sup>dzieści lat dorobili się wysokiej marki dla swych ręcznie wykańczanych, wysmakov/anych w szczególności wyrobów, willi,

konta w banku i obywatelstwa francuskiego.

Słynęli z gościnności: w soboty i niedziele - bo na ulicy Poissoniere dzień roboczy zaczynał się o świcie, a kończył późnym wieczorem - dom w Joinville był pełen rodaków. Przyjacieli, znajomych i znajomych znajomych.

W ich odruchach było wiele potrzeby serca, nostalgii, była też chęć pokazania, co zdobyli swą ciężką, rzetelną pracą; neofici, którzy wciąż nie mają pewności, czy zmieniając wiarę, wybrali prawdziwą, i bezustannie szukający potwierdzenia właściwości wyboru.

Lubili Kaśkę, kometę ciągnącą warkocz młodych ludzi obojga płci prosto z Polski. Ci ludzie byli bardzo różni, wielu z nich to ciułače przybyli po przysłowiowy samochód. Nierzadko, po roku pobytu, znali tylko ulicę, gdzie pracowali i mieszkali, i naturalnie Luwr; bywali tam w niedzielę, bo W niedzielę wstęp jest bezpłatny. Przywilej ludu od czasów Wielkiej Rewolucji.

I tu, wśród tej kolonii polskiej, pojawia się Stelmasz - c^k; w tle jakiegoś sobotniego wieczoru w Joinville albo na poddaszu u pary młodych architektów, murzynujących w znanej pracowni jako technicy, albo u trzech sympatycznych dziewczyn, stypendystek Instytutu Pasteura, albo w j akimś innym szambredonie. Teraz nie mogę sobie dokładnie przypomnieć, kiedy po raz pierwsz^ zarejestrowałem tę twarz pośród gromady ludzi zbierających się u coraz kogoś innego.

Obyczaj był podobny, obsiadaliśmy ws^stkie sprzęty i każdy skrawek podłogi, coś do picia przynosiło się ze sobą; przegadane noce w kłębach dymu i nieodłączny gość z gitarą - inżynier z zawodu - komponujący ironiczne ballady o zabawach w szambredonie. Do ^is pamiętam jedną z nich, w refrenie powtarzało się; dzierzawcy czasu. Traktowała o „samochodowych” emigrantach i idi tutej- s^ch arendarzach, płacących bardzo skąpą tenetę za umiejętności i czas.

Coś już wiedziałem o tym; po trzech miesiącach próby rozmawiałem z Rogerami dopiero po raz drugi, ściślej z Rogerem Sauville, bo chociaż zawsze jeden z nich na równi z pracownikami rył w warsztacie - zajmującym piwnice i cały parter - to pozornie nie wtrącał się do pracy. Od tego był majster.

Moim bezpośrednim szefem byłmaitre Fabre, natomiast Rybarc^ka prawie nie widywałem, z obróbką metali nie miał nic wspólnego, zajmował się szkicowaniem, urzędował w oddzielnej

klitce na pierwszym piętrze, dokąd nie miałem wstępu.

Fabre poddał mnie ostremu egzaminowi, a trzeba pr<sup>o</sup>- znać, znał się na swoim fachu - zakład Rogerów to była pracownia operująca starymi technikami złotniczymi — a gdy wysłuchał, co rniałem do powiedzenia o granulowaniu, grawerowaniu, kuciu, lutowaniu, emalierstwie, glip- tyce, puncowaniu, kazał mi według podanego wzorca odtworzyć wizygocką klamrę z szóstego wieku.

- Technika cloisonne - zamruczał.

Ten sprawdzian moich umiejętności manualnych Fabre ważył, mierzył, nie uszło jego uwagi najdrobniejsze odchylenie od wzorca. Przez trzy miesiące z niczego nie był zadowolony, nigdy nie usłyszałem od niego najmniejszej pochwały, ale żadnej mojej pracy nie odrzucił.

Po okresie próbnym z pracowni zniknęli dwaj Hiszpanie, natomiast dwóch Włochów i ja zostaliśmy wezwani przed oblicze Rogera. Każdego z nas przyjmował oddzielnie w kantorze firmy.

- Bien... - przyjmują mnie, chociaż brak mi jeszcze praktyki. Zapłatę będę otrzymywał od każdej wykonanej sztuki, a zatem mam szansę, jeśli będę pracowity, godziwie zarobić. Formalnie nadal będę występował jako najemnik za półtora tysiąca franków miesięcznie, co leży zarówno w interesach zakładu, jak i moich własnych.

Taka była mniej więcej treść przemowy, utrzymanej w tonie patriarchalnym; wtedy już dobrze wiedziałem, że Rogery wynajęli mnie za minimiom. Na niższą płacę nie zezwalało francuskie ustawodawstwo pracy. A zatrudnienia bez umowy nie ryzykował żaden przedsiębiorca. Groziły za to drakońskie kary. Za każdego pracownika skarb Republiki brał podatek od firmy i biada firmie, jeśli wykryto uchybienie. Bezwzględnie tropiła je akcyza dysponująca własną policją wywiadowczą.

Z kolei dubeltowy Roger pilnował, aby jego kosztem nie tuczyła się zbyt ojczyzna, dlatego też suma mego wynagrodzenia w kontrakcie pozostała nie zmieniona.

Nie, nie rozdarłem szat i nie wymówiłem pracy z powodu nielojalności patrona względem finansów Republiki; jako cudzoziemca nie chroniło mnie żadne prawo i nawet prawo pobytu na ziemi francuskiej zależało od Rogerów. A bardzo chciałem być tam jeszcze jakiś czas.

Kor<sup>o</sup>stając z rzadkiej okazji rozmowy z szefem, poprosiłem o wolny tydzień.

- Urlop po trzech miesiącach?! - zgorszył się patron - i ty się chcesz dorobić?!

- Kto panu powiedział, że chcę?

Zamilkł, przyglądał mi się podejrzliwie. Nie wierzył, aby ktoś, zwłaszcza cudzoziemski prąbysz, tak lekko traktował istotę rzeczy, dla której on trawił życie.

- Terminowe zlecenia zrobię w dni wolne - przyrzekłem i to do niego trafiło; mogłem pracować o każdej porze, bo tak samo jak inni, osobiście odpowiadałem za powierzony mi materiał i narzędzia, które przechowywałem w prądzielonej mi kasecie pancernego sejfu.

Zgodził się. W porozumieniu z maitre Fabre wyznaczył mi termin na połowę listopada.

Chcieliśmy z Kaśką zobaczyć Rzym, ale nie pojechaliśmy do Rzymu, bo właśnie strajkował konsiilat włoski w Paryżu.

- Prąkro nam - poinformował portier - ale my strajkujemy i nie wydajemy wiz - dowiedziałem się, że nawet udzielanie informacji godzi w istotę strajku. Nie powiedział mi także, kiedy mają zamiar strajk zakończyć.

Wtedy Katarzyna zaproponowała wyjazd na Majorkę, a Transeuropa, popularne biuro podróży, od ręki załatwiło nam wycieczkę.

I do dzisiaj nie wiem, czy Katarzyna wymyśliła Majorkę pod wpływem rad swojej oszczędnej ciotki, która przez wiele sezonów spędzała tam urlopy najtańsze w Europie, czy uległa sugestii Stelmaszczyka, czy też świadomie podjęła się tam pojechać za jego namową.

Teraz, w dwa lata po tamtych wydarzeniach, nie mam opręć się podejrzeniu, że Katarzyna pojechała wówczas na Baleary w ściśle określonym celu i kto wie, nie na polecenie Stelmaszczyka.

Ale do czego ja byłem potrzebny? Wtedy jeszcze nie zależało mi na niej tak jak teraz, chociaż zabiegałem o nią jak głupi; schlebiało mi wyróżnienie, bo Kaśka mnie wyróżniała, ku skrywanej niechęci ciągnących za nią satelitów, usiłujących wyeliminować mnie z konkurencji.

Przecież nawet nie zrobiłbym jej draki, gdyby sama chciała gdzieś pojechać. W ogóle mógłbym nawet o tym nie wiedzieć, bo wprzęgnięty w orkę u Rogerów często nie widywałem jej przez kilka dni.



A zatem chciała, abym z nią tam pojechał, bo wyrwałem kilka dni wolnych, czego nie miały dookolne ryjony, zajadłe w gromadzeniu franków, a stypendyści z L'Alliance Française mieli tych franków zbyt mało, aby pozwolić sobie na jakiegokolwiek wycieczki.

W przeddzień naszego wyjazdu miałem spotkać się z Katar;^ą na Montmartrze; na Montmartre, ufryzowany, uszminutowany na siedlisko bohemy, gdzie w naturalnych dekoracjach sprzedaje się legendę bogatym turystom, ciągnęło nas, jak wszystkich przybyszów, którzy kupują ją chętnie w knajpach i nocnych klubach.

Wielkie, skomercjalizowane przedsiębiorstwo, swego rodzaju wesołe miasteczko. Brać i wybierać, panie i panowie! Tylko u nas jedyny na świecie klimat, tu żyli, tworzyli i marli artyści, o których dzieła licytują się teraz najsłynniejsze galerie, dzieła sprzedawane na aukcjach za setki milionów. Óto niepowtarzalny koloryt, niepowtarzalny widok Paryża, niepowtarzalne niebo prześwietlone perłową tonacją, oto prawdziwy, najautentyczniejszy clochard!

Spasiony byk w malowniczych łachmanach, dzień w dzień z regularnością zegarka pr^chodził i uwaliał się na kracie metra. Ze zblazowaną miną pożywiał się pieczoną kurą i zapijał winem z litrowej butelki. Na gapiów nie zwracał uwagi, ale od gapiów z aparatem fotograficznym żądał laonorariuni. Inkasował, układał się fotogenicznie i leniwie rozdierał kurzy zewłok. Zaś za specjalną opłatą nawet raczył odpowiadać na pytania - kilka oszczędnych zdań w argot.

Na Kaškę czekałem — spóźniała się notorycznie — w kafejce znajdującej się u dołu stromej uliczki, wspinającej się na wzgórze. Tu ceny były już przystępne, drenaż zaczynał się wyżej.

Pod stolikiem Idębiły się dwa psy właściciela, pr^ażnie odnoszące się do czworonogów przybyłych z gościami, na bufecie siedział dorodny kot na długiej smyczy, a na centralnej ścianie umieszczono kartusz z napisem: „Aby nie stracić naszej uroczej klienteli, Rolanda i Gaston nie przyjmują czeków i nie udzielają kredytu.”

Tam, zanim nadeszła Kaška, spotkałem Stelmaszczyka. W paryskiej kolonii rodaków ten niemłody facet uchodził za rzeźbiarza. Opowiadał, że najał się na sezon do cyrku, z którym pr^echał na tournée. Nikogo to nie dziwiło, plastycy bez

nazwiska, a często już i z marką, zarabkowali w najróżniejszy sposób.

- Jak się mają twoje zwierzęta? - nadciągnęła Katarzyna; Stelmaszczyk czyścił klatki i starał się o furaz dla cyrkowej fainy.

- Zwijamy się w tym tygodniu - zawiadomił; dopił swoje wino, zabawił jeszcze chwilę i pożegnał nas. Nie przyszło mi wówczas na myśl że mogło to być umówione spotkanie.

Na lotnisko odwiozła nas ciotka Katarzyny. I jak tylko wystartowaliśmy w salwach gaźnika, zrozumiałem: nie ma dla nas ratunku!

Waliliśmy autostradą jak żywiol, migały napisy, znaki drogowe, kierunkowskazy absolutnie lekceważone przez szatańską ciotkę. Nagle doszła do wniosku, że musi się upewnić, czy^ zdąży w właściwym kierunku, i stała się rzecz nieprawdopodobna; ciotka skręciła i zaszarżowała w poprzek pasów, odgraniczających od siebie sześć strumieni jezdni. W taki sposób skracała sobie drogę do dostrzeżonej estakady.

- A mówiłam - zaszeptała Kaśka z pobladłymi usty; pośpiesznie zrobiliśmy rachunek sumienia polecając dusze Bogu.

- A mówiłam - jęczała Kaśka; prawda, mówiła! Lecz myślałam, że przesadza, uprzedzając, aby nie wsiadać do wozu prowadzonego przez jej ciotkę. Szalony hazard, ona nie nadaje się nawet do powodowania spokojną parą wołów, którą mój dziadek jeździł kiedyś na Turbacz.

Leci na nas kierdel aut ze wszystkich sześciu pasów. Pisk opon, zgrzyt hamulców - ani jednego przekleństwa. I groźna ciotka już rozrabia na zjeździe. Placze zarzynany peugeot. Dotarliśmy ledwo żywi na Bourget.

Celnicy nawet nie raczyli spojrzeć na chudy Kaściny neser ciśnięty na taśmę transportera, tłoczącego bagaże wprost do brzucha karaweli, natonął policja strzegąca bezpieczeństwa lotów poddała nas szczegółowej kontroli osobistej.

- Adam, ona zabrała nóż! — z damskiej kabiny rozdarła się Kaśka.

Ten nóż kupiłem kiedyś na Pchlim Targu w Paryżu jako afgański. Nie żaden sprężynowiec ani sztylet. Ot, duży, składany kozik, prawda, ze spiczastym ostrzem. Służył do krojenia chleba, otwierania konserw i innych równie pokojowych rzeczy.

Przeszkadzał w kieszeni i Kaśka wrzuciła go do swojej

torebki. Zaś wyczulona na porywaczy samolotów funkcjonariuszka aeroportu widać uznała go za narzędzie groźne.

- Czerwona terrorystka ujęta na Bourget! - pokpiwa-  
łem, ale poczułem się niewyraźnie, bo Katarzyna bez paszportu i  
noża siedziała pod czujnym okiem policjantki.  
czekając na decyzję władz. A nasz samolot sposobił się do startu.

Kaśkę uwolnił wreszcie oficer Police de l'Air. Zwrócił  
dokumenty, dodał pokwitowanie.

- Mile otrzyma nóż w Palmie - papier, podpisany przez:  
Commendant de Bord, stwierdzał, że afgański majcher odbędzie  
podróż w kapitańskim depozycie.

Oficer zasalutował do ociekającego złotymi galonami kepi, a  
potem już niesłużbowo zapatrzył się w obłóci Mile. Odruch  
warunkowy, bo na Bourget damski personel mi wyglądał  
modelek.

To był piękny tydzień w Ciudad Jardin Mallorca, w wiosce  
nad zatoką w pobliżu Palmy.

Wyspa po rozgardiaszu sezonu - wtedy spadają na jej plaże  
miliony gości - wróciła już do własnego zwolnionego rytmu.  
Mieszkańcom w zupełności wystarcza jedna kolej,  
dziewiętnastowieczna ciuchcia, statecznie pokonująca ten  
górzysty kleks lądu w trzy godziny od krańca do krańca.

Do baru Cala-Canta zaprowadziła mnie Katarzyna;  
znajdował się w zaułku w starej arabskiej dzielnicy w Palmie.  
Wspominała ten bar, gdy tylko przyjechaliśmy.

- Spróbujemy tam arroz payes Mallorquin - zarządziła  
Kaśka; tę popularną, jak u nas bigos, potrawę podobno najlepiej  
na całej wyspie przyrządzano w Cala-Canta.

- Skąd wiesz? - szukałem tego zaułku na planie miasta.

- Ciotka mówiła - Kaśka wtłoczyła do torby paczkę; z  
poprzedzianego papieru wystawały frędzle góralskiej chusty.

W ciemnawej, chłodnej salce z kamienną podłogą, zasta-  
wionej niskimi sofami i stolikami o miedzianych blatach,  
Katarzyna przecisnęła się wprost do baru, pozdrowiła  
ciemnoskórego patrona.

- Monsieur...? - zapytała o nazwisko, tamten potwierdził i  
zafundował jej łapę; Kaśka rozmawiała z nim chwilę.  
nie zwracałem uwagi, o czym, i wręczyła mu tę nieporządnie  
zapakowaną chustę.

Arroz payes okazało się rodzajem gulaszu ze skorupiaków i

ośmiornicy, wymieszane z ryżem, przyozdobione na wierzchu ostrygą. Zamarzyłem o kotlecie schabowym.

- Co to za konszachty?

- Przecież widziałeś, upominek — mruknęła, jakby to było oczywiste; wydziobywała z potrawy tylko ślimaki, jak zwykle odchudzała się, miała za pełne biodra, nad czym bolała skrycie.

- Od ciotki? - zapytałem; nie, wówczas żadne podejrzenie nie przeszło mi przez myśl; jej wujostwo spędzali niemal wszystkie urlopy na Majorce, mogli teraz przekazać przez siostrzenicę prezent dla zaprzyjaźnionego Araba.

- Inaczej ciotka nie mogła wysłać - dodała Katarzyna; tak, od kilku tygodni przez Francję przewalała się fala strajków. Okresowo przerywały pracę gazownia, elektrownie, przestały funkcjonować nawet dworce paryskie, zamiast oczyszczać miasto demonstrowali śmieciarze, poczta ogłosiła strajk generalny, nie przyjmowała i nie doręczała żadnych przesyłek, nawet przekazów pieniężnych emerytom. Korespondencja kipiała ze skrzynek, których nikt nie opróżniał. Nie otrzymywaliśmy listów z kraju.

- Republika chwycona za gardło! - dramatyzowała prawicowa prasa. Tłumy demonstrantów przewalały się przez bulwary, kierdele czarnych policyjnych mikrobusów czały się w przecieczach w takich ilościach, że bez trudu mogły pomieścić na miejscach siedzących całą demonstrację.

- To niepoważny kraj! - białł wystraszony wujek Katarzyny. - Oni dla befsztyku gotowi obalić rząd, wywołać rewolucję!

Wujek był lojalnym średnim burżujem i z pewnością nie wrobiłby siostrzenicy w kolidujące z prawem przesyłki. Co innego kantować na podatkach.

Dopiero teraz skojarzyłem sobie tę paczkę ze Stelmaszczykiem.

Ponownie spotkałem go cłyba w dwa miesiące później, z pewnością była to już zima.

Na Francję spadły mrozy, w niektórych prowincjach zdarzało się i minus piętnaście. Przywykli do łaskawego klimatu tubylcy poczuli się niemal Sybirakami. Wybucliła moda na rosyjski folklor i na rosyjskie odzienie. Paryż przywdział papachy, uszanki, chusty, wysokie buty z miękką, załamującą się cholewką, kozuchy i burki z baszłykami. Na wystawach wielkich krawców wysmukłe lale otulono w fufajki z brokatu, obuto w walonki o wysmako-

wanym kształcie, bizowane szlachetnymi skórami.

W Folies Bergeres caryca Katarzyna w przepychu bizantyjskich szat wjeżdżała na scenę żywą trójką wronych rysaków, strojnych w czapraki z altenbasu, w otoczeniu gromady Kozaków. Książ Orłów w szkarłatnej rubaszce i butach z safianu szalał w prysiadach pod melodię „Katuszy”. Chude, gołe girlsy stepowały w nasimiętych na oczy lisiurach.

„Rasputin”, wytworny i drogi kabaret, nadal serwował PT klienteli barwę dawno minionego czasu, a także białego, pielmienie, woblę, zespół bałajek i ....„nie pokidaj mienia...”.

- Nie wykidaj mienia... - zanuciła Katarzyna, omijając portiera przy wyjściu, bo nie starczyło nam na napiwek; przyszliśmy do „Rasputina”, dusze słowiańskie, aby przepuścić rabat uzyskany przy zakupach na Pchlim Targu.

Gdy zaczęły się mrozy, kilkoro nas z polskiej kolonii, niezamożnych z domu, ruszyło na to najtańsze targowisko po afgańskie baranice. Było nas sześcioro, przyłączył się spotkany na placu Stelmaszczyk i chociaż przyodziany już w godny zazdrości polski kozuch w stylu: ochrona mienia - -stróż nocny, także kupił afgana.

Siedem sztuk naraz w jednym straganie przyniosło nam czterdzieści procent bonifikaty, którą zgodnie przeznacziliśmy na szaleństwo u „Rasputina”.

- Nie widziałem cię sto lat, gdzie się podziewał? - zagadnął ktoś Stelmaszc^ka, gdy obsiedliśmy stolik.

- Miałem umowę z Pagartem... - po zakończeniu tournée wrócił wraz z cyrkiem do kraju, lecz po kilku miesiącach znów przyjechał do Paryża, bo miał tu jakieś widoki na pracę w swoim zawodzie, jak wyjaśnił.

- Dubeltowy Roger zadowolony z ciebie? - zagadnął mnie; przy stoliku została tylko Katarzyna, irmi ruszyli do walca. Grano „Na sokkach Mandżurii”.

- Przedłużyli kontrakt.

- Bravo! - namyślał się chwilę: - A teraz szybko: trzy rzeczy, tylko trzy!, które chciałbyś zabrać z Paryża do Polski. Nie namyślaj się, szybko!

- Test? - skrzywiłem się. - Nie wierzę w testy.

- To jego stały chwyt, powiedz cokolwiek, Adam, bo się nie odczepi! - prychnęła Katarzyna.

- Metro, kuchnia z pamięcią - pomyślałem, jakby się matka

ucieszyła z takiego nabytku - i... croissanty! - miałem wielką słabość do tych kruchych rogalików.

- A nie chciałbyś, na przykład, samochodu?

- Mam motocykl i w dupie takich psychologów - powiedziałem bez złości.

- Mam propozycję - nie obraził się - zrób kopię jednego starocia dla pewnego snoba, zapłaci ekstra. Dla mnie za pośrednictwo dziesięć procent.

- Zwróć się do Rogerów - nie miałem nic przeciwko skopiowaniu jakiegoś starocia, w końcu nic innego nie robiłem od kilku miesięcy, ale nie mogłem przyjąć zlecenia na własny rachunek.

- Snob się napalił, później może mu przejść, a u Rogerów się czeka.

- Co to ma być? - zaciekawilem się - robota z modelu, ze szkicu czy tylko według modułu.

- Roztruchan z motywem zoomorficznym, zdobiony kaboszonami, platyna! - nie wspomniał, jakiego rodzaju wzorcem dysponuje.

Można zrobić w srebrze.

- Można - pr^znał.

- Pogadaj z Rybarczykiem - zrezygnowałem z żalem; gdyby chodziło o mniej skomplikowane zamówienie, może i miałbym jakąś szansę u Rogerów, ale tak? Wreszcie to oni prowadzą firmę i nie pozwolą na taką uboc.;ną produkcję.

- Ważniak, raz go widziałem... - Rybarczyk stronił od polskiej enklawy.

- Jak zwęszy forszę, jedwab, nie człowiek—zapewniłem.

W rezultacie ja robiłem ten pudiar na zlecenie Rybarczyka. Pracowałem nad nim poza czasem wydzierżawionym przez Rogerów.

- Dasz radę, leci dwa tysiące! - Rybarczyk był zwięzy; oryginału nie widziałem, otrzymałem szkice i modli. A wzorniki z pewnością zrobił on, znałem już jego kreskę, ale nie pytałem go, z c z e g o kopiował.

Po otrzymaniu należności poczułem się bardzo bogatym człowiekiem i na najbliższy weekend wynająłem pokój z łazienką niedaleko placu Concorde. W piątek wpadłem na Poissoniere do pracowni, aby porwać Kaškę.

- Mamy chatę! - nadałem w locie; ciotka była na obiedzie, wujek trawił.

- Też z Pchlego Targu? - z profesjonalnego nawyku rzucił się na mój kozuch. Obmacywał lico, międlil runo. Opinia wypadła pół na pół: skóry nieźle, wykonanie tandetne.

- ...tylko ci rozbójnicy mogą sprzedawać po takich cenach - wzdychał z zawiścią; towar z przemytu, a i kradzionym nie gardzą, zamiast podatków płacą łapówki policji.

- Konkurencja - roześmiałem się.

- Żadna! - nadał się wuj. - Mój komers ma markę, moi klienci nie chodzą na takie bazy. Ja także tam nie kupuję.

- Szpetnie łiesz! - nietaktownie wtrąciła się Katarzyna

- a te twoje indyjskie rzeźby w salonie to niby skąd?

Przez tr<sup>^</sup> dni pławiliśmy się z Katarzyną w luksusach hotelu pod tytułem Residence Mauroy; moja nieobecność na zapluskwionym i skutym teraz mrozem poddaszu nie uszła uwadze służby wywiadowczej Rogerów, czyli madame Basque. Zagadnęła mnie pr<sup>^</sup> okazji.

- ...odpoczywam od waszych mustików! - i pochwaliłem się, gdzie mieszkam; rozparł się we mnie dorobkiewicz. Hotel mieścił się w eleganckiej dzielnicy, opodal kościoła Madeleine, żabi skok do Champs-Elysee. Niech murena pęknie i powtórzy tyn<sup>^</sup>icykrupom. Nie pękła.

- Wytworna - pochwaliła' - ale ulica ma niedobrą sławę, jest... jest niestateczna - staraimie dobierała słowa, płacząc się w omówieniach; chodziło o to, że było tam gęsto od dziwek, a hotele, chociaż komfortowe, wynajmowano na godziny. Jednym słowem, co krok to lupanar i nie wypada, aby ktoś zatrudniony w szanownej firmie mieszkał i przechwalał się t a k i m adresem.

- Ma tylko jedną -wadę, jest za drogi! — do reszty zgorszyłem murenę.

Moje następne lokalowe szaleństwo było już umiarkowane zarówno pod względem ceny, jak i standardu: hotel Violet. Odkryłem tę wspaniałą dziewiętnastowieczną lan- darę w dziesiątym arrondissement, dożywała swych dni w zaułku przeznaczonym do wyburzenia. Jej salony - zamknięte dla pensjonariuszy - autentyczne wnętrza z epoki, wynajmowałem film. W blasku jupiterów odżywały w niegdysiejszej świetności wszystkie te żardiniery, gery- dony, konsole, pluszem wymoszczone reklamery.

W jeden z takich wieczorów, w przemeblowanej przez film recepcji - olbrzymiej sali olfolonej galerią-odciągnął mnie na bok patron; stary oryginał zawsze ubrany na' czarno i w

czarnym habitu na ^owie.

- Czy pan mieszka, czy pan nie mieszka? - zainteresował się ostrożnie.

- Przecież płacę - bąknąłem, nie rozumiejąc intencji.

- Kto tu mówi o płaceniu. Co ja mam odpowiadać na telefony? - Wyjaśnił, że bez wyraźnego życzenia gościa hotel nie udziela o nim informacji.

To poszukiwał mnie Stelmaszczyk, którego znów nie widziałem od kilku miesięcy. Propozycja była zwięzła, tym razem nie bawił się w zadawanie testów. Chciał, abym mu zrobił suchą pieczęć.

- W metalu - podkreślił. - Warsztat jest przygotowany.

- Upadłeś na głowę? A poza tym stragastyka to nie moja specjalność. I w ogóle zjeżdżaj.

- No to nie ma sprawy! Jesteśmy jeden jeden... Wiem, co r o b i s z u Rogerów, pamiętaj!

- W każdym razie nie fałszuję pieczęci. A teraz spadaj, bo zrobię ci krzywdę, gnido!

Od tamtej pory go nie widziałem, znikł z polskiej kolonii, nie pokazywał się u wspólnych znajomych, potem o nim zapomniałem. Przypomniał mi o sobie w najmniej spodziewanym miejscu w sposób dotkliwy. A gdy go odszukałem, aby obić mu mordę, nie żył.

Nie żył! Nie żyje - wróciłem do rzeczywistości. Leży martwy w tym swoim nowobogackim mieszkaniu, gdzie przed kilkoma godzinami, późnym wieczorem, wywaliłem drzwi. Wywiąłem stamtąd pozostawiając trupa, jakby to było kocie padło. Do diabła! Przecież powinienem zawiadomić przynajmniej pogotowie ratunkowe.

Ale co mam t e r a z zrobić? T e r a z dniało, na rozmyślaniach strawiłem noc.

Zadzwoń do milicji, i co powiem? Taka jedna szuja poległa pod kredensem. Zaczną pytać, wyobraziłem sobie te ws^stkie: - dlaczego? - jakie nieuchronnie zadadzą.

A skąd go znam, a w jakim celu przyszedłem. Właśnie: dlaczego przyszedłem! Przecież tego nie mogę im powiedzieć... Jeśli mi starczyło krzepy, aby wylamać drzwi, to równie dobrze mo^em spuścić mu na łeb tę profilowaną głowicę fałszywej gdańskiej szafy.

Mimo wszystko nie mogę go tak zostawić. Muszę tam wrócić!



Jeśli już go znaleziono, to da się stwierdzić przez telefon, ktoś przecież podniesie słuchawkę. Wtedy tam nie pójdę. Ani przez chwilę nie pomyślałem, że może w tym mieszkaniu znajdować się coś, co ludzi znających się na rzeczy doprowadzi do Katarzyny.

A więc wejść, porozumiem się z pogotowiem milicyjnym, przedstawię się jako klient firmy. Wejść?! A w jaki sposób, przecież nie tak jakwczoraj, przez plot! To znac<sup>^</sup>, najpierw muszę otworzyć tę cholerną furtkę.

Może gdybym był w innym stanie ducha, a przede wszystkim gdybym inaczej zachował się wieczorem, nie zrobiłbym tego ws<sup>^</sup>tkiego, co zrobiłem. Trzeba wylać zamek - pomyślałem o dłutach; w pracowni wsunąłem do kieszeni gradziń, jej spłaszczony i ząbkowany ostrze wydało mi się najstosowniejsze do tego zabiegu.

Powłokłem się na Wróblą, tym razem już nie szukałem taksówki, imikałem świadków, a poza tym miałem dużo czasu, przecierał się dopiero pierws<sup>^</sup> brzask.

Gdy znalazłem się blisko domu Stelmaszczyka, nakręciłem jego numer telefonu. Nadal skuczał tym samym co z wieczora monotonnym sygnałem zajętości.

Przybrnąłem pod furtkę. Zamknięta. Z okna przez szczelinę w nie dociągniętej zasłonie sączyło się światło, blade teraz, bo stłumione jasnością poranka.

Sprzyjały mi okoliczności, ulica była pusta, a zamek 'pr<sup>^</sup> bramce wyskoczył za drugim pr<sup>^</sup> ciśnięciem dłuta. Później, gdy już przyjechali porucznicy, dotkliwie czułem jego ucisk w kieszeni, zwłaszcza podczas pytań o furtkę.

Wszedłem do mieszkania, spojrzałem na zegarek. Do

diabła! minęła dopiero szósta, nie mo<sup>^</sup>em dzwoAić do milicji, przecież o tak wczesnej porze nie przychodzą nawet najbardziej niecierpliwi klienci.

Wyłączyłem telewizor, zapamiętawszy na wszelki wypadek nadawany program, wykład dla technikum rolniczego, i do siódmej stałem nad aparatem telefonicznym, wyczulony na najmniejszy szmer, ale nikt się nie pojawił i nikt nie zadzwonił. Tak przetrwałem najdłuższą go<sup>^</sup>inę w swoim życiu. Wrogom nie życzę.

Potem już się opanowałem i nawet wtedy, gdy porucznicy orzekli, że śmierć Stehnaszc<sup>^</sup>ka to nie wypadek, tylko coś znacznie gorszego, nie ulemem panice. W końcu to nie ja spuściłem mu na łeb tę szafę, lecz już nie jno<sup>^</sup>em się wycofać i brnąłem dalej. Aporucznicy byli młodzi, naładowani teorią i raczej początkujący w fachu, do tego ambitni i pełni zapału. Nie pragnąłem służyć im za obiekt ćwiczeń zawodowych, chociaż ujawnienie zabójcy stało się dla mnie sprawą pierwszorzędną, w przeciwnym razie przewidywałem dla siebie ciężkie kłopoty.

Oni już na samym początku odnotowali mój wzrost, siłę fi<sup>^</sup>czną i zgrabnie zaczęli mnie przymierzać do jednej ze swoich wersji dotyczących okoliczności zdarzenia.

- Pan nie był zapisany w terminarzu - bystro zauważył starszy stopniern, pełen porucznik, Krzysztof Załęski.

- Nie moje zmartwienie — zbagatelizowałem; zaczynałem pojmować, że takich szczegółów uzbierają więcej, i nie omyliłem się.

- Wszyscy klienci byli zapisywani!

- Widocznie mego nazwiska nie odnotował - nic innego nie umialem na poczekaniu wymyślić; zresztą skąd mają pewność, że tylko mnie nie zarejestrował.

- Dlaczego pan przyszedł właśnie do tego przedsiębiorcy? - dziwił się drugi niekompletny porucznik, nazywany Bejem. - Przecież mieszka pan w innej dzielnicy, dość odległej od Służewca.

4-Demon...

97

- Przeciąłem anons w gazecie - przypomniałem sobie w czas kolumny z ogłoszeniami; motywacja wydała mi się dobra, lecz jeśli Stelmaszczyk nie reklamował się w prasie, podłożyłem się szkaradnie. Na razie jednak było to wyjaśnienie zadowalające.

- I od razu wybrał pan tę firmę? - próbował mnie Bej, chociaż

wyraźnie stracił rozbieg.

- Od razu - przyznałem; przez uchylone drzwi kantoru, bo tam toczyła się nasza rozmowa, widziałem, jak pomocnicy poruczników deliberowali nad zeschniętymi grudami błota na dywanie w hallu. Pomyślałem, że mogłem je wczoraj wnieść na sabotach, bo zanim dojrzałem na Wróblą, utaplałem się w glinie i powściągnąłem nagłą chęć przyjrzenia się swoim drewniakom.

Tylko spokojnie, przecież dzisiaj także przechodziłem przez hall, weszli też obaj porucznicy i ich świta, a breja na ulicy taka sama jak wczoraj.

III

Nagła wichura przygięła nadbrzeżne drzewa, spadła na rzekę i pognała przeciw nurtowi białe grzywacze. Zakręciła płynącą z prądem płaskodenną łódką, fala zawróciła ją bokiem, kipiel przelała się przez niską, wygiętą ku dziobowi burtę. Dopiero wtedy poruszyła się leżąca na dnie derka!

Człowiek!

Spod miękkiej płachty niemrawo, jakby nie mógł się od niej uwolnić, pełznął mężczyzna. Przetoczył się pod nawietrzną i chwyciwszy krawędź dźwignął się na rękach, ale zaraz opadł z powrotem - czółno nabierało wodę.

Wyniesiony na wysokiej skarpie panuje dwóm rzekom.

• Nowogród; zatulona lasem, uchodzi do Narwi Pisa. U stóp stromizny, na ostatnim uskoku, chroniącym przed kaprysmi rzeki, stoi skansen; rozsiadły się wiekowe kurpiowskie chaty z bierwion, budowane na zrąb, bez jednego gwoźdźca, z kalenicami i okapami rzezanymi w koronki, ule w kształcie figur ciosane, zdobione polichromią, gontem kryte dachy, studnie cembrowane okrągłakami, pr^ nich wysmukłe żurawie.

Wkomponowane w pejzaż zabudowania nie sprawiają wrażenia muzeum, są częścią miasteczka pnącego się po zboczu, przydają mu urody, w zamian czerpią życie.

Pod skansenem łąka oddana w pacht wszelkiej kondycji wodnym włóczegom. Przy brzegu cumują żaglówki, ławice kajaków, najróżniejsze kipy.

Wróciła motorówka. Z pokładu zniesiono bezwładnego mężczyznę. Spalony na brąz, z twarzą pokrytą szczecią kruczego zarostu, mocnozbudowanymłodyolbrzymleciał przez ręce. Na holu miało się jego wpółzatopione czółno.

- Żyje? - otoczyła ich gromadka zatroskanych nagusów.

- Nieście go do nas! - rozkazał siwy człowiek, opiekun

skansenu, kustosz i przewodnik w jeciej osobie. Właśnie zeszedł ze swego wzgórza zaciekawiony wypadkiem.

Pośpieszył przodem i szeroko otworzył przed nimi drzwi niskiej izby z belkowaną powałą. Wskazał drewniane, malowane łoże, narzucił na wyłowionego z rzeki eksponat kultury materialnej Kurpiów, c<sup>^</sup>li pierzynę w haftowanym obleczeniu.

Za oknem horyzont zaciągnęła atramentowa chmura, grzmiało czoło biu-zy. Zaszumiała ulewa, przepełniła rynnę nad wystającym okapem, małe szybki rozświetlił oślepiająco biały Hysk i niemal równocześnie bliski grom przetoczył się nad chatą.

- Nad młynem! - kustosz zakreślił pierś szerokim krzyżem.

- Gdzie jestem?! - poderwał się czeirnowłosy olbrzym, ramieniem osłonił głowę.

- Przelękniony - współczuł kustosz. - Ot, żywiół sroży się, ale u nas bezpiecznie, na każdym budynku odgromnik. W młyn strzeliło i nic... Nie bój się - uspokajająco położył mu dłoń na zmierzwionych włosach i zaraz cofnął rękę. - Człowieku! Toż u ciebie dziura w głowie! Tobie doktora trzeba.

Mężczyzna nie odpowiedział, jakby nie do niego mówiono, niespokojnym spojrzeniem' wodził po ścianach. Ludziom przycupniętym na ławie zrobiło się nieswojo. Było coś nienaturalnego w wyrazie jego brązowych oczu.

Kustosz przyniósł opatrunek, tamten biernie poddał się zabiegom.

- Nie przymierzając, grzywa jak u konia - mruzczał stary, wystrugając pasma włosów wokół rany - ot lekkomyślność...

- Pewno uderzył się o burtę - ktoś podał rannemu płaską blaszaną butelkę w płóciennym pokrowcu. - Łyk- ruj, dobrze ci zrobi, bo wyglądasz jak nie z tego świata!

Tamten pociągnął łyk, skrzywił się, zmarszczył czoło.

- Jaki mamy rok?^ - zapytał zwracając manierkę.

- Z księżycy spadłeś, człowieku?! - parsknęła sternik motorówki, któiy wyratował znajdka.

- Nie szyderuj! - strofował sternika kustosz. - Na ciemieniu rana u niego jak loch, musi jemu pćimieć odjęło.

Opinię sędziwego Kurpia podzielił lekarz. Kontuzja głowy spowodowała daleko posuniętą amnezję. Kości czaszki nie naruszone, stwierdził to rentgen, ale szeroko rozlane obrzmienie i poszarpana skóra wskazywały na bardzo silną kontuzję.

Diagnoza: wstrząs mózgu.

Przez otwarte okno ośrodka zdrowia zajrzał sierżant z posterunku. Oparł rower o ścianę i wszedł do gabinetu zabiegowego. Zdjął czapkę i otarł czoło z odciśniętą czerwoną prądą po otoku. Po niedawnej burzy tu na szczycie olbrzymiej skarpy panował bezwietrzny, duszny upał.

- Jak ty się nazywasz, c:downieku? - zafrasowany prąd głądał się wyciągniętemu na leżance mężczyźnie; wiadomość o lekkomyślnym żeglarzu, który stracił pamięć, obiegła i zawadziła o posterunek, zaraz gdy tylko przewaliła się nawałnica.

- Człowiek - bez namysłu powtórzył olbrzym.

- Przecież to nie nazwisko!

Tamten milczał.

- Pierwszą łyszę, żeby ze wstrząsu mózgu człowiek zapomniał, skąd się wziął - sierżant sceptycznie odniósł się do orzeczenia lekarza.

- Potrzebne są badania encefalograficzne, ale to dopiero w Łomży. Natomiast wygląd dna oka, reakcja na światło, głos, test psychofizyczny, zbomość ruchów, postrzeganie, refleks wreszcie wskazują na słony uraz - tłumaczył doktor, lecz nie powiedział, że w swojej zresztą nie najdłuższej praktyce nigdy jeszcze nie zetknął się z przypadkiem amnezji. Znał ją tylko z wykładów na Akademii.

- A może on udaje? - doszło do głosu milicyjne skrzywienie zawodowe.

- Dlaczego miałby udawać? - obruszył się lekarz. - Oprócz kontuzji, musiał przeżyć wstrząs psychiczny - przytoczył spostrzeżenia kustosa: przerażenie i obronny gest rąk młodego mężczyzny, gdy w pobliżu skansenu uderzył piorun.

- Proszę powiedzieć - zwrócił się do pacjenta - co pan zapamiętał.

Tamten natychmiast zareagował, usiadł, odrzucił od siebie prześcieradło. \*■

- Nic sobie nie przypominam - niespokojnie biegające oczy, nerwowe ruchy dłoni.

- Spokojnie, proszę się położyć! Pytam, co pan z a p a - m i ę t a l? - skandował doktor. - No, przecież już mi pan trochę mówił.

Znajdek znów poderwał się ze skwapliwą gotowością, pozewował na milicjanta. - Biała jasność i huk, nie wiem, może tylko w mojej głowie... Wielki ogień, pożar! Blask odbijał się

czarnej wodzie, potem ciemność... Nie, nic nie pamiętam! - gest zniechęcenia. - Sierżant znów powie, że zmyślam.

- To doktor pana pyta, nie ja - zdystansował się sierżant.

- Proszę mówić - łagodnie nalegał lekarz.

- Bertrand de Bom, trubadur prowansalski... - niepewnie jąkał znajdek; podejrzliwie przenosił wzrok z mężczyzny w bieli na mężczyznę w mimdurze. Nie przerywali mu, więc po chwili namysłu dodał: - to postać z Dantego.

- Znac<sup>^</sup> się literacka - upewnił się sierżant. - No i cóż on, ten de Bom, robił na Narwi, a?

- To nie był on, tylko też głowa oddzielnie, a twarz... bez nosa, pozbawiona warg, upiorna, ożywiona czaszka bez korpusu. Wychylała się ku mnie z czamej pustki...

- I co pan na to, sierżancie? - lekarz wzrus<sup>^</sup>ł ramionami.

- Nie moja kompetencja, sprawa dla proboszcza!

- Co było dalej?

- Majak zniknął... monotonny szum, kołysanie, niepa-mieć. Oprzytomniałem zalewany falą, lecz czułem się słaby, każdy ruch stanowił wysiłek. Dopiero wtedy zorientowałem się, że płynę łódką zatapianą przez szkwał, bez wiosła, nie miałem nawet tyczki... Umieć pływać, lecz bałem się tych kilkudziesięciu metrów dzielących mnie od brzegu. Wtedy zobaczyłem śpieszącą mi na pomoc motorówkę.

Doktor zarejestrował zmiany w reakcjach pacjenta, a także w jego sformułowaniach. W pierwszej rozmowie z trudem składał strzępki myśli, mozolnie odnajdywał •

właściwe słowo, nieporadnie budował proste zdania. Teraz mówił płynnie, swobodnymi okresami, jak człowiek dysponujący bogatym zasobem pojęć.

- Zna się pan na łodziach? - podchwycił sierżant.

- Birema rzymska, karaka hiszpańska, kliper holenderski, galar... -s<sup>^</sup>bko wymienił różne lypy statków, cies<sup>^</sup>ła go melodyka nazw, a najbardziej falrt, że rozumie ich znaczenie. - Rambler... - przerwał nagle.

Siarżant nie przypisywał większego znaczenia ramble- rowi niż biremie czy karace, tylko pilnie obserwował go spod oka. Znajdek przyłapał go na tym sondażu, umilkł, skurc<sup>^</sup>ł się pod wpływem nagłej udręki. Lecz zaraz przeskok myślowy w imię dziedzinę. Jednym tchem wyliczył tytuły książek, sztuk teatralnych, autorów i kolejny zwrot; feótki wywód o gemmologii i właściwościach szlachetnych kruszców, znów wolta: recytował

fragment pro<sup>^</sup>,

- ...pogwajdlić, pokierdasić... - bawił się brzmieniem słów.

- Co to za plugastwo? - nieufnie zjeżył się sierżant, podejrzewając zakusy na swój autorytet.

- To z „Szewców” Witkiewicza - rozpromienił się tamten. -

Niezupełnie zniszczyło mi pamięć, prawda, doktorze?

- Oczywiście nie, niebawem ws<sup>^</sup>tko pan sobie pr<sup>^</sup>-  
pomni — pocies<sup>^</sup>ł go lekarz.

- No to niech się wysili i nazwisko przypomni - namawiał sierżant.

- Nie mogę - pr<sup>^</sup>gasł znajdek.

- Ot tobie i masz! A jedyny pana dokument to metka na majtkach z napisem: Paris! Pan będziesz sobie pogwajdlał i kierdasił, a ja muszę pańskiej tożsamości w taki upał dochodzić. A przecież każdy obywatel ma obowiązek posiadania przy sobie dowodu osobistego lub innego ważnego dokumentu, obojętne ląd c<sup>^</sup> woda! Apan co, osobnik podejrzany!

- Paryż?! — z całej przemowy sierżanta znajdka poruszyła tylko nazwa miasta. ...Residence Mauroy, Violet na rue du Faubourg Poissoniere... Tak się nazywały hotele, w których mieszkałem! - pochwalił się uradowany z tego odkrycia.

- A gdzie pan mieszkał tu, nad Narwią! zanim pan dzisiaj na rzekę wypłynął, ze wszystkim bez niczego. Łaska, że chociaż w majtki pan się ubrał i przyrodzeniem nie świecił!

- Nie wiem.

- Nie mógł to zapomnieć Wiolety z Płasoniery, a zapamiętać na ten przyMad swój stały meldunek? Przeciwna naturze taka niedomoga... Kim pan jest z zawodu, jubiler, chemik, fizyk?

- Skąd takie przypuszczenia? - zdziwił się znajdek.

- Przed chwilą trzepał pan jak kantyczkę: platyna topi się w temperaturze **1773,5°** Celsjusza, ółów topi się przy **327°**. Platyna rozpuszcza się w roztopionym ołowiu i tak dalej. Wiernie powtórzyłem za panem, doktor świadkiem.

- To wiedza encyklopedyczna - wzruszył ramionami znajdek.

- Letnikuje pan tu gdzieś w pobliżu - dociekał sierżant.

- Rano wziął pan łódkę gospodarza, pewno na ryby...

- Nie łowię ryb i nie poluję! - energicznie zaprotestował znajdek. - Z mordowania robić sport to haniebne!

- Dla pr^emności pan sobie popłynął? Niech będzie. Z prądem pan łódkę puścił powolutku, niechprąd pracuje, po co samemu wiosłem robić, jak pośpiechu nie ma. Słoneczko przygrzewa, legł pan sobie w krypie, pewno przysnął! A mówi się i ostrzega - głos sierżanta spotęźniał, nabrał urzędowej tonacji - na Narwi wiatr ziywa się nagle i przez to zdradliwa'to rzeka. Miejscowym mówić nie trzeba, od kolebki wiedzą, a do przyjezdnych to i śliny szkoda. I pan też ani się obejrzał, jak wiosło mu zmyło, a krypa w kipieli wodę bierze... Mó^ się pan przewrócić i ^owę rozbić, bo dno w onej ósliźle, sprawdziłem. Ale brakuje tu miejsca na pożar od pioruna.

- To może być dawniejsze przeżycie, które nałożyło się pod wpływem szoku - interweniow^ doktor.

- I tak mi nie pasuje - biedził się sierżant. - Turyści z brzegu już z daleka widzieli dryfującą łódkę. Nie mógł on wypłynąć z Pisy, bo w jej ujściu woda ostro kręci i wir by jego w szuwały wcisnął. Więc z całą pewnością płynął. \ z górnego biegu Narwi. Ale świadkom łódką wydała się pusta. Ot, z cumy się zerwała i



prąd niesie. Dopiero jak ją wichura obróciła, dostrzegli c:dowieka. Z tego wynika, że pan już bez pamięci leżał, może omdlał, a może świadomość obudziła się dopiero pod wpływem niebezpieczeństwa... Broda u pana gęsta, ale pod zarostem opalenizna. Dawno ją pan hoduje?

- Nie wiem.

- Ta broda mnie na tr^dniową wygląda - ocenił sierżant. - Jeśli jej pan specjalnie nie zapaścił, to coś panu przeszkodziło się golić od tych paru dni... Może wtedy widział pan ten pożar, może kontuzjował pana piorun? Tylko znowu niemożliwe, żeby łódka dryfowała przez taki czas i nurt jej nie wyniósł do brzegu, a i ludzie by zobaczyli, przecież tu nie pustynia.

Przed ośrodkiem zahamowała karetka pogotowia z Łomży, wes:da młodziutka lekarka z sanitariuszami. Za nimi śpies^ł zgrzany kapral z niemłodym mężczyzną.

- Pacjent nie unieruchomiony? - zgors^ła się przejęta stażystka; pierws^ raz w życiu widziała faceta z amnezją. Pytanie pozostało bez odpowiedzi, miejscowy lekarz w milczeniu podał jej kartę z opisem badania i swoimi spostrzeżeniami.

- Znalazł się właściciel łódki, obywatel Zarudźki - zameldował kapral.

Sierżant po stwierdzeniu, że łódka jest chłopska - cz^- na takiego kształtu ma niemal każde gospodarstwo nad Narwią od Tykocina do Pułtusza - i wypyтaniu świadków, z jakiego kierunku płynęła, telefonicznie przekazał wiadomość pobliskim posterunkom milicji w górnym biegu rzeki. Zaraz w pierwszej wsi, położonej o pięć kilometrów od Nowogrodu, natrafiono na mieszkańca, któremu zginęło czółno. A gdy je zobac^ł na pr^tani pod skansenem, bez żadnych wątpliwości rozpoznał swoją własność. Także do niego należała derka, utkana w pasy ze skrawków gałga- nów na lnianej osnowie.

-... zrazu pomyślałem, sama się urwała, ale patrzę, szmaciaka też nie ma, a na żerdzi wiszący zostawiony był.

Kiedy zauważył brak łódki? Mo^a być dziesiąta, jak z pola na śniadanie wpadł, bo gdy z rana tylko rosa wyschła, zboże do stodoły zwoził. Żniwa przecież, kłosa dostały, a miejscami już sypać się zaczyna. Lipiec kapryśny, słońce pali, a zaraz deszcz moc^.

-... a dzisiaj to osobliwie na nic innego czasu nie miałem, burza wisiała w powietrzu, choć do południa na niebie ani chmurki, ale od rana świerszcze nie grały, kaczkę ospałe, a i

rybitwy wyraźnie na trwogę skwir<sup>^</sup>ły...

- zamilkł speszony odbiegnięciem od tematu; nie, nawet się nie domyśla, kiedy łódka mo<sup>^</sup>a zginąć. Od strony rzeki ma gumno i, jak już wyjaśnił, był z całą rodziną w polu, orne ziemie mają po swojej stronie na wysokim brzegu, za rzeką tylko łąki, a na koszenie potrawu jeszcze czas.

Nie, nie zna brodatego olbrzymia w kąpielówkach, pierws<sup>^</sup> raz go widzi - stwierdził, uważnie obejrzawszy delikwenta.

-Może i ukradłem pańską łódkę - zgodził się znajdek. - Tylko skąd się wziąłem w Zarudziu. Nie było u was pożaru od pioruna?

-Od powietrza, głodu, ognia i wojny... - najpierw zniweczył złe słowo Zarudzki. - Nie było. Bóg uchronił!

-A może ty, bracie, przesiadłeś się z innej łódki, albo...

- sierżant nie dokońc<sup>^</sup>ł, tylko zwrócił się do stażystki. - 106 Pani doktor, ja onego do Łomży rzeką zawiozę, znac<sup>^</sup> się, naszą motorówką.

- Wykluczone - odmówiła dziewczyna. - Pacjentowi potrzebny jest bezwzględny spokój.

Taki obraz wydarzeń uzyskałem od bezpośrednich świadków: kustosza skansenu, lekarza i milicji w Nowogrodzie. Były w tych relacjach szczegóły, a nawet koloryt, jakich próżno by szukać w suchych, zwięzłych protokołach dotyczących wypadku, w następstwie którego Adam Zapala uległ okresowej amnezji.

Wydawało mi się, że to dziwne zajście, chociaż działo się o sto pięćdziesiąt kilometrów od Warszawy i na kilka dni przed morderstwem w domu pr<sup>^</sup> ulicy Wróblej, miało jakiś związek właśnie z tym morderstwem.

Zanim nie dowiedziałem się o niebezpiecznej pr<sup>^</sup>go- dzie plastyka, od spotkania na miejscu zabójstwa nie zajmowałem się jego osobą, zwłaszcza po zniknięciu Gerarda de Villefort. Gdyby nie francuski paszport, pozostały po nim, można by sądzić, że człowiek podający się za pehiomocnika koncernu samochodowego nigdy nie istniał.

Zawzięliśmy się z Bejem na tego figielmana; z hotelowej obsługi wycisnąłem wszelkie możliwe informacje: Gerard de Villefort urzędował z hostessą mieszkającą po sąsiedzku. Przez dziesięć dni kłębili się w jego apartamencie interesanci, fałszywy plenipotent zajmował się akwizycją samochodów firmy Berliet.

Obiegliliśmy ministerstwa i centralne zarządy - nie, na tym terenie nie dał się poznać, rukt o takim nazwisku nie oferował wozów Berlieta. Przepuszczalnie, podobnie jak w przypadku

rodowych sreber domu Zamoyskich, ofiarą padły, lub jeszcze nie zdążyły paść, osoby prywatne.

Fotografia dżentelmena z paszportu nie dała się dopasować do żadnej twar^ znanego zawodowca z nas^ch dossier, nazwisko i rysopis sekretarki też nic nam nie

powiedziały. Zameldowania o wyłudzeniach jak na razie nie wjdynęły.

Zrezygnowałem. Wściekły i upokorzony przekazałem materiał kolegom, zajmującym się oszustwami. Ostatecznie to nie moja dziedzina. Tym odwołaniem się do kompetencji sam przed sobą ratowałem miarż.

Trawiać dni na uganianiu za hochsztaplerem, zaniedbałem, ba! nie wypracowałem żadnej koncepcji w sprawie zabójstwa Stelmaszczyka.

- Jak kot jednej dziury pilnował, to zdechl - sentencjonalnie skwitował moje niepowodzenia pułkownik.

Nie udało się wyjaśnić, co łączyło Villeforta z przedsiębiorcą. Prawdopodobnie oszust naciągnął Stelmaszc^ka, lecz dla śledztwa nieobojętny był przedmiot szalbierstwa. Czy stawką w grze stała się sprzedaż nie istniejącego samochodu francuskiej firmy, czy s r e b e r , z których jedyną fotografię, przedstawiającą kafetierę z hebanowym uszkiem, znalazłem w jego portfelu. I jaki związek ma to sztucznie postarzone zdjęcie z fotografiami sreber podka- nclerskich z albumu Stelmaszczyka.

Z jakiego powodu Stelmaszczyk wypuścił na hochsztaplera swoich zaufanych ludzi, Mun^ia i tego drugiego, którego niestety nie udało się zidentyfikować. O identyfikacji wozu już lepiej nie wspominać.

- Dostaliście lekcję, moje wy pistolety. Może jednak coś z was będzie w przyszłości - wyraził nadzieję szef, gdy już nas solidnie przetrzepał.

- Przegrałeś rundę z pitekantropem - zgębił mnie do reszty Bej, bo to szefowskie trzepanie odbyło się po tym, gdy obserwacja Mundzia nie przyniosła żadnych rezul- tatów-

Jeśli dochodzenie toczy się gładko, to oczywiście nam, jeśli kiepsko, to tylko mnie. Jest to jedna z przywar mego kolegi, dobrze chociaż, że swoje opinie wypowiada jedynie w cztery oc^.

Wróciłem do punktu wyjścia. Znów całe światło skupiłem na osobie Stelmaszczyka; urodzony w Wilanowie, w chwili śmierci miał lat pięćdziesiąt jeden, ukońc^ł zasadniczą szkołę metalowców, gdy liczył lat osiemnaście.

- Cztery klasy i przedszkole, potem wykładał na poli-technice... klepkę — podsumował Bej.

Od dziesięciu lat prowadził swoją firmę, rozwinął ją, powiększył. Co robił przedtem? Dotarliśmy do jedenastu różnych zakładów, w których swego czasu ten człowiek pracował. Bej

wyprowadził średnią. Wypadło po dwa lata na każdy. I to nie były jeszcze wszystkie, ale pozostałe ^nęły w mrokach niepamięci.

- Trzeba dążyć dalej - nie ustępowałem.

- Nie jestem kornik! - buntował się Bej.

Czy miał przyjaciół? Nie znaleźliśmy nikogo mieniającego się jego przyjacielem.

Kobiety? - nie trafiliśmy do żadnej bliskiej mu kobiety. Bej podejrzewał Iwonę Biedroniównę, ale ona mówiła jedynie o służbowych związkach ze Stelmaszczykiem. Nikt i nic nie wskazywało na jej osobiste zaangażowanie wobec szefa. Nawet Melania Kazimierzak, ta dochodząca kiedyś sprzątaczką, nie lubiąca Iwony, mówiła o niej tylko jako o sekretarce.

Znajomi? - bardzo liczni i liczni krewni, z którymi nie utrzymywał żadnych więzi. Rodzina niechętna mu, bo od kiedy Stelmaszczykowi zaczęło się dobrze powodzić, przestał ich znać. Miał się za kogoś lepszego, nie odpowiadali mu towarzysko, byli prości i niezamożni. Teraz zbiegli się jak kruki, aby rozedrzeć spadek. Walczyli między sobą bez pardonu, nachodzili mnie, skarżyli na siebie, nasyłali adwokatów.

Przewinęła się przed nami plejada różnych ludzi - nic istotnego do sprawy nie wnieśli.

Wśród przedmiotów znalezionych w domu na Wróblej bardzo dużą wartość przedstawiał zbiór znaczków pocztowych. W przeciwieństwie do fotografii dzieł sztuki, nagromadzonych chaotycznie, bez żadnej myśli przewodniej, kolekcja filatelistyczna tworzyła kompozycję jasną i klarowną, znaczki prezentowały tylko dzieła sztuki; malarstwo, naczynia, rzeźbę. Pedantycznie uporządkowane, podzielone na sekcje; malarstwo świeckie i sakralne, przedmioty'kunsztu złotniczego świeckie i służące kultowi, to samo rzeźba. Ws^tko według układu chronologicznego, epok i stylów.

Nieodparcie nasuwała się refleksja, ten człowiek poprzez swoje filatelistyczne zamiłowania, przez lata gromadząc te najmniejsze reprodukcje arcydzieł, rozsmakował się s z t u c e !

-Koneser! Z braku środków na wielkie dzieła zbierał ich fotografie - roześmiał się Bej.

-Większość z nich w ogóle nie jest do kupienia.

Z podpisów pod zdjęciami wynikało, że eksponowane na nich przedmioty znajdują się w kościołach, muzeach i tylko niektóre w zbiorach prywatnych.

-Można próbować wyłudzić - Bej szukał w tym wszystkim miejsca dla oszusta; jego osoba, przez tę odbitkę z widniejącą na niej kafetierą, odbitkę ze starymi brzegami, noszoną w portfelu niczym podobizna bliskiej osoby, do reszty zaciemniała cel dość niezwyklej dziedziny kolekcjonerstwa, uprawianej przez posadzkarza z ulicy Wróblej.

Ze wszystkich fotografii sreber podkanclerskich nasze laboratorium wykonało powiększenia i poddało je badaniom porównawczym. *Przy* pomocy mikroskopowego rozbioru właściwości ornamentu i charakterystycznych cech rytów stwierdzono, że przedstawiają one dwa komplety różnych, chociaż na oko takich samych przedmiotów.

Grupa fotografii z ciemnym drzewem w tle, do której należały;

odbitki z akt sprawy Kownackiego, sztucznie postarzone, 110 zdjęcie kafetierki należące do Villeforta, także poddane krakelurze,

czterdzieści osiem fotografii, jeden zestaw z albumu Stelmaszczyka, nie postarzony.

Na wszystkich była ta sama zastawa stołowa zdobiona wzorem rocaille.

Natomiast czterdzieści osiem kadrów z albumu Stelmaszczyka, z udrapowaną tkaniną w tle, prezentowało wprowadzicie ludzko podobne, lecz inne naczynia.

- To zdjęcia dwóch odmiennych zastaw stołowych - brzmiało orzeczenie biegłych.

- Oryginał i kopia! - narzucało się przypuszczenie. - Ale który jest który?

Tak jednoznacznej odpowiedzi nie uzyskam od naszych ekspertów, nawet gdybym przywiózł eksponaty. Wskażę najwyżej, do jakich fotografii posłużyły jako modele. Autentyczność oryginału to sprawa historyków sztuki. Ocie - wiście zwrócę się do nich, jeśli wyniknie taka potrzeba. Na razie wysłałem do Brożan naszego fotografa, jego zdjęcia będą punktem odniesienia, i nie tylko.

- Przekopij wszystkie fotografie, jakie ma kustoszka, od pierwszych kadrów zrobionych podczas inauguracji muzeum, aż po najświeższe.

Dopiero teraz ponownie zająłem się Adamem Zapałą.

I nie dlatego, że obdarzony atletyczną siłą plastik wyglądał na człowieka, który mógłby wyrwać zamek, wyłamać drzwi, nawet

gołymi rękoma skrócić kark Stelmaszc<sup>ko</sup>-wi, a potem przygnieść go ciężkim elementem szafy. Nie podejrzewałem go o morderstwo. Nie pasowało do niego.

I tylko tyle.

Lecz w śledztwie liczą się jedynie fakty. A fakty? Otóż to! Adam kłamał.

Nie mógł trafić na Wróblą przez ogłoszenie w gazecie, ponieważ tego dnia, w którym rzekomo je przeczytał, reklamowy anons firmy nie był drukowany.

Stelmaszczyk nie miał zwyczaju tłumac<sup>ć</sup> trudności przerobowych urlopami pracowniczymi, albowiem cały personel otrzymywał je jednocześnie. Także nie miał powodu zamawiać do siebie Adama, skoro na cztery tygodnie naprzód grafik robót był zapełniony.

To rażące mijanie się z prawdą, także rodzaj pracy zawodowej Adama, fotografie imikalnej kolekcji znalezione u zamordowanego człowieka, do którego nie wiadomo po co przyszedł o siódmej rano, i dziewczyna plastyka, historyk sztuki, pilnie zajmująca się tymi srebrami, zdecydowały, że do sprawdzeń elementarnych, dotyczących Stelmaszczyka i innych osób z jego otoczenia, włączyłem nazwisko Adama.

Już po kilku dniach Bej dostarczył pierwsze informacje.

-Dwa lata temu Zapala blisko rok przebywał w Paryżu.

Terminował w firmie Roger Sauvi<sup>Ue</sup> i Roger Cerdan. To firma złotnicza!

-Przez kogo tam trafił?

-Nie wiem. Wyjechał zaraz po studiach, ale to jeszcze nie wszystko! W tym samym czasie, rozumiesz, w tym samym czasie był w Paryżu Stelmaszczyk!

-Na pewno w Paryżu?

-Wyjechał tuistycznie do Francji. Wizę dostał na tydzień, wrócił po kilku miesiącach. A Francja to przede wszystkim Paryż.

-Może dla ciebie.

-Zamknij się, byłbyś tam jako zbłąkane jagnię bez porucznika Oskierko! -Bej znał język francuski i niemiecki, ja przyzwoicie żadnego, stąd ta aluzja. A poza tym rozpierały go zdobyte wiadomości. Na ogół zawsze był z siebie rad, ale w chwilach, gdy był szczególnie rad, mówił o sobie per porucznik Oskierko.

-Możesz przestać się chwalić?

- Nie mogę, taką mam naturę... W tym samym czasie, na zaproszenie krewnych, bawiła w Paizju parma Kasia 112 Polewicz. Studiowała francuski w Alliance Française. Taka edukowana! Moim zdaniem tę chałturę załatwili Adamowi jej krewni.

- Pamiętasz, on wspominał o jakimś zatargu z milicjantem. Gadał coś o fałszywym doniesieniu - przypomniałem Bejowi.

- I tak trzeba go sprawdzić w centralnym banku informacji, chociaż oni takiej drobnicy nie prowadzą.

Poszedłem tam jednak gwoli zasady; teoretycznie ten katalog powinien zawierać wszystkie nazwiska osób występujących w sprawach karnych na terenie kraju.

- Aktualne dane na czerwiec. Mamy opóźnienia - lojalnie uprzedziła mnie szefowa babińca; w banku pracują same kobiety. Są dokładniejsze, cierpliwsze i bardziej odporne niż mężczyźni na znużenie czynnościami mechanicznymi. Jakie by nie były źródła tego zjawiska, nie znam nikogo z kolegów, kto chciałby tu pracować.

Wyraziłem niezadowolenie, a już zupełnie niepotrzebnie pozwoliłem sobie na opinię z powodu takiego stanu rzecz<sup>^</sup>. Zaraz mi się dostało.

- Chętnie odstąpię panu, poruczniku, swpje miejsce - gestem Junony wskazała obrotowy fotel.

Wolałbym kamienie na szosie tłuc, przyszło mi na myśl określenie z rodzinnego leksykonu, niż pracować w tym dwuzmianowym młynie z nocnymi dyżurami.

Nie powiedziałem już ani słowa. Ale szefowa rozbrzę- czała się jak telegraf; o niewolnictwie współczesnej kobiety, jedynym pariasie, jaki pozostał po wyzwoleniu ludów trzeciego świata, ponurej znowie mężczyzn, samców wyzyskiwać<sup>^</sup> - waliła sloganami żywcem ściągniętymi z Women's Liberation.

Potulnie przeczekałem, z bankiem jeszcze nikt nie wygrał.

- Sprawdź od ręki - poleciała wreszcie szefowa ładnej, modnie przyodzianej pariasce.



- Za... Zap... Zapa... - z niewiarygodną zręcznością elegancka niewolnica tasowała stertę kart ułożonych już według głębokiego alfabetu; to był ten zaległy furaz dla maszyny, klasyfikującej informacje.
- Zapala Adam, urodzony... Ten? - Potwierdziłem. - Ofiara i;apadu...
- Ofiara napadu! - uznałem to za niemożliwe; nareszcie jakaś omyłka w tym bezbłędnym matriarchacie, pomyślałem z małodusznym zadowoleniem. Wydawało mi się nie-prawdopodobne, aby ktoś ośmielił się zaatakować tego olbrzyma z mięśniami Atlasa.
- N a p a d u - wyskandowała. - Zgłoszenie z Goniądza, dokąd sprawę przekazano z Nowogrodu, województwo łomżyńskie - uzupełniła.
- Poprosiłem plastyka na rozmowę, jak tylko wrócił z Brożan.
- Nie znalazł pan innego cykliniarza? - zapytałem.
- Badał pan podłogi w moim domu? Powinszować!
- Pr^ okazji. Chciałem się z panem zobac^ć.
- Przestras^ł pan moją matkę.
- Udawałem pańskiego kolegę.
- To jeszcze nieładnie].
- Interesują pana brożańskie srebra? - nie miałem zamiaru tłumaczyć się przed nim.
- Powiedzmy. Ja nie tylko interesuję się srebami, ja w tym r o b i ę . Często naśladuję stare techniki. Czy z tego wynika, że zabiłem cykliniarza?
- Tego panu nie zarzucam.
- To z jakiego powodu nachodzi pan mój dom, przesłuchuje i jeździ za mną po Polsce? - Czy naprawdę sądził, że za nim pojechałem do Brożan?
- Pani Polewicz niewątpliwie powiedziała panu, dlaczego zajmuję się kolekcją sreber - podkreśliłem; na pewno Katarzyna przekazała mu treść naszej rozmowy. Ani jej, ani kustoszki nie zobowiązywałem do dyskrecji.
- Proszę nie mieszać do moich spraw pani Polewicz - obrus^ł się.
- Nie mieszam. Stwierdzam fakt. Interesują ją srebra, które wprawdzie z imiych względów ciekawią także i mnie.
- Pr^czyny jej zainteresowań jasno zostały wyłożone w liście polecającym profesora Kubery - strzelił we mnie wybitnym

jak tarczą. — A powody milicji mnie nie obchodzą!

- Bardzo żałuję. Lic<sup>^</sup>łem na pańską pomoc.

- W czym? -złagodniał; podsiąłem mu album Stelmaszczyka, otworzyłem na fotografiach sreber podkanclerskich. Pr<sup>^</sup>glądał im się przez chwilę.

- Przecież był pan w Brożanach, na cóż tu moja opinia?

- Proszę, niech pan przejr<sup>^</sup> całość.

- Przypadkowa zbieranina... - pomrukiwał przewracając kartki albumu.

Nie widział ich nigdy dotychczas, nie domyśla się, do kogo należały, c<sup>^</sup> tak dobrze udaje — zastanawiałem się.

Jedno zdjęcie bardziej zwróciło jego uwagę niż wszystkie imie, tak mi się przynajmniej wydało. Zapamiętałem je. Prezentowało kielich rytowany w ornament zoomorficzny, krawędź i podstawę zdobity szlaki z elipsoidalnych kamieni.

Przewrócił stronę, nachylił się nad kolejnym kadrem.

- Te rzeczy robimy dla Zamku! - powiedział na widok fotografii naczyń o obłych kształtach, pokrytych kapryśną arabską delikatnego rysunku.

Przeczytał napis pod nimi: Zamek Królewski w Warszawie, srebrna zastawa do herbaty z siedemnastego wieku, zaginiona podczas wojny.

- Sądziłem, że skupuje się odpowiednie antyki, ale nie wiedziałem o odtwarzaniu nie istniejących.

- Pozostał ślad przedmiotów, których już nie ma. Na pr<sup>^</sup>kład te! - wskazał herbaciany komplet. - Dzięki ocalałym fotografiom, rycinom lub imiej dokumentacji powstają teraz repliki. W efekcie to, co robimy, wygląda nie gorzej niż tamte zagrabione lub zniszczone pierwowzory. Łudząco oddają styl epoki, barwę swojego czasu.

- Jest w tym jakiś fałsz - dusza prosta, nie mogłem przystać na kopie zastępujące autentyki.

- A co by pan wolał, napisy? Rozumując w ten sposób, należałoby zamiast odbudowywać Zamek, powiesić napis: zniszczony podczas wojny.

- Coś przecież przetrwało.

- Za mało na wyposażenie nawet kilku sal. Dlatego Milanówek tka obicia, Henryków robi meble, nasza spółdzielnia srebra, a firma z Nowego Świata odtwarza weneckie żyrandole. Poza tym skupuje się antyki ze stosownych epok. W Milanówku nie użyją do tych tkanin włókien syntetycznych, tylko c<sup>^</sup>sty

jedwab, nawet barwiony według tamtych odległych technologii, w Henykowie rzeźbią sprzęty starymi technikami snycerskimi, w hucie ręcznie szlifują kryształowe sople do świeczników, a plastycy biegli w złotnictwie odwzorowują naczynia, okucia i ozdoby.

- Czym różnią się od autentyków współcześnie wykonane kopie? - doszedł do głosu mój milicjant.

- Niekiedy tylko gmerkiem - powiedział z dumą Adam; dowiedziałem się, że pracownie sporządzające repliki muszą umieścić na nich swój gmerk, to znaczy sygnaturę firmy lub twórcy.

- To pole do nadużyć! - zgorszył się mój oficer służby kryminalnej.

- Nie większe niż w irmych dziedzinach - zdaniem Adama niezmiernie trudno jest wiernie odwzorować przedmiot; w zasadzie praca ręczna jest niepowtarzalna. - Można oczywiście dokładnie wyważyć i skomponować dziś stop kruszcu według starych technologii, tak aby nie odróżniał się od tych dawnych. Można także oddać kanon kształtu i ornamentu. Lecz nie powtórzy się siły rytu czy cech artystycznych...

- Domyślam się, że to jakieś zdobienie, ale jakie? - przerwałem.

- Rodzaj płaskorzeźby nakładanej na naczynie.

- Więc te właściwości można rozróżnić? - to były pytania, które dawno powinienem był zadać, i to nie jemu, tylko rzeczoznawcom, lecz nie potrafiłem ich dotychczas sprecyzować.

- Zawsze będą inne, chociaż przy dobrym odwzorowaniu nie do zauważenia gołym okiem. I właśnie ta niepowtarzalność jest olbrzymim walorem twórczości manualnej.

Ludzie nasyceni i znużeni błyskotliwą tandetą, monotonią wyrobów powielanych przemysłowo, poszukują indywidualności rękodzieła. I te tęsknoty, moda czy snobizm mają swoje dobre strony. Dzięki temu dźwigają się wymierające szlachetne rzemiosła.

Przypominał kustoszkę i Katarzynę, gdy tak starał się przybliżyć mi istotę swego zawodu, mimo woli budził sympatię.

- Czy na podstawie zdjęć można kopiować dzieła starych mistrzów?

- Z tych raczej trudno - pokazał na album. - Owszem, robi się powiększenia różnych detali. Pomagają przy wstępnych studiach

nad przedmiotem.

- Co służy za model do repliki, jeśli brak pierwowzoru?
- Już mówiłem. Dokumentacja. Ryciny, rysunki, opisy, monografie. Uzupełnia to znajomość stylu i intuicja odtwórcy..
- A więc i z tych zdjęć także można przedmiot odwzorować?
- Można się postarać, oczywiście.
- Czy nie w tym celu zgromadzono te fotografie?
- Skąd mogę wiedzieć? — przyjrzał mi się nieufnie.

Nareszcie zaczynałem rozumieć materię stanowiącą, jak się miało okazać, główną tkankę całej sprawy: fałszerstwa i kradzieże dzieł sztuki.

Cały materiał przywieziony z Brożan przez naszego fotografa znów otrzymali eksperci. Tym razem punktem oświeślenia stały się pierwsze zdjęcia sreber, wykonane podczas otwarcia muzeum.

Można było z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, że widniejące na nich przedmioty to te, które ofiarował Brożanom zmarły kolekcjoner, a ich autentyczność zbadali pracownicy katedry historii sztuki, której przewodził wytrawny znawca i autorytet, profesor Kubera.

Badania porównawcze wykazały: kadry z inauguracji muzeum, z akt sprawy Kownackiego, z albumu Stelmasz- ciska z ciemnym drzewem w tle, i odbitka VUleforta, to fotografie tej samej zastawy.

Natomiast fotografie przedmiotów aktualnie wystawionych w brożańskim muzeum i zbiór zdjęć z albumu Stelmasz- ciska z tkaniną w tle przedstawiają ludzako podobne do tamtych, lecz inne naczynia.

Wynikał z tego tylko jeden wniosek; teraz w gablotach muzeum wystawione są fałszyfikaty sreber, zwanych podkanclerskimi!

Tylko pierwsze zdjęcia kolekcji z archiwum kustoszki, właśnie te z otwarcia muzeum w roku 1971, prezentowały garnitur подарowany Brożanom przez doktora. Poczynając od roku 1974 na fotografiach, również tych z okazji wystawy, kiedy to eksponaty objechały Białystok i Warszawę, utrwalone są już te imię srebra, genialnie podrobione.

Kustoszka zaopatrywała datami i skrzętnie przechowywała odbitki. Dzięki temu pedantycznemu porządkowi mogłem teraz ustalić przedział czasu, w którym miejsce unikalnego kompletu projektu Meissoniera zajęły w muzealnych gablotach kopie, trzeba przyznać, znakomite. Stało się to między 1971 a 1974 rokiem.

Był rok 1977, musiałem zaczynać analizę dnia codziennego brożańskiego muzeum od sześciu lat wstecz.

Nie spodziewałem się takiej wołny w sprawie. Nawet oczekując wyników ekspertyz daleki jeszcze byłem od tego rodzaju podejrzeń. Teraz rozsypały się wreszcie dotychczasowe koncepcje, wyjaśnił się jednak sens kolekcjonerskich zamiarów warszawskiego cykliniarza.

Organizował fałszerstwa dzieł sztuki. Podrobione kopie zajmowały miejsce oryginałów, zaś repliki dzieł zaginionych lub zniszczonych w czasie wojny sprzedawane były jako antyki.

Na razie to tylko hipoteza, bo żadnych fałszyfikatów dzieł sztuki na Wróblej nie znalazłem, lecz w świetle ostatniego odkrycia Mpoteza ta miała podstawy i otwierała nowy kierunek śledztwa w sprawie morderstwa.

Co znaczy: organizował fałszerstwa? Za tym kryje się grupa ludzi: plastycy, historycy sztuki, wytrawni rzemie- ślnicy-odtwórcy, wreszcie złodzieje, włamywacze, jest tu także miejsce i dla oszusta. Gang.

Do tego trzeba mieć pracownię, właściwy kruszec, a także fałszywe puncce, tłoczące sygnatury starych mistrzów. Przemysł.

Ilu z tych, którzy przewinęli się przede mną w czasie śledztwa i mówili o przedsiębiorcy: - znalazłem go przelotnie, wymieniliśmy z nim znaczki, kładł u mnie posadzkę, i tak dalej, i tak dalej, Uuż z nich może być związanych z osobliwym procederem.

Sprawa rozrastała się jak ośmiornica; musiałem dotrzeć do osób prywatnych oraz instytucji posiadających dzieła sztuki figurujące w zbiorze fotografii Stelmaszc^ka. Wykonać w związku z każdym takim obiektem wszystkie te czynności techniczne i śledcze, które doprowadziły do ostatecznej identyfikacji w przypadku sreber z Brozan.

Dopiero po uporaniu się z zapoczątkowaniem tej bardzo dużej i na dłużej zapowiadającej się akcji mogłem znów poprosić Adama.

- Zdjęcia, które okazałem panu poprzednim razem, należą do Stelmaszczyka. Nigdy ich pan przedtem nie widział?

- Nareszcie wszystko jasne! Facet miał fotografie okazów sztuki złotniczej, a ponieważ ja w tym robię, koniecznie cliche mnie pan do niego dopasować.

- Nie. Ale mam podstawy sądzić, że pan go znalazł w Paüy- ła. Pracował pan wówczas w firmie Sauvillie i Cerdan.

Nie zaprzeczył. Cięż przeleciał mu po twarzy. Z ostentacyjnym spokojem wolno ugniał tytoń w fajce.

- Zgadza się. Pracowałem u nidi przez sześć miesięcy, ale Stelmaszczyka sobie nie przypominam. Może go nawet gdzieś spotkałem, a może nie... W tym samym czasie było tam zapewne kilka tysięcy ludzi z Polski. Czy jeszcze coś pana interesuje?

- Co pan robił w tej firmie?

- Repliki starych przedmiotów i zarabi^em pieniądze.

- Dlaczego tylko przez sześć miesięcy?

- Nie pojechałem tam dorobić się, tylko poznać kraj. Rozumie pan?
- Rozumiem. Kontrakt załatwili panu krewni pani Polewicz?
- Nie. Znajomy.
- Jak się nazywa?
- Roman Rybarczyk - zawahał się, nim wymienił nazwisko. - Facet pochodzi z Warszawy, w firmie Rogerów pracuje od kilku lat.
- Kiedy go pan ostatnio widział?
- Dwa lata temu, gdy murzynowałem w tej szacownej manufakturze. I jeszcze jedno; Katarzynę poznałem dopiero w Paryżu! Proszę to wziąć pod uwagę. Ani dziewczyna, ani jej paryscy krewni nie mieli nic wspólnego z moimi 120 sprawami. Skoro jest pan tak świetnie zorientowany, i to także powinien pan wiedzieć.

Nic więcej nie powiedział o swoim pobycie w Paryżu.

- Kiedy spotkał się na Wróblej, wspominał pan o zatargu z milicjantem. O co poszło?-chciałemnawprowadzić rozmowę na jego niedawny wypadek.

- Taka heca nad Wigrami. Wieczorem kierownik schroniska życzył sobie, abym usunął namiot, bo teren upodobały sobie jakieś bonzy, właśnie przybyłe z samego Białegostoku. Nie usunąłem, ponieważ przedtem to miejsce wyznaczył mi recepcjonista. Kierownik sprowadził milicjanta, a ten zrobił z tego sprawę prestiżu władzy. Niebezpieczny prymityw. Legitymował nas trzykrotnie, dwa razy wieczorem, trzeci o szóstej rano. Chamskimi aluzjami odgrywał się na Katarzynie... Dostanie po mordzie, ma to u mnie jak w banku. Znajdę go, gdy będzie po służbie, bez munduru i bez świadków.

- To mnie nie interesuje - nie miałem ochoty mówić mu o konsekwencjach samosądu; nie wiem, co bym zrobił, gdyby ktoś obraził moją dziewczynę. Tylko mimo woli pomyśl<sup>^</sup>em: może właśnie Stelmaszczykowi dał po mordzie, tylko przyłożył zbyt mocno.

Zdaniem medycyny sądowej śmierć nastąpiła między późnym wieczorem a północą. Adam zameldował o wypadku rano, następnego dnia. Czyżby przez całą noc rozmyślał, jak się z tego wykręcić? To do niego niepodobne. Gdyby zabił, zgłosiłby natychmiast albo wcale.

Jednak ani słowem nie wspomnij o niebezpiecznej przygodzie, jaka go spotkała na biebrzańskich bagnach.

Na tę wyprawę, jak się zorientowałem z jego wypowiedzi, wypłynął z Katarzyną, lecz pod nowogrodzkim skansenem nie było mowy o dziewczynie. Zostawił ją gdzieś po drodze? Musiałem bezpośrednio poznać wszystkie okoliczności napadu na niego.



Dlatego pojechałem do Nowogrodu.

Adam, po przewiezieniu z Nowogrodu do łomżyńskiej kliniki, jeszcze tego samego dnia odzyskał pamięć. Tę jakąś nie znaną medycynie zastawkę w mózgu poruszyło we właściwym kierunku szczekanie psa. Gdzieś pod szpitalnymi oknami awanturował się kundel.

-Kropek! — ocknął się Adam; to było imię psa, psa Katarzyny, którego wtedy zabrali na szlak. Tylko skąd w Łomiy Kropek? Nagle zwałiła się na niego świadomość tamtych wydarzeń, chciał natychmiast wyjść, odszukać psa. Prosił o ubranie.

-Zadzwoń do Nowogrodu - uspokajał go lekarz; łomżyński neurolog, też pr^aciel czworonogów, czuły na wszelkie psie nędze, a i dla spokoju wzburzonego pacjenta gotów był natychmiast poruszyć wszystkie sprężyny, aby odnaleźć Kropka.

-Został tam gdzie mój kajak, oprawcy, zabili psa! - szalał Adam.

Pies zgubił się gdzieś na trasie, a on nie może przypomnieć sobie tego momentu - tak to rozumiano.

-Pożyczcie mi jakieś ubranie - plastyk miotał się rozpaczliwie i nie chciał słuchać żadnych perswazji. - Łby im porozwalam, jeśli tknęli psa! - gotów był uciec ze szpitala w pizamie. Nit precyzował, komu groził.

Neurolog, uprzednio zobowiązany, natychmiast powiadomił koñiendę. Tam zastanawiano się jeszcze nad komunikatem do radia i TV o znajdku bez tożsamości, nie pamiętającym, skąd się wziął. Komimikat okazał się niepotrzebny, bo człowiek bez nazwiska nagle odzyskał pamięć, tyle że o samym wypadku i co się z nim działo potem, nic powiedzieć nie umiał. Luka.

Lekarz zgodził się wypuścić go ze szpitala.

-... lecz chłopak był tylko w majtkach - opowiadał kolega z łomżyńskiej komendy, o dalszym przebiegu zdarzeń — należało go ubrać, a w całym mieście nawet trampek na jego rozmiar nie można było dostać.

Gdy zawiodły sklepy, w garnizonie milicyjnym ogłoszono apel do nietypowych. No i znalazł się sierżant z wojewódzkiej, podobna wieża, zresztą koszykarz pierwszej ligi. Jego dresy i buty pasowały na Adama.

- Żeby nie można było kupić spodni w mieście wojewódzkim! - złościł się Adam oczekując niecierpliwie na przyodziewek.

- Zanim zostaliśmy województwem, bywaliśmy w swej historii gubernią - pouczył go oficer, rodowity łomżanin, miłośnik i znawca dziejów swego miasta; to on właśnie zapisał relację Adama, z którą zapoznano mnie w komendzie.

Napad wydarzył się nad Biebrzą na terenie należącym do Goniądza, dochodzenie zlecono tamtejszemu posterunkowi, dokąd także Nowogród przekazał swoją część informacji.

Zwolnienie plastyka ze szpitala było milicji na rękę. Wprawdzie funkcjonariusze z Goniądza znali lepiej niż inni ten kawał rzeki, ale pomoc naocznego świadka mogła znacznie uprościć odnalezienie miejsca, którego na mapie Adam nie potrafił dokładnie określić. Nie z powodu niedawnych zaburzeń pamięci, tylko rzeźba biebrzańskiej doliny, a i rzeka jest nie podobna do żadnej innej.

Nizinna ziemia, trzęsawiska, osty i mszajy tną liczne pętle, odnogi, starorzecza. Wszystko to zmienia się w ciągu roku, a niekiedy z dnia na dzień, zależnie od przyboru wody, i wówczas wszelkie mapy tego terenu zawodzą. Heraklitowe panta rhei rozumieć tu można dosłownie.

Przekonałem się o tych właściwościach niebawem, gdy ślizgacz łomżyńskiej komendy przywiózł mnie do Wiznej. Tutaj przejął mnie na pokład motorówki plutonowy z Goniądza.

Wypłynęliśmy na Biebrzę i po kilku kilometrach otworzyła się przed nami płaska kraina po horyzont zalana wodą i po horyzont usiana stogami. Ich sylwety wyglądały z daleka jak jurty nomadów. Tylko leniwy nurt wskazywał, gdzie biegnie rynna rzeki, a ledwo wystające nad toń czuby łozy i kity trzciny wytyczały linię jej brzegów.

Prąd niósł, rozwłócił wiechy i całe kopice siana.

- Nie zdążyli ludzie zebrać wszystkiego. Deszcze - wyjaśnił plutonowy. - Strażnik wodny na służbie Dąbowo, prowadzący stację meteo, zanotował wczoraj, że w ciągu trzech godzin ulewy spadło, na metr kwadratowy ziemi pięćdziesiąt litrów wody. Dwutygodniowa średnia.

Towar<sup>^</sup>szyl nam ptasi lament, przebijał przez huk motoru. Gromadami siedziały na stogach, nastroszone chwiała się na w itkach łozy, czepiały kit tataraku, z trzepotem toczyły na skrawkach kęp odsłanianych przez ustępujące rodewisko. Kruczały!

- Głodne - zauważył plutonowy. Na zalanych łąkach wyginęła drobna fauna, którą żywi się ptactwo. - Przeciерpią,

wylęgnie się nowy żer.

Adam z Katarzyną przyjechali z Warszawy do Gaw-rychrud nad Wigrami ze składakiem. Towar<sup>^</sup>szyl im Kropek. Stamtąd ruszyli Czarną Hańczą, a potem Kanałem Augustowskim, Nettą i znów Kanałem aż po ostatni stopień wodny Dębowo, ten za stacją meteo. Tu są wrota na Biebrzę i już nie ma tuiystów. Dlatego zapamiętano czerwonego Neptuna, a strażnik, który otwierał im służę, zapisał dokładnie datę i godzinę przeprawy.

Ruch tu żaden. Czasami zapuści się motorówka, kajak to rzadkość. Rasowy wodniak gardzi motorem, a nie każdego pociąga ta niegościnna, dzika rzeka, miejscami rozlana szeroko, miejscami wąska i kręta, meandrująca wśród pustaci szumiących bagienną sawarmą.

- To piękna rzeka, tylko trzeba chwycić jej smak - zapewnił mnie plutonowy; widać było, że lubi tę krainę i rzadko trafiają mu się wdzięczni słuchacze.

Brzegi są niedostępne, tak dalece niedostępne, że na sześćdziesięciu kilometrach Biebrzy - licząc od Goniądza do ujścia - pewnych biwaków nie ma. Zależne są od poziomu wody, ten zaś od opadów.

Na tym rozległym i trudnym szlaku Adam zablądził. Pomylił drogę i wpłynął w ślepy rękaw. W tych bocznych, uchodzących w trzęsawiska odnogach, starorzeczach, ciągnących się nierządki kilometrami, prąd jest bardziej wartki niż we właściwym łożysku. To zwiódło Adama. Znalazł się w wąskim zielonym tunelu, obrośniętym wysokimi trzciniami, i tam złapała go burza.

Pod osłoną kępy łozy plastik chciał przeczekać huragan. Wtedy kilka metrów od niego piorun uderzył w stóg. Siano zajęło się płomieniem, paliło się mimo ulewy, a wichura wyrывała żagwie, nosła i rozwieszała ogniste flary na kruchej osłonie zarośli, żatulających kajak.

Nawałnica szalała kilka godzin, dopiero gdy ustał wiatr, Adam popłynął dalej. Po kilku kilometrach, zalewany deszczem, spostrze<sup>^</sup>, że nie jest na właściwej trasie, którą powinien płynąć. Koryto gwałtownie się zwężyło, nie mó<sup>^</sup> zawrócić składaka mierzącego ponad pięć metrów długości, nie mó<sup>^</sup> także wyjść na brzeg, aby go wymanewrować, bo skroś ciągnęło się bagno. Zdradliwy kozuch traw, pod którym czai się topiel, nie utrzymywał ciężaru człowieka i Adam nie miał oparcia, aby podnieść dziób kajaku i skierować go z powrotem.

Płynął więc naprzód, liczył na jakieś zakole albo przesiekę wśród trzciny, przez którą wyśliznie się z pułapki.

- To właśnie tutaj - powiedział plutonowy; przesiedlił się na kajak, który ciągnęliśmy na helu za motorówką.

Śladem Adama zaszliśmy się w ten zdradziecki rękaw.

I rzeczywiście nurt tu był bystrzejszy niż we właściwym łożysku, a z obu stron dwie lite ściany trzciny, utkane fioletowo-błękitnymi kielichami powoju.

Po paru kilometrach prąd zanikł zupełnie. Warkocz wodorostów czepiały się wiosła, kometą ciągnęły za sterem.

Wreszcie rozsunęły się szuwary, zobaczyłem budę. Rodzaj czworokątnego szałas z obrzynków tarcicy, pokryty trzcinowym chochołem, wsparty na czterech wysokich żerdziach, z otworami w każdym boku, obitymi sparcia-łym, zgrzebnym płótnem. Prowadziły do tego gołębnika dwa okrągłaki z poprzecznie przybitymi szczeblami.

- To jest ta wyżka - wskazał plutonowy. -1 wysiadajcie, poruczniku, śmiało, tu miejsce niebagienne! -pobmęliśmy po płyciźnie. Wok<sup>^</sup> wyżki wygarbiony splachetek wznosił się ponad wodą.

- Takie stanowiska klecą myśliwi - objaśnił - o drzewo u nas trudno, no to łąta na łącie... Tu przyniosło Zapagę.

Przywiązał kajak, wypuścił Kropka, chciał coś przegryźć i nakarmić psa.

- Wszedł po tej drabinie, aby się rozejrzeć, i wtedy otrzymał cios w głowę. Stracił przytomność, napastnika nawet nie zobaczył... To wszystko, co potrafił powiedzieć - rozkłada ręce plutonowy.

Dopiero w dwa dni później Adam ocknął się w zalewanej fałdą cudzej łódce aż pod Nowogrodem.

- Ot, i prowadź tu, człowieku, śledztwo na takim terenie - uzalił się plutonowy - żaden ślad się nie utrzyma, pies po tropie nie pójdzie, świadków ani na lekarstwo.

W wyżce znaleziono tylko dziurkowane pudełko po rosówkach, w kącie garstkę kaczego pierza, a pod szałasem stertę wyschniętej trzciny, zdatnej na ognisko, zaś na skraju wygarbienia rybnie szkielety.

<sup>^</sup> Gdzie ten spalony stóg? - nie dostrze<sup>^</sup>em nigdzie żadnych resztek po stercie zwęglonego siana.

- Albo rzeka do czysta rozmyła, albo to w innym miejscu się zdarzyło. Grom blisko niego strzelił, ogłuszył, oślepił. Jemu

później wszystko się pomieszało. Jak ze mną na oględziny płynął, to ledwo do wyżki trafił.

- Ile kilometrów wodą jest stąd do Nowogrodu? - wróciliśmy do motorówki, plutonowy manewrował łodzią. Wróciliśmy do Goniądza.

- Stąd do ujścia Biebrzy w Narew, licząc i ten rękaw, będzie dwadzieścia z okładem, stamtąd do Łomży jest czterdzieści trzy, od Łomży do Nowogrodu dwadzieścia sześć. Zbierze się blisko setka — wyliczył.

- W jaki sposób Adam po kontuzji przebył ten szlak?

- Też chciałbym wiedzieć - roześmiał się plutonowy. - Na mój rozum, jego stąd wywieźli rzeką albo drogami i przed Nowogrodem puścili z prądem w ukradzonej krypie. Ale prędzej wodą, bo stąd do szosy kawał, a samochód tu nigdzie blisko nie dojedzie.

- Jak długo trzeba płynąć stąd do Nowogrodu motorówką?

- Za kilka godzin dojedzie, według mnie... Teraz wodniacki sezon, nikt nie zwraca uwagi na łajby. Zamknęli go w kabinie, przepłynęli i szukaj śladu na wodzie.

- Pozostałości w wyżce wskazują na rybaków i myśliwych - pomyślałem, że plutonowy dał się zasugerować Adamowi. I nic w tym dziwnego. Dlaczego miał nie uwierzyć turyście, którego spotkała bandycka napaść. Zdarza się. I dlatego powierzchownie zbadał teren, nie przeszukał okolicy, wyjaśnienia plastyka pr<sup>^</sup>ął bezkrytycznie. No cóż, nie wiedział o nim tego wszystkiego, co ja wiedziałem od niedawna.

Tylko sierżant z Nowogrodu odniósł się dość sceptycznie do wypadku Adama, lecz on z reguły wszystkich swoich klientów traktował jak podejrzanych. Cecha charakteru.

- To mogli być kłusownicy - powiedział plutonowy. - Taki, jak się wystraszy, szczególnie jeśli ma ze sobą ubita



zwierzynę, może zdzielić niewygodnego świadka żerdzią po  
^owie.

Ale tutejszy kłusownik, zdaniem plutonowego, nie sięgnie po  
cudze mienie, choćby nawet uder^ł. Takie to meandry etyczne.  
Natomiast Adamowi zaginał bez śladu cały sprzęt. Kajak i  
wszystko, co w nim było, znikn^o, jakby pochłonięte przez bagno.

- Może utopili w trzęsawisku.

- Rabuś nie po to rabuje, aby utopić łup - nie zgodził się  
plutonowy.

- A jeśli to nie przypadkowy napad? - myślałem o Ville-  
forcie, srebrach podkanclerskich, morderstwie przy ulicy Wróblej  
i umiejętnościach młodego plastyka w dziedzinie kopiowania  
antycznych przedmiotów.

- Kto mógł przewidzieć, że on zabłądzi właśnie w to  
miejsce. Przecież Adam sam me wiedział, dokąd płynie! -  
plutonowy spojrział na mnie z wyżyn swoich doświadczeń  
nabytych w trzydziestoletniej służbie.

Przybiliśmy do przystani w Goniądzu. Na wysokiej skarpie,  
podobnie jak wszystkie miasteczka wzdłuż szlaku, godził w  
pogodne niebo wieżami kościoł.

- Rozhulała się rzeka - plutonowy zatoczył krąg ręką; pod  
wodą stały pomosty, woda sięgała aż pod maszt klubowej flagi,  
podchodziła pod betonowy próg hangaru. Przystaniowy z grupą  
wyrostków holował ławice kajaków, kolebiących się na fali w  
miejscu, gdzie zazwyczaj była plaża.



- Idziemy na obiad - zaproponował mój towarzysz; gdy  
wspinając się w górę do miasteczka mijaliśmy usj^paną pod szosą  
groblę, owionął mnie skondensowany zapach ciepłego pieczywa.  
Wciągnąłem ten zapach, poczułem wściekły głód i pomyślałem o  
grubej pądzie świeżego chleba z chru- *piącq* skórka.

- Mamy własną piekarnię - uśmiechnął się plutonowy;  
dowiedziałem się, jakie boje stoczyli kilka lat temu, aby  
128 ocalić od likwidacji tę małą nie zmechanizowaną piekarnię.

W gospodzie na rynku podano nam chleb, o jakim przed chwilą marzyłem. Pochłonąłem stertę kromek, zanim dostałem zupeł.

- A może on tam był z kimś umówiony? - pomyślałem o tym szalasię.

- Owszem, był umówiony, ale w Nowogrodzie.

Adam z Katarzyną i Kropkiem zatrzymali się w Goniądzu przed następnym forsownym etapem.

- Znamy go, od kilku lat płynie tym szlakiem, a z Katarzyną był w zeszłym roku. Do nas rzeką rzadko przybywa- ją goście, jesteśmy im radzi - plutonowy żywił sentyment dla wytrwałych wioślarzy, którzy niebaczni na trudy potrafili ocenić i polubić ten niemal imikalny w Europie rezerwat nie spotykanej zwierzyny, ptactwa i roślinności.

- Potem Katarzyna pojechała pod Grajewo, miejscowość nazywa się Brożany. Zabrała się z jakąś parą wędrującą samochodem.

- Pokłóciła się z Adamem?

- Nie. Do pracy doktorskiej coś tam sobie upatrzyła.

Prataniowemu mówili, bo z nim w przyjaźni są. Ale po mojemu - roześmiał się plutonowy - ona chciała ominąć ten kawałek szlaku. Bo to kilka godzin bez przerwy na twardym siodełku i nijako się przyznać, że tyłek boli. No, to już składniej kolegiatę w Brożanach pooglądać.

Wróciliśmy na brzeg, chciałem porozmawiać z przystaniowym.

- Mieli się spotkać z Katarzyną w Nowogrodzie za dwa dni - podjął plutonowy - chłopak z psem wyruszył następnego dnia o piątej rano po jej wyjeździe. Na mój rozum to on gotów był kajak na plecy wziąć, byle do niej zdążyć, nieprawdaż, dziadku? - przywitał się z przystaniowym.

- Do Goniądza po prowiant samej jej nie puszczał, taki zazdrośnik - zarechotał dziadek.





- Nie pasuje, poruczniku, żeby on z rozmysłem po starorzeczach błdził. W Nowogrodzie miała czekać ona i koleldzy z Warszawy, razem zmówieni byli ramblerem na Mazury jechać.

W dwa dni po wypłynięciu Adama na przystań w Goniądzu powrócił Kropek. Zauważył go dziadek. Pies był utyttany w błocie, skradał się z podkulonym ogonem i nisko opuszczonym łbem, nieufnie uskakiwał na widok ludzi. Sprawiał wrażenie zdziczałego, wygłodzonego kim- dla. Wyczerpany, z zapadłymi bokami powłóczył zadnią łapą.

- Kropek! - z trudem rozpoznał go przystaniowy.

Na dźwięk swego imienia pies słabo zawachłował ogonem, ale łukiem ominął dziadka. Z nową energią pobiegł na przystań, obwęsł brzeg i wsłtkie cumujące krypy.

- Szukał swoich - tłumaczył przystaniowy; gdy pies przekonał się, że ich tu nie ma, znowu opadł z sił. Przysiadł osowiały, uniósł łeb i zawył. Potem powłókł się i leł w miejscu, gdzie poprzednio stał namiot Adama.

Tu psów się nie rozpieszca, na ogół są uwiązane na łańcuchu, pilnują gospodarstwa albo oganiają stado, bo Goniądz, choć miasteczko, żywi rolnictwo i hodowla. Jednak dziadek użalił się nad dachanym zwierzęciem, opatrzył mu poranione łapy i nakarmił.

- Żarł, aż się dławił. Jedną nogę miał przetrąconą, a podeszwy popękane i zdarte do krwi.

Kropek, poprzednio żywy i wesoły, toczył boje z kaczka- ini- Wyganiał je, gdy przyplływały zza mostu, łase na soczysty orzesznik porastający przystań. Teraz skubały trawę pod nosem psa. Nic go nie obchodziło, leżał nieruchomo z pyskiem na łapach. A kiedy przystaniowy chciał go zabrać na noc, paskudnie się na niego wyszczerbi.

- Ledwo obrozę dał tknąć, a i to zębami za ręce chwycił, a frymuśna to obroża z taką klamrą elegancką i metalowym znaczkim. A na znaczku adres Katarzyny nabity, bo to jej pies.

Z sympatii dla tych dwojga, bo ich lubił, a i ze współzucia dla Kropka stacy chciał powiadomić o przyWąkanu się psa.

- Ale gdzie miałem miedziaków szukać?

Następnego dnia zaraz po otwarciu poczty kazał połączyć się z Warszawą, a panienska zrobiła-to szybko, bo dziadek to szanowana w miasteczku persona, a u młodzieży ma względy specjalne. W lecie właśnie na przystani urządzają się zabawy i wieczory z dyskoteką.

Nie zastanawiał się podając adres Katarzyny, czy tam jest telefon, w jego mniemaniu w Warszawie każdy ma telefon. Zastrzegł tylko, że będzie rozmawiał na koszt abonenta, jego nie stać na takie szaleństwa, a wiadomość ma ważną, dotyczy Kropka.

- No i zaraz odezwała się ta ichnia ciotka! - opowiadał dziadek. - Co się stało z Kropkiem?! - zakr<sup>ę</sup>nęła i powiada; - Niech Bóg panu da zdrowie, a ja zwrócę wszelkie poniesione koszta i jeszcze nagrodę ufunduję. I jak nie za wrześnie: - Gdzie są dzieci?! - Uważasz pan, poruczniku? Dzieci! Chłop jak łoś i dziewa, co tylko wesela patrzeć, choć po prawdzie, to tak jakby już i wydana - zapłatał się dziadek w subtelnościach obyczajowych. - I koło obiadu już byli po tego psa!

Ciotkę Katarzyny przywiózł na motorze brat plastyka, Maciek. Na jej widok Kropek oszalał ze szczęścia.

- Pogubiłeś dzieci, wagabimdo?-wyrzucałamuciotka; pies wybieg na groble i wrócił, potem chwycił ją za rękę, ciągnął na miejsce, gdzie stał namiot Adama, prowadził nad brzeg i skomlał.

- Coś się musiało stać - od razu powiedział ten brat plastyka; gotów był zaraz zapakować w kajak ciotkę i kundla, aby popłynąć śladem Adama.

- Nonsens, od czego są telefony - ciotka stanowczo odrzuciła inicjatywę Maćka. - Wystarczy mi szaleństw na twoim motorze! - oświadczyła i z nieodłącznym Kropkiem pomaszerowała na pocztę.

- Pięćset złotych zapłaciła za l<sup>skawic</sup>zne rozmowy - wspominał dziadek; energiczna ciotka porus<sup>ła</sup> muzeim w Brożanach, a gdy nie znalazła tam siostrzenicy, telefonowała do wszystkich posterunków milicji między Gonią- dzerti a Nowogrodem, dowiadując się o Adama.

Wprawdzie nikt nie zapamiętał rosłego wioślarza, samotnie pływającego w czerwonym Neptunie, ale sierżant z Nowogrodu skojarzył poszukiwanego przez ciotkę młodego człowieka z tym wyłowionym z Narwi i zabranym do łomżyńskiej kliniki.

Zaraz potem na interwencję ciotki znaleziono Katarzynę wraz z załogą ramblera. Stali na kotwicy, w miejscu, gdzie wyznac<sup>li</sup> sobie spotkanie jeszcze w Warszawie. Czekali, chociaż wściekali się na Adama za niesłowność. Nie przypuszczali jednak, aby mu się coś złego przytrafiło. Spóźnienie kładli na karb <sup>ch</sup> warunków atmosferycznych.

- Adam w szpitalu... - ciotka nieco przyszła do siebie, gdy

usłyszała w słuchawce ^os siostrzenicy. - Jadę do Łomży!

Katarzyna z przyjaciółmi także pognąła do Łomży, ale Adam wyprawił ich na Mazury, obiecując przyjechać, jak tylko załatwi sprawę z milicją.

- Jakby pan, poruczniku, zawitał do nas trzy dni wcześniej, to mógłby osobiście porozmawiać z Adamem-zawiadomił przystaniowy. - Adam przyjechał z kolegą i razem popłynęli kajakiem. Śmiał się, że ta rozbita dynia, znaczy się głowa, nie przeszkodzi mu ukońc^ć przerwane go splywu.

Zaskoczyła mnie ta wiadomość.

Zakończyć splyw? Oczywiście kłamał. Najpierw pozbył się dziewczyny, kolegów z ramblera i brata. Teraz powrócił do Goniądzka z jakimś kolegą n a z a j u t r z po naszej ostatniej rozmowie w Warszawie.

- Jak wyglądał ten kolega? - pomyślałem o fałszywym Francuzie z nazwiskiem powieściowego prokuratora.

Okazało się, że plutonowy ich nawet nie widział.

- Adam mówił mu Dymitr - zapamiętał dziadek.

Zdaniem przystaniowego młody męzc^zna wyglądał na rówieśnika Adama. Wyglądem, jaki opisał dziadek, nie przypominał ViUeforta, lecz po ostatnich doświadczeniach z rezerwą odnosiłem się do rysopisów.

- Przywieźli składak na przystań i hajda na rzekę - uśmiechnął się przystaniowy; przyjechali z Łomży okazją, wozem dostawczym ośrodka Ligi Kobiet „Praktyczna Pani”.

Byłem prawie pewien, że powrót Adama ma związek z dokonaną na niego napaścią. Oczywiście wyjazd na miejsce zajścia z milicją potraktował jako trudną do uniknięcia formalność, lecz czego teraz szukał lub co spodziewał się znaleźć z kolegą noszącym imię ruskich kniaziów?

- Raczyl wrócić, turysta! - w Warszawie napadł na mnie Bej; z zawiścią, ostentacyjnie przypatrywał się mojej świeżej opaleniznie. Pojechałem na dzień, zeszło pięć. Bej podejrzewał piywatę, bo miasto ziało upałem.

- Symulował utratę pamięci - powiedziałem na zakończenie po zapoznaniu Beja z zebrany m materiałem.

- Wy, Załęski, nie wyręczajcie medycyny - prychał Bej.

- Ostatnio wszędzie widzisz kanciarzy i oszustów. Facet dostał żerdzią po głowie, po czym był kołowaty, i to wszystko.

- Nie wszystko! Albo pod tą wyżką był z kimś umówiony,

albo nie tam dostał po ^owie. Zaraz po rozmowie ze mną pognał z powrotem na rzekę.

- Już w szpitalu w Łomży komuś się odgrażał? - upewnił się Bej. - Może zna napastników i chce im oddać to, co sam od nich dostał. To do niego podobne.

- Ale o co te porachunki?

- Chyba w grę wchodzi fałszowanie eksponatów złotniczych.

- Na Biebrzy, puknij się!

- Nie na Biebrzy, w Paryżu, w Warszawie. A Katarzyna?

Może odrysowuje wzorce przedmiotów przy okazji pracy dyplomowej. Trudno o lepszy pretekst.

- No, w Brożanach już nie ma z czego odrysowywać.

- Po wyjściu ze szpitala i powrocie do Warszawy najpilniejszą sprawą okazało się cyklinowanie podłóg. Wybiera więc firmę na drugim końcu miasta, którą prowadzi fałszerz i złodziej. Przychodzi i widzi, że szefa właśnie szlag trafił - streszcza nasze pretensje Bej. - Wszystko to razem niewarte pestki od wiśni, nawet nie mamy pewności, czy Adam rzeczywiście znał Stelmaszczyka.

- A jeszcze do tego w sprawę wdały się duchy - opowiadam Bejowi majaki Adama, które sierżant z Nowogrodu zakwalifikował do kompetencji proboszcza.

Adam Zapała i Melania Kazimierczak dali niemal identyczny opis upiornej ^owy. Ona widziała ją w domu Stelmaszczyka, Adam gdzieś na Biebrzy.

Opowieść starej kobiety potraktowałem jako wytwór przewrażliwienia, lęków i przesądów. Jeśli jednak dwoje ludzi tak od siebie odmiennych, w tak różnych okolicznościach widzi to samo, rzecz należy wyjaśnić.

- Chwył mający odwrócić uwagę od czegoś innego - Bej niemal zawsze ma gotowe wytłumaczenie.

Musimy jednak odłożyć dociekanie na temat zjawisk irracjonalnych, bo zwały się na nas konkrety: pierwsze odpowiedzi z miejscowości, w których znajdują się dzieła sztuki figurujące w fotograficznym katalogu Stelmaszczyka.

O kilkimastu z nich da się to powiedzieć już tylko w czasie przeszłym, byli!, ponieważ w miejscu oryginałów odkryto teraz kopie.

Sygnalizują o swoich podejrzeniach miejscowi konserwatorzy, kustosze, kolekcjonerzy. W większości przypadków

budzące wątpliwości obiekty są jeszcze w trakcie badania.

Zaczyna się wyjaśniać szyfr znaczków, owe kółka i ptaszki, widniejące na fotografiach w zbiorze z ulicy Wróblej.

- Jak ospa - powiedział Bej; wszystkie eksponaty - w odle<sup>ych</sup> prowincjonalnych muzeach, kościołach i u osób prywatnych - których autentyczność budzi teraz wątpliwości, posiadają jedną wspólną cechę; ich fotografie w kartotece warszawskiego aferzysty zostały napiętnowane kółkiem.

Przedmioty, których zdjęcia w tym samym zbiorze otrzymały znaczek V, jeszcze nie ule<sup>ty</sup> metamorfozie. Widocznie ich duplikaty były dopiero w przygotowaniu lub czekano na sprzyjające warunki, by dokonać wymiany.

Lecz tych porażonych ospą jest dużo, bardzo dużo. Prowizoryczny szacunek strat rósł w miliony złotych. Niepowetowane szkody poniosła kultura.

Sprawę zabójstwa posadzkarza z ulicy Wróblej nazwaliśmy ośmiornicą, obrastała bowiem licznymi dochodzeniami dotyczącymi kradzieży dzieł sztuki. Prowadziły je miejscowe jednostki milicji, my natomiast mieliśmy w<sup>ąd</sup> w materiały śledztwa i słowo doradcze w każdym z tych przypadków. Liczyliśmy, że rezultaty tej pracy pozwolą nam uzyskać całą wiedzę o gangwi Stelmańczyka i rozwikłać tajemnicę jego śmierci.

Bej był w swoim żywiole, gonił po Polsce i sprawdzał, jak pracują inni. Rozjeżdżał się fiatem, który dano nam do dyspozycji, i w ogóle miał wygodę, bo nawet kiedy był w Warszawie, prawem kaduka przyznał sobie przywilej właściciela wozu i kluczyki wydzielał mi jak z łaski.

- Pewno kupisz motorower - przewidywałem.  
- Po co?  
- A czym będziesz jeździł, jak zabiorą nam wóz? Tramwajem?

Wciąż przybywały nowe dochodzenia, założyłem specjalny skorowidz, żeby się w nich nie pogubić i na bieżąco wiedzieć, jak się rozwijają. Bej był ponad to, drań miał pamięć, rejestrował jak ktoera filmowa.

Gdy telefonowano z jednostek, a telefonowano często, jeśli tylko znajdował się na miejscu, on odbierał sprawozdania.

- ... tak, wiem. Miniatura z osiemnastego wieku malowana na kości - uprzedzał rozmówcę i nigdy nie oparł się komentarzowi mającemu świadczyć o jego zorientowaniu w tej dziedzinie sztuki; Bej, <sup>134</sup> niczym roślina chlorofil, wylapywał wiadomości na doraźny

użytek i sprzedawał je jak ciepłe bułki. Brylował, świecił!  
Robaczek świętojański, cholera.

Lubiłem go, mimo wszystko był dobrym kolegą, a pracując nad tą naszą ośmiornicą zżyłem się z nim. Tyranizować pozwalałem się w miarę.

Bej nigdy nie korzystał z pomocy mego skorowidza, natomiast wycygał, chyba w kartografii, okazała mapę Polski i utkał ją kolorowymi pędzelkami, umocowanymi do dużych szpU. Oznaczał miejsca odkiytych tam i będących przedmiotem śledztwa falsyfikatów, ale to jeszcze nie wszystko: inny odcień kitek sygnalizował wszczyte, inny zaawansowane dochodzenia, a każdy rodzaj duplikatów także miał odmienną barwę. Na przykład obrazy - zieloną, wyroby złotnicze - pomarańczową.

Nader skomplikowany system o mocno wątpliwej funkcji służebnej nawet dla jego twórcy. Ale rozpięta na ścianie, upstrzona tą feerią mapa wyglądała bardzo efektownie i wspaniale dekorowała nasz skromny pokój.

Dotychczas wisiał U nas tylko jeden obrazek, reprodukcja <sup>^</sup>otieczników van Gogha, numer inwentaryzacyjny: KM-5853/70/75/78/Bl. XXXIII/ogp/kwa. Słoneczników, dzięki inwencji zaopatrzeniowców, rozplenionych po biurach i urzędach jak perz.

Lawina nowych spraw opóźniła czynności śledcze w sprawie kradzieży sreber podkanclerskich.

Miałem masę roboty, postęp geometryczny w rozwoju wypadków dawał mi porządnie w kość i dni wciąż były za krótkie, a poza tym... zwlekałem. Żałowałem kustoszki.

Oczywista niekonsekwencja. Moja sympatia do niej niczego nie mogła zmienić. Wiedziałem, z pewnością ciężko przeżyje te wszystkie przesłuchania, roznoś, plotkę nieuchronną w takim małym skupisku. Brożany liczyły tr<sup>^</sup> tysiące mieszkańców.

Poza tym liczyłem, że wcześniej, bez jej udziału, wśród współników Stelmaszczyka znajdziemy sprawców kradzieży.

Teraz nie mo<sup>^</sup>em już oszczędzić jej dochodzenia ani jego konsekwencji, ciążyła na niej odpowiedzialność za eksponaty znajdujące się w muzeum. Musiała przejść wszystkie dotkliwości procedury, co dla ludzi uczciwych, a w jej uczciwość nie wątpiłem, musi być szczególnie przykre.

Chciałem to jakoś złagodzić. Wysłałem więc Beją, aby tą sprawą zajął się sam i oszczędził jej przynajmniej upokorzeń.

- Takie przykrości ma już dwudziestu kustoszy, tamtych ci nie szkoda? - czepiał się Bej.

- Szkoda - nie lubiłem takich spraw; zawsze miałem skurpuły wobec ludzi uwikłanych w paragrafy kodeksu karnego bez złej woli z ich strony.

- Zostań przedszkolanką - poradził Bej. - Ta twoja subtelna dama mogła być w znowie, nie przyszło ci to na myśl, litościwa osobo?

- Nie wierzę!

- To w j aki sposób wymieniono czterdzieści osiem sztuk sreber? - tyle liczyła kolekcja.

-Po to jedziesz do Brożan. I niech się wypowiedzą historycy sztuki - miałem na myśli przede wszystkim profesora Kubereę, jego kandydatura wydawała mi się najwłaściwsza; badał kolekcję, potwierdził, że zaprojektował ją Meissonier, o czym w swej monografii napisał ofiarodowca.

-Przywieźć srebra, przedstawić nasze ekspertyzy i niech się wypowiada - Bej jak zwykle wyprzedzał sam siebie.

-Najpierw trzeba się z nim porozumieć.

Profesor był na urlopie, za kilka dni wracał z Włoch. Mógłby poprosić irmeego specjalistę, lecz on miał tę przewagę, że znał przedmiot od dawna.

-To formalność i może poczekać, a ty jedź do Brożan. Niech wszczynają dochodzenie.

Telefoniicznie wyciągnąłem go stamtąd po dwóch dniach.

-Z tobą nie można pracować! - pienieł się po powrocie. - Tam był pożar...

-Pożar muzeum?!

-Nie. Pożar w ogóle kilka lat temu. Bomba, bracie!

-Bomba, Bej! Służba graniczna zatrzymała Kruposza z fałszywym francuskim paszportem. Jechał z Romanem Rybarczykiem.

-Firma Sauville i Cerdan? - pamiętał wymienione przez Adama nazwisko c^owieka, za pośrednictwem którego plastyk otrzymał w Paryżu pracę.

-Ten sam. Jechali samochodem, należącym do Rybar- czyka. Granatowy renault. Chłopaki ze służby gospodarczej wypożyczają nam ich obu, ale na krótko i dlatego musimy zrobić to na cztery ręce.

Wobec takiego wydarzenia bomba przywieziona przez Beja nie eksplodowała. Dochodzenie w Brożanach musiało toczyć się z



udziałem sił miejscowych, bez pomocy Beja.

Moje dobre chęci w stosunku do kustoszki pozostały dobrymi chęciami.

Później nie mogłem sobie tego darować, bo tam znajdował się klucz do całej sprawy.

Lecz teraz Kruposz, nie należący do nas, a tylko gościnnie występujący w śledztwie o zabójstwo *przy* ulicy Wróblej, wydawał się ważniejszy.

Paszport Kruposza maestrią techniki przypominał dokument ViUeforta. Był wystawiony na nazwisko Mirosława Sambora, Polakanaturalizowanego we Francji. Z fotografią identyczną jak ta, którą znalazłem na Wróblej.

Jako Sambor Kruposz prezentował w naturze i na tym zdjęciu utlenione na blond włosy i szkła, których w rzeczywistości nie potrzebował. Ta niewielka charakteryzacja zmieniała, różniła od rysopisu i podobizny zamieszczonej w liście gończym.

Oficer straży granicznej nie rozpoznał go, dokument także nie wzbudził podejrzeń, tylko wopista, z natury flegmatyczny, do tego jeszcze z namaszczeniem celebrował swoje obowiązki i w jego wydaniu odprawa trwała dłużej niż u irmych. Godny, poważny; lekko zezował, co Kruposz odebrał jako szczególnie przenikliwe spojrzenie. Poczul się przezroczyście.

Puściły nerwy.

Miesiące nieustannego lęku, a bał się wszystkiego i wszystkich, nawet tych, co mu pomagali w ucieczce, skruszyły jego odporność. Przekroczył miarę własnej wytrzymałości i kryzys zaskoczył go w najmniej spodziewanym momencie.

Nienaturalne zachowanie francuskiego Polaka zwróciło uwagę oficera. Czego on się tak boi? - mózgował, teraz już świadomie marudząc ze zwrotem dokumentów. Twarz rzekomego Sambora spływała potem, ukrył w kieszeniach ręce, żeby nie widać było ich drżenia.

Jego towarzysz odebrał swoje papiery i w pewnej chwili, krótkiej jak błysk, zrobił rucli, jakby natychmiast chciał odejść i pozostawić tamtego Nie uszło to uwagi oficera.

Obaj podróżni byli już po odprawie celnej. Może przemyt? - pomyślał wopista i nakłonił celników do ponownej, bardziej szczegółowej kontroli, sam zaś sięgnął do rejestru osób poszukiwanych.

W taki sposób zidentyfikowano Kruposza.

Wezwana milicja zatrzymała do wyjaśnienia także Ry-

barczyka; wypierał się bliższej znajomości z aferzystą, lecz na wszelki wypadek obu skierowano do naszej dyspozycji.

Wobec mnie Rybarczyk powtórzył złożone już poprzednio oświadczenie: tego człowieka poznał niedawno, spotkał go przy barze w warszawskiej restauracji. Od słowa do słowa zgadali się, że obaj w jednym czasie wracają do Francji. Sambor wprosił się na towarzysza podróży, Rybarczyk nie miał nic przeciwko temu, tym bardziej że otrzymał zwrot połowy kosztów za benzynę.

Przerwałem przesłuchanie. Nie miałem na niego nic, oprócz podejrzeń, więc niech skruszeje. Kruposz z nich dwóch był słabszym ogniwem, nie miał już wiele do stracenia - tak sądziłem - i łatwiej go nakłonić do szczerości, może to mieć wpływ na wyniki oczekującej go rozprawy.

Powiedziałem mu o jego fotografii znalezionej u Stelmaszczyka, bliźniaczej odbitce tej, jaką ma w fałszywym paszporcie.

- Od niego ten paszport kupiłem - oświadczył wręcz, gdy tylko wymieniał nazwisko cykliniarza.

Znał go od lat, chociaż widywali się rzadko. Tylko par^ okazji, kiedy Stelmaszczyk bawił w Szczecinie lub Kruposz w Warszawie. Gdy spotkało go to nieszczęście, jak nazywał popełnione przez siebie nadużycia, uciekł przed aresztowaniem ze Szczecina do Warszawy i znalazł u niego schronienie.

Nie, nie liczył, że go Stelmaszczyk na dłużej tu urządzi, po prostu nie miał co ze sobą zrobić. Nie miał też zamiaru mówić mu o swoich icłopotach, lecz tego wieczoru w dzienniku telewizyjnym ukazało się jego zdjęcie i komunikat prokuratury o poszukiwaniu.

- Wynoś się w tej chwili! - krzyknął Stelmaszczyk; siedzieli przy kolacji.

- Ale ja miałem pieniądze, panie poruczniku, i dogadałiśmy się.

Przez dwa miesiące siedział u niego w pralni, na spacer nie wychodził nawet wieczorem.

- Za pięćset tysięcy mogę ci załatwić dobry francuski paszport - zaproponował po dwóch tygodniach Stelmaszczyk. - Zgodziłem się, bo jakie miałem inne wyjście?

Stelmaszczyk przyniósł hennę, utlecił mu włosy i zaopatrzył w szkła, zwykłe szyby, zmieniające jednak wyraz twarzy. Wtedy zrobił mu zdjęcie. W miesiąc później dałmu paszport i kazał się wynieść.

- Od dzisiaj się nie znamy - pożegnał go Stelmaszczyk; Kruposz poszedł pod Polonię w Alejach Jerozolimskich. Tam pod lokalem rezerwacji kwater prywatnych zawsze czatują na klienta pośrednicy mieszkaniowi. Tu domówił się z takim pośrednikiem, od którego odnalazł pokój płatny dziesięć dolarów za dobę.

- Adres?

- Ja tam mieszkałem bez meldowania, nie wiem, czy on się teraz przyzna - wił się Kruposz i acz niechętnie wreszcie podał ten adres.

Znów nie bardzo wiedział, co ze sobą począć, oswajał się ze swoim nowym dokumentem. Nie mi<sup>^</sup> jednak odwagi starać się o bilet na pociąg lub samolot. W ogóle mało wychodził, tyle aby zjeść. Wybierał luksusowe lokale, czuł się w nich bezpieczniej.

Przed paroma dniami spotkał przy barze Rybarczyka, usłyszał, jak tamten rozmawiając z barmanem wtrąca francuskie zwroty; przedstawił mu się jako rodak z Lyonu, potem domówili się co do wspólnego wyjazdu.

Opowieść była zgrabna, nawet zbyt zgrabna. I szczególnie zastanawiająca łatwość, z jaką obciążał Stelmaszczyka, tylko Stelmaszczyka!

IV

- On powiedział, że przeciągnął strunę - wyseplenił hominid mówiąc o Stelmaszczyku On; tępy goryl, w przenośni i dosłownie, z małpią szczęką i łapami jak kowalskie cęgi. - Podobno znasz judo - ćwierkał dalej, gdy razem z tym drugim prowadzili mnie między sobą do samochodu.

- T<sup>^</sup>lko grzecznie - mamrotał drugi antropoid z główką w jasnych lokach i oczkami śniętej ryby. - Wiesz, ja jestem szajbus i mam wariackie papiery, to ty mnie lepiej nie denerwuj - wtlaczając mnie do samochodu, tknął w żebra lufą pistoletu.

- Umiesz mówić! No, no, ktp by pomyślał! - zdziwiłem się; żart wypadł anemicznie, ale ani sytuacja, ani audytorium nie usposabiało do żartów. Ci zaś mieli szczególne poczucie humoru. To, co bawiło ich, mnie nie bawiło zupełnie. A hominid ulokowawszy mnie w kącie wozu demonstracyjnie trzymał w rękę lekko rozwartą brzytwę.

Moja znajomość judo była blefem, który dość dawno sprzedałem w fym środowisku; znałem zaledwie kilka *I* chwytów samoobrony. Może i coś znaczyły na otwartej przestrzeni, w każdym razie mogły pomóc w ucieczce, ale nie były przydatne wewnątrz samochodu, zwłaszcza kiedy obstawili mnie,

przygotowane na wszystko, dwa pupile marszanda, bo tak czasami mawiał o sobie Stelmaszczyk.

Widziałem ich u niego kilka razy przelotnie, absorbowali mniej uwagi niż fałszywe antyki w salonie ich szefa. Zagadnięci, odpowiadali pomrukami i pochrządaniem, szczególnie ten z bladymi oczkami bez wyrazu. Dlatego Stelmaszczyk ochrzcił go Dzik.

- Rechta jak dzika Świnia - wytłumaczył źródłosłów przezwiska, którego właściciel miał na imię, zdaje się, Wojtek.

Drugiego hominida, Mundka, w najbliższym otoczeniu marszanda nazywano Balwierz, lecz nigdy nie interesowałem się dlaczego.

- myślałeś, że ja się składam tylko z przelyku i odwrotnie - powiedział teraz ze smutnym wyrzutem. - A u mnie główka pracuje...

- Przechwalasz się! Jakby pracowała, tobyś schował brzytwę.

- nawet nie wiesz, bo skąd możesz wiedzieć, że ze mnie najlepszy balwierz w tym mieście - wyseplenił, zręcznie podrzucając brzytwę w taki sposób, że rozkładała się w locie, a on chwycił ją za oprawę.

- Zostaw, jeszcze się skaleczysz - poradziłem; już teraz wiedziałem, skąd do niego ten fryzjerski przydomek.

- On mówi, że ja się skaleczę - ryknął śmiechem, wielce ubawiony.

Oficjalnie obaj byli zatrudnieni w firmie posadzkarskiej służącej za szyld marszandowi; teraz miałem okazję przekonać się na własnej skórze, do czego służyli nieoficjalnie. No i po raz pierwszy usłyszałem, że potrafią mówić pełnymi zdaniami.

- Czego chcecie? - nie czułem się najpewniej, ale nie sądziłem, aby Stelmaszczyk pozwolił im użyć brzytwy czy pistoletu.

- On powiedział, że przeciągnąłeś strunę - zaszemrał jak refren Balwierz.

- Już to mówiłeś.

- Jakbym miał taką prezencję jak ty -znówposmutniał hominid - to też bym nie chodził za goryla. Prezencji nie można nabyć, ale można stracić, wiesz? -no proszę, jeszcze jeden, co minął się z powołaniem i zupełnie nie lubi tego, co robi. Z samej frustracji gotów poderżnąć mi gardło.

-On ci kazał tyle gadać? - nie zmieniłem tonu, chociaż czułem się coraz gorzej.

-Gdzie masz paszport? - wyseplenił po chwili milczenia.

Dzik przy kierownicy nie odzywał się ani słowem; wóz nieuchronnie oddalał się od przedmieścia, za szybami umykał las osrebrzony księżycem, gdzieś z trzewi podpeł- zał ku krtani strach, wstrętny strach o smaku zółci. Usiłowałem trzeźwo ocenić sytuację.

Niestety, paszport miałem przy sobie i nawet nie został mi tak znikomy atut do przetargu z tymi dwoma, do których nie docierała abstrakcja, tylko konkret. Nie mogłem powiedzieć: musicie zawrócić, dokument zostawiłem w hotelu. Gdybym potrafił wyjąć go niepostrzeżenie i ukryć w tym ich wozie, chociażby za siedzenie czy rzucić pod nogi. Nie mogłem. Mimdzio nie spuszczał ze mnie oczu.

Przerażało, dlaczego Balwierz mnie nie obszukuje; starczyło sięgnąć, portfel miałem w wewnętrznej kieszeni marynarki. Nie chce się ze mną szarpać, czy ma zamiar zrewidować dopiero trupa? Gdzie tO'zrobią?

Spojrzałem po wozie. Obicia jeszcze pachnące świeżą skórą, czy to nowy samochód Stelmaszczyka? Znając jego przywiązanie do r z e c z y, w żadnym razie nie pozwoliliby zachłapać ludzką farbą swego nowego pojazdu.

Poczułem lodowate strumyczki potu ściekające mi spod pach. Jakie będę miał szanse na otwartej przestrzeni, gdzieś w lesie?

Niemożliwe, aby kazał mnie zabić! To niemożliwe! - krzyczała wewnątrz mnie śmiertelnie przerażona, pr^- wiązana do życia istota. Za co mam umierać, nigdy nie stosowałem przemocy i nienawidziłem przemocy. Wierzyłem nawet w rozum, ufałem inteligencji. Dlatego idąc na spotkanie ze Stelmaszczykiem nawet nie pozostawiłem tego przekłętą paszportu w hotelu. Byłem pewny, że się z marszandem dogadamy i dostanę wolną rękę na te kilka dni, których jeszcze potrzebowałem do sfinalizowania sprawy. Obiecuję mu odpowiedni procent i to wystarczy. Inna sprawa, czy miałem zamiar mu ten procent dać, ale o zamiarze nie mógł wiedzieć.

- Chcę cię widzieć - zatelefonował do mnie do hotelu; nie spodziewałem się, że mnie odnajdzie. Skoro jednak odnalazł, to

znaczy, że zna nazwisko, jakie kazałem wpisać do paszportu, a skoro je zna, dostał sprawozdanie z Paryża. Szybko działała ich zakazana łączność, liczyłem na dłuższy okres dezinformacji.

- Chętnie służę - zapewniłem; bardzo kłamałem. Ostatnim uczuciem, jakie w tej chwili żywiłem, to był ten zapal do spotkania z nim. Ale nie miałem innego wyjścia, wyobrażałem sobie jego nastrój, unik doprowadziłby go do wściekłości, mógł mi szpetnie zaszkodzić, bo w gruncie rzeczy jest to kawał chama, tyle że znającego się na dziełach sztuki. Nie starczyło mi tylko wyobraźni, co może zrobić taki cham z aspiracjami na szefa gangu.

Nie chciał, abym przyszedł do niego, nie chciał afiszować się w Fonom ani w żadnej uczęszczanej knajpie. Mnie też nie było to na rękę. I ja sam, ciężki idiota, wybrałem tę ustronną restauracyjkę przy wylocie szosy do Kampinosu.

- A on nasłał tych hominidów, których nigdy nie brałem na serio. Byli, bo byli, ale istnieli jakby poza moją świadomością, gdzieś na marginesie, potrzebni do czegoś tam, wykorzystywani do prac ciężkich, a nie wymagających nadmiernego wyężdżania umysłu, bo osobliwy mecenat stworzony przez tego nifewydarzonego cykliniarza był oparciem dla inteligentnych złodziei i utalentowanych fałszerzy, a nie osiłek z mózgowiem wielkości kropli rtęci.

Pomysł tego miłośnika dzieł sztuki był genialny w swej prostocie, nakłady własne minimalne - oczywiście pewne ryzyko. Ale salon wystawowy ogromny, jego utrzymanie bez kosztów. Ani podatków, ani składek ubezpieczeniowych. Nie ma problemu z ochroną przed złodziejami, nie trzeba łożyć na konserwację, nie zamraża się k&pitału.

Cała galeria mieściła się w kilku albumach. Wkleja tam fotografie dzieł z najróżniejszych dziedzin sztuki, z krótkim opisem stylu, epoki, nazwiskiem twórcy. Wyławia je, jeżdżąc po kraju jako turysta.

Doszedł do perfekcji w znajomości historii sztuki, stylów, szkół. Spojrzy i wie, w jakiej pracowni dzieło powstało - zwłaszcza sztuki dotnicznej. I bardzo rzadko się myli. Talent!

Odkrywa w zapadłych kątach, miejscowościach mających opinię pustyni kulturalnej, dzieła wielkiej wartości, unikalne, czasami o niewielkich walorach artystycznych, lecz modnie. Tropi zapomniane, bądź lekceważone, trafia do pokątnych zbieraczy, amatorów, hobbystów i do zwykłych ludzi, którzy coś

mają, często nie zdając sobie sprawy co.

Omija wielkie muzea, znane eksponaty i renomowanych kolekcjonerów. Kupnem hańbi się tylko w ostateczności. Fotografuje sam lub okazjnie zdobywa fotografie dzieł, które go interesują. Dolouentuje co, gdzie i u kogo, oczywiście bez wiedzy zainteresowanych. Te wyszperane przez niego przedmioty stają się potem propozycją handlową.

Potencjalny klient otrzymuje do ręki katalog i wybiera. Gdy się na coś zdecyduje i uzgodni cenę, wpłaca jedną trzecią tytułem zadatku. Podaje adres, czy tylko miejsce, gdzie zamówienie ma być dostarczone. I otr<sup>^</sup>mujenicie- dy oryginał, niekiedy kopię. Przy odbiorze płaci resztę sumy.

Kopię zadatkowanego dzieła sporządza plastyk o odpowiedniej specjalności, wtedy do akcji wkraczają złodzieje i zabierają oryginał znajdujący się w gablocie gorzej lub lepiej strzeżonego muzeum, w mieszkaniu prywatnym czy w nawie kościoła, a na jego miejscu pozostawiają replikę.

Dawniej ten handel nie przekraczał granic i ów szczególnie mecenas sztuki nieraz tracił świetnych zagranicznych klientów, bo odstępowali od zamiaru zakupu nie ryzykując wywozu. Z czasem znakomita firma pokonała i tę niedogodność. Za dodatkową, wysoką opłatą, dostawia nabyty towar do Wiednia, Paryża czy gdzieś do Niemiec.

- Zdążyłeś oskubać publikę czy poszło ci koło nosa? -  
Mundzio znów dał znać, że składa się nie tylko z przetyku i odwrotności, lecz także ze strun głosowych.

- Ode mnie możecie zaraz dostać więcej, niż wam szef płaci za cały rok.

- Dawaj.

- Zawrót do miasta.

- On powiedział: hochsztapler to największa franca i uważajcie, chłopaki, żeby nie zrobił z was balona. A u mnie główka pracuje!

- Powiesz jemu, że nie przyszedłem na imiówione. Zawracaj. Ile chcecie na dwóch? Gadaj, Dzik.

- Hrumm, Mtindek rządzi - zarechotał.

- Swoje sztuki-magiki schowaj dla mądrali. Ja jestem zdrowy prymityw, sam słyszałem, jak tak o mnie mówiłeś...

- westchnął ze smutkiem Mundzio.

Było gorzej, niż myślałem. Balwierz miał do mnie również swoją prywatną urazę i teraz pewno chce ją sobie' zdyskontować,

skoro został spuszczone z łańcucha.

- ...jestem zdrowy prymityw! Ale jak pracuję jednego, to nie u drugiego. Nie żaden ze mnie obojnak! - zaakcentował z satysfakcją ostatnie słowo, uznawszy je widać za elegancką deklarację lojalności względem szefa.

Nie odezwałem się; jeśli moja propozycja zachwiała jego wiernością, da ^os, jeśli nie, dalsze przekonywanie jest bezcelowe.

- Ja do ciebie nie mam złości - przepraszająco zakłapał Mundzio, jakby przejrzał moją ostatnią myśl. - On powiedział: hochsztapler...

- Mundziu, ja jestem messer!

Tak, jestem messer, chociaż początki miałem skromne, a nauczycieli miernych, bez wyobraźni, bez rozmachu; karmili mnie legendą o tych, co kiedyś w czasach zamierchłych, dla mnie historycznych, bo na bardzo długo przed moim urodzeniem, sprzedali kolumnę Zygmunta lub wydzierżawili tramwaj. A ponieważ teraz nikt nie kupi pomnika ani nie uwierzy w możliwość zrobienia pieniędzy na komimikacji miejskiej, moi mistrzowie zarabiali polując pod bankami na naiwnych, a chciwych kasjerów, łapiąc „na brylant” czy „na cudzoziemca”.

Drobni kramarze, czegoż się mogłem od nich nauczyć? Tkwili w ogranych schematach, co najwyżej zmieniając warianty. Dinozaury! skazane na wymarcie. Nie przystosowani. Nawet jeśli mieli pomysły, nigdy dość pieniędzy na ich realizację, bo im lepszy pomysł, tym lepszej wymaga oprawy.

Rozstałem się z ostatnim moim patronem, zanim znów trafił do więzienia, co zresztą zdar^ło mu się nie po raz pierwszy. Odszedłem od środowiska, wśród którego łącznie odsiedziane wyroki sumują się w dziesięciolecie. Nie chciałem dorzucić do tej statystyki lat własnych, co spotkałoby mnie nieuchronnie, gdybym pozostał w tej sferze działania. I od tej pory nigdy nie miałem szefa, i sam nim nie byłem. Najwyżej sporadycznie dobieierałem pomocników, jeśli okoliczności wymagały rozpisania ról.

Od startu upłynęło siedem lat. Nie wpadłem ani razu. Szczęście? Pewno mi sprzyjało. Lecz nigdy nie powtarzałem tego samego numeru. Jak talia kart wytrawnym graczom, służył mi



tylko raz, no i egzystowałem na dwóch płaszczyznach, szczególnie od siebie izolowanych. Nie byłem chciwy, pieniądze mnie się nie trzymały.

Kiedy do moich jednorazowych klientów docierało, że kupili abstrakcję, zapłacili dosłownie i w przenośni za własny brak skrupułów, snobizm albo marzenie, kiedy podnosiła się wrzawa i wołano o lincz - co działo się nie zawsze - i ruszało polowanie z nagonką, już dawno nie było tego, kogo szukano, bo jak większość ludzi byłem wpisany w konkretne tło. Zawdzięczałem je bratu.

Dobry Pan Bóg uformował go ładując na obraz i podobieństwo geniusza, obdarował wszystkimi wadami i zaletami właściwymi wybrańcom - zapomniał o drobiazgu, nie dał talentu. Tego nieuchwytnego stanu łaski, co może jest tylko nie zbadaną jeszcze chorobą, jakąś odmianą padaczki na przykład, albo nie znanym wirusem, brakiem lub nadmiarem jakiejś substancji w organizmie. A ludzie, usiłujący wszystko sklasyfikować, nazywają to twórczym widzeniem świata, inwencją, iskrą bożą, czy czymś tam jeszcze.

Niegodziny żart uczynił dobry Pan Bóg eksperymentując z moim bratem, bo to wielkie puste miejsce pierwotnie przeznaczone na talent wypełnił ambicją. I mego brata zżerała ambicja. Wierzył, że jest rzeźbiarzem.

Marzył o pozycji, n a z w i s k u , o fortimie. Karłał i pożywał tych rzeczy w odwróconym porządku. Poprzez fortunę do pozycji i nazwiska.

Na razie zarabiał na życie robiąc rzeczy ostateczne, czyli nagrobki.

Na razie, okazało się trwałe jak każda prowizorka, uszkładały się lata, pozycja mego brata okrzepła i ustaliła się w firmie, zwłaszcza po śmierci właściciela, gdy ster ujęła twardą ręką młodsza o dwadzieścia pięć lat wdowa.

Dobiegała pięćdziesiątki, miała cerę i charakter jakby wiecznie zanurzony w kwasie, figurę rosłego dragoria, idealnie płaską, bez śladu jakiegokolwiek wypukłości, i przepiękne dłonie. Widać natura w ostatniej chwili usiłowała wynagrodzić zadaną jej krzywdę.

Nie odbierała nadziei dwóm starającym się z sąsiedztwa majstrom z konkurencyjnych zakładów.

- Chcą mnie jako dodatek do moich pieniędzy, ale kobieta potrzebuje chociaż złudzeń...—zwierzała się memu bratu; na swój sposób mądra, sceptyczna, z fatalistycznym poglądem na życie. Pewno tę perspektywę dawało jej rzemiosło uprawiane od lat, co wcale nie wpłynęło hamująco na jej energię i spiyt. Miała dwie silne namiętności. Kochała pieniądze i wnuka. Podrzucany od czasu do czasu na przechowanie przez jej zamężną córkę, barłóżył się po warsztacie i siusiał na nagrobki.

Brat przezwiał ją Dusia, bo diasila pieniądze, wyciskała siódme poty z robotników płacąc im akord, kantowała wydział finansowy i klientów na jakości materiału, nawet dla hien cmentarnych była ponurym lichwiarzem, za grosze kupowała od nich kamień kradziony na starych cmentarzach.

Zdarzały jej się przyplwy wielkoduszności. W jednym z takich momentów, za namową brata, przyjęła mnie.

W taki sposób zyskałem w dowodzie wpis o stałym zatrudnieniu, miałem nie normowane godziny pracy, dochody też, ponieważ Dusia płaciła mi za konkret od sztuki lub metra.

- Z klientami Wicio umie rozmawiać, ale robić nie lubi - oceniła mnie po jakimś czasie w rozmowie z bratem; było to stwierdzenie, nie pretensja, bo jako się rzekło, dzięki systemowi płacy nic na mnie nie traciła, a w ogólnym bilansie zakładu liczyła się sprawna i bezpłatna obsługa klientów.

W firmie reprezentowałem grafikę użytkową, czyli liter-nictwo nie powielane i projektowanie nietypowych nagrobków.

Jeśli się trafiły zamówienia na pomniki, szkicował je brat, to samo odnosiło się do liter - te prace wpisywał na moje konto.

Takie oferty nie zdarzały się często. Pomysł, rysunek, modelowanie, potem kamień i jego obróbka jest procesem kosztownym- Trwałość bytu firmy zapewniało kilka zunifikowanych schematów przystosowanych do podstawowego surowca, lastriko i cementu. Do napisów służyły szablony.

Dusia lubiła Andrzeja na swój cierpki sposób, a jako pierwszy po szefowej miał do wyłącznej dyspozycji kojec z oknem, wydzielony przepierzeniem z kąta szopy, nie wiedzieć czemu nazywany kantorem, i prawo do twórczości własnej w tejsze szopie.

Dusia ceniła sobie, jeśli stał tam nie związany tematycznie z nieobsczykami, modelowany w glinie kształt, nama- CiJny

dowód posiadania artysty. Podnosił prestiż firmy.

- Zacząłem coś nowego... - mówił od niechcienia i wiódł mnie w miejsce, gdzie pod mokrą jdachcą wypiętrzał się kolejny knot. Bo na domiar *złego* on miał skłonności do monumentu.

Dopiero potem, po wypadku, ujawnił talent, lecz w zupełnie innej dziedzinie, lyiko wtedy było już za późno. Jest taki termin w psychologii; granica szoku. Jego talent zrodził się, a może tylko wj'zwolił, gdy Andrzej przekroczył granicę szoku. Wtedy stał się zupełnie innym crfowie-kiem, nigdy ani przed, ani po tym nie wdziałem tak gruntownej zmiany osobowości. Lecz zdarzyło się to znacznie później. A tymczasem klepał swój względny dostatek, marzył o porzuceniu pracy, o której sądził, że podcina mu loty i zapłaciłby każdą cenę, aby się wybić, lyiko nie było diabła chętnego przyjąć cyrograf. '

- Trzeba myśleć o przyszłości - napominał i powściągał mnie w wydawaniu pieniąd<sup>^</sup>, gdy właśnie je zdobyłem; to, co mu dawałem, oszczędzał.

- O jakiej przyszłości?

- Nie możesz tak <sup>^</sup>ć zawsze.

- Mogę. To nie tylko szmal, to sposób życia.

Nie rozumiał, marzył o dużych pieniądzech. Wreszcie je zdobył, ale przyszły do niego podobnie jak w niasamowi- tym opowiadaniu o zajęczej łapce, spełniającej trzy życzenia, tylko trzy!

Kiedy mój brat znalazł swoją zajęczą łapkę, oslepl od chciwości. Nie poprzestał na dwóch życzeniach, trzecim, ostatnim, nie odwołał dwóch poprzednich, jeszcze raz zażądał pieniędzy. I ziściło się. Okrutnie obdarował go los

- tylko pieniędzmi!

Zajęczą łapkę ofiarował Andrzejowi Stelmaszczyk.

Wróciłem z kilkudniowej wyprawy w inny wymiar, w domu nie zastałem brata, tylko naglącą kartkę od Dusi, żeby zgłosić się do firmy.

- Andrzej wyjechał - powitała mnie szefowa; jego wyjazdy nie były niczym niezwykłym, nie zastanawiałem się, jakie miewa zlecenia, a w ogóle sądziłem, że jeździ tylko w interesach nieboszczyków Dusi.

- ... a Wicionawetnieraczywiadomościostawić, gdzie go szukać, jak potrzebny. Nie wstyd Wiciowi tak się wałkonić!

- A szefowej nie wstyd kantować nieboszczyków?

- Jest ekstra stalimek - nie przyjęła do wiadomości

drażliwego pytania - a Wicio gdzieś przepada.

- Wracam z cementarza, jeden umrzyk bardzo brzydtko mówił o pani.

- Ostatnie lastriko - zaniepokoiła się; pewno dobrze wiedziała, że ostatnie lastriko nie jest w porządku.

- Właśnie. Cokół popękał, za dużo piasku w cemencie - pofantazjowałem; gdy na mnie napadała, robiłem jej takie numery. Strzelałem w ciemno i trafiałem zawsze, bo zawsze miała jakiś kant na sumieniu.

Andrzej wrócił do domu późnym wieczorem. Zawiadomiłem go o nadzwyczajnym zamówieniu w granicie. Oient mieszkał stale za granicą, przyjechał na miesiąc, chce widzieć projekt przed wyjazdem. Płaci walutą.

- Coś znowu zmalował, mały draniu - zagadnął o moją 152 niedawną wyprawę; nigdy nie wtajemniczałem go przed faktem, nie dlatego, abym mu nie ufał, byłem przesądny.

- Skąd to masz? - zaintrygował mnie aparat fotograficzny, japońskie poemko, warte majątek, który pieczołowicie chował mój brat.

Kosztowny aparat i rolki f Umów rano odebrał Stelmaszczyk, wtędy zobaczyłem go po raz pierwszy. Nazajutrz przyjechał do firmy.

- To niewarte ceny papieru - rzucił Andrzejowi stertę odbitek.

- Dlaczego? - zdziwił się mój brat i do mnie; — zostaw nas samych, Witold.

Wyszedłem z kantoru. Z drugiej strony przedostałem się do szopy przez oblużowaną deskę. Podkradłem się do przepierzenia odgradzającego kojec. Andrzeja od reszty pomieszczenia. Podśluchiwałem. Interesował mme ten facet mający sekrety z bratem. Co za tajemnice ma przede mną ten ścichapęk, knotmistrz rodzony?

Nie była mu obca fotografia, miał nawet jakiś dychawiczny aparat ale używał go rzadko, bo nie interesowała go ta dziedzina. Czasami przy okazji wyjazdów, fotografował efektowne nagrobki. Później powiększone fotosy wisiały na ścianach „biura” Dusi. Lecz to, co rzucił na stolik niezadowolony gość Andrzeja, nie miało nic wspólnego z profilem firmy. Dokładnie nie wiedziałem, co przedstawiają te zdjęcia, bo żurawia zapuściłem przelotnie i zaraz zostałem wyrzucony.

- ... potrzebna jest zwykła fotografia - dobiegł mnie ^os zza ściany; mówił gość.
- Do odtworzenia najważniejsze są fotokopie opisu sreber. A te zrobiłem. To fachowa monografia, masz tam odnotowany nie tylko moduł, ale nawet najmniejsze szcze-  
góły-
- Wiem, co marti, a czego nie.
- Ależ to jest podstawą db Wykonania kopii, liie żadne

nawet najwierniejsze zdjęcie. Według tej dokumentacji można zrobić w ciemno, jak przez kalkę.

- Potrafisz? - z przekąsem warknął gość-

- Nie moja dziedzina.

- To się nie mądrz! Majster od tych blaszanek żąda wiernych fotografii i trzeba mu je dać.

- Drugi raz nie pojedę! To straszna dziura te Brożany.

Zapamiętają każdego obcego, a jeszcze gdy zjawi się dwukrotnie w ciągu krótkiego czasu.

- Ja też nie mogę, raz już tam byłem.

- Może Biedronka? - zaproponował mój brat.

Wtedy po raz pierwszy ustyszałem o wszechstronnej sekretarce Stelmaszczyka. Później, gdy ją poznałem, przedstawiła się jako: Biedroniówna. W taki niemodny sposób uszlachetniała swoje wcale sympatyczne nazwisko, brzmiące właśnie tak; Biedronka. Ale poza tym małym snobizmem była to bardzo trzeźwa i obrotna osóbką i cał- ■ kiem do rzeczy.

- Jeszcze bym rozumiał te wszystkie grymasy, gdybyś ten pastisz s^kował jako oryginał, ale tak...

- To duża, unikalna kolekcja. Czterdzieści osiem sztuk.

Rzuca się w oczy. Do tego najcenniejszy eksponat w tym niewielkim muzeum. Dlatego replika musi być ładząco podobna.

- Ile te blachy mogą ważyć?

- Ponad pięćdziesiąt kilo.

- Jak ty sobie wyobrażasz wymianę? Dom usytuowany fatalnie, rynek wielkości chustki do nosa, każdy każdego zna!

- Wiem.

- Szaleństwo!

- Nie twoja sprawa.

- Moja, jeśli mam w tym wziąć udział.

- Szczegóły w swoim czasie. Wszystko będzie jak w komputerze. Znasz mnie, nie!jestem samobójcą.

Byłem zaskoczony; zdałem sobie sprawę, jak ja nic nie wiem o swoim bracie. W co się miesza ten mój pasierb sztuki?

Od lat siedmiu żyłem pod groźbą określonej kwalifikacji kodeksu karnego, przywykłem do ryzyka i nie robiło na mnie żadnego wrażenia. Nie dać się złapać. Kropka. Ale w co się pakuje ten mój kiepski monumentalista? Zdaje się w kilka paragrafów na raz.

- Dwóch kryminalistów w rodzinie to za wiele - dopadłem Andrzeja w kantorze, gdy tylko wyszedł Stelmasz- czyk.

- O czym mówisz? - nie patrzył na mnie.

- Nie wykręcaj się. Podduchiwałem. Konspiratorzy od siedmiu boleści! A jakby w szopie filował ktoś inny? Kto to jest?
- Marszand.
- Nie podoba mi się ten miłośnik sztuki.
- Nie będziesz się z nim żenił.
- To szakal, brudny szakal! ICradzież w muzeum? Protestuję! Oniemiały wytrzeszczył na mnie oczy i ryknął śmiechem.
- Ja się zajmiję, nie wytrzymam! I kto to mówi, kto?! - skrecał się, rechotał ogarnięty niepohamowaną wesołością.
- Słuchaj, ścierwniku, ja temu przeszkodzę! - załamał mi się głos ze wściekłości; sparaliżował wstyd, czułem się, jakbym nagle obnażył jakąś odrażającą ułomność. Nienawidziłem brata.
- Nie chciałem cię urazić. Mały - spowaźniał. - Czemu chcesz przeszkodzić?
- Grabieży kolekcji w jakimś ubogim muzeum, gdzieś na końcu świata.
- Nie bądź taki dramatyczny. Grabieży! Kto chce grabić?
- Ten marszand i ty! Jesteście paskudniejsi od Dusi^bo ona kupuje tylko kradzione nagrobki, ostatecznie nieboszczykom jest wszystko jedno, żywym nie.
- Nawet podsłuchać nie potrafisz. Wszystko pokręciłeś. Robimy pastisz, aby go spylić pewnemu zagranicznemu snobowi.
- Przestraszyłeś się i kłamiesz!
- Słuchaj, gnojku, mnie niełatwo nastraszyć, zapamiętaj! Ten złom waży pięćdziesiąt kilo, musiałeś słyszeć! No to jak go wytaszczyć i wstawić iime pięćdziesiąt kilo? I jeszcze żeby nikt tego nie widział. Wyobrażasz sobie coś takiego, bo ja nie!
- Nie wyobrażałem sobie, zacząłem wątpić, *c-zy* dobrze zinterpretowałem sers ich rozmowy, bo przecież nie wszystkie słowa docierały do mnie *zza ściaaii*.
- To się zamknij, moralisto! To, co ty robisz, to jest etyczne, tak?
- Nie kradnę, składam tylko oferty! Nawet lyba ma szansę nie wziąć przynęty, a cóż dopiero człowiek, podobno korona stworzenia.
- Nie widzę różnicy, tylko ja nie dorabiam ideologii.
- Pokażę ci różnicę! - nie wiem, drogą jakich skojarzeń nasimł mi się pomysł, a pod koniec kłótni miałem niemal gotowy plan. Udowodnię temu niewydarzonemu kamieniarzowi, że razem ze swoim mecenasem do pięt mi nie dorastają.

Wyrobnicy bez wyobraźni. Bez pięćdziesięciu kilo srebra we wzorek nie potrafią upuścić sadła jakiemuś dorobkiewiczowi.

- Te zdjęcia niewarte są ceny papieru?
- Podśluchiwałeś, to wiesz.
- Warte są tysiąc dolarów - poniosła mnie urażona ambicja; artysta od nagrobków lastriko!

Starszy, silniejszy, dominował. I chociaż chodziłem własnymi drogami, nie wyzwoliłem się zupełnie spod jego wpływu. Nadal roztaczał nade mną tę cholerną opiekę, 156



ochraniał, pr<sup>^</sup>gamał na garnuszek, gdy brakowało mi na własny, a brakowało często.

Miałem wówczas dwadzieścia                      lata i wciąż dla niego byłem: mały, smyk, szczeniak. Istota niepełnowartościowa, chłoń bliska. Rodzaj kaleki z niewidocznym garbem, któremu należy pozwolić tak żyć, jak żyje, bo inaczej nie umie.

Prowadził jednoosobowy przytułek dla mnie, nieodpowiedzialnego chłopca. W jego mniemaniu nigdy nie stanę się mężczyzną, bo zostałem sfuszerowany, zanim się jeszcze urodziłem.

- Warte są tysiąc dolarów - powtórzyłem, bo w ogóle nie zareagował. - Mnie wystarczą fotografie, a ty potrzebujesz pięćdziesiąt kilogramów podrobionych antyków. Taka jest między nami różnica.

- Megaloman!

Pragnienie udowodnienia swej racji sprawiło, że pośpiesznie dobrałem pomocników, jacy byli pod ręką. Dokumenty też trafiły mi się nie najlepsze, poprawna była tylko legitymacja adwokacka. Natomiast postarzenie fotografii antycznych sreber ordynacji Zamoyskich wypadło świetnie. Bezwartościowe zdjęcia nie znanej kolekcji z prowincjonalnego muzeum nabrały patyny lat. Do dziś jedno z nich, kadr pięknej kafetery, symbol powodzenia ryzykownej akcji, nosiłem w portfelu. Amulet.

Przyswojenie wiadomości z epoki, historii ordynacji i   rodu, stworzenie odpowiedniego klimatu w środowisku bogatych dorobkiewiczów, żądnych dzieł sztuki dla lokaty kapitału i dla płynącego z ich posiadania splendoru, zyskanie opinii koneserów - J)ochłonęło trzy miesiące. Trzy miesiące pracy, abym na kilka dni mógł stać się godnym potomkiem Zamoyskich.

Nigdy dotychczas nie przeobrażałem się w starego człowieka, a jednak udało się; moja ryba chwyciła z miejsca, zaś hotelowe fagasy, przenikliwi obserwatorzy, ani przez chwilę nie wątpili w autentyczność starego arystokraty.

Pomijając tysiąc dolarów, z których oskubałem amatora kasztelańskich sreber, udał mi się ten ostatni potomek karmazynów, żał się z nim było rozstawać.

Wtedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że coraz mi trudniej porzucać zmyślane osoby, które do niedawna kończyły swe istnienie wraz ze scenerią, rekwizytami

i ubraniem. Coraz trudniej wracać do banalnej egzystencji, opuszczać stworzoną postać, jakbym zabijał. I chwilami - zwłaszcza gdy jeszcze trwało napięcie - zaciera się ta nieuchwytna już granica i nie wiem, kiedy jestem naprawdę sobą. tamten stworzony i unicestwiony, czy ten, co tworzy i unicestwia.

Początki paranoi? Mim ścigany zemstą pomordowanych masek? A jeśli kiedyś fikcja okaże się sUniejsza i już tak pozostaną, tragiczny klaun z maską przyrośniętą do twarzy! Przysłowiowy Napoleon zaludniający szpitale psy- chiatryczne. Rachunek za bezkarność, za sposób życia?

Wóz gwałtownie hamuje i wszystko dzieje się prawie jednocześnie.

- Wsiadaj - Dzik, w p^obrocie przechylony przez oparcie przedniego siedzenia bluzga mi w oczy światłem latarki. I oszalamiający cios w głowę, łapska Mimdzia na moich rękach, szarpnięcie, już stoję na poboczu. Następny cios w podbródek, w twarz, kopnięcie w goleń.

Księżyc zafalował nad lasem, ugiął się horyzont. Z wielkiego oddalenia słyszę mruczenie nie wygaszonego motoru i także z wielkiego oddalenia przypląwa, jak nie moja, myśl; dlaczego Dzik nie wysiada, który z nich teraz ma pistolet?

Ruchliwe ręce na moich kieszeniach i zdziwienie: jakie to zwinne ręce, i zdziwienie: dlaczego się nie bronię, dlaczego nie mam siły się bronić? I ciosy, i zamroczenie. Jakaś siła, której nie potrafię się przeciwstawić, wlecze mnie jak szmacianą lalkę. Pchnięcie ścina z miękkich nóg, zwałam się ciężką kłodą, ryję twarzą. Jak niewiarygodnie twarda i ostra może być trawa.

I nagle ktoś krzyczy, że będzie strzelał, i jeden po drugim grzmia trzy strzały. Tak dzieje się śmierć?

Zamieram.

Z tej raniącej trawy podnoszą mnie-czyjeś ręce, pochyla się nie znana twarz. Idziemy ku szosie, nie ma śladu po samochodzie hominidów, na asfalcie świeci reflektorami fiat. Kto mnie wyratował?

Milicja. Dwóch chłopaków w wytartych džinsach i rozchelstanych koszulach. Poprzez obracające się w mojej głowie żarna słyszę, jak jeden z nich, Bej - oni też noszą pseudonimy, bo przecież to nie może być imię - pyta o coś Mvmdzia stojącego potulnie z uniesionymi rękoma.

W smudze samochodowych świateł Bej patroszy mu kieszenie, oklepuje ramiona, piersi, uda.

Moje młyńskie kamienie rozcierają kolejną myśl: skąd wzięła się tu milicja, tajniacy! Młodzi ludzie wyglądający, jakby dopiero co wyszli z dyskoteki, i samochód z radiotelefonem, lecz bez emblematów.

W tych cholernych żarnach miele się i taka myśl: dlaczego ci dwaj chłopcy znaleźli się w środku nocy na tej pustej drodze wśród kampinoskiego lasu. Przypadek? To nie może być przypadek. Kogoś z nas namierzali, hominidów, mnie?

Jestem Gerardem de Villefort, plenipotentem firmy Ber- liet, obywatelem francuskim - nie wolno mi wypaść z roli; na razie nie mówię nic, usprawiedliwia mnie stan, w jakim się znajduję, i z początku zupełnie nie muszę symulować.

Zaskakuje refleks Mundzia. Ten kwadratowy zlepek 'mięśni, w niezmiennej manierze tępego osiłka, zgrabnie zaczyna nadawać tekst podsuwając sposób postępowania. Zapewnia solidarność wobec wspólnego niebezpieczeństwa.

Nie potwierdzam, ale i nie zaprzeczam, kiedy renault staje się moim wozem, a Dzik moim szoferem, natomiast Mimdzio niewinną ofiarą nieprzyzwoitych zabiegów per- wersa; tylko podnoszę głos o oktawę, chwilami barwię go afektacją cechującą niektórych pederastów.

Gdybyż ten hominid miał chociaż trochę gładszą gębę, a nie tę mordę smutnego pawiana, jego opowieść byłaby prawie wiarygodna.

Tajniak siedzący obok taksuje mnie wzrokiem, ale sposób, w jaki się do mnie odnosi, uspokaja; żadnych podejrzeń co do mojej tożsamości. Wierzy mi; uratował z rąk obwiesia przedstawiciela francuskiej firmy kooperującej z polskim przemysłem, bardzo możliwe, że homoseksualistę, co nie zmienia stanu rzeczy.

Zyskuję jednak pewność, oni na szosie znaleźli się nie z przypadku! To znaczy, przyjechali za Mundziem albo za Dzikim, albo za jednym i drugim. W takim razie musieli widzieć, jak mnie hominidy wyprowadzały z restauracji; nikt z tamtejszych gości nie zorientował się, że nie jest to dobrowolna przechadzka, ale milicja?

Niedobrze! Legenda Mimdzia jest bardzo krucha, jeśli zanotowali numer renaulta, trafią do Dzika jeszcze dziś w nocy, a stamtąd kto wie, czy nie do marszanda. Na razie są zdezorientowani, muszę wykorzystać tę pauzę i wykorzystuję.

Odprowadzony przez poruczników nareszcie pozostaję sam w swoim apartamencie. Z trudem udało mi się zaciągnąć ich do siebie, ale jeśli pedel ich zna, niech widzi, w jakiej jesteśmy komitywie.

I tak uratowałem Gerarda de Villefort, ale życia pozostało mu bardzo niewiele. Najchętniej ukatrupiłbym go zaraz, lecz nie mogę uciekać na oślep. Odpowiadam nie tylko za niego osobiście i za powodzenie przedstawicielstwa firmy, ale także za radcę prawnego oraz hostesę Gerarda de Villefort.

Przyszła natychmiast, gdy tylko zadzwoniłem. Zajmowała pokój obok, oczywiście znacznie skromniejszy niż ja, jak przystało personelowi pomocniczemu. Kompletnie ubrana, świeżutka, chociaż z pewnością nie spała.

- Mon Dieu, jak pan wygląda! - krytycznie przyjrzała się mojej twarzy. Nie trzeba było słów, aby zrozumieć, że stało się coś niedobrego, toteż nie zapytała o nic, ale nie objawiła nawet cienia niepokoju. To dziewczyna skonstruowana z fiszbinu, obdarzona stalowymi nerwami.

- Ma pan jakieś polecenia, monsieur? - nawet gdy byliśmy sami, nie wypadła z roli. Nie dowierzała hotelowym ścianom.

- Musimy wiać, Małgorzato - to było jej imię na czas sekretarzowania u przedstawiciela francuskiego przemysłu samochodowego. Według ułożonej legendy, studentka piątego roku romanistyki wynajęta za pośrednictwem spółdzielni akademickiej przez Gerarda de Villefort.

Zaangażowanie miejscowej dziewczyny ze znajomością języka jest tańsze niż zabieranie hostessy z Paiyza. Ostatnio u nas nader modne było mówienie o rachunku ekonomicznym, oszczędności, opłacalności, i co tam jeszcze. Skrzętność potężnej francuskiej firmy, kalkulującej nawet na gaży sekretarki, budziła przychylnie zrozumienie wśród potencjalnych klientów, chociaż oni nie skąpili na takich etatach, w ich sekretariatach walczyły się falangi rozleniwionych dziewczyn.

Prywatnie studentka Małgorzata nazywała się Fela i była zawodową narzeczoną. W różnych miejscach Polski, a także za jej granicami przybywało niedoszłych mężów Feli, pozbawionych przez nią złudzeń i pieniędzy. W kręgach profesjonalnych przyłgnęło do niej przezwisko, nazwa drapieżnej ryby: Barrakuda, bo Fela obdzierała upatrzonych kandydatów do żywego mięsa.

Najmłodsze, późne dziecko z licznego potomstwa Ba-6-Demon .161 wełny, nieczynnego już fachowca od sprzedawania byle szmaty za zagraniczną, najwyższej jakości wełnę i stąd jego przydomek w środowisku.

Barrakuda podtrzymywała tradycję rodzinną obrawszy wariant matrymonialny. Osiągnęła w nim rzadką doskonałość, miewała zaskakujące pomysły i technikę wielkiej aktorki.

Niepospolita dziewczyna. Chociaż nigdy nie zawadziła o żadną uczelnię, nieźle znała francuski i jeszcze w kilku językach klepała jak papuga. Zdolna była nauczyć się nawet sanskiyту, jeśli warunkował powodzenie w jakimś przedsięwzięciu.

Miała dwadzieścia jeden lat, bardzo zgrabny kuperek, nogi do uszu, wdzięk i buzię ślicznego dziecka. A co potrafiła robić z tą swoją buzią! Niewiarygodne. Wystarczyła peruka, trochę szminki lub zupełny jej brak, strój wreszcie i przeobrażała się nie do poznania.

Jeszcze nigdy nie współdziałałem z taką s i ł ą, bo Barrakuda, podobnie jak ja, przeważnie polowała samotnie, pomocników dobierała tylko wówczas, jeśli w żaden sposób nie mogła się bez nich obyć, a już z wielką niechęcią kobiety. Chyba że były niezbędne w charakterze mamusi. Ceniła się bardzo.

Zgodziła się wystąpić ze mną, bo zafrapował ją rozmach zaplanowanej imprezy, spodziewane wpływy, no i lubiła mocną grę. Uznała mnie za godnego partnera, bo już od kilku lat nazywano mnie: Messer. To mówiło samo za siebie. W zasadzie przezwiska biorą się z cech osobniczych lub rodzaju profesji. Messer to już nie przezwisko, to nobilitacja.

- Mistrz i... Małgorzata - dobrałem jej imię, spodobało jej się do zestawienie.

Barrakuda weszła do akcji rezerwując apartament dla przedstawiciela handlowego na podstawie depeszy, którą wysłałem z Paryża. Także ona zaklepała wypożyczenie wozu.

Dorabiający studenci są na og<sup>o</sup> traktowani z sympatią. Fela ze swym wdziękiem spotkała się z powszechną przy- chylnością. Zanim się pojawiłem, przygotowała odpowiednią atmosferę, ugruntowały ją moje bilety wizytowe i napiwki.

Rozesłałem oferty na pięknym welinie z nadrukiem firmy; oryginalna papeteria koncernu Berlieta, w którą zaopatrzyłem się u pasera paryskich fałszerzy. Tak zaczęła działalność zainstalowana w Forum filia handlowa z plenipotencjami na Polskę.

Proponowała P.T. klienteli dostawę w ciągu kwartału każdej Uości wozów farmerskich typu furgonetki i pik-up, a także samochodów osobowych instytucjom związkowym, spółdzielczym, osobom prywatnym. Do ofert załączałem oryginalne prospekty i katalogi, które otrzymałem gratis w agencji reklamowej salonu Berlieta w Paryżu. Kolorowe kadiy na kredowym papierze prezentowały w różnych ujęciach typy samochodów. Przy cenach poda" - łem przeliczenie na złotówki.

Rimęła korespondencja. Spodziewałem się żywego od-

dźwięku na moje zgłoszenia, ale to, co się stało, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Co bardziej napaleni zawiadamiali, że wymaganą zaliczkę wpłacili już na podane konto. Teraz proszą tylko o ustalenie terminu dopełnienia formalności, czyli podpisania umowy.

Zadziały prawa nienasyconego rynku. W saloniku apartamentu kłębili się interesanci, dzwoniły telefony, nieoceniona Barrakuda z wprawą rasowej hostessy porządkowała ten chaos, umawiała i notowała w terminarzu spotkania, częstowała kieliszkiem koniaku. Prywatnych detalistów zapraszała do hotelu, do notabli fatygowaliśmy się osobiście.

Przyjmowano nas uprzejmie, często jednak nasze oferty kierowano do instancji wyższego rzędu, odkładając podjęcie decyzji, co nas naturalnie nie urzędało,

Niektórzy oczekiwali lub wręcz bezczelnie żądali osobistych korzyści. Prowizja! - słyszeli, że coś takiego istnieje na Zachodzie i też chcieli zarobić. Małe cwaniaczki rozparte na wcale niemałych posiadach, dobrze opłaceni, niesyci nigdy. Nowi feudalowie na swych urzędniczych dworach.

Poczekalnia z pedlem, sekretariat i gabinet w metrażu, pięć telefonów, za biurkiem On, czynownik wysokiej rangi, marsowy, wspaniały.

Po wstępnych reweransach siadłem jak chiński bożek, Barrakuda streszczała informacje, które zawierały uprzednio wysłane pisemne oferty i katalogi. Powtórka.

- Wóz farmerski — włączyłem się w odpowiednim momencie — z regulacją zawieszenia, nieoceniony na różnych kategoriach dróg. Przystosowany do przewozu owoców, jarzyn i do sprzedaży wprost z samochodu. Ruchoma obudowa po rozłożeniu tworzy lady... - klepałem to, co dobrze już wiedział. Ten rodzaj furgonetki powinien go interesować przede wszystkim ze względu na profil reprezentowanej instytucji.

- T e k - oblażał się czynownik i żarłocznie zapatrzył w fotografię efektownego i horrendalnie kosztownego kabrioletu. — Piękny wóz, bardzo piękny. Ile pali?

Fela wyrecytowała wszystkie właściwości kabrioletu, ja podkreśliłem zalety i komfort.

- Moje zamówienie może być duże, nawet bardzo duże - znacząco zawiesił głos; tknął palcem w obrazek farmerskiej furgonetki. Jasne, do czego ten wstęp, lecz nie zadałem

oczekiwanego pytania, nie będę ułatwiał, niech się drań pomęczy. Wił się jak na ruszcie. Przeszkadzała mu godność łaskawego Boga, w jakiej przed nami wystąpił.

- Dostarczamy loco każdą ilość w ciągu kwartału od daty wypłynięcia zaliczki na nasze konto - stwierdziłem nonszalancko, wszak reprezentowałem koncern o olbrzymim potencjale prodijkcyjnym.

- Czy pańscy prawnicy, dyrektorze, wnieśli zastrzeżenia do projektu umowy? - zapytałem; do przesłanej oferty załączony był i taki dokument.

- W zasadzie nie - stęknął.

- Mam wezwać mego radcę prawnego? - jurystą przedstawicielstwa mianowałem Prlnza, przezywanego tak dla nienaganych manier. Jego sposób bycia, a zwłaszcza imponująca znajomość prawa handlowego i kodeksu cywilnego predestynowałyby go na poczesne miejsce w pale- strze, gdyby rzecz jasna nie robił tego, co robi, i potrafił wylegitymować się odpowiednim, nie sfalszowanym dyplomem.

Miał jedną wadę: lubił błyszczeć i kiedyś omal go to nie przywiodło do zguby. Zapragnął poklasku szerokich mas i wziął udział w telewizyjnej Wielkiej Grze jako prawnik amator. Doszedł do najwyższej wygranej i były to jego pierwsze w życiu bez kantu zarobione pieniądze, ale ktoś z tej wielomilionowej widowni rozpoznał go i zatelefonował do TV. Prinz z ledwością uciekł.

- Jestem do dyspozycji, proszę się zastanowić - zamknąłem teczkę, zgmiotłem w popielnicze zaczętego papierosa; jak przystało na wytrawnego handlowca, byłem uprzejmy, lecz rzeczowy, dawałem do zrozumienia, że mój czas jest cenny.

Ale mój tubyleczy, socjalistyczny P.D.G. - President Directeur General, tak we Francji nazywają ten gatunek - miał wszystkie narowy tej międzynarodowej kasty. Chmura zaciągnęła dostojne oblicze, władczym ruchem dłoni wbił mnie na-powrót w fotel, przenikliwy wzrok zagłębił w katalogu. Bez słowa podkreślał swoją pozycję.

Fela zastyga - w gabinecie dzwoniła cisza.

- Nic nie słyszałem o prowizji - zarządził wreszcie, nie doczekawszy się przemówienia do łapy.

- To się rozumie samo przez się. Bonifikatę od sumy globalnej uwzględnimy stosowną glosą w kontrakcie -



przewrotnie podsunąłem mu możliwość pożytków dla instytucji.

- Bonifikata - mlasnął z pogardą; spojrzął na mnie zniecierpliwiony, wionęło otchłanną ciciwością. Nie dbał o przysporzenie oszczędności klientom - w jego nomenklaturze byli tylko p e t e n t a m i - uzasadniającymi istnienie instytucji, która go żywi, odziewa, daje premie, honory, utrzymuje jego pięć telefonów i samochód z t o w a r z y s z e m kierową.

Nie po raz pierwszy; ^ w swych wyprawach do innego wymiaru stwierdziłem, że moja profesja ma zapewnioną przyszłość, dzięki istnieniu takich prominentów, a jest to gatunek niezniszczalny.

- Może być jakiś procent dla pana - uroniłem wreszcie propo: ^cję, której oczekiwał i dlatego tylko zaaranżował nasze spotkanie, bo umowę mógł podcyfrować w ogóle mnie nie oglądając. Do tych spraw miał specjalnych urzędników.

Pociękl służbowy winiak, P.D.G. zrobił się jedwabny i zawarł wspaniałą transakcję, na skutek której nieuchronnie trzaśnie pod nim ten cierpliwy fotel.

Chwalił moją znajomość języka, a nawet akcent, patriotycznie rozczulił nad pochodzeniem, gdy mu się zwierzyłem, że moja babka po kądzieli pochodziła z Warszawy. To była rzetelna prawda, życie spędziła na Solcu, jak zresztą cała rodzina, a dziadek przywę^ował spod Ostrołęki i był orylem na Wiśle. Barkasem spławiał zboże, owoce i co tam jeszcze z Sandomierza.

Na mój rachunek bankowy zaczęły wpływać pierwsze pieniądze. Zainteresowanie przedstawicielstwem trwało, nie modern go zwinąć z dnia na dzień. Musiałem wytrwać do czasu, aż wszystkie zaliczki z tytułu podpisanych kontraktów zostaną przelane na moje konto.

- Możemy pęknąć od tego sadła - zwier; ^łem się Feli, gdy przewidywane a conto z zawartycli iraiów spęcniąło trzecim milionem.

- Czas wyciszyć interes - Barrakuda podzielała moje obawy, skala operacji oszołomiła ją, lecz nie pozbawiła zdrowego rozsądku.

- Najwyższy czas - przyznałem; zawsze czułem, kiedy powinienem zejść ze sceny, i to przede wszystkim dawało mi fart. Jednak podjęcie tej decyzji pr^szło mi z trudem, fascynował wciąż przybierający strumień pieniędzy, jakich nigdy nie przyniósł mi żaden z moich pomysłów, a wiele z nich było finezyjną grą, grą talentu, wyobraźni i inteligencji. W porównaniu

z innymi ten numer był brutalny. Mimo to, a może właśnie dlatego, gromadził sumy, jakich nigdy nie widziałem, o jakich mi się nawet nie śniło.

Musiałem okiełznać chciwość, która dotychczas nie była moją dominującą cechą, a teraz zaczęła gwałtownie rosnać.

• - Ja nie jestem kamikadze-Barrakuda sprawiała wra-  
żenie całkowicie odpornej na takie słabości. - Wygaszamy sprawę!

Wygasiłiśmy.

I cały nasz trud zmarnował ten ponury dureń nazywający siebie marszandem, rzeźmieszek bez polotu! Chciało mi się płakać z bezsilnej wściekłości, pragnąłem krwi!

Na razie pozbawiłem życia studentkę romanistyki Małgorzatę. Wysłałem ją do Prinza, który jako aktualny mecenas na usługach przedstawicielstwa, i w ogóle jako dyskretne zaplecze, warował nieustannie pod telefonem, w każdej chwUi gotów na moje wezwanie.

W pośpiechu likwidowałem nasze biuro, czyli pakowa-  
łem wszelką korespondencję, katalogi, prospekty, rekla- mówk'i,  
wizytówki, zapasy welinu i kopert z firmowymi nadrvkami  
koncernu Berlieta.

Zepsułem membrany w słuchawkach moich dwóch tele-  
fonów, chciałem rozmawiać w obecności recepcjonisty. Fela  
spisała się znakomicie, niedługo czekałem na jej. telefon.  
Zapukano do drzwi.

- Monsieur Villefort, u mnie telefon do pana, nie można  
połączyć się z pańskim numerem! - usprawiedliwiał się szef  
piętra, gdy w piżanije stanąłem w drzwiach apartamentu.

- Villefort, firma Berliet... - ziewając podniosłem słu-  
chawkę odłożoną w lo: ^ recepcji; mówiłem po francusku, pedel  
wachlował uchem, rozumiał ten język, chociaż władał nim  
kulawo. Z mojej rozmowy, przeznaczonej wyłącznie dla niego,  
powinien zrozumieć, że pilnie wzywa mnie radca handlowy  
ambasady.

- ..oui, monsieur- odwiesiłem s ^chawkę, liberia pojał, co  
trzeba; zdałem wóz, rozdzieliłem napiwki, apartament  
zatrzymałem, zapłaciłem z góry za następny tydzień niemałą  
sumę we frankach. Konieczność. Ta rezerwacja jeszcze przez kilka  
dni utrzyma pozory.

Po opuszczeniu hotelu z automatu zadzwoniłem do brata.  
Numer nie odpowiadał.

162 Barrakuda, masz klasę, a teraz to wszystko spal -

podalem jej dokumentacje naszego przedstawicielstwa. -  
Maszynę do pisania utopisz w kanale - postawiłem porta- belkę zakupioną poprzednio na użytek firmy.

- Przesada - zauważył Prinz, przecież to zupełnie nowa maszyna.

- Przeważnie gubią człowieka drobiazgi. Tę maszynę trzeba wyrzucić, byle nie do tutejszego zsypu, to samo zrobisz z wyprawką VUleforta.

- Wszystko wepchnę do kanału - przyrzekła Fela; mogłem na niej polegać.

- Musimy natychmiast podjąć pieniądze! Są kłopoty z moim paszportem... - jednym zdaniem wyjaśniłem pr: ^ - czyny na ^ej likwidacji naszej filii; nigdy wspólników, dobieganych tylko na jedną akcję, nie wtajemniczałem w szczegóły. Nie mieli pojęcia i nie pytali, jak zdobywam te dobre dokumenty, dowody osobiste, legitymacje, a ostatnio paszport cudzoziemca.

- Gliny przeasonowały ci gębę? - nie uwier: ^ła Barra-  
kuda.

- Jaki jest bieżący stan konta? - chciał wiedzieć Prinz.

- Aktualne saldo sprzed trzech dni... - zanim przedzie-  
rzgnąłem się w plenipotentą Berlieta, otworzyłem konto na swoje nazwisko. Oczywiście, nie na Villeforta, ani na moje właściwe, lecz na zupełnie świeże, dobre nazwisko z tyłułem prawnika, na podstawie genialnie podebranego dowodu, za który zapłaciłem sześćdziesiąt tysięcy złotych, bo nie był to żaden wyskrobek czy prymitywny fałsz. Skradziono go człowiekowi podobnemu do mnie niczym bliźniak. Dlatego dość długo na niego czekałem i tyle kosztował. Miał służyć tylko w czasie od otworzenia do likwidacji konta.

- Wpłynęło milion dwieście!

- To dziś na pewno jest więcej - ucieszył się Prinz.

- Nie mogę ryzykować sprawdzania stanu rachunku ani podejmowania pieniędzy.

- A to dlaczego? - zdziwił się Prinz.

- Z taką wygrawerowaną buźką? - wtrąciła Fela zajmująca się hekatombą naszej firmy.

- Wy zrealizujecie czeki - mogłem wystawić je na nazwisko i na okaziciela.

- Takiej umowy nie było - zaprotestował Prinz; prawda, nie było takiej umowy. On był tylko adwokatem zwanym do sygnowania kontraktów, czuwającym nad interesami prawnymi

przedstawicielstwa. Miał za to, tak jak i Fela, otrzymać wyliczone na rękę dwadzieścia pięć procent od całej sumy, po odjęciu kosztów reprezentacji.

- Nie wysyłaj go, Messer, bo on zrobi w majtki i położy całą imprezę - odradzała Fela.

- Na razie nie ma niebezpieczeństwa - zaznaczyłem; na chłodno rozważałem sytuację. Co teraz robi milicja?

Ze strony Mundzia nic mi nie grozi, wyjaśnień nie zmieni, będzie do upadłego obstawał przy swojej wersji wydarzenia. Zechcą rozmawiać z Villefortem, muszą go oficjalnie przesłuchać. Wtedy dowiedzą się od pedla, że Villefort nagle wyjechał, wezwany pilnym telefonem przez jakiegoś swojego szefa, ale zatrzymał apartament.

Mogą więc zaczekać na jego powrót. Mogą dowiadywać się o niego wcześniej. Na pewno będą próbowali skomimi-kować się z nim, bo jest ofiarą i koronnym świadkiem, jedynym świadkiem. Gdzie będą szukać?

Zasięgną języka u radcy handlowego ambasady, w zakładach licencyjnych Berlieta, może nawet porozumieją się z Paryżem. Odkryją, że Gerard de Villefort to fikcja. Dopiero wówczas pójdą śladem jego działalności.

Gdzieś tam ktoś będzie dłuwał, typował farmazonów z kartoteki. Mnie w rejestrze nie mają, nie figuruje Barra- "kuda ani Prinz. - -

- Ze strony nas: ^ch klientów nic nam chwilowo nie grozi... - tłumaczyłem cierpliwie; będą czekać spokojnie, aż miną terminy dostawy zawarowane w kontraktach.

- Na to jednak nje należy liczyć, ponieważ wcześniej może do nich dotrzeć milicja i wtedy ujawni mój numer konta.

- Tak *czy* inaczej, w ciągu najbliższych dwóch dni trzeba wyjąć z rachunku, co się tylko da!

- Ja się do tego nie nadaję. Nerwy - rozkleił się Prinz.

- Sama oczyszczę konto - przerwała mu Fela.

- Mocny Boże, zaliczki łącznie dociągną trzech milionów - zakwilił Prinz. - Stracimy blisko dwa miliony! - on miał w głowie cały bilans naszej handlowej działalności. Pamiętał każdą umowę. Teraz dygotały mu ręce, gdy przypalał papierosa, patrzył na mnie jak na mordercę. Zdążył żyć się z tymi sumami. Niespodzianie pieniądze skurczyły się i Prinz poczuł się okradziony.

Rozumiałem go, sam dopiero przegryzłem to w sobie.

- Po odliczeniu kosztów własnych i tak będziesz miał sporo, więc przestań skomleć! - zaczynał działać mi na nerwy.

Re^izacją czeków miała zająć się Barrakuda zaraz po otwarciu banku. Dobiegała czwarta nad ranem. Niepokoilem się, bo telefon Andrzeja wciąż nie odpowiadał, a ja nie widziałem go i nie miałem z nim kontaktu od chwili, gdy wcieliłem się w Gerarda de Villefort.

Co tam się dzieje?

Chociaż wszystko się we mnie zrymało, sam musiałem zawiadomić marszanda o skutkach akcji jego egzekutorów, jakich z pewnością nie przewidywałem. Mimo groźby zawisłej nade mną i bratem, bo nie mam złudzeń, jeśli dobrać się do Stelmaszczyka, to nie będzie on osłaniał nikogo, więc mimo tej groźby czuję złośliwą radochę na myśl o kłopotach, które ściągnął na siebie nasyłając na mnie hominidów.

Gdyby Andrzej nie był zależny od marszanda, machnąłbym ręką i nie ruszyłbym palcem, aby go ostrzec. Niechby poszećU na samo dno. Ale taką perspektywą mo^em się tylko bawić, i to krótko.

Zatelefonowałem.

- Usługi... - natychmiast odezwał się nie znany męski głos, głos dźwięczny, nie zaspany, jakby oczekujący klientów już o czwartej rano; nie zaufałem temu głosowi nawet nie dlatego, że był mi obcy, bo nieraz w tym domu odbierały telefony nie znane osoby i nawet nie zwrot: usługi, chociaż o ile wiem, Stelmaszczyk nigdy nie przedstawiał się w ten sposób, tylko Biedronka.

A zatem nawet nie forma, tylko ta jakaś skwapliwość w tonacji, jakaś podejrzana go t o w o ś ć . I kto u Boga Ojca jest taki świeżutki o tej porze?

Na samą myśl oblało mnie gorąco, nie odezwałem si^ ani słowem. Odłożyłem słuchawkę.

C^żby już tam trafili? Jeśli tak, to po śladzie Dzika.

Nieprawdopodobne. Powiedzmy, odnotowali numer auta. Musieliby najpierw sprawdzić w wydziale komunikacji, a urząd nie funkcjonuje o czwartej rano. Ściągnięcie do biura właściwego urzędnika, aby ustalić adres, to mniej więcej tyle, co poczekać do ósmej rano, aż ten urzędnik sam przyjdzie. A przecież renault nie musi być na papierach Stelmaszczyka. Może jest zarejestrowany na zupełnie kogoś innego. Nie widziałem u marszaha wozu tej marki, ale i jego samego widziałem zaledwie kilka razy.

Telefon Andrzeja nadal nie odpowiada. Zdaję sobie sprawę,

że nic z tego nie wynika, bo w tej chwili on może być o trzysta kilometrów stąd. Zaszyty w trzciniowym gąszczu śledzi bezszelstny lot sowy, nocnego łowcy o pomarańczowych oczach, albo tropi ostoję losia.

W jaki sposób go uprzedzić? Pozostaje mi już tylko jeden znany człowiek z tego mecenatu. Biedronka. Nakręcam numer, długo nikt się nie zgłasza i nareszcie.

- Słucham, Biedroniówna!

- Mam pilną wiadomość dla marszanda - w słuchawce zapada cisza. — Halo, nie poznajesz mnie, mówi Witold...

- Marszand nie żyje, w domu śledztwo - odzywa się wreszcie i po pauzie: - Świetlik cię szuka, i więcej, proszę, nie dzwoń! - dźwięk rozłączenia.

Jakby mi strzeliła pod nogi; zastygłem ze słuchawką w rękę, w membranie śpiewał sygnał. Co się stało ze Stelmaszczykiem? - przez myśl leci taśma; oto wali się w gruzy delikatna konstrukcja moich przewidywań. Na scenę wkroczył On, przypadek! Nagła śmierć człowieka, która może sprowadzić na mnie i mego brata, zwłaszcza na mego brata, nieobliczalne skutki! Nie jestem już pewien, czy milion zgromadzony na moim koncie jest jeszcze do naszej dyspo<sup>^</sup>cji.

Szuka cię Świetlik - dociera druga wiadomość Biedronki; ludzie marszanda mają przyzwiska. Nazwę chrząszcza świecącego o zmroku nosi mój brat. To znaczy, jest w Warszawie, rozmawiał z Biedronką, a więc wie o Stelmaszc<sup>^</sup>-ku - odetchnąłem.

Szuka mnie. Czy dlatego nie ma go w domu?

- Fela, nie pójdziesz do banku. Czekaj, aż dam ci znać - uprzedzam Barrakudę.

- Uważaj na siebie - upomina Fela; znów żadnych pytań, chociaż z pewnością rozumie, że pieniądze na moim rachunku są coraz mniej pewne.

- Muszę się przebrać - wciąż jeszcze miałem na sobie letni gratniture z wyprawki Gerarda de Villefort.

Pojechałem do domu, zastałem kartkę od Andrzeja z jednym słowem; c z e k a m ! Data i godzina. Wezwanie pochodzi z poprzedniego dnia.

Nie mieszkaliśmy już razem, ale mieliśmy klucze od swoich mieszkań. Ja odziedziczyłem nasz stały lokal na mansardzie, Andrzej dorobił się własnego domu.

Wdowa po inżynierze, klientka Dusi, odstąpiła mu połowę obszernej i zdewastowanej rudery, zbudowanej w latach

tr^dziestych, w zamian za granitowy nagrobek dla jej zmarłego męża i kapitalny remont całego budynku. Po tym remoncie i pewnych korektach architektonicznych Andrzej zyskał trzy pokoje z kuchnią, położone na dwóch kondygnacjach, do tego obszerny hall, dwie łazienki oraz kawał ogrodu, który oddzielił siatką od części należącej do inżynierowej.

Nad bramką w parkanie wisiał sztyl, bo w tym czasie mój brat miał już patent fotografika, urządził pracownię z ciemnią i tym wszystkim, co potrzebne do pracy. Tak uTORował sobie drogę jego nie przeczuwany i niebanalny talent odkryty za późno.

Pojechałem do niego. Spotkaliśmy się przed garażem, odstawił właśnie samochód.

- Mały! - rzucił się ku mnie, objął kurczowo; zdumiał mnie, bo nie był wylewny, nigdy nie uzewnętrzniał uczuć. Często odnosiłem wrażenie, że jeśli je kiedykolwiek miał, to utracił przez ostatnie lata, pozost^o tylko przyzwyczajenie i życie z pojęciem: brat to najbliższa istota, zwłaszcza jeśli się poza tym nikogo innego nie ma. A Andrzej nie miał.

- Bałem się o ciebie, paskudny kimdlu! - lekko odepchnął mnie, już opanował wzruszenie. — Zamordowano Stelmaszczyka!

- Kto to zrobił? - zapytałem głupio; po karku przeleciał mi mróz, | pomyślałem o brzytwie Balwierza i pistolecie Dzika. - Chyba nie oni!

- Co za oni? - Andrzej znów był chłodny, rzeczowy.

- Jego hominidy... - opowiedziałem przejęcia, jakie miałem z nimi wieczorem, dałem stenogram pogwarek Mimdka. - ...może ^iny namierzyły waszą firmę?

- Namierzyli ciebie - oskarżycielsko błysnęły zza jego szkieł dwa kawałki ciemnej miki; usiadł w kącie w fotelu pod lampą osłoniętą abażtirem splecionym z puchatych włókien. Odgrodził się przestrzenią.

Czytałem kiedyś, że człowiekowi niezbędna jest pewna odległość od drugiego osobnika swego gatimku. Jeśli nie jest zachowana, zakłóca poczucie odrębności, drażni, prowadzi do konfliktów. Stąd między innymi, zdaniem współczesnej psychologii, trudności współżycia w ciasnych mieszkaniach.

Andrzej jest klasyczną ilustracją tej teorii. Wpada w widoczne rozdrażnienie, jeśli ktoś, obojętne kto, znajduje się przez dłuższy czas zbyt blisko niego.

- Namierzyli ciebie, szczeniaku! - powtarza ze złością.

- W terminarzu marszanda znaleźli notatkę i wymógowa- 116 że

dotyczy osoby umówionej z nim i mieszkającej w hotelu. Macali wszędzie, bo nie wiedzieli, jaki to hotel i o kogo chodzi, aż namacali. Zmusili Biedronkę, aby pod ich dyktando łączyła się z hotelami. Nawet gdyby wiedziała, o kogo chodzi, i tak nie mogłaby ostrzec! Z komendy wypuścili ją i odwieźli do domu po dwunastej w nocy. Dopiero wtedy zadzwoniła do mnie.

- Kiedy hominidy wiozły mnie na dintojrę, marszand już nie żył!

- Znalazł go jakiś klient o siódmej rano! Wiem tyle, co przekazała mi telefonicznie Biedronka i Barry. Muszę się z nimi zobaczyć, ale może nie powinienem tego robić. Jeśli Biedronkę tyle czasu trzymali w komendzie, mogą za nią chodzić...

- Nie wpadaj w panikę.

- Coś ty narobił, ty wredny kimdlu!

- Cóż takiego zrobiłem, przecież nie ja zarząnałem ci szefa.

- Wszystko przez ten twój francuski paszport!

- Należał mi się za fatygę. Nie paliłem się do tej wyprawy - wypomniałem Andrzejowi; to była prawda. Zaproponował Stelmaszczyk, inna sprawa, że on wtedy był trochę na przymusie. Pilnie potrzebował dokumentu dla jakiegoś nicponia, któremu grunt się palił, a nie miał kogo posłać, bo właśnie wszystkie zaufane obwiesie rajzowały, oczywiście na jego polecenie. Ja nie bardzo chciałem ruszać się z Warszawy, obmyślałem właśnie pewien numer, miałem wystąpić przed waluciarzami jako biskup.

Zgodziłem się po namyśle, bo dojrzałem dla siebie wcale ładną perspektywę, a ponieważ udało mi się od razu nawiązać kontakt z Barrakudą, w ciągu doby przyjąłem ofertę marszanda i pojechałem na tę paiyską wyprawę. No i kupiłem tr^ paszporty, chociaż zamówienie miałem na



dwa. Oczywiście teń najlepszy, zupełnie czysty, kazałem wypełnić dla siebie.

To był kosztowny towar, pochłon<sup>^</sup> dużo dobrych franków, które należały do marszanda, a zdeponowane były u jego kumpla. Nie miałem własnych pieniędzy, na moje paryskie potrzeby Stelmaszczyk otworzył mi bardzo skąpy kredyt.

- Sam mnie namówiłeś - wytknąłem teraz Andrzejowi.
- Byłem pewny, że tam już nic nie potrafisz zmalować!
- Chroniczny brak wyobraźni, Andrzej.
- Nie mogę pojąć, w jaki sposób Bany dał się naciąć! -

Barry to był pseudonim, anagram z dwóch głosek nazwiska Romana Rybarczyka, murzynującego od lat w firmie Roger Sauvillie & Roger Cerdan w Paryżu.

Rybarczyk to kanał marszanda na francuski rynek, faktoria kradzionych dzieł sztuki i bankier dysponujący należącymi do marszanda walutami. Właśnie z nim kupowałem u pośrednika dwa zamówione przez Stelmaszczyka paszporty i jego nakłoniłem, aby kupił także i ten trzeci, dla mnie.

Kupił. Zapłacił, zapłacił grubo, bo to było indywidualne zamówienie, i nie zgłosił żadnych zastrzeżeń, gdy z całą powagą kazałem wpisać personalia królewskiego prokuratora, zaczerpnięte z *Hrabiego Monte Christo*. Gerard de Villefort to mu świetnie brzmiało. Ten nieudany plastyk, dorobkiewicz, ten snob, chętnie by przystroił partykułą swego Rybarczyka.

- Romain Ryp-Rybarczyk to dla mnie mała rybka - pochwaliłem się Andrzejowi. - Nie takim potrafiłem wmówić, co tylko chciałem.

- Kabotyn! - jęknął mój starszy brnit. To było o mnie.
- Jestem Messer — sprostowałem z godnością.
- Rybarczyk od kilku dni jest w Warszawie - zabrzmiało to złowrogo.

- Teraz rozumiem, dlaczego Stelmaszczyk odnalazł 176 ranie w Forum. To świetny Barry podał wam moje francuskie nazwisko.

- Nie wam! - przerwał ostro Andrzej, ale głos mu drgnął. - Nic nie wiedziałem, siedziałem w Bagiennym Borze. Stelmaszczyk mnie nawet nie wezwał. Chciał się bez przeszkód rozprawić z tobą. Słowem nie wspomniał, coś nawarzył w Paryżu, cłociąź wiedział o wszystkim przed moim wyjazdem. Rybarczyk już był wtedy w Warszawie. Nie dopuściłbym, aby ci zrobili krzywdę,

choć jesteś mały, wredny kundel!

Dzwonek telefonu, Andrzej podjął słuchawkę - zarechotało.

- ...jesteś blisko? - chwłA wahania i: — ...dobrze, przyjdź!

Dzik zjawił się zaraz; na mój widok nie drgnęła mu nawet twarz, rybie oczka nadal spoglądały rybio, tylko tarł ręce i wydał więcej chrząknięć niż zwykle.

- Robiłem, co on kazał — oświadczył na wstępie i wlepił te swoje dwa mętne jeziora w Andrzeja.

- Nie mam do ciebie pretensji. Mądrze, że przynajmniej teraz do mnie się odezwałeś - pochwalił go Andrzej.

- On był pierwszy, a ty... Teraz ty jesteś pierwszy. Świetlik - Dzik nie miał żadnych problemów, obce mu były rozterki. Wierzy w hierarchię. Więcej, potrzebuje tej hierarchii - Z tej potrzeby podporządkowuje się Andrzejowi, ofiarowując mu swoją lojalność, skoro zabraMo tamtego.

- Jakby my z Balwierzem wcześniej wiedzieli, że szef zabity, to my by Witka nie tknęli, bo szef jest szef, póki żyje, no nie? - wyklada swą następną zasadę.

- Skąd wiesz, że zabity? - podchwytuje Andrzej.

- Jak Mundek z Wiciem wpadli, to ja dałem dęba!

Pokluczyłem po mieście i z budki dzwonię do szefa, nie? A tam cudzy głos. Ja do cudzego nie miałem żadnego interesu, tylko do szefa, nie? A ten trajluje jeszcze, żebym przyszedł rano!

Zbrzydziło mnie. No to z innego automatu do Biedrony kręcę, a ona: - Marszand nie żyje, w domu śledztwo i bach słuchawkę. To chociaż mnie zamroczyła taka nowina, główkuję: jakby zwyczajnie szlaggo trafił, to nie byłoby śledztwa, nie?

Proszę, ten hominid nawet kojarzy, o co go nigdy nie posądzalem.

- ...no to ja znów pokluczyłem i pojechałem do Dusi, renówkę schowalim my w szopie, bo Dusię też już Biedro- na ostrzegła. To łebska baba ta Biedrona, chociaż fumiasta i z wyobrażeniem, co to ona nie jest...

- Mów o sobie - przerwał mu Andrzej.

- Przesiadłem na furgonetkę Dusi i zadzwoniłem do ciebie...

Bieda będzie, jeśli szczawiki numer renówki zapisali. Co z Mundkiem?

- Siedzi. Jak się nie wygada, będą go musieli puścić.

- Ale paszportu nie ma, pr^ nim go nie znaleźli - wtrącam.

- Co on głupi? na Oewno rzucił - zarechotał Dzik.

- Gdy Mundka wypuszczają, jak myślisz, gdzie pójdzie?

- 17 Najskładniej jemu do mnie - z frasunkiem odpowiada Dzik.

- Do Stelmaszczyka nie pójdzie? - bada Andrzej.
- Nie pójdzie. Najwyżej zadzwoni, tak było umówione. Jak trafi na cudzego, nie da się nabrać, nie palcem robiony
- zapewnia Dzik.
- Czyj ten renault?
- A czyj! Francuza. No, tego Barrego - wyjaśnia Dzik. - Marszand powiedział, o ósmej pójdziesz do Barrego, da ci wóz, wstąpisz potem po Mundka, o dziesiątej w „Przydrożnej”, spotkanie tego... no, paskudnie nazwał ciebie, Witek.
- Jak nazw^? - byłem ciekaw.
- Kornik zrosłozębny - zarechotał; widać to określenie kojarzyło mu się z czymś nieprzyzwoitym.
- Tak powiedział? Eee, nabierasz mnie. Dzik zamiast odpowiedzi podnosi na mnie te swoje małe ślepki w oprawie bładych rzęs. W tych oczach dostrzegam wyr a z, wyraz lekceważenia i kpinę. Poczulem się głupio.
- Wyjźdź stąd! - zdenerwował się Andrzej; to było do mnie.
- Ja się nie gniewam - zapewnił Dzik. - Witek myśli, że on najmądrzejszy, niech sobie tak myśli, mnie to nie przeszkadza. Bynajmniej! - tak mnie podsumował w tej swojej konwenqi ciężko myślącego, z wadą wymowy. Spojrzałem na siedlisko tych myśli, głowę w obfitych pierścieniach długich loków koloru żytnej słomy.
- Dzik, powinieneś ostrzyć włosy. Mogę to zrobić, zanim wyjdiesz. ,
- Znów spojrzał na mnie, tym razem ponuro. Pieściwym ruchem łapska przegamał te swoje ładne i nawet czyste włosy. Posmutniał.
- Znacznie! - zrozumiał. - Ano, trzeba będzie! Te moje kudły mogły szczawiki zapamiętać. Umiesz strzyć? - zapytał podejrzliwie, wietrząc nowe błazeństwo.
- Umie - potwierdził Andrzej. - Słuchaj, Dzik, Czy Bany wiedział, po co daje ci swój wóz?
- Nie wiem. Przyszedłem do niego, tak jak szef kazał, wziąłem kluczyki i to wszystko.
- Ban y o nic nie pytał?
- Ja nie jestem od rozmów, ale on nie pytał.
- Dokąd miałeś odstawić wóz?
- Tam, skąd brałem, do Barrego, ma się rozumieć... Ale jak się zrobiła ta bieda, to go u Dusii przywarowałem, żeby Barrego nie wplątać, nie? Ale Dusia zestrachana, pilno jej ciebie, Andrzej,

widzieć.

- Kiedy ostatni raz widziałeś Stelmaszczyka?

- Z Mundkiem my byli przedwczoraj, znaczy szóstego.

Biedrona dała cynk do Mimdka na budowę. Po fajerancie my przyszli, tak jak kazał, i wtedy nam powiedział, co chce... Odtąd my go nie widzieli i nie rozmawiali.

- Co mieliście ze mną zrobić? - chciałem wiedzieć, co mnie ominęło.

- Nie musisz odpowiadać! — zastrzega Andrzej i łamie mu się głos.

- Powiem, czemu nie. Może się czegoś naucsy - zarechotał Dzik tonem preceptora.

- Ostrzyż go, Witek, on musi zaraz jechać - polecił Andrzej. - Na mnie czeka Barry, jest choiy ze strachu... - a więc Rybarczyka też już zdążyli uprzedzić.

Dzik dzielnie zniósł postrzyżyny, chociaż z bólem i ciężkimi westchnieniami żegnał każdy spadający lok. Andrzej, wsparty o futrynę, asystował operacji.

- Który z was miał mnie załatwić? - daję mu szansę, aby na pierwszy plan wysunął Mundzia. Pamiętam, co odpowiedział w wozie: Mundeek rządzi. Jednak Dzik nie daje się sprowokować, milczy i po chwUi;

- Miałeś mieć kotlet z mordy, abys już nigdy nie mógł robić tego, co robisz. Segmenty, rozumiesz? - Pewno chodzi o stygmaty, to określenie pasowało do pewnych przenośni, używanych przez Stelmaszczyka.

Nie powiem, aby to wyznanie nie zrobiło na mnie wrażenia, ale Andrzej zadygotał.

- Milcz! - zachrypiał. - Zbieraj się i jazda do Dusi, czekajcie na mnie.

Dopiero teraz odkryłem, dlaczego Dusia trzymała mnie nadal, oczywiście na nie zmienionych warunkach pracy i płacy, chociaż odszedł Andrzej. Aż do dziś wydawało mi się, że ona na swój cierpki sposób przywiązała się do mnie, jak kiedyś do niego.

Może Dzik miał rację, gdy przed chwilą okazał mi to bezbrzeżne lekceważenie. Może rzeczywiście mam zbyt wygórowane mniemanie o sobie. Naiwnie wierzyłem w sentyment Dusi, tej maszyny do liczenia, tej pancерnej kasy zanurzonej w occie.

Z przykrością rozstają się z tym złudzeniem i jeszcze 180 większą przykrością zdają sobie sprawę, że znów osłaiiii mnie brat, a także, pośrednio z mojej przycyny, teraz musi chronić także siebie i te wszystkie sieroty po marszandzie. I może rzeczywiście jestem nienormalny, bo nie ma we mnie poczucia winy za ten numer z paszportem, nie ma już nawet strachu, tylko

ciekawość hazardzisty, w jaki sposób Andrzej zapanuje nad sytuacją. Na razie ze zdumieniem spostrzegam, jak gładko wszedł w prawa pierwszego w tym towarzystwie, jakby nigdy nie był cieniem tamtego, i jakby nigdy tamten nie istniał.

Po wyprawieniu hominida Andrzej zadzwonił do Ry- barczyka.

- ...przyjedź zaraz... uspokój się, nie jest zbyt źle! - i do mnie:  
- Lepiej niech on cię teraz nie widzi!

- Lepiej - przyznaję - ale muszę posłuchać, co na mnie napyszczy - toteż gdy w hallu zabrzmiał dzwonek sygnalizujący przybycie gościa, nie dałem się wypchnąć na górę. Zaniknąłem się w ciemni Andrzeja, tutaj mo<sup>^</sup>em slyszeć,  
o czym będzie mowa.

- Kiedy ostatni raz widziałeś marszanda? - wszczął przesłuchanie mój brat niczym rasowy policjant.

- Przedwczoraj... dzisiaj mieliśmy jechać do Błot. Czy to te pod Warszawą? -

- Inne. Kiedy mu dałeś wóz?

- Umówiliśmy się, że przyśle goiyla, i przysłał wczoraj.

- Do czego potrzebny był mu twój wóz?

- Gdzieś na rekonesans. Leżała mu zagraniczna rejestracja.

- Do Kampinosu, aby zmasakrować mego brata.

- Nie mam nic wspólnego z masakrą twego brata. Nie obchodzi mnie wasze porachunki.

- Mogłeś mnie powiedzieć, co zrobił mój gówniarz, sam bym to załatwił.

- Prowadziłem interesy z marszandem, nie z tobą! I nawet nie wiedziałem, że ten kurier to twój brat. Widziałem go raz, wtedy w Paryżu... Jak mogliście wysłać takiego kanciarza! On nie ma żadnych zasad, obca mu wszelka lojalność, każdego oszuka!

- Wy słał go marszand, a teraz kazał pociąć brzytwą!

- I tak ktoś mu w końcu skręci kark.

- Powinieneś natychmiast wyjechać. Niewykluczone, że zapisali numer twojego wozu... - Andrzej opowiedział mi przebieg dintojry przerwanej interwencją milicji. - Nie jest tak źle, będą teraz szukali oszusta, to ich mocno zdezorientuje - wyraźnie chciał uspokoić Rybarczyka.

- Numer wozu nie ma znaczenia - rozpruł się Bariy. -

Założyłem lewą rejestrację zaraz po przyjeździe do kraju. Stelmaszczyk o tym wiedział.

- Skąd dzisiaj wróciłeś tak późno?

- Cóż to, śledziłeś mnie? - oburzył się Barry.
- Biedronka telefonowała do wszystkich, gdy tylko ją puścili. Ciebie nie zastała, dopiero ja cię złapałem, mo<sup>a</sup> być trzecia. Gdzie byłeś?
- Na wódce u takich jednych. Mają pawilon na Świętokrzyskiej, Kiedyś robiłem dla nich abażuui do lamp. Nie mają nic wspólnego z antykwariatem marszanda. Nawet go nigdy nie widzieli... Mogła być dziewiąta, gdy do nich poszedłem, no i zasiedziałem się.

Wspaniały Bariy jest teraz potulny jak baranek, widać przerasta go sytuacja spowodowana nagłą śmiercią Stelmaszczyka, i chyba jest potężnie skacowany. Przypomniały mi się jego protekcyjne pozy w Paryżu; światowiec, koneser! Udzielał łaskawie pouczeń w każdej dziedzinie, mnie, prostytutkowi z zaścianka, posłańcowi z tej pocziwej Warszawy, tej europejskiej prowincji.

Grałem, co mu odpowiadało, i zrobiłem z nim, co chciałem. Wyobrażam sobie jego wściekłość, jego boleśnie zranioną miłość własną, gdy wreszcie zrozumiał, jak ten prostaczek utoczył mu sadła.

Słuchając, jak się teraz pienił i miał dla mnie tylko

epitety, postanowiłem napuścić na niego Felę! Przyjedzie do Paryża, śliczna, zagubiona w tej stolicy świata, warszawska dziewczyna. Mogę się żałować o wszystko, co ma ten cholerny bufon, że Barrakuda ogryzie go do kości, zanim on się spostrzeże, nawet jeśli nie będzie mowy o małżeństwie.

- Kiedy chcesz wracać? - pyta Andrzej.

- Przecież nie przyjechałem tutaj, aby się poskarżyć na twego łobuza, muszę obejrzyć kolekcję. Sauville ani Cer- dan nie wierzą w istnienie tak unikalnej kolekcji.

- Pizesłaliśmy na dowód pokrywkę od kafetieri. Jeszcze mają jakieś wątpliwości?

- Pokłęką jest autentyczna, ale to jeszcze nie świadczy, że posiadacie cały komplet. Istnienia tej kolekcji nie potwierdza żaden znany katalog.

- Pewno dlatego ocalała.

- Dwa lata temu identyczną kolekcję sprzedaliście w Wiedniu.

- To była replika sreber.

- Wiedeń kupił je za autentyk, a Sauville wie, od kogo Wiedeń kupił. Oni na tym zęby zjedli, nie dadzą się nabrać.

- Nie brałem udziału w transakcji z Wiedniem. Chorowałem wtedy.

- Chcesz powiedzieć, że to marszand oszukał.

- Nie brałem w tym udziału, tylko tyle chciałem powiedzieć. Jeśli ten wiedeński antykwariusz mógł się omylić i wziąć kopię za autentyk, to mój również pomylić się Stelmaszczyk.

- Taka pomyłka może kosztować życie...

- Twoim zdaniem Stelmaszczyk teraz za to zapłacił?

- Nie łap mnie za słowa - otrząsa się Rybarczyk. - Przesłał mnie Sauville i chcę się z misji wywiązać.

- Rzucisz okiem i od razu rozpoznasz autentyk? - napuszcza go Andrzej.

- Nie. Sam wybiorę jakąś sztukę i załatwię transport do Paryża.

- Niestety, teraz ci nic nie mogę nawet pokazać. Wracaj do Francji.

- Stracisz dobrego kupca.

- Poważny kupiec zaczeka, wie, co to za kolekcja. Jeśli nie, znajdzie się inny.

- Stelmaszczyk zwodził mnie od wielu dni...

- Stelmaszczyk cię nie zwodził. Ale wynikły komplikacje.



- To samo słyszałem od niego. Dziwne, w ciągu kilku lat nie znaleźliście amatora. Nie zależało wam na sprzedaży?
- Zależało nam na dobrej cenie.
- Sauville daje dobrą cenę, płaci jak Hotel Drouot -
- V Rybarczyk wspominał jednego z najpotężniejszych mar- szandów znanego z Sekwany.
- Wiem, jak płaci Hotel Drouot. Ale jeśli twoja faktoria chce mieć ten zbiór, zapłaci mi moją cenę!... Znasz plastyka Adama Zapalę?
- Znam. Murzynował u moich Rogerów. Utalentowany facet, to mój wynalazek, kiepski wynalazek. Ostrzegalem Stelmaszczyka, ale on nie posłuchał, usiłował go zwerbować. Nic z tego nie wyszło.
- Ten rzeźbiarz wszedł mu teraz w drogę. Może to przypadek, ale marszand podejrzewał coś zupełnie innego... Dlatego między innymi twoja faktoria musi poczekać na srebra podkanclerskie. Słuchając ich, rozważałem zmienioną sytuację, zmienioną przez nagłą śmierć Stelmaszczyka, i doszedłem do wniosku, że mogę sięgnąć po swój milion, ale muszę to zrobić natychmiast. I gdy Andrzeja z Rybarczykiem pojechali do Dusy, wyszedłem do budki telefonicznej. Na wszelki wypadek wolałem oszczędzać aparat brata.
- Działaj, Fela - uruchomiłem Barrakudę i pojechałem do Prinza.
- Trzeba się wykąpać - Dymitr wbija pióro wiosła w piasek naniesiony przez prąd przy kępie wikliny.
- To nie szpadel - zabieram wiosło, wychodzę na mokrą łachę usuwającą się spod stóp.
- Dymitr skacze do rzeki, płosząc ławice ryb. Spod gmatwaniny korzeni, niezdarnie pełznie rak z pancerzem omszałym drobnymi żyłkami. Nagle nieruchomieje i złożywszy kleszcze, zmieniony w bolid, mknie nurek doskonały i znikną w gąszczu wodorostów.
- Słońce stoi w zenicie, olbrzymie trzciny nie dają cienia, woda jest chłodna, czysta, widać światy żyjące na dnie. Milkną rozgwarzone rojsty, tylko niewidoczny ptak ludzaco naśladujący żabi rechot, telegrafuje o intruzach naruszających ład rzeki. Z szuwarów frunęła kaczka, nisko, muskając lotami, trzepocze przede mną na wyciągnięcie ręki. Musi mieć gdzieś tu gniazdo, odciąża niebezpieczeństwo od młodych.
- Płyniemy - wracam na mieliznę.

- Zdecyduj się dokąd - Dymitr daje się imosić nurtowi, zakrywają go zarośla.

Właśnie dokąd? W niewielkim odstępnie czasu jestem tu trzeci raz i zgubiłem się, straciłem orientację. Wiedziałem o zmienności rzeki zalewającej i odsłaniającej olbrzymie płdacie równiny, lecz żeby aż tak? Przecież znam jej kaprysy, przynajmniej tak dotychczas sądziłem. Teraz już nie jestem taki pewny. Nie mogę odnaleźć tej chałupy z poczemian<sup>ch</sup> bierwion, krytej strzechą bmatną od mchów.

Gdzieś tutaj powinien być spalony stóg, na moich oczach poraził go piorun. Uciekając od niego natknąłem się na chatę. Czyżby wypalił się doszczętnie, a zwęglone resztki rozmyła woda?

Gdyby nie blizna na głowie i dotkliwa świadomość tego

wszystkiego, co później nastąpiło, miałbym wątpliwości, czy naprawdę istniał ten dom z łatą jako tako twardego gruntu, otoczony zewsząd moczarami w okolicy trzcin, przez które przedarłem się gnany wiciurą po rozlewisku. Istny ślalom między stogami. I wtedy ten piorun, niemal za plecami, upierne światło nad ^ową i ogłuszający grzmot.

Gdy przypląnąłem tu po raz drugi z plutonowym z Goniądzka, woda już nieco opadła, wyraźnie zaznaczało się meandrujące łóżysko rzeki. Byłem zadowolony, że po drodze nie odsłoniła się ta chata z bierwion, której wcale nie chciałem mu pokazać.

Teraz dotarcie do tego miejsca okazało się jeszcze trudniejsze. Zamiast zalanych łąk, jak okiem sięgnąć rozciągało się bagno.

Tnę gałązki łozy.

- Co robisz? - wychynął Dymitr.

- Raki - splatam witM, mocuję je cienkim drutem. Z trudem utkałem dwie nieforemne mandoliny. Przywiązałem je do stóp i brnę po grząskim brzegu.

- To ma być sposób na te błota? - Dymitr nie rusza się z łozinowej enklawy, wiążącej korzeniami skraj topieli. Sceptycznie obserwuje moje eksperymenty. Brodę mozolnie, lecz utraymuj^ się na powierzchni. Kępy ftginają się' pod moim ciężarem, syczą bmatnymi gejzerami i nagle rozstępują się, zapadam w trzęsawisko. Dymitr wyciąga ku mnie wiosło.

- Jak oni stawiają stogi? - dziwi się Dymitr.

- Znają miejsca, gdzie gnmT jest twardszy - zmywam z siebie tłusty muł; widywałem tu zbiory trawy. Gdzie już nie pójdzie nawet koń, nie wjedzie kosiarka, przedostaną się ludzie z kosą i grabiami. Później na tragach przeniosą kopce siana, złożą w stogi. Wywożą je dopiero, kiedy moczają zetnie mróz.

Lecz całe polacie niedostępne są nawet dla miejscowych, a dla nas niepodobieństwem jest przejść tutaj choć- 186 by sto metrów. Może gdybym wiedział, ile tej drogi, no i przy lepszej konstrukcji raków, ale tak?

- Ruszyć nadbrzeżnymi wioskami? - szuka wyjścia

Dymitr.

- Widzisz te zarośla na horyzoncie? Dopiero tam są wsie, a ta chałupa stała zupełnie samotnie. W pobliżu nie widziałem

żadnego ludzkiego osiedla.

- Skąd ta pewność, skoro zaraz dostałeś w łeb?

Może i ma trochę racji, może i nie stała tak daleko od wioski, tylko mnie się tak wydawało. Widziałem wtedy tylko błyskawice i mur ulewy przed sobą. Mimo fartucha opinającego kokpit w kajaku miałem pełno wody.

Kropek, karny dotychczas, zaczął się gwałtownie wiercić, pod naporem jego grzbietu puściły zatrzaski przytwierdzające osłonę do burty. Wystawił puchaty łeb, bo przestraszyła go wilgoć tam w środku. Z wyrzutem wlepił we mnie wielkie ślepią koloru kasztanów. Wyraźnie obarczył mnie odpowiedzialnością za to, co się działo.

Kropek nie należy do desperatów, w ogóle odważny jest raczej umiarkowanie i tylko wówczas, jeśli nie może wykręcić się pomysłem, wyłgać wdziękiem lub podstępem. Rozejrzawszy się po szalejącym rozlewisku widać doszedł do wniosku, że żaden wybieg nie pomoże, więc zaczął miotać obelgi burzy, błyskawicom, wściekłemu wiatrowi.

Szczekał, wyl, kłapał, podskakiwał, deszcz lał się przez odpięty klin fartucha. Wiosłem wypychałem zwiariowanego kiindla w dziób kajaka. Walczył z wiosłem.

Nie-mogłem do niego inaczej sięgnąć ze swego miejsca. Dostałby z pewnością po karku, gdyby nie to, że właśnie strzelił pionan i Kropek wziął dudy w miech. Zamilkł, schował się, jakby go nigdy nie było.

- Wyobrazasz sobie łażenie od wsi do wsi na przestrzeni Uuś kilometrów i wypytywanie o samotną chałupę? A może takich chałup jest więcej?



- Potopimy się tu jak kocięta - zrezygnowany Dymitr mości się w kajaku.

- Nie pękaj! Spróbujemy popłynąć przez łakę. Neptun pójdzie nawet pó łyżce wody - pocieszyłem.

- To po coś brodził jak czapla? Rusz tą swoją sfelerowaną mózgownicą, bo ja ci tu nic nie pomogę.

*Czy w ogóle mi pomoże, to znaczy czy będzie mógł, bo nie wątpiłem, że chce. To mój najlepszy przyjaciel. Tego pojęcia niechętnie i rzadko używam, ale w przypadku Dymitra jest na miejscu.*

Wychowaliśmy się na tym samym osiedlu. Przyjaźń przetrwała lata, zawarliśmy ją w drugiej klasie szkoły podstawowej. Zaczęła się od bijatyki, bo prześmiewałem się z jego imienia, jakim starzy Kowalscy okrasili pospolite nazwisko.

Do domu wróciłem z rozkwaszonym nosem i, co gorsza, podartym wdziankiem. Aby na drugi plan usimąć stan mojej nowej obwoluty, złożyłem dramatyczną i bardzo tendencyjną skargę na Dymitra.

- Jeśli dostaleś, to przynajmniej nie donoś! - tata posiłkując się pasem dał mi lekcję lojalności.

Boczyłem się jeszcze jakiś czas na Dymitra; bo tatową przemoc wliczyłem na rachunek Kowalskiego. Zintegrował nas ten trzeci, starszy od nas basior, groźny i drugoroczny, wymuszający od młodszych okup. Dwa złote tygodniowo od łebka, za które bezwstydnie zalewał się oranżadą, opychał lodami.

W obronie przed tym raubritterem stowarzyszył nas przypadkowy sojusz z Dymitrem. Upojeni zwycięstwem, sami obąblowaliśmy się oranżadą i lodami po dziurki od nosa.

I przymierze przetrwało, chociaż rozdzieliły nas studia. Dymitr skończył prawo, aplikował w prokuraturze.

Po aferze ze Stelmaszczykiem, kiedy tandem poruczników przypiał się do mnie jak rzep, było mi coraz trudniej odpowiadać na ich pytania i w ogóle zacząłem się gubić. Nie widziałem rozsądnego wyjścia z sytuacji i tak nie do pozazdrośczenia, którą z podziwu godną konsekwencją jeszcze zagmatwałem.

- Nie martw się, może być gorzej - ocenił Dymitr pierwszą, paryską część mojego życiorysu.

- Będzie gorzej — uprzedziłem przed dalszym opowia-

daniem.

- Rany boskie! — przejął się Dymitr, gdy się dowiedział, czego dokonałem na Wróblej.

Moje osiągnięcia w matactwie od Goniądza do Nowogrodu przyjął już bez widocznych wstrząsów. W porównaniu z tymi, jakie towarzyszyły okolicznościom znalezienia zabitego cykliniarza, prezentowały się błado. A poza tym przywyłd.

- Powtórne wprowadzenie władzy w błąd - podsumował i dobił paragrafem; - kto zeznaje nieprawdę lub zataja prawdę... Dopasował mi numer dwieście siedemdziesiąty siódmy z kodeksu karnego.

- A co miałem robić, czepili się jak pijawki.

- Nie rozumiem, dlaczego Stelmaszczyk ośmielił się zaproponować ci fałszerstwo — wraca Dymitr do wydarzeń paryskich.

- Widocznie wydałem mu się odpowiednim człowiekiem.

Wtedy nie uwierzyłem Stelmaszczykowi w to, co powiedział o Rogerach, i nie dlatego, bo mi tak było wygodnie: nic nie wiem, niczego się nie domyślałem, a więc jestem w porządku.

Oczywiście chciałem jeszcze popracować i zarobić, a przede wszystkim doczekać końca edukacji Kaśki w Alliance Française. Bardzo niechętnie rozstałbym się z nią na dłużej. Niechętnie? W ogóle nie brałem pod uwagę podobnej ewentualności, chociaż właśnie w tym czasie często się kłóciliśmy.

- Zachowuj się inaczej... - przypisywałem jej prowokujący sposób bycia. Złościło mnie, że podoba się innym.

- A jak ja się zactiuwuję?

- Jakbyś w każdej chwili gotowa była się rozebrać! - chciałem ją dotknąć, a nie potrafiłem inaczej określić tego promieniującego z niej babstwa, widocznego w każdym geście. I jak ją paliła, i jak paliła, kiedy się śmiała i nawet gdy mówiła byle co.

- Jaskiniowice! Też widzisz tylko od pepka w dół - bardzo ją uraziłem. Skrycie bolała nad niedocenianiem jej intelektu i zalet charakteru.

- Albo ja, albo ta banda - wpadłem we wściekłość po jakimś towarzyskim spotkaniu, gdzie królowała.

Obserwując ją wyobrażałem sobie mijające lata i Kaśkę starą i nie pociągającą i chciałem zestarzeć się razem z nią. Doczekać

czasu, kiedy przestanie budzić pragnienia innych i zostaną tylko Ja! A gdy wiek zetrze jej drażniący urok, przypomnę jej wszystkie nietrwale przyjaźnie, zblakłe sympatie.

Nie zastanawiałem się, czy na starej Katarzynie będzie mi jeszcze nadal zależało. Takie mściwe myśli snułem zmęczony zazdrością. I skręcał mnie wstyd za to przestarzałe uczucie z romansów modnych bardzo dawno temu. A to upokorzenie także wpisywałem na rachunek Kaśki.

- Ślubu z tobą nie brałam - równie wściekła jak ja zaznaczyła swoją niezależność i trzasnęła drzwiami.

Nie widzieliśmy się dwa tygodnie.

Uparłem się i nie zrobiłem nic, aby sprowokować niby przypadkowe spotkanie — przecież znałem jej tropy.

Nie tylko przez upór nie chciałem do niej iść, po warimkach, jakie postawiłem, już nie mogłem się zgodzić na dotychczasowe układy.

W ten interwał wpasował się Stelmaszczyk ze swoją świńską ofertą. Odmówiłem. A on potraktował mnie jak faceta z branży: nie jesteś, bracie, lepszy ode mnie! Nie 190 zgadzasz się, to nie ma sprawy. *Ty* nic nie powiesz o mnie, ja nic o tobie.

Zabrzmiało to jak groźba, jak szantaż. Wrabiał mnie w jakieś parszywe współnictwo, do którego się nie poczuwałem. Jakby jakieś robactwo przelazło na mnie, niczym pluskwy madame Basque.

Nie mo<sup>^</sup>em uwierzyć. No bo jakże to, z jednej strony znana firma szczyca się jakąś rangą, nie ukrywająca przecież specjalizacji w replikach i odwzorowaniach, a z drugiej niewyraźny typ, miesiącami objijający się po Paryżu, ni to stypendysta, ni gasterbeiter, podający się za rzeźbiarza.

I może przeszedłbym nad tym do porządku, gdyby nie ten cholerny roztruchan. Zmówienie Stelmaszczyto, którego nie mogłem przyjąć, a które i tak trafiło do pracowni, a poprzez Rybarczyka do mnie.

Przyzwyczajony do prostych dróg, postanowiłem sprawę wyjaśnić za jednym zamachem. Poszedłem do Rybarczyka, przekonany, że jego stosunki z Rogerami są podobne do moich. T<sup>^</sup>le, że jest tu od przeszło pięciu lat, ma wyrobioną pozycję i znacznie więcej zarabia, ale to wszystko.



- Roman, z czego kopiowałeś to starocie dla Stelmaszczyka?

- A kto to jest Stelmaszczyk?

Cierpliwie wspomogłem jego pamięć.

- Ach, ten! Powoływał się na ciebie - podrzucił mi tę znajomość.

- Niech będzie. Więc z czego kopiowałeś?

- Dał gotowy wzorzec - skłamał; poruszyła mnie ta oczywista nieprawda. Na pewno sam robił rysunki, już dostatecznie znałem jego kreskę, aby nie mieć co do tego żadnych wątpliwości.

- Dlaczego cię to teraz interesuje? — zapytał takim tonem, jakby w gminie rzeczy wcale go nie obchodziło

Byłem dotychczas świeżutki wśród tych cwaniaków, no, wprost baran, ale baran już uczulony. Tym bardziej teraz, gdy przyłapałem go na łgarstwie.

Odniosłem wrażenie, że moje pytanie nie zaskoczyło Rybarczyka; oczekiwał na nie w jakiś sposób przygotowany, może uprzedzony. Wiedział! Skąd wiedział? Połączył mi się ze Stelmaszczykiem, chociaż go się tak bardzo wypierał.

To spółka, naiwny idiota - pomyślałem. A cała heca z rzekomym szukaniem dojścia do manufaktury Rogerów za moim pośrednictwem to sondaż, próbowanie faceta, czy jest skłonny robić coś mniej grzecznego niż trzaskanie replik w szacownej firmie.

Dwa tysiące ekstra za platynową czarę, ciekawe, ile zapłaciliby za sfraszowanie tego jakiegoś stempla, a może puncy. Za wcześniej go wyrzuciłem za drzwi, nie zdążył się odsłonić do końca.

Ta czara pochodziła z Polski. Miałem się o tym przekonać w dwa lata później, gdy Załęski podetknął mi pod nos albumy Stelmaszczyka. Czy te szakale wywiozły oryginał, i w jakim ciemnym celu potrzebna im była również kopia? I który ją przewiózł, Stelmaszczyk czy ten drugi, zadający szyku w alfa-romeo.

-Widziałem taki roztruchan w Hotel Drouot - odpowiedziałem; nie, nie rozdarłem szat i nie miałem zamiaru ingerować w ich sprawy ani też wyręczać policji. Niech ich diabli

wezmą! Postanowiłem tylko odejść stamtąd.

-W Hotel Drouot nie znajdziesz naszych gniotów -  
Rybarczyk z ostentacyjnym lekceważeniem, przjoiajmniej wobec  
mnie, wyrażał się o produkcji Rogerów. On, panie dzieju, robi to  
^a chleba, ale jako prawdziwy artysta jest ponad.

Hotel Drouot jest centralą światowego kolekcjonerstwa,  
czasami chodziłem tam przyglądać się aukcjom nieraz bardzo  
słynnych dzieł sztuki, za które płacono miliony. 192

To najpoważniejszy na świecie marchand. Od przeszło trzydziestu lat aukcje prowadzi tam pierwszy ekspert francuski i międzynarodowy Maurice Rheims. Instytucja obsadzona historykami sztuki i znawcami posiwiiałymi w fachu. Rogery nie miały odwagi poddawać swojej produkcji ich ocenie. Taka konfrontacja groziła skandalem.

Dotrwałem do końca tygodnia.

- Sprzykrzyło mi się to monotonne zajęcie, monsieur.

Odchodzę - stanąłem przed obliczem któregoś z Rogerów.

- Jesteś lekkomyślny, Adam.

- Jestem hedonistą, monsieur.

- Nic ci się nie należy, Adam... - wymienił punkty ze zrywanej przeze mnie umowy. Z jego interpretacji jasno wynikało, że to, co firma była mi winna, przepada.

- Nie wyjdę stąd, dopóki pan nie zapłaci - nie miałem najmniejszego zamiaru podarować im ciężko zapracowanych pieniędzy. I nie miałem oporów, aby je wszelkimi sposobami wydostać. Kiedy podpisywałem kontrakt, nie orientowałem się w pełnym profilu działalności zakładu.

- Wezwę policję - obiecał.

- Niech pan wzywa - nie ruszyłem się z miejsca; nie bałem się policji, nie miałem nic do stracenia, najwyżej te kilkaset franków.

- Jeśli zechcę, odbiorę ci prawo pobytu - zagroził.

- Mam dokąd wrócić, monsieur - roześmiałem mu się w nos; z domu nie wygnałalnnie bieda, nie przyjechałem tu dorobić się za wszelką cenę, i mogłem si<sup>^</sup> wypiąć na jego firmę, na jego forszę, na jego pluskwy i nawet na prawo pobytu.

W kategoriach Rogera nie mieścił się widać taki dziwny gastarbeiter i dlatego, jak sądzę, aby pozbyć się szaleńca, patron skapitulowski. Sięgnął do kasy jak porażony paralizem. Nie, on się mnie nie bał, tylko jego natura nie znosiła sięgania do kasy - robił się chory.

Zostałem bez pracy z nieważnym pozwoleniem na pobyt.

Jeszcze tak nie było, żeby jakoś nie było. Pozostałem w Paryżu jeszcze przez pewien czas. Miałem trochę oszczędności, a Republika okazała właściwy takt i nikt przy żadnej okazji nie żądał ode mnie dokumentów.

Do Warszawy powróciliśmy z Katarzyną w maju. W czerwcu popłynąłem z nią na mój ulubiony szlak. Kaśka zobaczyła go wówczas pierwszy raz w życiu.

Mnie cieszyła jakby na nowo odkryta uroda tej krainy. Katarzyna nie miała pojęcia o wiosle, nie umiała pływać, najlepiej czuła się w wodzie sięgającej kolan. Do kąpieli musiałem jej wyszukiwać miejsca z piaszczystym dnem, bo nie ufała podłożu porośniętemu wodorostami.

- Ja nie wiem, co tam siedzi - usprawiedliwiała się; bała się raków i w ogóle wszelkiego drobnego zwierza żyjącego w wodzie.

Nie ufała także składakowi, wydawał jej się zbyt kruchy, niepokoiła świadomość, że od głębiny dzieli tylko grubość powłoki opiętej na jesionowym ozebrowaniu.

- Z tych patyczków będzie łódka? - sceptycznie przyglądała się elementom konstrukcji Neptuna, gdy go montowałem na brzegu.

- Nigdy nie widziałaś składaka? - nie mogłem uwierzyć.

- Nigdy. Moja rodzina to szczuiny lądowe - Kaśka jest jedynaczką. Rodzice i ciotka Lucyna trzęśli się nad nią zawsze. Miała dziewiętnaście lat i była już na uniwersytecie, gdy po raz pierwszy wyjechała bez opieki na studencką praktykę. Później wywalczyła sobie samodzielność, ale nigdy nie zetkn<sup>a</sup> się z wodną włóczęgą. Mimo tych mankamentów objawiała zadatki na dobrego trampa, chociaż przez dwa lata nie potrafiłem na niej wymóc, aby nauczyła się pływać, l<sup>^</sup>lko z czasem nabrała zaufania do kajaku, szczególnie krzepiła ją wypełniona powietrzem dętka okalająca burtę.

- Adam, spójrz! - Dymitr unosi wiosło; minęliśmy zasięki trzciny, poza którymi otworzył się widok na zalany wodą obszar i wznoszącą się nad nim czarną łatę pogorzeliśka.

- Spalony stóg! - pamiętałem, że wtedy wichura biła skosem w prawą burtę. Kajak nie obciążony w dziobie, podrywany od nawietrznej, skakał niczym kangur. Aby uniknąć wywrócenia, skierowałem go z wiatrem i huragan pognał mnie jak na żaglu.

Płynąłem skroś rozlewiska, coraz dalej od koryta rzeki. I nagle poprzez potoki deszczu zamajaczył rozmazany, czarny

kontur chałupy.

Teraz z Dymitrem skręcam od spalonego stogu i powtarzam manewr, do którego poprzednio zmusiła mnie nawałnica. I tak samo jak wtedy wynurza się z pustkowie przysadzista chata z posiwiałą mchami strzechą. Dzieli nas od niej pas bagna, kończącego się zaroślami nad nieruchomą wodą.

- Nareszcie - odetchnąłem.

Rozgarniamy gęstą lawę trzciny i tataraków, nasza połatana, spłowiła piroga trzeszczy w wiązaniach, ale prześlizguje się przez te przeszkody po przysłowiowej łyżce wody. Niebawem jednak brakuje i tej łyżki. Grzęźniemy w lepkim błocie, z trudem dociągamy kajak do kępki łozy, chata, widoczna jak na dłoni, zdaje się zupełnie opuszczona.

- Idziemy - tnę sitowie, wiązę w płaskie pęczki witkarr<sup>^</sup> łozy, asekuruję nimi przejście.

- Pejzaż jak z Poego - rozgląda się Dymitr.

Uroczysko - przedwieczorna, bezwietrzna cisza. Czerwone słońce topi się na równinie, jakby też wsysało je bagno.

Wcieniach zmierzchu moczaiyzaczynajaparować.

mleczny welon osłania i wyrównuje wygarbienia, rozbfy- skuje i gaśnie błękitnymi cekinami bagiennych płomyków.

Samotna chata zdaje się płynąć okolona falującym tumanem mgieł, otuliły już podmurówkę i wciąż pną się wyżej.

- Rusz się, Dymitr, musimy tu nocować - dopiero w tej chwili zdaję sobie sprawę, że wodziło nas od piątej rano i skończył nam się dzień, a od Goniądza dzieli ze czterdzieści kilometrów pod prąd, zaś od Wiznej tyleż z prądem, i nie da się przez te omglone pustacie płynąć przy księżycu.

- Musimy - przyznaje; bierzemy wiosła i pęki ściętego sitowia, rzucamy je przed sobą, brniemy ostrożnie, na wyczucie. Spowici do kolan oparem, po omacku badamy przed sobą grunt wiosłami. Osiągamy wreszcie twardą ziemię już w pobliżu chałupy. Jeśli ktoś tam jest, nie zaskoczmy go, nie ma mowy, aby nas dotychczas nie dostrzegł, musiał zobaczyć zaraz, gdy tylko wynurzyliśmy się zza łożin.

Podchodzimy pod drzwi. Niegdyśjsze, mocne wierzeje z szalówką układaną ukośnie i tworzącą w środku wypukły romb, z dwiema kutymi antabami przy zawiasach, przez skoble

przewleczony łańcuch zamknięty kłódką.

Pod uderzeniami drzwi dudnią ^ucho, szalówka kryje solidne ciesielstwo.

- lych nie wyważysz, co? - Dymitr nie może darować mi tamtych rozbitych drzwi na ulicy Wróblej.

- Po co, wystarczy wyjąć skobel, mam w kajaku kombinerki.

- Predylekja do włamań, źle skończysz, Adam-puszczyk nie przyjaciel.

Wracamy na brzeg, i tak musimy zabrać niezbędne rzeczy, taplamy się w bagnie jak prosięta. Zpowrotem jest trochę lepiej, ja niosę śpiwory i torbę z jedzeniem. Dymitr gruntuje wiosłem, przyświeca latarką.

- Otwieraj - Dymitr daje mi błogosławieństwo; krążek światła nieruchomieje na kłódce. Podsadziłem kombinerki pod skobel, nawet gładko wyszedł.

W sieni pałmie pleśnią i mokrą ziemią. Na polepie z ubitej gliny stoi wysoka przyzma brunatnych cegiełek.

- Torf — stwierdza Dymitr; kopnięciem otwiera następane drzwi, omiata wnętrze światłem baterii. Płamka blasku przeskakując wydobywa z mroku fragmenty obszernej izby.

Zapalam przyniesioną ze sobą świecę i wtedy widzę naftową lampę, wiszącą na ścianie. W szklanym zbiorniku jest trochę nafty, więc oprawiam zarosły kopciem knot i przecieram klosz.

- Nie taka znów prowizorka - rozgląda się Dymitr; bielone ściany i niski sufit ze stragarzami z pociemniałych belek, podłoga z wypalanej cegły, okazały komin - jak tu nazywają kompleks: piekarnik z kuchnią, z okapem nad paleniskiem - dzieli izbę na dwa aneksy, kuchenny i zapiecek.

W głębi pod ścianami narożna drewniana ława, z ażuro- wjra oparciem, przy niej stół. Na zapiecku dwa szlabany, sprzęt - kiedyś powszechny, teraz rzadkość w tym regionie

- służący do siedzenia i do spania: prostokątna skrzynia na czterech nogach, także z oparciem i poręczami. Po zdjęciu blatu siedziska i wysięciu przedniej ruchomej części, powstaje szerokie legowisko, wymoszczone słomą, lub bardziej komfortowo, siennikiem napelnionym sieczką. Teraz ten kimszt miejscowego ciesielstwa wyparły wersalki.

Za kominem drzwi do alkierza, wydłużonego pomieszczenia

z jednym oknem w szczycie, w ścianie działowej wysklepia się bok chlebowego pieca z pierwszej izby. Stąd drugie wyjście prowadzi do komory, stamtąd zaś do sieni.

W czeluści piekarnika, zamykanej żeliwnymi drzwiczkami, Dymitr znajduje wiązkę smolnych szczapek, nieci ogień pod blachą. Rozżarza się suchy torf, z uchylonego popielnika na ceglana podłogę bije czerwona luna. Zdmuchuję płomień naftowej lampy.

- Nikt się teraz tutaj nie przedostanie - kwituje Dymitr moją przezorność.

- Szkoda nafty - w zbiorniczku jest jej niewiele, przyda się nam, gdy przygaśnie palenisko, na razie wystarcza jego blask.

Rozchodzi się zapach podgrzewanej konserwy, oczekując na ten dar boski pożeramy chleb, grube skiby przez cały bochen, a bochenki w tych stronach pieką dwukrotnie; nasze, jeszcze gorące, zładowaliśmy do kajaka wypływając z Goniądza.

Podnoszę się, aby zdjąć menażkę z fdyty, i potrącam ramieniem poprzeczny leszczynowy pręt, zawieszony na konopnych postronkach, przerwanych do haków w dźwigarze sufitu. Grządka po tutejszemu. Suszy się na niej derki i wszelaką odzież.

Wtedy na tej samej grządce schły dżinsy, zwieszała się z nich srebrna klamra na rzemiennym pasie.

Nikt lepiej nie mógł jej znać, bo to ja ją robiłem! Ja projektowałem wzór i nadałem kształt, nawet kruszec przetopilem sam, z trzech połamanych srebrnych łyżek, które kupilem za grosze na Pchlim Targu w Paryżu; wykulem z nich dla Kaśki klamrę, pastisz renesansowej zapy, jaką ongiś spinano opończe. Ciekawie kontrastowała z luźno układającym się poniżej talii szerokim skórzanym pasem.

Katarzyna nosiła go do farmerów, do moherowych swetrów z puchatymi golfami, miękko opadającymi na ramiona i odsłaniającymi szyję, nosiła także do długich spódnic, podobnych do odwróconego kielicha smolinosa. W ogóle używała go bardzo często, aż pociemniał rudawy, surowo wyprawny rzemień.

I byłem pewny, miała go ze sobą na szlaku. Chociaż nie zwracałem uwagi na jej gałganki - pilnowałem tylko, aby zabrała gumowe buty, swetry i nieprzemakalną kurtkę - jednak

zapamiętałem ten pas z klamrą. Utrwalił mi się w związku z Kroplem.

Natura dała temu kundlowi kondycję dość nędzną. Wąty korpus na patykawatych łapach, wydłużony pysk przypominający ryj prosiaka i różową prosięcą skórę. I jakby wstydząc się takiej tandety okryła ową mizerię wspaniałymi kudłami, dodała parę wielkich, rozumnych oczu barwy kasztanów i nos z czarnego aksamitu.

Dopóki był suchy, Kropiek wyglądał jak maskota z białej włóczki, dopiero woda pozbawiała go tej urody. Mokra, zlepiona sierść ujawniała wszystkie niedostatki.

W domu wylegiwał się na tapczanach, siadywał na fotelach w półueżłowieczony sposób, z zadem tłokowanym na siedzeniu, a przednimi łapami wspartymi o podłogę. Ws^stkich ludzi witał przyjaźnie, listonosza wyraźnie wyróżniał, i tylko do inkasenta nie wiadomo dlaczego żywił awersję.

- Listonosz przynosi pieniądze, a inkasent je zabiera - w taki sposób interpretowała uczucia Kropka ciotka Kaśki, Lucyna, zwariowana przyjaciółka wszystkiego, co łązi na czworakach.

Kropiek wywodził się z niezliczonych generacji kundli - ciotka utrzymywała, że w prostej linii od szakala złocistego - które nigdy nie zhańbiły się pokrewieństwem z jakąkolwiek rasą. Pod manierami arystokraty, niezłomnie zachował nawyki podwórzowca, ł^ika i złodzieja.

Jego plebejskie pochodzenie ujawniało si^ natychmiast, gdy tylko znalazł się z dala od kanap, foteli czy dywanów.

Będąc z nami, ulegał zadziwiającej metamorfozie. Na każdym biwaku, gdy wznosiliśmy namiot. Kropiek brał w posiadanie teren. Według lo^ki znanej tylko jemu, wytyczał granice. Człapał godnie, co kilka człapów zadzierał zadnią łapę i z intelektualnym skupieniem w ślepiach ronił kilka kropelek. Nigdy mu nie zabrakło na całość.

Później nikomu, oprócz nas, nie wolno było przekroczyć tej linii. Biegał wzdłuż niej, jak przy niewidzialnym parkanie, i awanturował się zajadle, ilekroć ktoś przechodził zbyt blisko. Co jakiś czas odnawiał ogrodzenie i wtedy, zaborca, przesuwiał granice powiększając posiadłość.

Kradł! Milczkiem, z nagle obudzoną instynktem dzikiego



stworzenia, zaczynał się pod namiotami, błyskawicznie porwał spod burly coś upatrzonego i pożałował w biegu podczas ucieczki.

Po odkiyciu tej szpetnej przywary, na ludnych biwa- kach, jeśli musieliśmy odejść od namiotu nie mogąc zabrać go ze sobą, był przywiązywany. Niepokorny pies przegryzał smyczę i ruszał naszym śladem.

Nie polował i nie walczył z małymi zwierzętami; kiedyś nocą pizmowce wyjadły mu do czysta wszystkie kąski pozostawione w przedsiönku namiotu. Nieraz dostrzegaliśmy ślady ząbków drobnych gryzoni na maśle, smalcu, serze lub wędlinie - nigdy nie alarmował i me przepłaszał nieproszonych gości.

Kochał śmietniki i wszelaką padlinę. Właśnie wtedy, w Goniądzu, dorwał się i pochłonął zdechłą rybę. Katarzyna trzymała do niego pedagogiczną mowę, groźnie potrząsając nad nim pasem, psa wywraçało na nice.

-Kaśka, daj mu spokój - wstawiłem się za rzygającym psem i wyjąłem jej pas z ręki; z powodu przygody Kropka z rybim padłem zapamiętałem ten pas, Katarzyna miała go ze sobą na szlaku.

Dzień wcześniej, zanim nawałnica zagnała mnie do chały na uroczysku, wracając z zakupów w Goniądzu zauważyłem tego człowieka na rynku. Wychodził ze sklepu z pękatym plecakiem i równie wypchaną torbą. Minęliśmy się kilka metrów od siebie i nie poznałem go. On także przeszedł obojętnie, jakby mnie nigdy nie widział.

Dopiero schodząc już ku przystani, pomyślałem, że skądś znam tę twarz i skojarzyła mi się z karmicielem cyrkowych zwierząt. Wtedy nawet nie usiłowałem przypomnieć sobie jego imienia. Ale cóż by robił na Biebrzy ten szlifibruk, kanciarz i knajpiany dandys? To nie on, tylko ktoś do niego podobny. I więcej się nad tym nie zastanawiałem.

Spotkałem go w chacie na bagnach.

Zatr^nnałem się na widok czarnej bryły domu. Wypuściłem Kropka, białą kulę potoczył się przez tataraki. Przymocowałem linką kajak i poszedłem za psem. Wiosło postawiłem pod okapem strzechy, kundel wybiegł zza węgła, niecierpliwie dreptał po płaskim otoczaku leżącym przed progiem. Wyraźnie nie odpowiadał mu ten wielki deszcz, wiatr zbijający z łap i huczące niebo w pajęczynie błyskawic.

Wszedłem do sieni, pchnąłem pierwsze z brzegu drzwi.

W izbie panował półmrok, żarzyło się pod blachą, smuga blasku z otwartego popielnika oświetlała skrawek ceglanej podłogi i nogi mężczyzny siedzącego na turystycznym materacu, powiazanym na Icształ fotela.

- Dzień dobry... - wchodząc pochyliłem się, aby nie zderzyć się z futryną i... zatkało mnie.

Na środku izby pedałowal surrealistyczny kolarz, pochyłony nad kierownicą unieruchomionego roweru. Nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi, ani nawet przez moment nie zwolnił swej jazdy donikąd.

Wściekle nawijał kilometry z oczyma tępo wbitymi w okno, które miał naprzeciw, ale nie wydawało się, aby słyszał lub widział szalejącą tam na zewnątrz nawałnicę.

- ... dobry <- mruknął ktoś leżący na szlabanie pod przeciwległą ścianą. W połowie przysłał go ten sięgający powały piec, widoczny był tylko kawałek tułowia i nogi wsparte o poręcz.

W tej chwili we wnętrzu rozprysło się białe światło, nad chatą strzeliła salwa gromu, w izbie pociemniało, wzmogła się ulewa, strugi ciekące z okapu przysłoniły małe szybki. Cyklista nie przerwał swej absurdalnej jazdy, zaciekle pedałowal dalej, pokonując nie istniejącą drogę. Na gimnastycznej koszulce, w jaką był przyodziany, powiększały się zacieki potu, związane w pędzel, długie jasne włosy lepiły mu się do karku.

Z brzękiem potoczył się blaszany kubek, z materaca przysposobionego jak fotel zerwał się mężczyzna i runął w drzwi. Kropek warknął i przywarł do moich nóg.

- Panie Wu! - zeskoczył ze szlabana ten, co odpowiedział na moje pozdrowienie i wypadł na dwór za tamtym. Dom wariatów!

- Co jest, do ciolei, brakuje ci pary?! - dobiegł zza pieca niski głos, miał wyraźne pretensje do niesamowitego kolarza.

Rowerzysta przyśpieszył, szprychy zwały się w jedną srebrzystą wstęgę.

- Niech pan siada - wrócił mężczyzna, który wybiegł za panem Wu, lecz bez pana Wu.

Wskazał mi opuszczony przez tamtego fotelo-materac. Nie

dałem się prosić, zapadłem w wypełnione powietrzem poduchy i z rozkoszą wyciągnąłem nogi pod ciepło promieniujące z popielnika. Trochę zziąbłem, płynąłem tylko w kąpielówkach w myśl zasady: *gófy* nie moknie. Kropek także poczuł się zaproszony, rozciągnął się przy mnie na podłodze.

Mężczyzna przesunął na płycie olbrzymi czajnik.

- Skąd Bóg prowadzi? - zagadnął obyczajem rdzennych mieszkańców tej krainy; powiedział to bardzo głośno, nie przyszło mi wtedy na myśl, że może to być ostrzeżenie dla kogoś, kto jest na zapiecku lub w alkierzu i nie wie o wejściu obcego.

Zeliwnym pogrzebaczem przegamął żar w palenisku, w blasku bijącym spod fajerki rozpoznałem człowieka spotkanego w Goniądzu, karmiciela zwierząt, podającego się za rzeźbiarza, który dwa lata temu w Paryżu zaproponował mi fałszerstwo.

- Ze szlaku - mruknąłem; głupio było korzystać z jego gościnności.

- Zaraz będzie herbata - obiecał; zachowywał się tak, jakby mnie nigdy przedtem nie widział. Pomyślałem wtedy, że on też mnie nie poznał i nie miałem zamiaru przypominać mu naszej znajomości.

- Przepraszam - ściągnął przewieszony na grzędce sztormiak i wyszedł.

Słyszałem, jak skrzypnęły zawiasy drzwi prowadzących do sieni, lecz nawet się nie obejrzałem, bo przykuła moją uwagę odzież schnąca na leszczynowym pręcie. ICiębiły się tam jakieś kobiece łaszki, a poblask padający spod płyty wzniecał refleksy na renesansowej zaponie ze spatynowanego srebra, która obciągała pociemniały od użycia rzemienny pas, zwisający z farmerów.

Ukłuło mnie podejrzenie: Kaśka! tutaj?!... W tym samym momencie, widok niezmordowanie pedałującego cyklisty, półmrok izby i blask ognia rozprysły się w na^ej ciemności, wraz ze skowytem psa.

Odzyskałem przytomność dopiero w dwa dni później w łódce zalewanej falą pod Nowogrodem. Z początku rzeczywiście nie bardzo wiedziałem, co się ze mną stało. Potem szczególnie przerażało wspomnienie obłąkanego Qfklisty, brałem go za majak.

- I dlatego udawałeś wariata - zżymn^ się teraz Dymitr; pochłonęliśmy już wieprzowinę z puszyd i wciąż byliśmy głodni. Dymitr wyszperał w plecaku litrowy słoik maminiego weku. Robiła je, gdy jechaliśmy w Polskę. Nie ufała konserwom i w taki sposób usiłowała nas przed nimi uchronić.

- No, z takim korytem można być blisko natury - Dymitr przekłada do menażki mięso zatopione we wspomniałym sosie. Palcami wybiera ze słoika resztki i wylizuje jak kocur.

- Nie udawałem wariata, tylko amnezję - podkreślam z godnością. -1 przestań już ssać paluchy, postaw kocher na płycie.

- Ty sponiewierany artysto, jak na to wpadłeś?

- Zgubny wpływ medyka rn spe w rodzinie.

- Tobie potrzebny psychiatra, odpowiednia diagnoza może złagodzić kwalifikację prawną.

- Nie strasz kwalifikacją prawną.

- Ale to cię nieuchronnie czeka, jedno ^upstwo dodajesz do drugiego.

- Już nie dodaję, teraz chcę odjąć.

- Kiedy naprawdę odzyskałeś pełną świadomość?

- Już ci mówiłem. Pod Nowogrodem, w cudzej łódce, okietyd cudzą derką... Z rzeczy własnych miałem tylko kąpielówki, wspomnienie huraganu, płonącego stogu, widmowej chaty z oszalałym rowerzystą i przede wszystkim srebrnej klamry należącej do Kaśki.

- Twoja dziewczyna pod pozorem zobaczenia się z kustoszka w Brożanach zostawia cię w Goniądzu, przeprowia na odludzie, aby tam spotkać się z człowiekiem, który dwa lata temu w Paryżu proponował ci podrobienie puncy czy czegoś w tym ro^aju, człowiekiem związanym ze złodziejami i fałszerzami dzieł sztuki... kiedy huragan zagnał cię przypadkowo do tej chaty, oni podejrzewając, że trafiłeś tu umyślnie za Katarzyną, rozwalUi ci głowę i wywieźli pod Nowogród, gdzie puścili z prądem w ukradzonej krypie. Natomiast dziewczyna zdążyła pokazać się w Brożanach, zaprezentować kustoszce i w umówionym czasie z j awić się w Nowogrodzie i spokojnie oczekiwać ciebie na mojej łajbie?... Zgrabnie to utkałeś, nic dodać, nic ująć.

Dymitr umówił się z nami jeszcze w Warszawie, z Nowogrodu mieliśmy razem wyskoczyć na Mazuui. I Kaśka przyjechała w ściśle określonym czasie. Potem nie mając pojęcia, w jakich

jestem opalach, czekali na żaglówce, dopóki operatywna ciotka Kasi nie ustaliła, co stało się ze mną i gdzie podziało się jej oczko w głowie, alias siostrzenica.

- Kaśki wówczas na uroczysku nie było - miałem przy- najmniej tę pewność; Kropkę wyczułby ją z daleka i inaczej się zachował. Katarzynę kochał, jak tylko psy potrafią, ja jestem dla niego czymś w rodzaju kolegi, dwunożnego psa, także należącego do Katarzyny.

- Pozostawiła tam swoje farmery i pas z dobrze znaną ci klamrą. Czy jesteś pewien, że drugiej takiej nie ma?

- Jestem pewien.

- I akurat na tym rzemieniu uwiązali Kropka?

- Szeroki, mocny, nawet duży pies go nie zerwie. Może właśnie dlatego. A zresztą, pewno chwycił, co znalazło się pod ręką... - Kixpek, kiedy już nie miał innego wyjścia, zamieniał się w desperata. Zanim uległ przemocy, pewno ich pokąsał. Przypomniałem sobie ostatni głos, jaki wtedy mnie dobieg; skowyt psa. - ...pewno rzucił się w mojej obronie, a oni go bili, rakarze!

- Dziwię się, że go nie zabili.

- Nie każdy drań zabije psa, a może ocalał bo... n a 1 e - ż a ł do Katarzyny?

Maciek z ciotką i Kropkiem prz^echali do Łomży przed wszystkimi. Na mój widok pies zapląsał w szalonym tańcu, wtórując całą gamą skomleń. Dotychczas nigdy tak mnie nie witał. Przytulilem ten kłęb zmierzwionego futra i wtedy zobaczyłem skrytą wśród sierści, zamocowaną na jego obroży klamrę Kaśki z resztką pracowicie przegryzionej skóry. Wyplątałem ją z kudłów psa i schowałem. Ciotka, zbyt przejęta wydarzeniami, w ogóle nie zwróciła uwagi na ten szczegół^ i nawet nie zapytała, co 16-opek ma przytroczone do szyi.

Nietrudno odgadnąć, jak on się zachował. Uwiązany zrobił się cichy i uległy, a kiedy przestano nań zwracać uwagę, uczynił to, co zwykł czynić w podobnych okolicznościach, Potem wiedziony nieomylnym instynktem przebył bagna, rozlewiska, rzekę i wrócił na miejsce, gdzie pożegnał się z Katarzyną - do Goniądza.

- Jak Kaśka była ubrana, kiedy rozstawaliście się w

Goniądzu?

- Nie pamiętam.
- A ja pamiętam. Ona do Nowogrodu przyjechała w spódnicy na szelkach.
- Pewno zabrała do torby-mówię bez przekonania; jak znam Katarzynę, nie przypominam sobie, aby brała zapasowe rzeczy wybierając się gdzieś na dwa dni. Na dłużej i to wyprawiała się tylko z ręcznikiem i szczotką do zębów, chociaż lubi modne szmatki. - ...w każdym razie nie jest aż tak roztargniona, żeby zapominać o spodniach, nawet jeśli miała dodatkowe ubranie.
- \A^ęc dlaczego je zostawiła?
- Może stamtąd uciekła? Nie wiem! Nie wiem, dlaczego pedałował rowerzysta, dlaczego ktoś miał do niego pretensję, że pedałuje zbyt wolno, nie wiem, z jakiego powodu pan Wu., nieruchomy jak somnambulik, nagle na mój widok wyrывa z chałupy niczym oszalały zając, a za nim goni na ulewę Stelmaszczyk, i nie wiem, kto i dlaczego rozwalil mi łeb!
- I z tej niewiedzy symulowałeś utratę pamięci.
- Nie chciałem powiedzieć, co mi się rzeczywiście przydarzyło, a nic mądrzejszego nie potrafiłem wymyślić... Kiedy przypiał się do mnie sierżant w Nowogrodzie, nawet nie orientowałem się, ile czasu minęło od tego wieczoru w chacie na bagnach, dopiero później dowiedziałem się, że dwa dni.
- Naprawdę nic nie przypominasz sobie z tych dwóch dni?
- Nic. Jak amputowane. I to właśnie naprowadziło mnie na udawanie przypadku klinicznego. Zasluga podręczników Maćka... - przemilczam wspomnienie zachowane w pamięci; zresztą nie jestem pewien, czy nie wytwór wyobraźni albo zmaconego umysłu. Obraz rodem z opowieści niesamowitych, a może klechd mojego dziadka? No, bo jak wytłumaczyć, że na skutek ciosu w głowę, w stanie bezpamiętnej pustki, widziałem... upiora! Beznose, księżycowo blade straszidło, szczerzące zęby z ust pozbawionych warg, na wp^ obciążona mięśniami żyjąca trupia czaszka. Sama czaszka bez korpusu, wychylona ku mnie z czarnego nic, jak z przestrzeni międzygwiazdnej. Straszna, nieruchoma, z utkwionymi we mnie lśnącymi oczyma.

- Jesteś majakiem, zniknij! - usiłowałem powiedzieć zjawie i unieść rękę, a właściwie chciał to powiedzieć za mnie ten drugi, co też był mną, lecz istniejący oddzielnie i jakby niezależny ode mnie, ale nie potrafiłem wydobyć głosu ani poruszyć ręką; nie paraliżował mnie strach, tylko stanowiłem bryłę, może kamień, wprawdzie zdolny do jakiejś myśli, ale pozbawiony możliwości ruchu i mowy.

Zamknąłem oczy, a gdy znów uniosłem powieki - nie wiem, po jakim czasie. Upłynęły minuty, godziny? - zwid trwał niezmienny i znów zapadłem w pustkę.

Nie mogę opowiedzieć aplikantowi prawa, materialście, że widziałem upióra, zwłaszcza iż w dolinie Biebrzy - według gminnych podań - dzieją się sprawy niewytłumaczalne ludzkim rozumem. I chociaż na dachach sterczą anteny telewizyjne, po iroczyskach nadal źle wodzi ludzi. Oddzielone od ciała czaszki toczą się wśród błędnych ogni, mają ukazywać miraż, myślą drogę, wiodą na bagna, gdzie bez ratunku wciąga trzęsawisko.

Z takich topielców wylęgają się strzygonie wyjące nocami po pustaciach, żądne krwi ludzkiej, zaś z braku tejże kontentujące się zwierzęcą, od czego marnieje bydło. W dzień zaś to samo czynią południce.

- Nic nie pamiętam - powtarzam. - Pozostało mi tylko uczucie rozszczępienia osobowości.

- Gdybyś w Łomży powiedział mi prawdę - nie może darować Dymitr.
- Nie chciałem do tego nikogo mieszać. Skąd mogłem wiedzieć, że właśnie ktoś mu skręci kark.
- Uważałeś, że jak dasz mu po mordzie, to załatwisz sprawę! A co byś nie myślał o Katarzynie, powinienes z nią porozmawiać, zanim poszedłeś do Stelmaszczyka.
- Nie było jej w Warszawie, a poza tym nie uwierzyłbym ani jednemu jej słowu.
- Cholerny góralu! chciałeś się odegrać, i to zaraz, już!
- A ja go ciupaską, ciupaską... - zażartowałem; pr^pomniali mi się opowiadania dziadka. Sześćdziesiąt lat temu tak dochodził swoich praw, tak płacił krzywdy, cechował lby i jemu cechowano. Podczas okupacji ciupaską zabił swego pierwszego Niemca, w ten sposób zdobył broń. Pewno wzięłem dziedzictwo po tych pasterzach owiec, których przez wieki nie mogła wyżywić skalista ziemia. Przecież jeszcze teraz, w jakże zmienionych warunkach, chociaż złagodniały już obyczaje, we wsi mojego dziada spory i zwady przeważnie rozstrzyga się bez odwoływania do władz, a zdarza się i ciupaską.
- O śmierci Stelmaszczyka, zwłaszcza że milicja podejrzewała morderstwo, musiałem zawiadomić Katarzynę. Należało ją uprzedzić, bo jeśli jakiś ślad o niej przetrwał w domu przy Wróblej, niewą^liwie tandem poruczników trafi do niej prędzej czy później.
- Pośpieszyłem do Brożan, bo Kaśka po rekonesansie pojechała tam powtórnie z listem polecającym od swego promotora do kustoszki i zainstalowała się w muzeum na dłużej. I tylko o parę długości wyprzedziłem jednego z poruczników, Załęskiego.
- Pamiętasz Stelmaszczyka? - zacząłem bez wstępów.
- O kim mówisz? - zapytała; przypomniałem jej karmiciela zwirząt.
- A, ten stary młodzieniec... Nazwisko wyleciało mi 208 z^owy - wytłumaczyła; nie wydawała się ani zciekawiona, ani zaniepokojona, dlaczego wspominam tego człowieka.
- Zginął w dziwnych okolicznościach. Zamordowano



go-

- W Paryżu?

- W Warszawie, kilka dni temu, i to... ja znalazłem go martwego - wiernie powtórzyłem jej wersję skonstruowaną na użytek poruczników. -1 zapamiętaj! Nie powiedziałem i nie mam zamiaru mówić komukolwiek, że w i d y - w a l i ś m y go w Paryżu.

- W Paryżu mówiło się o nim jako o rzeźbiarzu, a nie przedsiębiorcy od cyklinowania - zauważyła. - Dziwnymi drogami chadza przypadek, z tylu ogłoszeń w prasie, właśnie TY musiałeś wybrać jego!... Będziesz miał przykrości z tego powodu? - zamartwiła się; tyle miała do powiedzenia. Przejęła się m o i m i przykrościami, dla siebie nie przewidywała żadnych, w każdym razie nie okazała cienia niepokoju.

- Poznajesz? - podsunąłem jej pod oczy kłamrę.

- Głupie pytanie, to moja kłamra - wyj<sup>^</sup>a mi ją z ręki. -

Porucznicy znaleźli kajak?

- Nie znaleźli.

- To skąd masz kłamrę? - przyjrzała mi się podejrzliwie; twierdziła, że cały ekwipunek pozostawiła w kajaku, do Brożan zaś pojechała wtedy w płóciennej sukience. - Skąd wzięłeś kłamrę?

- iMa pasku wiązałem twego cholernego Kropka! - judziłem.

- No, i przegryzł - uśmiechnęła się mnąc w rękę stwardniały kawałek rzemienia; nic, nawet cienia zmieszania. Pewne siebie, przewrotne babsko, przystanie na wszystko, co jej powiem. Jeśli zawiadomię, że siły nadprzyrodzone przeniosły jej dżinsy do chaty na uroczysku, przyzna mi rację albo się wszystkiego wyprze.

- Kropek miał to przy obroży, gdy się odnalazł! - ryknąłem.

- Nic nie rozumiem - spojrzała na mnie z troską, zupełnie jak Maciek przejęły moją niedawną amnezję.

- Ja też nie!

Zapalam naftówkę, przeszukujemy z Dymitrem chatę, ale nie znajdujemy nic, co pomo<sup>^</sup>oby wyjaśnić wydarzenia tamtego wieczoru.

- W sieni za drzwiami, oparły o ścianę, stoi rower, zwyczajny męski rower, nie najświetniejszej marki, ani nowy, ani zbyt zużyty - sprawny.

- Gdzie tu miejsce na jazdę rowerem? - myślę o splechtku ziemi i okalających chatę bagnach.

- Pewno jest jakaś ścieżka, a może grobla łącząca to miejsce z najbliższym osiedlem - mówi Dymitr.

Drewniana kłapa w ceglanej podłodze pierwszej izby zabezpiecza zejście do niskiej, ciasnej piwnicy - sklepek po tutejszemu. Ściany ocembrowane spojonymi cementem otoczkami, ociekają wilgocią. Stoją tu puste faski, w jednej tylko kiszone ogórki. Tchnie stęchlizną.

W nie zamkniętym drewnianym kufrze - z łukowato wysklepionym wiekiem, opasanym żelaznymi okuciami - zapasy: konserwy, kawa, papierosy, wódka, koniak.

Nic tutaj nie jest pod kluczem. W alkierzu pod oknem biurko, w ^ębi tapczan. Jedyne sprzęty, które z pewnością nie powstały pod ręką miejscowego Cieśli.

Biurko ma pięć przepastnych szuflad i wszystkie otwarte. Leżą libry papieru, różne pr^bory do pisania, metalowe dyski z rollkami taśmy, slajdy, klisze.

Na wierzchu kartonowa teczka, otwarty brulion z notatkami i stara walizkowa portabelka.

Na kłatkach filmów życie bagiennej flory i zwierzęta. Notatki o zwierzętach rzadkich i najrzadszych, i takich, które zostały się jeszcze tylko tu, w dolinie Biebrzy : wydiy. kuny, łasice, tchórze, bąki, bekasy, słonki, puchacze, głuszce, orły.

Ileż godzin, ileż dni musiał poświęcić autor, przesiedzieć w trzcinach, tatarakach, uczepiony kępy łozy, nieruchomy jak kamień, żeby ustrzelić kamerą takie kadry.

- Ten kot nie jest od tego ogona! - Dymitr wątpi, aby gospodarz tej chaty, jak widać przyrodnik i fotografik, pasjonat, bezkrwawy łowca, miał coś wspólnego z ludźmi, których wtedy tu zastałem. Niewykлучzone, że podobnie jak mnie przyznał ich huragan albo schronili się przed nim, a weszli tak samo jak dzisiaj my. Wyrwali skobel od **kló^**.

- Może jednak nie znaleźli się tu przypadkowo - dodaje; 208 mogli znać obyczajne gospodarza, wiedzieć, kiedy go nie ma, bo

przecież stale tu nie mieszka... Powinniśmy gospodarza zobaczyć, zwłaszcza ty!

Dymitr przegląda biurko; papiery i zapiski pedantycznie odkłada na miejsce. Nie znajduje nazwiska autora ani nawet inicjałów.

- O właścicielu można zasięgnąć języka we wsi, do której należą te grimta... - rozkładam przewodnik po szlakach wodnych Polski.

Chata na uroczysku leży nad lewym brzegiem rzeki gdzieś pośrodku między sto trzecim a sto osiemnastym kilometrem jej biegu. Po drugiej stronie znajduje się kolonia i dwie wsie. Jedna na skarpie tuż nad wodą, pozostałe z dala od mokradeł z meandrującą Biebrzą.

Natomiast po naszej stronie, na sto trzecim kilometrze, jest wieś Szafranki, uczepiona wzniesienia nad odgałęzieniem od głównego łożyska, zaś na sto piętnastym Bagienny Bór. Dzieli go od rzeki ponad pięć kilometrów trzęsawiska

- tyle przewodnik.

- Najbliżej jest Bagienny Bór - mówię, chociaż płynąc nie widziałem na horyzoncie żadnej ludzkiej siedziby.

- Niech będzie Bagienny Bór. Rano pomyślmy, jak się tam dostać - ziewa Dymitr i mości się na szlabanie.

Chowam do plecaka zaczytany przewodnik, artykuł raiitny dla włóczęgów, rzadko dostępny nawet w antykwariatach, i układam się na drugim legowisku. Owinięty śpiworem zapadam w zgrzebny siermik, napelniony sieczką. Leżę głową do wnętrza izby, na wprost otwartego okna, skąd przenika zapach ziół nie znanych mi z nazwy.

Noc jest chłodna, opary nisko ścielą się na moczarach, leniwie wynurza się z nich księżyc barwy polerowanej cyny. W trzcinach szmery, szelesty, plusk wody. Może poluje wydra?

- Pójdź, pójdź, pójdź! - gdzieś odzywa się pójdźka; pewno przyleciała na żer z odległego lasu. W tych stronach tę odmianę sowy otacza osobliwy szacunek. W pewnych okolicznościach jej śpiewny zew budzi zabobonny lęk i pokorną rezygnację.

Pójdźka pojawia się nieuchromie na dwa, *trzy*, a czasami tylko na jeden dzień przed zgonem człowieka śmiertelnie chorego, nawet jeśli znamion śmierci jeszcze nikt nie dostrzega.

Przybywa nocą, odlatuje przed świtem, aby znów powrócić z nastaniem nocy. Niewidoczna, zasiada na wierzchołkach drzew, a jeśli ich nie ma w pobliżu, na kalenicy dachu i wzywa: - pójdz, pójdz, pójdz! Wieszczy koniec życia, wiernie towarzyszy samotnej przeprawie do brzegu, dokąd nie wiedzie żadna grobla. Jej wołanie milknie z ostatnim oddechem, z ostatnim uderzeniem stygnącego serca.

Człowieku, złożony niemocą, jeśli usłyszysz nad swoim domostwem pójdzkę, odpraw doktorów, zbądź się leków, podziękuj babkom, zamawiaczom i znachorom. Gotuj się zdawać rachunek z tego, coś czynił przez dane ci lata, bo rychło znajdziesz się tam, skąd jeszcze nikt nie powrócił, chyba że strzygoniem przeklętym przez Boga, wyświęcanym przez ludzi. Pójdzka nie myli się nigdy - tak opowiadał starzec, co wiele widział, którego spotkałem rybaczą- cego na Biebrzy.

Zasypiając wciąż słyszę nawoływanie sowy i... idę po uginających się kępach, wyolbrzymionych cieniami w księżycowym, martwym świetle.

- Po cieniach jest bezpiecznie, nie ześlizgnie się noga - radzi Katarzyna i ucieka.

Gonię ją i biegnę po cieniach garbów, huśta się pode mną kożuch z traw, pokrywający topiel. Ależ to nie topiel, to pływająca wyspa, a pod drzewem stoi Katarzyna. Chwytam ją, wije mi się w rękach, lecz trzymam mocno, już mi nie umknie.

Dziewczyna nieruchomieje, wolno odwraca ku mnie twarz, ogromną twarz sowy.

- Pójdz! - unosi otoczone szlarą, nagie, pofałdowane powieki; patrzą na mnie złowróźnie nieptasie oczy.

- Czy zapowiadasz także śmierć nagłą dla zdrowych? - pytam pójdzkę-Katarzynę, bo pamiętam, że sędziwy rybak mówił tylko o ludziach chorych.

Nie odpowiada, czuję w ramionach jej wrzecionowate, pokryte piórami ciało.

- Pójdz! - promienisto, płasko rozmieszczone pióra wokół oczu ptaka rozsypują się, rozwiewa się cały obraz; wiem, że śpię w chacie na uroczysku, a to, co przeżywałem przed chwilą, to sen, ale wrażenie utkwionego we mnie spojrzenia nie mija. Z trudem otwieram oczy.

Zza otwartego okna patrzy na mnie upiór. Beznosa, płaska

twarz szczyrzy zęby z ust pozbawionych warg. Nieruchoma trupia czaszka, sama czaszka bez korpusu, zgilotynowana ramą parapetu. Żywe są tylko lśniące źrenice.

Zaciskam powieki - zwiód znika. Śniłem z otwartymi oczyma czy na pograniczu snu powrócił tamten wytwór umydowej dewiacji, jakiemu ulemem na skutek ciosu w głowę?

Kiedy po ciwili otwieram znów oczy, okno jest puste. Wprost przez to okno wyskakuję na dwór. Nikogo. Nawet trzciny nie szeleszczą, tak cicho. T^lko opar ponownie wznosi się ku górze, białe mleko przysłania jiiż kity tataraków.

Noc gwałtownie czernieje, to zachodzi księżyc. Niebawem skondensowany granat nieba oddzieli od widnokregu niebieszczejący pas i dźwignie się poprzedzone zorzą słońce. Wypije mgły, rozgwarzą się szuwary, znikną cienie i majaki. Gotów jestem wskrzesić czcieli słońca. Wielki guru wyznawców promiennej gwiazdy - całkiem nieźle brzmi.

Z bardzo daleka niesie stłumione, niewyraźne pianie koguta.

No tak, wszystko się zgadza; upór pierzchnął. Upiory, strzygi, strzygonie, wampiry, latawice i topielice, a także pomniejsza piekielna hołota jest podleca władzy kurzych sułtanów. Mądrze Pan Bóg urządził świat, koguty stworzył nie tylko na ros^. Więc jeśli to był upiór, dzisiaj jiiż się nie pojawi. Fajerant aż do północy. W tej branży nie pracuje się w nadgodzinach.

Wracam do izby i zawijam w śpiwór. Dymitr śpi, pogwizdując jak rosomak. Czy rosomak potrafi gwizdać? - zastanawiam się, zasypiając.

Nie wiem, jak długo spałem, gdy znów mnie coś budzi. Nie, za oknem nie widać oddzielonej od tułowia przerażającej głowy strzygonia, bo to chyba był strzygoń, jeśli nie myślę rysopisów poszczególnych ważniejszych transcendentnych osobników, podanych mi kiedyś przez starca znad Biebrzy, a szlajających się ze szczególnym upodobaniem po tutejszych topielach.

Strzygonia nie widać, zresztą nic nie widać, bo wisi mleczny tuman, natomiast coś słycać i nie są to zwyczajne rozmowy bagien, tylko ktoś idzie, człowiek lub większy zwierz. Żyją tu jeszcze samy, jelenie, zdarzają się i łosie.

Znów wychodzę przed chatę, tym razem drzwiami. Wyrażny

i coraz bliższy dobiega trzask suchej trzciny, młaśnięcia błotnistego gnantu. Nie, to nie zwierzę, tak chodzi człowiek. Idzie dość pewnie, zważywszy, że zgęstniały opar pozwala dojrzeć zaledwie na kilka kroków przed sobą.

Wreszcie wyłania się z rojstów ni to człowiek, ni zwierz. Coś na dwóch nogach, lecz z garbem i jakby trąbą wystającą z tego garbu. Cofam się pod okap strzechy i gotów jestem do spotkania, obojętne czy ze strzygoniem, wampirem, czy upiorem z odzyskanym tułowiem.

Wynurza się mężczyzna objuczony wypchanym plecakiem, szczupły, średniego wzrostu. Podpiera się długą tyczką, wystającą wysoko nad głową. Robi mi się głupio i moja odzywka też nie należy do najmądrzejszych.

- Kim pan jest?

- To raczej ja pana powinienem o to zapytać - zatrzymuje się, spogląda badawczo zza dużych prosto^jcyjnych szkieł w grubej, ciemnej oprawie.

Na wierzchu plecaka przytroczona jest kamera filmowa w czarnym futerale, sterującym mu nad głową. Nie ulega wątpliwości, mam przed sobą bezkrwawego łowcę, gospodarza tej chaty.

- Płyniemy z kolegą kajakiem, zabłądziliśmy i... - przedstawiam się, przepraszam za to bezceremonialne wtargnięcie.

- Witam na szlaku! - pozdrawia sarkamentalną formułą wodniaków. - Kędryś - wyraźnie wymienia nazwisko, podaje mi rękę i przyjaznym gestem zaprasza do wnętrza.

- Nie znalazłem kawałka suchej łąki pod namiot, inaczej nie... - guzik prawda, wcale go nie szukałem. Żeby była nawet nie wiem jaka łąka i tak bym włamał się do tej

chaty, skoro ją znalazłem, ale jego ujmująca życzliwość nie pozwala ograniczyć się tylko do zdawkowych przeprosin.

- Słusznie pan zrobił - usuwa moje skrupuły Kędryś. - Kiedy opuszczam chatę na krócej, w ogóle nie zamykam drzwi, lecz teraz wyjeżdżałem na trzy tygodnie.

Trzy tygodnie? Przed szesnastoma dniami rozwalono mi tutaj globus. Ten człowiek może w ogóle nie ma pojęcia, kto jeszcze korzystał z tej chaty podczas jego nieobecności. Ładna zabawa! Jeśli tu coś przemieszano, zniszczono, albo co gorsza; skradziono, wszystko obciążą nasze konto. Ale przecież nie wtajemniczę gościa w moje sprawy, tym bardziej bez porozumienia z Dymitrem, a ten śpi jak borsuk w jamie.

- Proszę go nie budzić - uprzedza mój zamiar Kędiyś; bezszelestnie porusza się po pierwszej, kuchennej części izby. Rozładowuje plecak. - Zawilgłem! - pociera dłońmi ramiona, bierze kamerę i odzież zabezpieczoną w foliowych przezrzystych workach. - Muszę się przebrać — tak samo bez^ośnie przechodzi za zapiecek, znika w alkierzu, starannie zamykając za sobą drzwi. Sfyszę lekki szmer przesuniętej zasuwki.

Dziwadlo! Sądząc po wyglądzie, ma po trzydzieście, a wstydzi się przebrać pr^ obcym i rygluje za sobą drzwi.

To chyba jednak nie ten powód; przebrać się rzeczywiście musi, bo opar z bagien rosi jak deszcz i przenika każdą tkaninę. Ale on pod tym pretekstem zamknął się w alkierzu, aby natychmiast sprawdzić stan inwentarza, wszystkie tam zgromadzone notatki i filmy.

Jeśli Dymitr coś namieszał albo czegoś brakuje? Grozi zupełnie nie przewidziana chryja. Facet nie wygląda na drobiazgowego, sądząc po tym, jak pr^ał obecność nieproszonych gości, lecz w dziedzinie swojej pracy może być pedantem. Jeżeli zastanie nieporządek, to-co mu teraz powiem?

- Panie, to nie my, to jacyś gangsterzy! Pańskie zbioiy 216 w porównaniu z tym, jak mnie urządzili, to w ogóle mała rzecz.

- Dymitr, wstawaj! - tarmoszę mego osobistego detektywa i łowię szmery zza drzwi alkierza.

- Ty! Stleń się - mamrocze z wściekłością i zagrzebuje w śpiwór; rezygnuje. O takiej porze jeszcze nikt nigdy nie miał z niego pożytku.

Wyciągnięty przedwcześnie z barłogu zlorzeczy, że kwiaty

schną porusza się niemrawo, a jeszcze niemrawiej myśli, nie rozmawia, tylko szczeka. Później nazywa to depresją poranną, właściwą nokturnom. Bo swojego śpiocha podparł teorią, według której ludzie dzielą się na poranników i nokturnów. Największa aktywność psycho- fizyczna tych pierwszych przypada od świtu do południa,

i ci podobno kochają zrywać się o brzasku. Noktumi natomiast zaczynają w pełni funkcjonować od południa, ale za to ich energia przygasa dopiero nad ranem.

Nocnik cholerny! Pożarłszy gargantuiczną kolację, zakopał się w bet już w dziesiątej wieczorem i od tej pory nawet powieka mu nie drgnęła. Tak się wyeksploatował ruszywszy kilka razy wiosłem.

Niecę ogień, stawiam czajnik z wodą, coś przecież winienem gościnnemu gospodarzowi, przynajmniej należy mu się gorąca herbata, sam też się chętnie napiję; bez zrozumienia dla psychiczno-fi^cznych właściwości mego przyjaciela ośno rozłupuję resztę smolnych szczapek, szczękam garami, hałasuję poprzebaczem. Nie reaguje, śpi dalej.

Bezszelstnie zjawia się gospodarz, nie wydaje się, aby miał jakieś pretensje. Ubrany jest w golf z wysoko na szyję zachodzącym kołnierzem, w rajtki od dresu i filcowe botki na mikro gumie. Mości się koło pieca na zydlu. Czerwonawa smuga z fajerki wydobywa grube ściegi na jego swetrze, twarz pozostaje w cieniu. Chociaż na dworze dnieje, przy kominie panuje półmrok, okno znajduje się po przeciwnej stronie, a nawisyf okap strzechy i małe szybki skąpo filtrują światło.

- Zmarzłem - Kędryś rozciera ręce, jakby usprawiedliwiał swój szczelny strój, jedynie nie okrywający dłoni i twar^.

- Noc była zimna, a przedrana mgła lodowata - przyznaję.

- Zanim tu dotarłem, minęła noc... - Kędryś dorzuca torfu; warszawski pociąg miał opóźnienie, więc nie zdai^ł na lokalne połączenie z Osowcem, a gdy tam wreszcie dojechał, uciekł mu ostatni pekaes.

Od Osowca do Bagiennego Boru ponad dwadzieścia kilometrów szedł pieszo, bo nie trafiła mu się żadna okazja.

- No i jeszcze pięć z Bagiennego Boru - uzupełnia.

- Stąd nie widać wsi.



- Zaslania ją zagaj za mokradłami, dopiero za nim jest wieś.
  - Szedł pan brzez bagna? - imbryk na płycie zaczyna mruczeć.
  - Znam ścieżkę - gospodarz wyparza kamionkowy ekspres, wysypuje kawę do filtru.
  - Nawet ścieżką nie ryzykowałbym marszu nocą, wśród tej topieli.
  - Nie doradzałbym tej drogi komuś, kto jej nie zna. Dla mnie swojska tu każda kępa.
  - W tych warunkach przydaje się panu rower?
  - Przydaje. Gdy lato suche, do Bagiennego Boru tą ścieżką da się jechać, a trochę trzeba prowadzić.
  - Często zaglądamy tu nieproszeni goście?
  - Nierzęsto... - Kędryś kroi chleb i wiejski ser, formowany w tych stronach w płóciennym rożku pod prasą deski obciążonej wielkim otoczakiem. Podsuwa mi glinianą dzieżkę z masłem.
- Dom stoi na niewielkim wzniesieniu w klinie między odgałęzieniem kończącym bieg ślepym ujściem w moczary a łożyskiem Biebi<sup>^</sup>. Oddzielony od jej brzegu kilkusetmetrowym, niedostępnym trzęsawiskiem. Porasta je wysoka trzcina, sitowie, łozy i zasieki tataraku, gąszcz wybijających bagiennych traw. Enklawa wodnego ptactwa i żerowisko pomniejszych zwierząt.
- ... w normalnych warunkach dla człowieka nie do przebycia. Nawet chaty z rzeki nie widać... - mówi Kędryś.
- W tym roku warunki są nienormalne. Od czerwca padają częste i gwałtowne deszcze. Biebrza zalała całą dolinę. Wysoka woda podeszła blisko pod samą chatę i udostępniła ją od strony rzeki.
- A w ogóle w jaki sposób przedostaje się pan nad brzeg?
  - Miałem kładkę... - na wybranych kępach położył dyle, przybił do nich olchowe żerdzie. Wiodła wśród zarośli nad sam niut, gdzie lunocował pomost z desek, przy których cumował łódkę. W czerwcu rzeka imiosała pomost.
  - Bardzo ograniczona swoboda.
  - To swoboda nieograniczona, tylko trzeba znać teren...
  - z rozmysłem wybrał właśnie to miejsce i tu sprowadził starą chatę kupioną w Bagiennym Borze. Wykop pod fundamenty i podmurówkę zrobiono latem, chatę przewieziono na płozach, gdy

mróz skół topiel.

- Poluję z kamerą... nie zwrócił pan uwagi na notatki?  
leżały na biurku - badawczo błyska ku mnie okularami.

- Nie - kłamię jak Kropek, gdy udaje, że to nie on  
pozostawił ślady zabłoconych łap na środku kołdry.

- Nie jestem naukowcem ani badaczem, podpatruję j  
utrwalam na kliszy życie fauny i flory tego ciekawego regionu...

Dlatego usadowił się w tjtN dzikim kącie, gdzie natura  
znajduje się jeszcze w stanie pierwotnym w widłach utwo

rzonych przez rzekę i jej stare koryto, z dala od wsi i w miejscu niedostępnym dla intruzów, co nie znaczy, że nie jest rad gościom.

- Tylko nie toleruję tranzystorów ani myśliwych...

Ten klin bagien kupił jego znajomy. Mieszkańcy Ba-giennego Boru to się palcem w ogóle pukali albo rysowali k<sup>^</sup>ka na czole, bo nie mogli zrozumieć, dlaczego człowiek normalny, z własnej woli i za własne pieniądze pragnie trawić życie wśród trzęsawisk.

- Tym bardziej że to miejsce ma niedobrą sławę...

- Grasują kłusownicy?

- Według tutejszej etyki kłusownictwo nie zniesławia.

Chodzi o co innego, ziemia leżąca w tych widłach jest nawiedzona! Kiedy targowano ten kawał błota, jego mankament zdradził w sekrecie sąsiad właściciela, który chciał także sprzedać kawałek-błota, ale błota rzetelnego, po którym nie wałęsa się złe.

- A tu się wałęsa?

- Wałęsa i szkodzi - śmieje się Kędryś. - Miejscowi niechętnie o tym mówią, bo; telewizory, kultywatory, klubo-kawiarnia i złe? Wstydzą się, nie chcą uchodzić za zabobornych, ale po cichu wierzą, że coś tu jest.

- Teraz rozumiem, dlaczego nocą w tym oknie widziałem niezwykłą głowę - sam nie wiem, dlaczego o tym wspominam.

- Niezwykłą? - błyska szklami gospodarz. - Może ktoś ze wsi wybrał się na ryby., przechodził tędy i zajrzał w otwarte okno.

- Twarz wyglądała upiornie.

- Upiornie, powiada pan? - szklą gospodarza lśnią ironicznie. - Też kiedyś widziałem upiorny pysk. Noc była księżycowa, podobnie jak dziś. Spałem na tym samym szlabanku tak jak pan, na wprost miałem otwarte okno. I nagle obudziło mnie wrażenie czyjejs obecności. Otwo- rzyłem oczy i obleciał mnie mróz.- Przez okno zagłada 220 potworna morda z jarzącymi ślepiami, z parą rogów jak łopaty, pochrapuje toto i jak nie ryknie...

- Behamot czy szatan bezwodnej pustyni? - zupełnie przytomnym ^osem włącza się Dymitr.

- Nie, to był łoś.

Po śniadaniu dziękujemy za gościnę i żegnamy gospodarza.

- Chciał pan, zdaje się, iść do Bagiennego Boru uzupełnić zapasy? - zwraca się do mnie Kędryś. — Wskażę wam ścieżkę, zaprowadzi do samej wsi.
- Zapasy? - o niczym takim nie wspominałem, pewno nasunęło mu się to, ponieważ pytałem o drogę do wioski.
- Przez noc ustępująca woda odsłoniła świeży pas bagna; pakuję Dymitra do kajaka, sam zapadając się w grząskiej mazi, dociągam i przepycham łajbę przez zaporę trzcin. Wreszcie mogę wsiąść, tu już poziom wo.dy utrzyma i moje gabaryty, a w ogóle to ta zajeżdżona szkapa niesie ponad dwieście kilogramów ładunku i trzydzieści kUka własnego ciężaru.
- Składak to świetna krypa, żał mi utraconego Neptuna, lubiłem go jak żywe, rozumne stworzenie.
- Jeszcze kilka godzin, a nie wydostalibyśmy się stamtąd - zawiadamiam Dymitra; z rozlewiska kieruję się na nurt, rzeka ostrym zakolem toczy wody na lewo.
- On nas nie zatrzymywE^, raczej chciał się pozbyć - zauważa Dymitr.
- Nic dziwnego, nie spał całą noc, czego nie można powiedzieć o tobie.
- Nie spałem, tylko słuchałem, jakieś mięsił i mięsił, aż mnie zemdliły te duchy.
- Trzeba było wstać i pokierować rozmową.
- Co tu było do kierowania. Widziałeś wpierv tego faceta?
- Nie widziałem, ale nie wiem, czy wszystkich bym rozpoznał.

- A głos?
  - Jaki głos? Kilka zdań powiedział do mnie Stelmasz- c^k, inni porozumiewali się monosylabami.
  - Zauważyłeś, jak on się dziwnie uśmiechał?
  - Nie zauważyłem.
  - Tak jakoś' z przymusem, jakby skurcz ściągał mu mięśnie.
  - Półgębkiem. A do czego miał się śmiać całą gębą? Do dwóch basiorów zawałających mu legowiska, gdy wraca po nie przespanej nocy, po dwudziestu pięciu kilometrach marszu z plecakiem większym od siebie.
  - Dopłyn do jakiegoś dostępnego brzegu, zostawimy kajak i pieszo dotrzemy do Bagiennego Boru - proponuje Dymitr. - Chcę wiedzieć, co mówią we wsi o chacie i jej gospodarzach. Teraz, jak go tam spotkamy, będzie głupio.
  - Będzie głupiej, jeśli się nie wykaraskasz z tego, coś nawarzył.
- Płynę i rozglądam się wzdłuż lewego brzegu, ale nie widzę nic, co wskazywałoby na możliwość przejścia.
- Z przeciwka ukazuje się zanurzona niemal po linię burty, smukła jAaskodenna łódka, obciążona usypiskiem bładozielonych kłączy. Na rufie przygarbiona starucha, odpychając się długą tyczką, wprawia czeMno w leniwy ruch. Wygięty dziób opornie orze pod prąd gładziznę wody.
- Pierwszy człowiek dzisiaj na tym pustkowiu - mówi Dymitr.
  - Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - pozdrawia kobieta; mijając nas kieruje się w odgałęzienie rzeki, obok którego przepłynęliśmy.
  - Na wieki wieków... - odpowiadam, jak nakazuje obyczaj. - Dokąd Bóg prowadzi?
  - Do domu, do Bagiennego Boru — ustaje ruch łyczki, zaczepia nią o przybrzeżną kępę. Skraj długiej spódnicy z wyrudziałej szerszy, zatknięty za pas, odsłania białą żyłastą łydkę, której bładość jeszcze bardziej podkreślają stopy ciemne jak wyschnięty torf. Zwraca ku nam twarz o barwie i fakturze sosnowej kory.
  - Jest przejście od rzeki?
  - Jest Stecka od brodu. Chcecie do wsi, to pływńcie za mną -

zanurza w wodą tyczkę.

- Popłynę z panią - przesiadam się do łódki, wyjmuję jej z rąk tyczkę. - Proszę mówić, którędy...

- Niech się trzyma lewej strony - pokazuje ręką i przysiadła na kopcu kłączy.

Przedostaję się do wąskiej odnogi, gdzie po kUkunastu metrach nurt zupełnie niknie, pcham obciążone czółno

1 myślę, w jaki sposób w tym miejscu radzi sobie ten ludzki okmch. Kobieta wygląda na bardzo sędziwą.

- Nie za ciężko to w pani latach?

- A ile by mi dał? - spoczywają na mnie dwa agaty okolone szłąrą jeszcze ciemniejszą niż reszta twarzy; kiedyś musiała być piękna. Nie czeka na moją odpowiedź, - Na świętego Marcina minęło osiemdziesiąt i siedem... W Bagiennym Borze i po tej stronie rzeki ja najstarsza. Tylko w Niewodnicy był jeszcze taki stary, ale prawnuki go do przytułku oddały. Niedobrze jest dzieci przeżyć, mojego syna na wojnie zabili, drugi bez wieści przepadł, tylko o mnie śmierć zapomniała.

- Nikogo pani nie ma?

- Chwalić Boga, wnuki żyją, dobre wnuki. Prawnuki też mam, jedna prawnuczka już dzieciasta, a jeden prawnuk na inżyniera kształci się.

Zatrzymujemy się przy cyplu zrytym racicami, w deseni u gęsi ch cygar; babka rozpościera płachtę i drewnianym dwuzębny m ościeniem nagarnia na nią kłącze.

Odbieram od niej brzemię, wiezie mnie przez trzciny, koleiną wśród zarośli. Za nimi łagodnie wznosi się łąka, w perspektywie smuga lasu. Trzy razy obracamy wynosząc połów babki na miejsce, gdzie jest już sucho i rośnie miękka trawa.

- Bóg zapłać - dziękuje nam za pomoc. - Pójdziecie prosto łąkami, potem skrajem lasu i będzie mogiłka, kamień na niej leży...

- Czyja to mogiłka? - chce wiedzieć Dymitr.

- Żołnierza, co z Napojlonem z Moskwy wracał się... - tłumaczy nam dalszą drogę do wsi.

- A co z tym pani robi? — wskazują kopiec kłacz: ^.

- Oczyszczyć trzeba - z parcianej torby wyjmuję nóż.

- Pasza dla bydła? - zgaduje Dymitr.

- Korzeń tataraku! Nie wie, do czego potrzebny? - dziwi się babka. - Na leki potrzebny, wywar łysienie strzymuje, a i na inne bóleci dobry. Co tak patrzy? Nie gusła żadne! Skup bierze, Lie by nie przynieść, dla aptek w fabrykach narządzają. Starego nie biorą, bo mocy nie ma. Najlepszy pr: ^ nowiu rwany i mój zawsze biorą, chociaż w zabobony nie wierzą, bo ja tylko na nowiu albo podczas pełni rwę.

- Pewno pani wie, czyja to chata tam na bagnach stoi? - Dymitr wyciąga scyzoryk i sięga po korzeń tataraku.

- Poróbstwo i zbrodnia na tej chacie i krew przelana sprawiedliwości do dziś wygląda...

Chatę zbudował Piotruk Bartodziej wiele lat przed pierwszą wojną, a kiedy mając sześćdziesiąt lat bezdzietnie owdowiał, ożenił się z siedemnastoletnią Klimką, ale i tego drugiego związku Bóg potomstwem nie pobłogosławił.

I zdarzył się najemnik, co przyszedł gdzieś ze świata i ugodził się do nich na parobka. A siła nieczysta sprawiła, że mąż przestał się Klimie podobać, z najemnikiem w grzech cudzołóstwa popadła. Ale nawet księdzu na spowiedzi nie wyznała. Nic, tylko baczyła, aby ludzie się nie zwiedzieli.

Ludzie nie wiedzieli, ale mąż raz ich na łące zastał, gdzie 224

parobek miał trawę kosić. Mąż porwał widły, a parobek kosę. Od tego dnia przepadł i pan, i parobek, zaś Klima w stosownym czasie pogrobowca powiła.

- ...a to był parobczański bachor, nie żaden dziedzic! - z pogardą podkreśla babka; szemrali ludzie, stronili od Klimki, lecz przestali, kiedy ksiądz dziecko ochrzcił i w księgach parafii zapisał jako Piotra syna Piotra.

W kilka miesięcy później list z Ameryki nadszedł, a jeszcze później pieniądze, i tak prawie przez dwadzieścia pięć lat przychodziły. I było tak, jakby to za morzami Piotriik Bartodziej się odnalazł.

- Pan Bóg nierychliwy... - imosi palec babka - dorastał już parobczański bachor, kiedy...

Zamordowany mąż w topiel rzucony bez chrześcijańskiego pochówku do Klimy strzygoniem powracać zaczął. Z ciała odarty w łożę się układał, śliski, zimny, bagnem cuchnący, Klimka chciała publiczną spowiedzią upiora ułagodzić, lecz syn nie dopuścił. Matkę jako wariatkę pod klucz wziął, bił, od ludzi z dala trzymał. A potem to już wcale nie musiał się z nią liczyć, pieniądze z Ameryki na jego imię szły.

- I umarł tamten w Ameryce — ciągnie babka - a kiedy umierał za morzami, w chacie u Klimki zaczęło bić jego serce, a tak strasznie, że ściany drżały... wtedy Klimka obwiesiła się na strychii.

Wszystko się wydało, gdy przyszło zawiadomienie z Ameryki o śmierci człowieka, co pieniądze przysyłał i spadek synowi Klimy zapisał; to był zabójca Piotra Bartodzieja, co do Ameryki zbie<sup>^</sup> i latami zbierał majątek dla swojego syna, który nazwisko Bartodzieja odziedziczył. I syn Klimy, chociaż w legendzie amerykańskich dolarów, od tej pory życia we wsi nie miał.

- ... Gospodarkę sprzedał i wyniósł się jeszcze przed wojną, ślad po sobie zatarł, a chatę Wąsaliikom, powinowatym swoim ze strony matki, zostawił i ziemię zbrodnią splamioną, bo tego już nikt kupić nie chciał, znów w niej te troje się spotykało... I Wąsaluki w tej chacie spokoju nie zaznali, marli jak muchy, i tak cały ród wyginął. Dwóch tylko zostało, ale oni nigdy tam nie mieszkali.



- Jednego konie poniosły i jego razem z wozem o słup rozgniotły, drugiego buhaj zabił, wątrobę mu przeltęcił, od tego pomarł, jeszcze jeden widłami nogę przebił, opuchł, stęzał, szcerniał i pomarł. A innych to suchoty wydusiły. Od tej pory chata pustką stała, dopiero warszawiak ją i klin kupił, gdzie kości Piotruka do dziś gdzieś w bagnie próchnieją...

- Warszawiaka strzygonie nie krzywdzą?  
- Powiadają ludzie, on z ich krwi. Podobno parobczakańskiego bachóra córki syn, znaczy się prawnuk Klimy i zbrodzenia.

- Dlaczego tak powiadają?  
- Inne chcieli mu lepsze łąki przedać i domy drzewnia- nie mieli, bo nowe ceglane pobudowali, a on nie, czemuś tylko chciał to, bo czemuś tu wrócił. Musi chce truchło Piotrukowe znaleźć i pochówkiem uczcić, winę zmazać... do wsi rzadko zajężdza.

- Autobus do wsi nie dochodzi?  
- A nie, tylko do szosy, a od szosy do nas traktem będzie z dziesięć kilometrów. Ale jemu autobus niepotrzebny, taksa własnego ma... Jak z Warszawy pr^eżdza, po tamtej stronie rzeki zostawia, bo po co jemu tutaj taksa? Do nas z tamtej strony objazd daleki, to on stamtąd łódką się przeprawia, bliżej i składniej jemu stamtąd.

- W jakiej miejscowości samochód zostawia?  
- Pewno w Goniądzu, bo tam sklepów czteiy, a u nas jeden, to i obsprawi się od razu.  
- Jak się nazywa warszawiak?  
- A nie wiem, ale Wąsaluk wie.  
- Taksówkarz? — zastanawia się Dymitr, gdy idziemy do

Bagiennego Boru.

- Tu każde auto nazywają taksówką.  
- Czyżby i teraz przyjechał wozem?  
- Obserwowałem, jak nadchodził. Szedł z przeciwnego kierunku niż rzeka, to znaczy od Bagiennego Boru, a zatem nie przeprawił się z Goniądza. Jeśli do wsi przyjechał samochodem, dowiemy się. Przecież musiał go tutaj zostawić.

- Jaki to duch straszył cię w nocy, gadają!  
- Dajmy spokój bredniom.  
- Te brednie skutecznie odstraszą ludzi od jego chaty A

rozwalili ci głowę, bo w ich mniemaniu odkryłeś coś, co starają się za wszelką cenę ukryć... Gadaj, co widziałeś w nocy!

- Upiora... — mówię mu, co zobaczyłem w oknie, podkreślam jednak, że mó<sup>^</sup> to być sen i wspominam tamten pierwszy obraz, jedyny, jaki zachowałem z owych dwóch dni wykreślonych z pamięci.

- *Ty* drągu w dziejowym przeciągu! - zgrzyta Dymitr - dlaczego ukrywasz takie rzeczy? Rusz tym wybrakowanym mózgiem: dwa identyczne zwidy to nie metafizyka, lecz fakty! Metafizykę zostawiam babce Józefce z Bagiennego Boru.

- Opanuj się, przecież nikt nie zakłada trupiej maski lub czaszki na kij i nie biega za ducha. To niepoważne! Jakbym go dmuchnął w zęby, toby się nogami nakrył.

- Zauważ, pokazywał ci się w momentach, kiedy nie mogłeś go dosięgnąć. A w ogóle to nie bądź taki rączy do bicia.

- Nie w tym rzecz. Wyobrażasz sobie normalnego faceta, straszącego drugiego faceta trupią fizys?

- Nie - przyznaje Dymitr.

VI - ...a ty mnie powiedz, panienka, czemu moj fanar gorszy od Antkowego, co? - Wąsaluk obraca w ręku naftową latarnię do wozu kormego, jakie sprzedają w ge- ■ esach, i bardzo z siebie zadowolony mruży oko do przysłuchujących się ludzi. - Ot, masz, jego fanar przyrdzewiały, szybki u niego obtłuczone i świeczką pędzony, a moj wprost jak z kooperatywy i łyska się, nie przymierzając, jak psu jajca...

- Paslaida, gębę rozpuścił jak cholewę! - gors^ się któraś z kobiet, nie z prawdziwego zgroszenia, lecz dla zachowania obyczajności. Nie wypada, aby bez zastrzeżeń słuchały, gdy mężczyzna bezeceństwa prawi. Męska to rzecz sprośności gadać, babska karcieć za nie.

W ogóle to rade słuchają Wąsaluka. Niby to facecje mówiąc, wybada, co w trawie piszczy, bo że piszczy, wieś rozumie, tylko co?

Łomżyński wydział kultury pragnie zinwentaryzować i wykupić co cenniejsze obiekty architektoniczne, a także przedmioty kultury materialnej regionu dotychczas pod tym względem dość zaniedbanego. A wieści napływając od etnografów i miejscowych działaczy alarmowały.

Nikt nie badał wartości stałych budynków rozbieranych na opał, pod siekierę szły sprzęty, niekiedy kunsztowne okazy ciesielstwa, gdy tylko do domu zjeżdżała wersalka na gąbce lub fornirowana orzechem szafa.

Syciły ogień wyroby kołodziei, stelmachów, bednar^, palono w piecach koszykami tak splecionjoni z łozowych witek czy korzeni jałowca, że nie przepuszczały kropli wody - służyły w czasach dawnych i jeszcze dawniejszych, zanim zastąpiły je skopki, zaś później blaszane wiadra.

Łomża chce to ocalić, Łomża pertraktuje z wydziałami historii sztuki uniwersytetów i te kierują tu absolwentów na studenckie praktyki. Młodzież akademicka pomaga 228



szczupłym kadrom specjalistów Województwa, a województwo wydziera niezbędne fundusze, by natychmiast wykupić najbardziej wartościowe rzeczy, którym grozi zagłada.

Gdy do kustoszki w Brożanaci zgłosiła się studentka z Jagiellonki, zaofiarowała pomoc, bo i tak jej studia nad srebrami, nad tymi srebrami nie miały już sensu.

Poprosiła o teren, gdzie bywała podczas kajakowych wędrówek. Wsie ciągnące się po lewej stronie Biebrzy od Dolistowa po Osowiec. Szlak zagadkowego wypadku Adama, o którym mówił mętnie i, jak się domyślała, nie wszystko.

Ruszyliśmy tędy z Jolką zaopatrzone w dokument z wydziału kultury stwierdzający: mgr historii sztuki Katarzyna Polewicz, oraz Jolanta i tak dalej, są upoważnione do... władze lokalne proszone są o udzielenie wszechstronnej pomocy i przyczynienie się do...

Sołtys w Bagiennym Borze natychmiast się przyczynił. Przeczytał papier, obejrzał pod światło pieczętkę i najpierw zatroszczył się o kwaterę. Za jego rekomendacją przyjął nas Wąsaluk do swego okazałego domu, dwupiętrowego klocka z pustaków szarych jak mysz, z balkonem wywieszonym nad wsiową ulicą. Widomy znak prestiżu, pomyślności, a w ogóle s^k!

- Nie wiem, czy stać nas... - speszył mnie wielki pokój z podłogą zaciągniętą na mahoń, tremem pod sufit, ser-wantką, telewizorem, nylonową firanką i Najśłodszym Sercem Jezusa w złotej ramie obok Michała Archanioła walczącego ze smokiem, zawieszonymi nad tapczanem krytym zielonym rypsem.

- U mnie nie zajazd, a wy nie letniM. Nu, to ja sie tym sposobem przyczynie do kultury - pieniąd^ od nas wziąć nie chciał.

Potem sołtys już w asyście Wąsaluka obszedł z nami zagrody, a gdy się zgromadziło trochę ciekawych, uciął agitkę.

- ... a jak się spodoba, znaczy się będzie zdatny, to na ten przykład za stary ślabanek podziobany przez robaki zapłacą tyle, że na nową wersalkę starczy! - zakończył sensacyjnie.

Nie było to zgodne z moimi intencjami, ale nie miałam siimienia prostować, bo ten sołtys działał z najlepszych chęci i po raz pierwszy w życiu brał udział w ocalaniu eksponatów kultiu materialnej.

- Nuże, baby - włączył się Wąsaluk - przetrząsać komory i strychy, tylko nie przynosić barachła, bo panienki nie szmaciarze, co za stare portki kubki mieniają.

I teraz Wąsaluk nabiera mnie na latarnię z geesu, chociaż zdaje sobie sprawę, czym różni się ona od tej wygrzebanej u jego sąsiada.

- ..no, czemu on gors^ ten moj f anar, ot, że ty go kupić nie chcesz, tylko na tamten się uparła. Kup, tanio prze- dam! - wyciąga ku mnie rękę odwróconą dłonią do góry.

Szanujący się kupiec powinien mocno klasnąć w tę dłoń i wymienić swoją ofertę. Poważny targ ma swój ceremoniał i powinien nieco potrwać. To tylko w sklepie płacisz i wychodzisz, żadna pr^emność.

Według tutejszych reguł sprzedający musi zawczasu tak skalkulować cenę, aby bez uszczerbku dla siebie miał z czego ustępować, zaś nabywca powinien taką sumę zaproponować na wstępie, żeby mógł ją stosownie podnosić przy kolejnym przybijaniu dłonią. Po osiągnięciu porozumienia stawia się litkup, neologizm utworzony od dwóch słów: litra i zakupu.

Wąsaluk rozumie, że interesuje nas dawne rękodzieło, a nie współczesna produkcja seryjna, lecz chce zgłębić kiyteria, wedle jakich jedna rzecz stara jest godna uwagi, a druga, nawet starsza, nie. Więc zastawia pułapki, doświadcza nas w interesie wszystkich, którzy mają coś wartościowego lub im się wydaje, że mają.

- TYi Wąsaluk, nie bałamuć — przerywa ktoś mniej cierpliwy - niech dziewczuki prost powiedzą, od czego ceną zależy, jak ją będą wytaczać, po uważaniu?

Po uważaniu to pojęcie dwuznaczne. Mieści się w tym i ewentualna łapówka, i gościniec - prezent, który w tutejszym pojęciu łapówką nie jest, i kumoterstwo, i sprzyjanie je^ym z krzywdą innych. W wielu okolicznościach korzysta się z usług ludzi załatwiających różne sprawy po\* uważaniu, ale się ich nie szanuje, nie żałuje i nie pomoże, jeśli takiemu powinie się noga.

Ws^stkich nurtuje ten przykładowy szlabanek wart nowej wersalki, o którym mówił sołtys podczas naszego entree. Jak to z tym jest? Nikt wprawdzie w cafym Bagiennym Borze dotychczas nie widział, a nawet nie słyszał

o takiej wymianie, ale skoro specjalnie przysłano dwie panienki legitymujące się p a p i e r e m z województwa, to może rzeczywiście dają nowe za stare. Lecz jeśli dają, to może taki szlabanek wart jest wersalkę i fotel, a może

1 dwie wersalki? I człowiek myśląc, że robi dobry interes, robi całkiem kiepski. A tu nikt się na tym nie zna ani nie ma się kogo poradzić, co naprawdę wart szlabanek, co zrządzeniem boskim nie został na opał porąbany.

- Panienki nie kupują, tylko opisują - przerywa Wąsaluk niezadowolony, że wypadł z centrum uwagi.

- Oceniać i kupować przyjedzie komisja, my tylko inwentaryzujemy - wyjaśniam.

- Znaczy się, spisujecie?! -budzi się nieufność; tutaj nie lubi się spisywania, bo czort wie, co z tego może wyniknąć.

- Ludzie! Dziewczuki nie z fajerkasy ani z sekwestru, one z kultiu! - wspiera nas Wąsaluk. - Jak co zapiszą, to późni muzeum kupi! Zapłacą i jeszcze na tabliczce napiszą, że to z Bagiennego Boru.

- Prawdę mówi, w Nowogrodzie jest takie muzeum - przytakuja.

- Miastowi dla siebie też kupują. My stęsknieni za kamienicami, piętru ^ mrowane buduj em, a miestkim ludzom już się ceglane przejadły, do chałup im skuczno... U nas też jeden taką chatę kupił, na bagno wywiózł, w trzcinach postawił, żeby do przyrody onemu było blisko. Komedial! - parska Wąsaluk.

- Nawet starej strzechy nie zdarł, tylko dziury nowymi kulikami poszył! Tak ono ma być, powiada, jak było. Znaczy się, smak jemu byłby nie ten, jakby blachą albo eternitem dach pokrył.

- Mądry on człowiek, choć miastowy, dobrze on wie, czemu nic w tej chacie nie zmienił - kiwa ^ową starowin- ka wsparta na kijku. - Spokoju nie naruszył...

- Wy, Józefowa, głupot nie gadajcie! - surowo upomina Wąsaluk. Dziewczuki pomyślą, że tu jaka ciemnota żyje, co z za bagien świata nie ogląda, amy i w Białystoku, i w Warszawie bywałe.

- *Ty* mnie od ciemnot nie wyzywaj! - prostuje się starucha. - jeszcze smarki pod nosem miał, jak u mnie już dorosłe dzieci były, a teraz moj prawnuke na inżyniera kształci się - zwraca się do nas - może panienki znają, w Białystoku za poleskim,

wagałem na stacji mieszka, bo na państwową nie przyjęli.  
Znaczy, powiedzieli, nie należy się, niby hektarów u nas za dużo.  
I co z tego, że dużo, kiedy durnowate to hektary. Jak nie wygnije,  
to wysuszy. Łoń- skiego roku żyto wypaliło, latoś siano rzeka  
zabrała...

I znów do Wąsaluka grożąc kijaszkiem:

- *Ty* mnie od ciemnot nie wyzywaj! A taki, siła nieczysta,  
jak była, tak jest!
- O meliorację dobić się nie możemy - <vzdycha ktoś; nikt  
nie odpowiada na prowokację babki o sile niec: ^tej.
- Nie każda melioracja dobra, bywa, woda całkiem  
odejdzie i martwa ziemia zostanie.
- Od tego uczone są, żeby mądrze rzecz urządzić.
- Nigdzie już takich błot nie ma, u nas ma rezerwat być
- podkreśla Wąsaluk.

A komu ten rezerwat potrzebny? - zaperza się jego sąsiad. -  
Miastowym potrzebny, żeby z flinty kaczki strzelać, rybę łowić, na  
grubego zwierza się zasadzać.

- Sławny będzie rezerwat, niektórych zwierząt to już nie  
uświadczysz w całej Europie, tylko u nas - zapala się Wąsaluk.
- Nie nasyci mnie sława! Ja tutaj żyję i to moje łąki rzeka  
zalewa i moje siano rozwłóczy.
- Co z tobą za gadka, jak ty nie patrzysz dalej swego nosa -  
wzrusza ramionami Wąsaluk.
- Pewno, ty wszystkie rozumy pojad! Nie czekał, aż twoje  
błota pod rezerwat państwo kupi, tylko warszawiaka wynalazł i  
jemu klin topieli sprzedał.
- A ty zły, bo u ciebie nie kupił! Ja wiem, jak ty mnie  
ukradkiem kupca odmawiał, boś sam łasy był sprzedać.
- A ten warszawiak różne rzeczy wraz z chatą kupił, a chata  
wiekowa. Niech panienki pofatygują się, może on co i przeda -  
zagaduje sąsiad Wąsaluka.
- ! - Nie kupujcie, nie! Przekleństwo po świecie rozniesie  
cie i zmarniejecie, jako inni zmarnieli - wieszcy Józefowa.
- Babko, wy znowu? - gorszy się Wąsaluk.
- A taki siła nieczysta, jak była, tak jest - przy starej zostaje  
ostatnie słowo. Milknie, głowę zwiesza nad wsparte o kij, ciemne,  
jak uwędzone ręce. Po chwili budzi się z drzemki czy zamyślenia.
- Ostańcie z Bogiem! - pozdrawia i odchodzi zamiatając ziemię



długą spódnicą z rąbkiem obszytym czarną „szczotką”.  
 Wieczorem Wąsalukowa wnosi do kuchni szaflik, napelnia go wodą z kociołka wmurowanego w trzon kuchni.

- Pewno się umyć przed spaniem chcecie - zdejmuję z okapu komina mydło. Zdziera z niego opakowanie.
- Umyjemy się na dworze - Jolka wyjmuję torbę z przyborami toaletowymi.
- A gdzie na dworze - wznosi oczy świekra; jest to protest, lecz Jolka krakowianka, pierwszy raz w tych stronach, odbiera go jak pytanie.
- W korycie - wyjaśnia Jola; pod studnią leży wydrążony, pień drzewa, służy jako poidło.
- W krypie?! - gorszy się świekra; siedzi na stołeczku na wprost popielnika, spowita w długą faldziastą spódnicę z wiekowego cajgu, omotana w chiisty, wygląda jak totem. — Żywina by wybredzała, a konie to już by z tej kiypy nie chciały pić! Koń czyste stworzenie, z brudnego za nic się nie napije.
- Też jestem c<sup>^</sup>ste stworzenie - mruc<sup>^</sup> do własnego nosa Jolka i chwytą uchaty ceber.
- Zostawcie, panienko! - upomina Wąsalukowa - na dworze nieporęcznie, mężczyzny się Itręca po gumnie i jeszcze kto by pomyślał, że z myciem my was na dwór wygonili.

Kapitulujemy, myjemy się na mały dekolt na oczach całej rodziny, bo już i mężczyźni wracają z podwórza.

- Oni się w ogóle nie kąpią? - pyta mnie Jola, zapadając w czyściutką pościel w tym reprezentacyjnym pokoju z tremem.
- Raczej niecodziennie.
- A gdzie kąpią się niecodziennie? - przyczepia się. - Niechby nawet jiaz i ten ceber, ale w jakimś osłoniętym kącie, chociażby w tej kuchni, wielkiej jak refektarz. Nie muzeum im potrzebne, łazienki im potrzebne! Dom piętrowy, balkony, rypsy, telewizory, a najmniejszej komórki na mykwę - peroruje.
- Kiedyś mieli tu banie, c<sup>^</sup>li sauny.
- Ale już ich nie mają, a łazienek jeszcze nie mają.
- Są w drodze międ<sup>^</sup> banią i łazienką. Taką potrzebę też z czasem odczują.
- Odczują! - marszczy nos Jola. - Kiedy? Wiesz, jakie jest spożycie mydła na głowę, a pasty do zębów? Wstyd powiedzieć.

Dno. Od zaraz wydać zakaz budowania domów, jeśli właściciele nie przewidzieli pomieszczeń na cele kąpielowe! - w nie domytle Joli budzi się dyktator.

Nazajutrz wstajemy około ósmej, w domu żywego ducha - wieś wyludniona. W obejściach tylko małe dzieci pUnują jeszcze mniejszych dzieci. Głupio nam, przepasowałyśmy ranek, a Wąsaluk przestrzegął.

- Ludzi po domach zastaniecie tylko przed porannym udojem albo po wieczornym.

- Chodźmy nad rzekę - ciągnie Jola; zapowiada się upalny dzień.

Na łące pod lasem chmura białych gęsi, na skraju pod leszczynami siedzi dziewczynka. Podrywa się laciaty pies ze wściekłym ujadaniem, toczy się w naszą stronę. Wartujący na kępie siodłaty gęsior rozsnuwa skrzydła, przybiera bojową postawę, syczy ostrzegawczo - nieulekły, wspaniały. Dziecko przywołuje psa, w rękach trzyma archaiczną tabliczkę i rysik.

- Już umiesz rachować? - dziwi się Jola zaglądając w tabliczkę gęsto pokrytą cyframi.

- Chodzę do czwartej klasy - chwali się mała; nie wygląda na swój wiek, drobna i szczupła. Zresztą nie widziałam w tych wsiach ani zatytych dzieci, ani tęgich dorosłych, czasami zdarza się gruba sklepowa.

- Którędy do chaty na bagnach? - dowiadyuje się Jola; tajemnicze aluzje babki Józefowej poruszyły jej wyobraźnię.

- Do warszawiaka? - upewnia się dziecko i objaśnia nam drogę. - Ale jak już z łąki zejdziecie w szuwar, niech Bóg broni ze Stecki zboczyć - ostrzega nas z powagą — bo skroś trzęsawisko, a dla wszystkiego czego ułamcie sobie tyczki z leszczyny.

Pr^dały nam się leszczynowe kostury, długie, wystające nad ^ową pastorały, bo to, co dziewczuszka nazwała ścieżką, jest grząską koleiną, a miejscami świadczy o jej istnieniu tylko rozstępująca się ściana trzciny wśród bajor tłusto tęczującego błota, w które zapadamy się po kolana, przezornie gruntując tyczką.

- Osobliwe upodobania - stęka Jolka, wyciągając nogę z lepkiej mazi; obsiada nas meszka, chmurą imosi się z zielska, drga przed twarzą zawiesiną z czarnego maku, zwija w spirale,

wiruje. - T^lko wariat może tu mieszkać!

Clicemy się po drodze wykąpać, ale ścieżka kluczy wśród bagna, daremnie wypatrujemy rzeki, a choćby przesieki w litej ścianie rozbuchanej roślinności. Wciąż to samo: dołem podszyte turzycą, błotnym skrzypem i rosicz- ką, oplecione pnączami ukwieconego powoju wyniosłe trzciny chwieją kitami wysoko nad głową.

I nagle kończą się jak ucięte, przed nami w obrzeżach tataraku, nadwodnej mięły i szczawiu skrawek łąki z chatą pośrodku.

- Widzi^a kuma taki imbiyk? - dziwi się Jola; istotnie, nawet trudno domyślić się tej oazy wśród bagiennej sawanny.

Cicho, pusto, skoble w drzwiach chaty spięte pałąkiem kłódki - nie zamkniętej. Obiegamy wysepkę porodą dziką koniczyną, wokół jak okiem sięgnąć obwarowaną trzciniami. W którymś miejscu, na styku twardego gruntu z podmokłym, dostrzegamy rzucone i znikające w rojstach dwie cienkie żerdzie.

- Chyba kładka do rzeki? - domyśla się Jola; znów zamulama się w sawannę, idziemy, jak prowadzi drągo- wina umocowana do poprzecznych bierwion. Wąsko, skąpo - szerokości starcza na postawienie nogi.

- Ale odludzie, można tu wsiąknąć bez wieści - otrząsa się Jolka, posuwając się przede mną. Nic nie mówię, ale w pamięci wciąż mam przygodę Adama.

- **stać**, nie ruszać się!!! - nagle osadza nas w miejscu męski głos; speszone spoglądamy na siebie.

- To chyba ten wariat - szepcze Jola, wskazując w stronę znów niewidocznej chaty, i daje krok po uginających się okrąglakach.

- Powiedziałem, nie ruszać się! - rozkazuje groźnie ten sam głos, osoby nadal nie widać; robi nam się nieswojo, posłusznie sterczymy w miejscu. Wokół szelesty, pluski, które zaczynam dotkliwie słyszeć. W piętach czuję wiatr, siłą powstrzymuję się, aby nie uciekać na osłep, tylko jak bieć po śliskiej, sękatej dłużycy.

- Nam się nudzi, dzentdmenie, pójdziemy sobie... - pertraktuje Jola i daje mi znaki do odwrotu.

- Jeszcze chwilę - odpowiada głos.

- Wiejemy - szepcze Jola; robię w tył zwrot, ogarnięta

owczym pędem, potykam się i rozciągam na kępach, na mnie wali się Jola. Zrywa się zaraz, ja nie mogę wstać. Noga ześliznęła się między dwa drągi, pod nimi ugrzęzła w ciastowatym gruncie, namiękle drewno w dyby zakleszczyło kostkę. Wykręcona przy upadku, pulsuje rwącym bólem.

Jolka przezwycięża panikę, przytomnie podsadza tyczkę, leszczynowy pręt pęka, lecz ułomek wbity ukośnie trochę odsuwa od siebie dyle. Ucisk zelżał, jednak nogi nie mogę wyciągnąć.

- Proszę się nie bać! - dobywa się blisko głos i z rozchylonych zarośli wynurza się postać przyodziana w coś, co w pierwszej chwili biorę za brunatny burnus.

Spiesz ku nam niemłody, brodaty mnich z podkasanym habitem; spod nie zasznurowanych, brązowych trampów trwska błoto, ochlapując nagie. mnsVnlarne łydki.

Zawylałam! Poa jego krokami uguuiją się te uiuicrnt-- żerdzie, między którymi uwięzła mi noga.

- Pardon! - wykrzykuje osoba duchowna, przygina garść trzciny, na nie usuwa się z kładki. Przyklęka, zaciska dłonie na okrągłakach, rozsuwa je na boki i tak mnie uwalnia.

- Ale nas ojciec nastraszył! - Jolka kipi ze doci.

- Nie miałem złych intencji.

- To po co ojciec krzyczał: stać, nie ruszać się! I to takim głosem... myślałam, że jakiś obłąkany..

- Nieobyczajnie, aby niewiasty widziały zakonnik bez szat - mówi jak z ambony. - Musiałem się ubrać - dodaje już normalnym tonem. - Dasz radę iść, moje dziecko? - spogląda na mnie zmartwiony.

- Nie bardzo — wściekam się na siebie za tę kretyńską panikę, al<sup>^</sup> nie mogę zrobić ani kroku.

- Zaniosę cię - decyduje zakonnik; zatyka kraj habitu za opasujący go sznur, przyklęka i przerzuca mnie przez bark niczym wordc. Podnosi się i rusza naprzód bez wyraźnego wysiłku.

Docieramy do chaty.

- Ogarnij ją - poleca Jolce, wskazując bekę z wodą stojącą pod okapem, sam znika w drzwiach domu.

Kiedy pojawia się znów. suknia w dostojnych fałdach ściela mu się do stóp obutych w rzemieńne sandały, czarne włosy przetkane siwizną przykrył brunatną piuską. Broda zarastająca policzki

także czarna z pajęczyną srebra, w asyryjskich falach spływa mu na piersi. Jest piękny i hieratyczny, jakby dwadzieścia wieków chrześcijaństwa pracowało tylko dlatego, aby stworzyć to doskonale wcielenie mnicha.

- Cóрко, nie pr^stoi tak patrzeć na osobę duchowną - karci przyłapując moje spojrzenie; piwne oczy surowo spoglądają zza szkiele w cienkiej stalowej oprawie.

- Patrzę na ojca jak na dzirfo sztuki, a nie t a k !

- Mówisz do służy bożego - napomina z urazą.

- Skąd się tu ojciec wziął? - oczekuję przypowieści o zgubnej ciekawości żony Lota, ale nie.

- To dobre miejsce na medytacje - odpowiada i pochyla się nad moją rozdętą obrzękiem kończyną. - Staw nie jest wybitny, ale brzydki to wygląda! - stawia diagnozę; zakłada bandaże elastyczny, wyciągnąwszy go z przepastnej kieszeni habitu.

- Sprowadzę pomoc ze wsi - podnosi się Jola.

- Na razie pomóż zaprowadzić ją do chaty - rozkazuje mnich; ujmuje pod ramię. Jola podtrzymujemnie?; drugiej strony.

- Potrzebny jest lekarz - chmurzy się zakonnik, gdy już z wysoko podpartą nogą siedzę na szlabanie.

- W Bagiennym Borze nie ma ośrodka zdrowia - zasepia się Jola.

- Poczekamy na gospodarza - decyduje zakonnik; gospodarz ma motorówkę, łatwiej i bliżej będzie przeprowadzić się przez rzekę, nawet do Goniądza, gdzie jest ambulatorium z rentgenem. Pan na uroczysku wypłynął rano, właśnie tą łódką. Lada chwila wróci.

Lada chwila przeciąga się do popołudnia. Zakonnik wskazuje Jolce piwnicę oraz spiżarnię w zamczystym kufrze i prosi, aby przygotowała obiad.

- Rozejrzę się, on powinien już dawno być - wyraźnie mnichowi nieswojo z powodu przedłużającej się nieobecności właściciela.

Sługa boży jeszcze kilkakrotnie wychodzi rozejrzeć się, aż zapada zmierzch i zdajemy sobie sprawę, że już dzisiaj nie dostaniemy się ani do Bagiennego Boru, ani rzeką do Goniądza, nawet jeśli zjawi się gospodarz.

- Musicie zanocować - wreszcie i do mnicha to dociera, nie wydaje się zachwycony perspektywą.
- Już mi wszystko jedno, ale czy warszawiakowi nie przytrafiło się co złego?
- Jemu?... Nie... - zakonnik nie posługuje się przewzaskiem, jakie słyszałam we wsi, lecz podobnie jak tamtejsi ludzie nie wymienia nazwiska. - On po całych dniach przepada z kamerą, filmuje zwierzęta...
- Szkoda, że ojciec dopiero teraz o tym mówi.
- Dzisiaj miał wrócić w południe - zakonnik podrzuca torfu pod blachę, przycisnąc czerwone refleksy na bielonych ścianach, innego światła nie ma, bo nie ma nafty w zbiorniku lampy, a zapasu nie znalazł. Siada na ławie wyprostowanej, chrząstki różańcem przytrzymanym na biodrze do sznura opasującego habit, przebiera w palcach grube ziarenka, szepcze zdrowaśki.
- Niech ojciec wyjdzie, chcę się rozebrać - bezceremonialnie żąda Jola; mnich jak zdmuchnięty znika w drzwiach alkierza. Słyszymy zgrzyt zasuwki.
- Zamknął się? - Jolka robi okrągłe oczy, a potem puka się w czoło.
- Zżuj szatki, grzeszna niewiasto, naczynie szatana! - mówię grubym głosem. Z alkierza najmniejszego szelestu.
- Gdy już leżymy okiłyte po nos kocami - Jola bliżej okna, ja pod ścianą - rozlega się pukanie i głos.
- Można wejść? - przyzwalamy; wchodzi zakonnik, przegamia żar w piecu, do mego posłania przysuwa zydeł, stawia na nim kubek z herbata, podaje mi białą tabletkę. - Weź, to pomoże ci zasnąć, bo nocą zawsze bardziej boli.
- Dziękuję ojcu - robi mi się przykro za te niewybredne żarty, które pewno słyszał przez drzwi; nie przechodzi mi przez gardło prośba o światło, chociaż płomyk świeczki. Wstyd powiedzieć, samotnie źle znoszę ciemność w nieznanym miejscu, a tutaj szczególnie. Obecność Joli się nie liczy, śpi już, jakby jej nigdy nie było.
- Niech Bóg ma was w swojej opiece - mnich kreśli w powietrzu znak krzyża. - Jeśli będziesz czuła potężenie, wołaj, ja mam lekki sen - znów znika w alkierzu, ponownie szczerka zasuwka.

Tabletkę kładę obok kubka, na razie wystarczy sama świadomość, że w zasięgu ręki jest środek na przywołanie snu. Nasłuchuję rozszemranej ciszy za oknami, mrok izby przygnębia. Wszystkie lęki, niepokoje przytłumione za dnia teraz ogarniają myśli, neurastenicznie potężnieją i panoszą się niepodzielnie.

Boję się o Adama. Już w Łomży, gdy go zobaczyłam po wypadku, wydał mi się bardzo zmieniony. Wówczas jego niechęć do mnie złożyłam na karb kontuzji.

- Przeżył szok i jest mu głupio - bezradnie usprawiedliwiał go Maciek, nie mniej przejęty tym szaleńcem niż ja.
- Rozumiem szok, nie rozumiem, dlaczego ^upio?
- Mając taką krzepę, dać sobie nakłaść - wyjaśnił Maciusek; zdaje się sam bardzo cierpiał nad tym faktem. - Bądź taktowna i zniknij, daj mu czas, aby się sam ze sobą pogodził.
- To twoja rada?

- Adam mnie prosił. Zrozum, Katarzyno — niezgrabnie łagodził Maciek, chociaż sam nie rozumiał postępowania brata.

- Nie rozumiem i nie chcę - pojmowałam tylko, że Adam mnie spławia; ukryłam upokorzenie, ale nie pojechałam z paczką Dymitra na Mazury, do czego nakłaniał mnie Adam najpierw sam, a następnie przez zdalnie kierowanego Maciusia.

No, i kto by się spodziewał po tej Maciusi, programowo mającej zawsze inne zdanie niż Adam, że będzie gramofonem starszego brata. Na domiar wszystkiego mamrotało toto o medycznych wskazaniach. Medyk! z zaliczonym pierwszym rokiem i praktyką robotniczą, a niech to! Miałam dość obu braci.

Do Brożan ozdrowiały już Adam wpadł jak tornado, w pierwszej chwili chciałam go posłać do diabła, ale przezwyciężyłam małostkowe urazy i pełna dobrej woli powitałam go z radością.

A ten mój świetny chłopak urządził przesłuchanie. Nie uwierzył w żadne moje słowo.

Ja naprawdę rzadko widywałam, i tylko z okazji większych towarzyskich zgromadzeń, leciwego ochmistra cyrkowych zwierząt, uchodzącego za rzeźbiarza wśród polskiej kolonii w Paryżu. I tak dalece mnie nie interesował, że nie pamiętałam jego nazwiska i jego wyglądu. Więc teraz bez żadnych oporów przyrzekłam Adamowi nie wspominać nikomu o tej nieszczęsnej znajomości.

Na tym nie koniec; jak złośliwy nauczyciel odpytywał mnie o różne głupstwa; pies, w co byłam Ubrana jadąc do Brożan, pas, klamra i da capo. Obsesja.

Przestraszyłam się dopiero, kiedy zaraz za Adamem qawił się porucznik. Sprawa wydawała się poważniejsza, niż myślałam, chociaż jego z pozoru zajmowały tylko srebra podkanclerskie.

Wtedy przez myśl mi nie przeszło, że te odwiedziny to dopiero początek, przygrywka do fatalnej afery, jaka się rozpętała, w centrum której znajdziemy się wszyscy: pani Anna kustoszka brożańskiego muzeum, Adam i ja.

Stenogram tej pienszej rozmowy niezwłocznie przekazałam Adamowi, a ten natychmiast pognął do Warszawy, zastrzegając, abym me ruszała się z Brożan.

Siedziałam tam jak na jeżu i rujnowałam się na telefony do Dymitra, ponieważ Adam telefonu nie ma, a obaj mieszkają blisko siebie na tym samym osiedlu.

- Przyjeżdżamy - obiecał Dymitr podczas ostatniej rozmowy i nazajutrz spadli z Adamem niczym jastrzębie.

Falszerstwa dzieł sztuki, przemyt, moja ciotka Zena z Paryża, chustka dla Arabki zawieszona przeze mnie na Majorce, napad na Adama, chata na uroczysku ze zwariowanym cyklistą - obłędny kalejdoskop, wszystko razem podparte logiką godną półgłówka,! bo w podtekście moja osoba, matactwa Adama rzekomo są dla. mojego dobra. Boże, chroń mnie od przyjaciół!

- Kto cię o to prosił? - wściekłam się. - T^lko w chorej głowie mogły się wylęgnąć takie podejrzenia. Jeśli o mnie chodzi, mogę zaraz wszystko opowiedzieć prokuratorowi.

- Ona z zimną krwią złoży na mnie donos - grobowym głosem poskarżył się Adam; dotąd nie miałam pojęcia, że blisko trzy lata zadawałam się z kabotynem.

- Dzięki za zaufanie, widać świetnie mnie znasz - przepelniła się moja miara; mniejsza o głupie słowa, ale kończy mi się bliski człowiek. .Nie zdobył się nawet na tyle, aby najpierw mnie zawiadomić o swoich parszywych posądzeniach. Teraz też nie zawiadamiał, nie słuchał tłumaczeń. Ob w i n i a ł !

Gasł we mnie sentyment do Adama. Pewno z czasem wszystko się wyjaśni, tylko dla mojej sprawy z tym chłopcem będzie to obojętne, bo nie będzie już żadnej naszej sprawy.



- Zostaw śledztwo porucznikom, bo tylko pogorszysz położenie Adama - usiłowałam trafić do Dymitra, mając go za rozsądniejszego.
- Teraz to już nie ma znaczenia. Adam za wiele nakręcił. Spróbuję wyprostować, co się da - ten terminator w palestrze, zdaje się, zrobił sobie z Adama królika doświadczalnego.
- Advocatus diaboli! - rzuciłam się na Dymitra. - W co pogrążasz tego kretyna chorego na zazdrość?
- Katarzyno, czy to twoja kłamra? - Dymitr nie raczył odpowiedzieć, badał mnie z zimnym zacięciem inkwizytora.
- Moja. Ale naprawdę nie wiem, skąd się wzięła przy obroży Kropka - przekonywałam z rozpaczą.
- Nie mówiłem? - jadowicie ucieszył się Adam. - Ona się nawet nie zdziwił i zapyta, skąd się wziął ten facet, którego wyciągniesz jej z łóżka.
- Czy nikt inny nie mógł mieć takiej kłamry? - odwoływałam się do ich rozsądku; nie zniżyłam się, aby odjwwie- dzieć Adamowi na jego chamstwo.
- Wykluczone - z tępych uporem twierdził Adam; miałam ochotę bić tego muła.
- Nie macie więcej zarzutów? - milczeli nie patrząc mi w oczy. - To idźcie do diabła! I nie chcę was więcej widzieć.
- Dziewczyna, na którą zawsze możesz liczyć - wycedził Adam; to miała być ironia.
- Może zmądrzejesz w kryminale! - straciłam panowanie; gdy ochłonęłam, pożałowałam, bo mimo wszystko nie życzyłam mu źle.

ymczasem w Brożanach zaczęły się dziać rzeczy, wobec których zbladły moje żale do Adama, a tylko wzmógł się lęk o tego wariata.

Po Załęskim spadł na muzeum przysłany przez niego fotograf. Przyjęliśmy go z panią Anną jeszcze bez niepokoju, chociaż przyszedł w asyście miejscowego milicjanta i obaj zachowywali się bardzo oficjalnie.

Obfotografował srebra podkanclerskie, jak ich było czterdzieści osiem sztuk, i każde w kilku ujęciach, natomiast milicjant wprawdzie grzecznie, lecz stanowczo zażądał wydania z archiwum wszystkich zdjęć kolekcji, znajdujących się w dyspozycji muzeum.

Spisał je pedantycznie, ów spis kazał podpisywać pani Annie i pozostawił kopię.

W jakiś czas później zajeżdżał fiata, z fiata wysiadł młody cdowiek w dżinsach i zadrukowanej w piłki futbolowe bluzce, który okazał się kolegą Załęskiego, podporucznikiem Bejem; wspominał o nim Adam jako o tym drugim z tandemu poruczników.

Poczułam się nieswojo. Natomiast podporucznik Bej zaraz na wstępie bezceremonialnie wyprosił mnie za drzwi.

- Proszę poczekać, z panią też mam do pomówienia - zabrzmiało to złowroźnie.

Wyeksmitowana do ogrodu przy muzeum nie mogłam się doczekać końca jego konferencji z panią Anną. Jak się miało okazać, nie była to zwyczajna rozmowa, tylko przesłuchanie. Taką grzeczną nazwę nosi ta psychiczna wyżymaczka, w jaką i mnie wkręcono.

Wreszcie Bej wyszedł od kustoszki i zasiadł naprzeciw mnie przy ogrodowym stoliku. Kamienny, surowy. Unikał mego spojrzenia, utkwiał oczy w kępie georginii płonących obok nas pasowymi gwiazdami. Runęły pytania.

Od jak dawna interesuje mnie brożański zbiór, kiedy i skąd dowiedziałam się o jego istnieniu, co w^em o jego wartości artystycznej i rynkowej... Odkąd znam kustoszkę, kiedy poznałam Adama, co robiłam w Paryżu, czym się zajmuje moja paryska ciotka...

- Znała pani Tadeusza Stelmaszczyka... - to już nie zabrzmiało jak pytanie.

- Nie przypominam sobie kogoś takiego... - zaprzeczyłam z zimną zaciętością; mimo że ścięło mnie przerażenie, panowałam nad sobą i byłam gotowa do utraty tchu wypierać się Stelmaszczyka. Nienawidziłam Adama.

Kiedy wreszcie porucznik w^niósł się spod georginii zapowiadając dalszy ciąg nazajutrz, mogłam pójść do pani Anny. Siedziała jak porażona, odpałała papierosa od papierosa.

- Milicja' utrzymuje, że to są falsyfikaty wskazała głową srebra podkanclerskie połyskujące za szybami.

- Opinię ofiarodawcy potwierdziła przecież warszawska katedra, podpisał się pod nią profesor Kubera, mój promotor! - powiedziałam, jakby ona tego nie wiedziała. - Omylił się? To

raczej niemożliwe! — nic nie rozumiałam.

- Jacyś złodzieje wymierali autentyk na kopię! To, co mamy teraz w gablotach, to replika... tak przynajmniej twierdzi porucznik. Prowadzi śledztwo w tej sprawie...

- A co sądzi profesor Kubera?! — odruchowo szukałam wsparcia w autorytecie; z pytań zadanych mi przez Beja domyśliłam się szerszego zasięgu afery. 'Kradzież i podrobienie brożańskich sreber nie stanowiło wyjątku.

Wprawdzie Adam z Dymitrem mówili o fałszerstwach dzieł sztuki w związku ze Stelmaszczykiem, ale brzmiało to ogólnie i chociaż wspominali o tym wyraźnie, nie dotarło do mnie, że dotyczy to także eksponatów w Brożanach, nad którymi ja pracuję.

Zawirowało wszystko przede mną. Szok, panika! Poczulałam się w oku cyklonu, nie wiadomo jak i kiedy osaczona jakimś groźnym świństwem.

I w pierwszym lęku malutka, parszywa myśl: m n i e to nie dotyczy! Przecież m n i e skierował tutaj profesor Kubera, broni jego list polecający.

Z jakich pokładów jestestwa, z jakich uwarunkowań bierze się taka postawa, ta przede wszystkim troska o własną skórę.

Rab boży!

Skręcił mnie wstyd i poczułam do siebie obrzydzenie. Nie mogłabym spojrzeć -sobie w oczy, gdyby się zdarzył kawałek lustra. Przeżyłam ciężką próbę.

Między pełną przemilczeń, najłagodniej określając, wersją Adama podaną porucznikom, moją lojalnością i solidarnością z Adamem, zagrożeniem własnym, zagrożeniem kustoszki, którą szanowałam, żalem po utracie przez muzeum cennego zbioru, musiałam znaleźć miejsce na zachowanie godności i własny stosunek do całej sprawy. Mętlik!

- Profesor Kubera jest we Włoszech - powiedziałam, kiedy wróciła mi zdolność względnie jasnego myślenia.

- Cóż on tu pomoże. Badał srebra autentyczne. Kolekcję, zdaniem porucznika, zamieniono później...

- Kiedy?

- Właśnie on próbuje to stwierdzić.

Następnego dnia, wbrew zapowiedzi, porucznik Bej mną się nie

interesował, natomiast z samego rana zajął się panią Anną. T<sup>^</sup>m razem nie przyszedł do muzeum. Wprawdzie z pewnymi względami, lecz zaprosił ją na posterunek.

Zbijałam baki w ogrodzie, bo teraz pani Anna rygorystycznie na u<sup>^</sup>ek porucznika zamykała muzeum, gdy wychodziła. Więc z ławeczki pod monvą obserwowałam siedzibę tutejszej milicji, znajdującą się po przeciwnej stronie rynku; otynkowany na kremowo parterowy budynek, pod którymi lubiły baraszkować psy.

Kustoszka wyszła stamtąd około południa, widziałam, jak idzie w kierunku muzeum, wyprostowana, spokojna, z uśmiechem odpowiadająca na pozdrowienia nielicznych przechodniów.

Jej pozorny spokój prysnął, gdy zamknęła za sobą drzwi. Przekreśliła Mucz i rozplakała się.

- Ten młokos podejrzewa mnie o udział w kradzieży... - powiedziała o Beju; płakała nad utratą kolekcji, w co już nie wątpiła, płakała z oburzeniem, upokorzona posądzeniem.

- Zrzucił to pani? - nie mo<sup>^</sup>am uwierzyć; ten chłopak na chama nie wyglądał.

- Nie wprost, ale taki był sens.

- Ależ to nieporozumienie. W jaki sposób można było tak duży i ciężki zbiór zamienić i wynieść niepostrzeżenie z budynku leżącego na wyciągnięcie ręki od posterunku milicji.

- To samo nurtuje Beja - powiedziała z goryczą pani Anna. - Właśnie dlatego prawdopodobna wydaje mu się moja zmowa ze złodziejami. Bo przecież nie zdarzyło się dotychczas ani włamanie, ani kradzież w muzeum... teraz dowiedział się, że kiedyś był tu pożar i na gwałt chce odkryć, czy to aby nie ma związku z...

- Pożar w muzeum? - zdziwiłam się; nic o tym dotychczas nie słyszałam.

- Nie. Paliły się zabudowania w pobliżu i ogień zagroził nam. Wtedy ewakuowano eksponaty. Do rana stały na rynku... W tym czasie leżałam w szpitalu w Łomży. Ale niczego nie brakowało, nic nie zginęło...

Zamilkła, odpalając kolejnego papierosa. Znękana, subtelna, pięknie starzejąca się kobieta, wyglądająca, jakby zesza z dawnej

miniatury.

Domyśliłam się, dlaczego już nic więcej nie powiedziała. I jej, i mnie mało realne wydawało się, aby srebra skradziono i zastąpiono replikami właśnie podczas tego pożaru, lecz w czasie jej nieobecności pieczę nad muzeum przejmował jej mąż. Formalnie nie miał do tego żadnych uprawnień, nawet na krótki czas. A on niejednokrotnie, w razie potrzeby, wyręczał żonę w jej funkcjach, bez protokołu zdawczo-odbiorczego i bez wszystkich tych biurokratycznych hec.

Oboje, szaleńcy wspaniali, pasjonaci, hołubili i rozwijali tę prowincjonalną redutę kultury, dbając o zbioru bardziej niż o własny dom; nie widzieli w swojej współpracy nic zdrożnego i nie przywiązywali wagi do urzędowych rygorów.

Lekceważyli p o d k ł a d k i , aż oto zwała się na nich niespodzianie ta okropna historia, w której brak p o d k ł a d e k gra niepoślednią rolę.

Teraz, w interpretacji milicyjnej, te nieformalności nabierały groźnej wymowy. Mąż kustoszki to człowiek postronny. Pozwalając mu na udział w swej pracy pani Anna przekraczała swe uprawnienia służbowe. Bez zezwolenia z góry! I żeby to chociaż dyplomowany historyk sztuki, a tu weterynarz!

Czy milicja weźmie pod uwagę, że to znakomity etnograf, autor kUku liczących się pozycji w tej dziedzinie. Cdowiek wielkiej wiedzy i wielkiej prawości.

Kustoszka nie poruszyła przede mną tego tematu i z pewnością w ogóle nie wspomniała Bejowi o zastępstwach ani nawet o swej chorobie, podczas której zdarzyła się ta ewakuacja.

Rozumiałam jej pobudki, tym bardziej że moja sytuacja wyglądała podobnie, ale cóż mogłam jej radzić, gdyby nawet prosiła o radę.

Niech pani mówi prawdę! Przemilczanie udziału męża to krótkowzroczność. Tutaj nie da się ukryć na dłuższej tak ogólnie znanych faktów, wszyscy o nich wiedzą.

Podporucznik Bej zniknął z Brożan, tak jak się pojawił, niczym kometa. Jego miejsce zajął starszy wiekiem oficer, kapitan z koriiendy wojewódzkiej w Łomży. Tkwił na posterunku, tamże sypiał, jadał w gospodzie, zresztą gdzie miał się żywić, skoro to jedyna placówka gastronomiczna w miasteczku.

Podobno, jak głosiła wieść, drobiazgowo wypytywał ludzi o

ten pożar sprzed kUku lat, podczas którego ewakuowano zbiory muzeum. Mówiono również o kimś poszkodowanym przez ten pożar, kto wyjechał nagle rzekomo w poszukiwaniu pracy, a według szeptanej opinii zwiął przed dociekliwością tego oficera.

Zaś kapitan, kiedy miał pytania do pani Anny, a miał, przychodził do muzeum i starał się tak celować, aby nie było Judzi. Jeśli byli, zasiadał po gospodarsku i cierpliwie czekał, aż sobie pójdą. Ja wychodziłam natychmiast, kiedy tylko dostrzegłam, że zmierza w naszą stronę przez rynek. Do mnie pytań nie miał.

W tym czasie cel mojego pobytu w Brożanach, praca nad srebrami, okazała się już bardzo problematyczna, lecz nie wyjeżdżałam; nie chciałam, aby pani Aima odczuła mój wyjazd jako ucieczkę, wyraz desinteressement dla niej i jej kłopotów.

I na to wszystko zjawiała się, przysłana przez wydział kultury Jola, studentka historii sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Pani Anna nie mogła z nią pojechać w teren ze względu na obecność tego oficera z Łomży, a poza tym była zbyt roztrzęsiona. Pojechałam więc zamiast niej.

Ucieszyło mnie, że w jakiś czynny sposób mogę jej okazać pomoc, poza tym ciążył mi już pobyt w Brożanach, a po trzecie... a raczej po pierwsze, kusilo, aby skorzystać z okazji i dotrzeć tam, gdzie znajdowała się złowroga chata, miejsce niedobrej przygody Adama.

Co spodziewałam się osiągnąć, czego dowiedzieć? Gdybym ja wiedziała!

No, i trafiłam na uroczysko. A głos zza szuwarów skojarzony z tym, co spotkało tutaj Adama, wpędził mnie w obłądny popłoch. Po co polazłam na tę cholerną kładkę, aby się tak ^upio okulać!

Teraz, leżąc wśród ciemności, dochodzę do wniosku, że zamiast włóczyć się po trzęsawiskach, należało czym prędzej powiedzieć chłopakom o tym zaprzeszłym pożarze w Brożanach, wokół którego tak uparcie szpera milicja. Może okazać się to pomocne, chociaż nie bardzo wiedziałam, w jaki sposób, dla wyjaśnienia skomplikowanej sytuacji Adama.

Słyszę miarowy oddech Joli, słyszę skrzypienie drzwi z alkierza do sieni i z sieni na dwór. W prostokacie okna przesuwa się i niknie sylwetka hieratycznej postaci, widocznie zakonnik także nie może spać.

Lykam białą pastylkę, popijam wystygłą herbatą i zaczynam liczyć barany.

-Pójdź, pójdź, pójdź! - odzywa się sowa; pójdźka na bagnach? O ile pamiętam, ta rodzina sów gnieździ się tam, gdzie rosną drzewa. Co robi w trzcinach, żeruje? Jeśli poluje, to nie wrzeszczy, bo niczego nie złowi. Co za głupia sowa - robi mi się jeszcze bardziej nieswojo, znam przesąd związany z obyczajami pójdźki. Ten przesąd da się racjonalnie wytłumaczyć: drapieжник wyczuwa łatwą zdobycz i dlatego krąży w pobliżu śmiertelnie chorych. Ale przecier 250 nie przekręcę się na skutek zwichniętej czy nawet ziama- nej nogi.

Wracam do liczenia baranów i zapadam w sen, właściwie nie wiem, czy śpię, czy trwam w jakimś ośpieniu, bo zdaję sobie sprawę, gdzie jestem, i nic mi się nie śni. Otwieram oczy i przesywa mnie mróz, zamieram, chcę krzyknąć, ale jestem

niema.

Zza szyby zagląda w głąb izby trupia czaszka odarta z mięśni, pozbawiona nosa, szczerząca zęby w upiornym uśmiechu, tli niewyraźnym błyskiem z czarnych oczodołów. Nieruchoma, pozbawiona tułowia czaszka, na wysokości szyi odcięta linią parapetu, nad nią wyraźne krechy krzyża okiennej ramy.

Zaciskam oczy, próżno usiłuję zerwać się z posłania, nie mogę się poruszyć, lecz wreszcie odzyskuję głos i ryczę jak syrena, ale pewno i to mi się tylko śni, bo nikt nie przybiega na pomoc.

Zapadam w obojętną drętwość, przestaje obchodzić to przerażające widmo za oknem, a może tylko chimera utkana z cieni i półsnu. Czy ono jeszcze tam jest? Ale powieki mam za ciężkie, aby je unieść.

Jak na fali przypływa i odpływa szmer niewyraźnych ^osów, szelesty, lekkie kroki g^ieś na dworze i zapadam w otchłań z czarnego aksamitu.

Budzę się z ostrym wspomnieniem wtapiania w nicłość, w pustkę przepastną jak śmierć. Żyję! i czuję się świetnie, mimo nogi przemienionej w kłodę. Tylko nie bardzo wiem, czy to jeszcze w-czorajsza noc, czy dzisiejszy ranek. Jola śpi zagrzebana pod kocami, za szybami ciemno, półmrok izby rozrzedzają pelgające po ścianach refleksy ognia bużującego pod płytą.

Sięgam po ubranie przewieszzone przez poręcz szlaban-ka, szeleści siennik, zza komina wylania się męzc^zna.

- Jak się spało?... Kędryś - przedstawia się; mam przed sobą gospodarza tej chaty.

- świetnie. - Wyraźnie oczekiwał takiej odpowiedzi, więc nie wspominam o nocnych zmorach. Także wymieniam swoją markę fabryczną, światowo podaję łapkę, drugą przytrzymuję koc na wdziękach.

Gospodarz wycofuje się z mego kąta izby i rozjaśnia płomienią naftowej lampy wiszącej na ścianie. Dotychczas myśla jak kaganek.

- O! - przywiózł pan naftę - mówię, aby coś powiedzieć; pamiętam, jak wczoraj siedzieliśmy bez światła.

- Przywiodem? - błyskają ku mnie jego szkła w modnej, podobnej do szylkretu oprawie. - Aha, zbiornik w lampie był pusty! Należało poszukać, w sieni stoi pełny kanister.



- Nie wiedziałam — bąkam.
- Ranki bardzo tu chłodne i wilgoć - mówi krzątając się koło kuchni; za oknem szczelnie okleja szyby biała, kłębiąca się wata. - Jest bardzo wcześnie, może jeszcze pani chce spać?
- Nie.
- Będę obok - bezszelestnie przechodzi i zamyka za sobą drzwi alkierza; odruchowo nasłuchuję zgrzytu zasuwki. Nie, on się nie zarygłował.

Czepiając się sprzętów kuśtykam do posłania Joli, budzi się natychmiast, gdy tylko odkopuję ją z koca.

- Co za komfort! - podziwiamy z Jolą stojącą obok komina improwizowaną wanienkę kąpielową; wydrążoną i obrobioną z jednego pnia drzewa, kopań po tutejszemu. Na stołku złożone w kostkę ręczniki, w mydelniczce jakieś zagraniczne mydło. Wrzątek w kociołku na płycie.

- Europa i pekao - pokpiwała Jolka na widok dwóch szczotek do zębów, zapieczętowanych w przezroc<sup>z</sup>tych tulejkach z nalepkami Yardleya.

Po uprzątnięciu przez Jolę śladów mycia wołamy gospodarza; pojawia się bezszelestnie, obuty w botki z futra o płaskim czamosrebrzystym włosie, na grubych zelówkach z miękkiego tworzywś. Ma na sobie cieitmoszare tweedowe spodnie z nieskazitelnym kantem i oliwkowy sweter z szetlandzkiej wełny o efektownej, wypukłej fakturze, z wysoko zachodzącym na szyję golfem i takimiz mankietami sięgającymi kciści dłoni. Na przegubie lewej ręki majta się luźna bransoletka z jasnego metalu z zegarkiem płaskim jak liść.

Mężczyzna nieokreślonego wieku, średniego wzrostu, mocnej budowy, ma ciemne falujące włosy i smagłą, lecz podbitą niezdrową błądzącą cerę. Pachnie dobrą wodą kolońską. Całość jak z żumala dla angielskich lordów.

- Co pani jest?! - z lekką zgrozą spo<sup>z</sup>ąda na moją baniastą kończynę podpartą stołkiem. Nie wydaje się poinformowany o wczorajszych wydarzeniach.

- Pechowo ugrzęzłam na kładce... Czy wielebny ojciec jeszcze śpi?

- Nie rozumiem - celują we mnie jego wykwitne szkła - oprócz pań nikogo tu nie ma. O jakim ojcu pani mówi i dlaczego ma być wielebny?

- Zakonnik.
- Zakonnik?! - w głosie zdumienie, twarz z angielska nieporuszona.
- Zakonnik, mnich! - włącza się Jola i opowiada, co wydarzyło się wczoraj.
- Dziewczyny, obie widziałyście tego mnicha? - zagaduje ostrożnie, jakby miał przed sobą niebezpieczne wariatki.
- Obie, i to w biały dzień, bo nocą dla odmiany straszyl mnie kościotrup! - mówię to wbrew postanowieniu, aby nie wspominać o nocnych koszmarach.
- Kościotrup?! No, to już coś bardziej znajomego. Co pyright by Bagienny Bór, ale oni nazywają to ładnie]: strzygoń... Katarzyno, ile pastylek - wymienia nazwę preparatu - wzięła pani przed snem?
- Jedną tabletkę i dał mi ją zakonnik.
- Hm, już po jednej przyszedł do pani strzygoń? A pani, Jolu?... — w alkierzu na biurku zauważył rozerwane opakowanie tego leku.
- W ogóle nie używam żadnych świństw^ bo i tak sypiam za dobrze - ponuro oznajmia Jolka. - Proszków nie brałam, strzygoń mnie nie nawiedził, ale zakonnik tu był! Żywy z krwi i kości.
- Ależ nie w tym rzecz, tylko to barbituran o silnym działaniu.
- Nie myszkowałam po chacie, do alkierza nawet nie zajrzałam - podkreślam; co się tu dzieje, do diabła, i gdzie się podział zakonnik, bez śladu wsiąknął w bagno?
- Strzygonia nie widziałam - powiada Jola patrząc na mnie z niesmakiem, widać podejrzewa mistyfikację - ale franciszkanin tu był, zachowywał się jak u siebie, zamykał w alkierzu na zasuwkę, wyjadał zapasy z kufra...
- Nam też dał jeść — uzupełniam tendencyjny donos Jolki. - Cekał na pana, opowiadał, że kręci pan filmy przyrodnicze i ma pan łódź.
- I tą łodzią zawiezie pan Kaškę do lekarza w Goniądzu. Amen — dodaje Jola.
- Wszystko to prawda - przyznaje Kędryś - ale... żadnego zakonnika nie zna i nie zapraszał. Kiedy przed świtem opuszczał chatę, żadnego mnicha nie było. Gdy wrócił nocą, także nie.

Tylko dwie śpiące dziewczyny, co go specjalnie nie zaskoczyło, bo nieraz zastaje nie znanych gości, zmuszonych różnymi przyczynami do schronienia pod jego dachem.

Z tego powodu nie zamyka drzwi, chyba że wyjeżdża na dłużej. I właściwie nie dziwi go zakonnik, jako taki, bo niedawno kwestował tu franciszkanin w okolicy i mógł słyszeć w Bagiermym Borze o trybie życia mieszkańca samotnej chaty. Dziwi go tylko niezrozumiałe zniknięcie sługi bożego.

- Jak wyglądał ten franciszkanin?

- Jak mężczyzna, tylko spisany na straty—melancholijnie wzdycha Jolka.

Opisuję zakonnika.

- Miał bardzo kosztowny, rzeźbiony różaniec. Dzieło sztuki sakralnej - odzywa się w Joli historyk sztuki.

Lord częstuje śniadaniem, potem, jak na dżentelmena przystało, idzie się przebrać i ukazuje w szczelnym kombinezonie z żaglowego płótna oraz gumowych botfortach zachodzących wysoko na uda. Szyk!

Mocuje dwa drążki pod stelażem zydła.

- Lektyka gotowa - pomaga mi się przesiąść.

Niosą mnie z Jolką przez tę fatalną kładkę; kończy się pomostem z desek wysuniętym daleko w rzekę, cumuje przy nim zgrabna motorówka z krytym kambuzem, oszalowana ciemnym drzewem.

Lord lokuje nas na pokładzie, uruchamia silnik. Przykrywa gęstą czupryną wietnamską panamą z ryżowej słomy, cień szerokiej kresy stożka osnuwa jego przyjemną w rysimku twarz, pozbawioną zmarszczek i zarostu, twarz gładką, znużoną i bez wieku.

Jolkę dobija pretensjonalny w tym zestawieniu kapelusz wietnamskiego kulisa, zezuje na mnie wymownie. Udaję totem.

- Nieuleczalna choroba pigmentu, wrodzona wada genetyczna. Medycyna nie zna na to lekarstwa, a słońce działa zabójczo - odpowiada na spojrzenie Joli, dotykając runda kapelusza.

Zrozumiały staje się jego szczelny strój, ten futerał zamykany na ekler jak skafander astronauty.

Jolce robi się łyso; wychyla się głęboko za burtę i wirywa

kwiat białego grzybienia na długiej lodydze, robi z niego naszyjnik i żartobliwym gestem ofiarowuje go naszemu sternikowi.

W Goniądzu Kędryś zostawia nas na pr^stani i po chwili podjeżdża oliwkowym fiatem.

w ośrodku zdrowia robią mi rentgen, diagnoza: pęknięcie kości skokowej. I szczęście w nieszczęściu, silny obrzęk unieruchomił staw, co zapobiegło przesunięciu się kości. Jednak aby założyć gips, musi zejść opuchlizna. Na razie zakładają opatrunek i szynę.

- Pomieszkacie u mnie - proponuje Kędryś - noga otęclinie, przywieżę panią, Katarzyno, na założenie gipsu. I proszę nie wspominać o żadnym kłopotcie, to ja będę zobowiązany za towarzystwo... jestem bardzo samotny, a poza tym niekłopotliwy, po całych dniach mnie nie ma.

Jeszcze jeden samotny! Hu mi to mówiło? Pewno samotny i nie zrozumiany, tylko jeszcze nie zdążył mi tego wyznać. Tragiczny, wytworny odludek z dziedzicznym zanikiem pigmentu, zatęsknił za towarzystwem dziewczyny. Jako dżentelmen zaprasza obie, chociaż nie potrafi ukić, że wolałyby tylko jedną, tę kulawą.

Nawet nogi nie mogą spokojnie złamać, żeby się zaraz nie trafił jakiś samotny albo nie zrozumiany, albo z kompleksem, albo bezczelny, bez przesądów, artysta lub intelektualista. Zupełnie jakby nie było zwyczajnych mężczyzn na świecie.

Już mam takie szczęście, lgną do mnie nieudaczniki, pozery, szaleńcy, alkoholicy i wariaci. Widocznie coś takiego we mnie jest, może jakaś wada genetyczna, jak u tego tu, z tym pigmentem.

- Bardzo to sympatyczne... - grucham i gardzę sobą; no' tak, co- myślę, to myślę, ale bardzo lubię, gdy mężczyźni okazują mi zainteresowanie. Ono łagodzi moją zawiść względem pięknych dziewczyn, ponieważ mnie Pan Bóg spartac^ł bokserską szczęką, biodrami jak basetla... Eee, lepiej nie rozpamiętywać, bo jeszcze zgodzę się na opiekę tego naturszczyka w angielskich tweedach, szkockich wełnach i z rosyjskim kawiozem w chłopskiej skrzyni. A to łatwa zdobycz, wyboru wielkiego nie ma. Jolka także nie śliczności, do tego to kłębek kolczastego drutu.

Zamiast historii sztuki powinnam skończyć psychologię i napisać pracę o wpływie wadliwych parametrów gaba<sup>^</sup>-tu na kształtowanie osobowości. Nie musiałabym wtedy szukać materiału w Brożanach i łamać nóg uciekając przed zakonnikami, o których nie wiadomo, skąd się wzięli i gdzie przepadli. Nie byłabym wystawiana na pokusy przez odpigmentującego się lorda znad Biebrzy.

- Z prawdziwym żalem muszę odmówić... - znów grucham, komplementując jego gościnność.

Jolka spo<sup>^</sup>ąda na mnie z obrzydzeniem. Nie szkodzi, ucz się, dziecko. Mężczyzn nie należy zrażać, a pochlebstwo nigdy nie zaszkodzi i wcale nie musi być znów takie wyrafinowane. Połkną każde, ponieważ są głęboko przekonani, jacy oni świetni.

Lord nie ralega, ofiarowuje się odwieźć nas do Bagiennego Boru.

- Muszę wracać do Warszawy - oczywiście w Bagiennym Borze już na nic się nie przydam, lecz czuję się nie w porządku.

- Nie martw się, sama dokończę inwentaryzację - wspiera mnie Jola.

- NajbUższy bezpośredni pociąg mam z Białegostoku.

- Odwiozę panią - bez wahania ofiarowuje się Kędyś i odnoszę wrażenie, że cieszy go taka perspektywa; ręczo podjeżdża ku jedynej knajpie w miasteczku, lokuje nas przy stoliku.

- Wypijecie kawę, ja przez ten czas przygotuję się do drogi - odbiera nam inicjatywę.

- Bywaj, Kaśka - podnosi się Jola.

- Pani zostanie. Jolu, pojedziemy przez Bagienny Bór.

- Są jeszcze dżentelmeni na świecie - parska Jolka, gdy oliwkowy fiat znika z rynku. - Założę się, on pojechał zmienić ubranie!

- Gumowe botforły to raczej męczące na taką trasę

- Jaką?

- 3tąd do Bagiennego Boru, a później do Białegostoku.

- Większy dżentelmen, niż przypuszczałam! ^^^aśnie, jak on wytrzymał w tym szczelnym opakowaniu, nie widziałam na jego twarzy ani kropelki potu.

9-DemonDżentelmeni w ogóle się nie pocą. To nieeleganckie. 253

- Czarownice! I za co wsiadłyśmy na człowieka? - reflektuje się Jola.

Zdążyłyśmy skończyć kawę i powraca oliwkowy fiat; jak przewidziała Jola, lord znów się przebrał. Cienki biały golf wysoko zachodzi na s<sup>ę</sup>, rękawy sięgają nadgarstków, welurowy serdak z frędzlami od karczka, flanelowe spodnie i zamszowe mokasy. Wytworny, odprasowany, sterytoy.

- koniecznie wstąp do mnie, gdy będziesz wracała, pamiętaj!  
- żegnam Jolkę w Bagiennym Borze. Polubiłam tę dziewczynę. - Adres masz.

- Mam. Co powiedzieć kustoszce?

- Wypadek w okolicznościach służbowych. Zatelefonuj ją do niej z Warszawy.

Z Bagiennego Boru płataniną dróg Kędryś wydostaje się na szosę - wtedy dopiero orientuję się, że z pewnością nie jest to kierunek na Białystok. Zwracam mu uwagę.

- Jedziemy do Warszawy - odpowiada.

- To już zbyt wielka grzeczność... - mówię zaskoczona; buntuję się przeciw narzuceniu mi opieki, której nie pragnęłam.

- I tak musiałem wrócić do Warszawy, żadna różnica, dzień wcześniej czy później.

- Dziękuję za ten dzień wcześniej.

Nad nie ocienioną drzewami szosą drga od upału powietrze, tłusto lśni rozgrzany asfalt. Mimo opuszczonych po obu stronach Szyb w woze duszno, czuję spływający po skroni strumyczek. Twarz lorda nadal jest matowa i sucha, tylko u nasady kołnierza dzianinę w jego nieskazitelnie białjTii golfie plamą półkuliście ciemniejące zacieki.

Milczący i poirytowany poprawia szkła, przygląda włosy, znów sięga do szkieł. Wreszcie odgaduję znaczenie łych ruchów nerwowych i niepotrzebnych: drażni go moje spojrzenie, chociaż pozornie nie zwraca na mnie uwagi, prowadzi wóz z oczyma wbitymi w szosę.

Gwałtownie skręca i hamuje na podejździe przed budynkiem z kamiennych ciosów i bierwion wśród krzewów i kęp topoli.

- Obiad - wysiada, obiega wóz, otwiera przede mną drzwiczki. Pomaga wejść, zresztą kUka kroków, do chłodnego,

zacienionego wnętrza.

- Bardzo pani zmęczona, Kataras<sup>o</sup>? - pyta przyjaźnie.
- Mnie upał przyprawia o neurastenię - usprawiedliwiający ton i cień przepraszającego uśmiechu.

Kelnerka przyodziana w regionalne bufiastości zdejmuje z tacy talerze. Lord odbiera od niej baniasty, napelniony po krawędź kieliszek i stawia przede mną.

- Proszę to wypić, dobrze pani zrobi.

Sam wystrój knajpy uprzedza - kosztowna. Upozowana na zgrzebny zajazd, dawną austerię, jest już tak bardzo zgrzebna, że nie dysponuje trunkami poniżej winiaku, a miseczkę włościańskiego chłodnika wycenia na zetel czterdzieści pięć.

- Proszę, Katarzyno! - zachęca lord unosząc szklankę z napojem wiejskim firmowym, bo tu wszystkie potrawy wymienione w karcie wahają się między siermiężną wsią, dworem i karczmą.

Posłusznie dudłę koniak i pojadam indyka po arendar- sku; sądząc z nazwy, te juchy arendarze, drzewiej serwując Napoleona, armeński koniak i Długiego Johna, na zakąskę wmuszały w chłopów drób w maladze. Wciomości!

- Po jakimu był ten koniak? - szukam dla niego nazwy w duchu gastronomicznej poezji wypełniającej kartę; co

by się nie powiedziało, ten koniak dobrze mi zrobił, oddaliły się problemy, mniej dokuczają upał i obolała noga. Nic , dziwnego, wytrąbiłam dwie bomby.

- Wielki karbowy - podpowiada lord i lokuje mnie na tylnym siedzeniu, z którym odchylone oparcie przedniego fotela tworzy jedną płaszczyznę. W taki elegancki sposób lord usuwa mnie z bezpośredniego sąsiedztwa.

- Dziękuję, milordzie — mimo woli wymyka mi się miano, jakie nadałam mu w myśli. Chyba się zalałam.

W odpowiedzi uśmiecha się do mnie tym drewnianym cieniem uśmiechu, opiaszcza szyby we wszystkich oknach i siada za kierownicą.

Nasłuchuję pędu powietrza przewiewającego samochód i... budzę się pod dotykiem ręki na policzku.

- Katarzyno, jest pani na miejscu.

Mija chwila, zanim docierają do mnie jego słowa.

- No i warto było poić mnie koniakiem? - zagaduję; głupio mi, przespałam całą resztę drogi. Fiat stoi przed naszym domem. Okna ciemne, tylko zza zaciągniętych zasłon w pracowni ciotki Lucyny sączy się złotawe światło Wita radosny jazgot psów z niecierpliwości atakujących parkan.

Ogarnia uczucie radości na widok tych tam tańczących za płotem czworonogów i życzliwości do świata, jak zwykle, kiedy po dłuższej nieobecności wracam do swoich

- Zje pan z nami kolację - serdecznie zapraszam lorda.

- Dziękuję, ale jestem bardzo zmęczony — pomaga mi iść, cisną się do mnie śpiewające psy; dopiero teraz uświadamiam sobie, że ten człowiek wrócił z tych swoich łowów na mszarach późną nocą, a może dopiero nad ranem, a potem niemal przez cały dzień przesiedział za kierownicą

Rozbłyskuje leimpa nad wejściem. Powitalny psi klangor wywabiał na próg ciotkę, z otwartych drzwi wyskakuje Kropek, spada na mnie kudłata burza i...na^, milczący 260 atak na nogawkę mego towarzysza. W ostatniej chwili chwytam psa, rozłoszczony wiję mi się na rękach, dławi wściekłym charkotem. Grzechotnik!

Jeszcze nigdy ten pies w taki wredny sposób nie potraktował nikogo z naszych gości, a już nie do pomyślenia, aby napadł na



człowieka przychodzącego z domownikiem.

- Ugryzł pana?! - ciotka jest wstrząśnięta; ciągnie lorda do domu, natychmiast chce obejrzeć poszkodowaną nogawkę.

- Nie ugryzł - zapewnia lord i stawia bierny opór; uwięziony w moich ramionach Kropkę usiłuje skorzystać z zamieszania i dosięgnąć ręki niedoszłej ofiary.

- Zabierz tego skorpiona - wypycham psa w bezradne ręce ciotki; umrr, umrr, mniem, mniem, zajadle bulgoce Kropkę w tonacji: puść, ja go rozszarpie!

- Przepraszam pana - pr: ^omnieje ciotka i wreszcie wystawia szalejącego kundla za drzwi. Ponawiamy zaproszenie na kolację. Lord wymawia się stanowczo i spiesźnie żegna.

Jesteśmy seime na gospodarstwie, moi rodzice jeszcze nie wrócili z urlopu. Z ulgą wyciągam się na tapczanie.

- Gdzieś tak urządziła nogę? - dopytuje się ciotka.

- Zrobiłam fałszywy krok - zmyślam okoliczności kontuzji, diagnozę lekarza z Goniądza powtarzam wiernie.

Zamknięty Kropkę rozrabia za drzwiami. Atakuje kłamkę. Basowe poszczekiwanie kończy wokaliza skomleń w tonacji: jestem biedny, jestem opiaszczony. Ciotka zaczyna cierpieć.

- Zupełnie nie rozumiem, co się temu psu stało - wzdycha, nasłuchując jęków kundla. - Dość już tej kary, wypuszczę go - łamię się jak zwykle.

Milczę separastycznie.

- Dzwonił twój szef, prosił, abyś zaraz się z nim skomunikowała - zawiadamia ciotka; uwolniony Kropkę przybiega w płasach bez cienia zażenowania.

- Kiedy przyje'chal z Woch?

- Nie wspominał.

- Wiedział, że dzisiaj wracam?

- Wiedział.

- Telepata. Jeszcze z rana sama o tym nie wiedziałam.

No tak, Jolka osiągnęła kustoszkę telefonicznie, a ona natychmiast uprzedziła promotora. Ale dlaczego chce tak pilnie ze mną mówić. Niewątpliwie ma to związek z tym skandalem w Brożanach, lecz dlaczego ja? - znów pr ^- pljrw tego dobrze znanego już, upokarzającego strachu. Nie, nie będę kucać, prostuję się wewnętrznie. A jednak strusim obyczajem staram się to spotkanie przynajmniej odwlec, chociaż do jutra. Zresztą i tak

jest już za późno.

- Życ<sup>^</sup>ł sobie, abyś porozumiała się z nim bez względu na porę - piluje ciotka. - Telefonicznie poszukiwał cię najpierw w Brożanach.

- Wytrzyma do rana.

- To wyłącz aparat, wtedy wytrzyma na pewno.

- Zdrowa myśl - kuśtykam na naszą stronę domu, za mną rusza Kropek.

Zanim wyciągnęłam sznur z gniazdka, wykręcam numer Dymitra. Telefon odbiera jego ojciec, Dymitra nie ma w domu, ale w ogóle w Warszawie jest.

Odetchnęłam.

- Muszę się z Dymitrem natychmiast widzieć! Nawet jeśli wróci bardzo późno... Niech już nie dzwoni do mnie, tylko od razu przychodzi. Czekam!... - mój apel wypada dramatycznie, tata zobowiązuje się powtórzyć i nawet wyprawić syna.

Wracam do ciotczynej pracowni; zajmuje parter połowy całego domu. Po prostu ciotka rozebrała tu wszystkie ściany działowe zyskując przestrzeń. Zawód mojej ciotki wymaga przestrzeni.

- Pokaż, ile ci urosło gobelinu? - weksluję na bezpieczny temat; na krosnach dzieło stworzenia, które kosztowało



ją dwa lata pracy, dobiega końca. Na trzydziestu metrach kwadratowych motkami owczej wełny wymalowała wiosenną baśń. Aż żał, że odejdzie to z domu, aby ozdobić ścianę reprezentacyjnego salonu jakiegoś superultra hotelu.

Po tę wełnę ciotka wyprawia się do Myszyńca, w Góry Świętokrzyskie i pod Tatiy. Sama ją pierze i sama farbuje organicznymi barwnikami.

Gdy byłam mała, wydawała mi się wspaniałą czarownicą, która zakłęła sekrety kolorów tęć w parkujących kotłach z tajemniczymi alembikami o nazwach działających na wyobraźnię: oclira, sepia, cynober, ugier, indygo, urzeń.

Kiedy pr^chodzi Dymitr, zostawiam ciotkę w pracowni. Nie zwykła się dziwić późnym odwiedzinom, w zasadzie nie zwykła się dziwić niczemu, poza tym jest bardzo zajęta i trochę nieobecna, goni ją zastrzeżony umową termin ukończenia tej pracy.

- ...lepiej późno niż wcale - ponuro kwituje Dymitr informację z Brożan. - Pożar sprzed Miku lat... ale kiedy to było? Oskarżono kogoś czy sprawa została umorzona?

- A skąd ja mogę wiedzieć! Porucznik mi się me zwierzał. Powtarzam, co usłyszałam z plotek.

- Żaden z ciebie po^ek, Kaśka!

- To moja pierwsza afera, przy drugiej będę bystrzejsza.

Co z Adamem?

- Dobrze. Jeszcze nie siedzi.

- Zmądrzał?

- Ale wybraliście sobie czas, aby się zreć. Nie możecie odłożyć remanentu na później?

- Nie będzie żadnego później - zięję odwetem. - Byłam w tej waszej chacie i oto skutki - demonstruję spowitą bandażami kukłę na szynie.

- Kto ci pozwolił?! - zachnął się Dymitr, jakby tylko on miał monopol na to uroczyisko.



Przywołuje go do porządku ostrzegawcze warknięcie Kropka. Leży przy mnie, ale nie podobał mu się ton Dymitra.

- Kochany pies - rozczulam się nad sobą. - Powiedz, skąd wzięła się przy obroży moja klamra? - kudłacz nastawia uszy, przekrzywia łeb, wlepia we mnie te swoje dwa kasztany.

- Przestań się mizdrzyć do kundla - denerwuje się Dymitr.

- Grzechotnik! Rzucił się na człowieka - mówię i uzmysławiam sobie, że przecież Kropka był w tej chacie, w chacie lorda. -... a może to właśnie ten człowiek zapisał się nieświeżo w pamięci Kropka? - głośno kończę myśl.

- Jaki człowiek?

Mówię Dymitrowi o odpigmencającym się lordzie znad Biebrzy i o niezwykłym ataku Kropka na gościa. Dymitr ożywia się, do zdumienia wypytuje o wygląd gospodarza chaty, o jego wóz, o najdrobniejsze szczegóły.

- Zaprezentował ci się jako gospodarz? - upewnia się z niedowierzaniem.

- Nie powiedział wyraźnie, ale sądząc z zachowania...

Zdaniem Dymitra oni z Adamem spotkali tam zupełnie kogoś innego, kto przedstawił się tym samym nazwiskiem: Kędryś. Osoba zdematerializowanego zakonnika do reszty rozkłada Dymitrowi jakąś koncepcję, której jednak nie precyzuje.

- To jeszcze nic, widziałam strzygonia - chwałę się ciekawa, jak ten racjonalista przyjmie wiadomość o transcendentnym zjawisku w chacie nad Biebrzą. Owszem, reaguje natychmiast, lecz zupełnie inaczej, niż myślałam. Pozagrobowej osobistości uczył się jak rzep.

- Jutro czeka mnie przeprawa z promotorem - wspomina o swoim najnowszym zgryzie; przezornie nie mówię o wyłączonym telefonie i odwlekaniu. Z pewnością domagałby się, abym zaraz porozumiała się z profesorem. A go- dzina zrobiła się już zupełnie nieprzyzwoita, doclodziła trzecia.

Nazajutrz, skoro świt, to znaczy jeszcze przed ósmą, telefonuję do profesora. Wita ranie bardzo serdecznie.

- Przyjadę po ciebie, Kasiu - zawiadamia; bomba! Tego jeszcze nie było. On jest sklejonny ze swoim wozem i chyba nie wie, że w ogóle są w nim inne miejsca oprócz tego przy kierownicy. Jeszcze nie słyszałam, aby kogoś podwiózł, prędzej

da na taksówkę. A tu raptem tak się przejął moją nogą.

Niepokoi mnie ta troskliwość i ten serdeczny ton. Co się kiyje za tą niezwykłą uprzejmością? Przecież to choleiyk i indor.

Ledwo zdążyłam się ogarnąć, już jest. Nadal przyjazny i uroczy. Jak cenny antyk lokuje mnie w samochodzie. A może zaczęłam mu się podobać? - pocieszam się beznadziejnie. Trzy lata patrzył na mnie jak na nogę od stołka.

Pierwsze, co spotrzegam, gdy profesor otwiera przede mną drzwi pracowni, to przypięte do stelaży fotosy. Olbrzymie powiększenia czegoś, czego w piei-wszej chwili nie rozpoznaję.

Z kąta za drzwiami, gdzie stoi stolik i fotele, podnoszą się na nasz widok dwaj młodzi ludzie. Tandem - Załęski i Bej.

Sztywnieję wewnątrz. Mogłam się spodziewać krytycznych uwag czy nawet reprimendy profesora na temat mego zachowania w Brożanach, chociaż nie widziałam nic, co mógłby mi zarzucić, ale nie oczekiwałam, że zastanę tu poruczników.

Dlaczego profesor zaaranżował to spotkanie? Bo przecież nie wleźli tu sami. Nie mówiąc już o sekretarce, musieliby położyć trupem starego woźnego. Bez wyraźnego polecenia profesora nie wpuści nawet generała, a ców dopiero poruczników. Nie tak dawno zagroziła drogę resortowemu wiceministrowi, który przyszedł bez uprzedzenia.

- Pr^echaliśmy zaraz po pańskim telefonie, profesorze. Tu nam kazano zaczekać - tłumaczy Załęski; zgadza się, nie zabili pedla, sam profesor ich tu sprowadził.

- Świetnie - cieszy się mój szef, jakby było z czego. — Siadaj, Kasiu, specjalnie czekałem na ciebie - troskliwie pomaga mi zapaść w fotel, jakbym była porcelaną z epoki Ming, którą sam dopiero co odkrył i posklejał.

- Przedstawiam...

- My się już znamy - wtrąca Załęski.

- Przedstawiam panom moją najlepszą asystentkę! - dębieję,, dotychczas nigdy od niego nie słyszałam żadnej pochw^, było dobrze, jeśli nie sobaczył.

Nareszcie rozpoznaję, co przedstawiają fotosy; w wielkim powiększeniu fragmenty mplywu zdobniczego sreber podkanclerskich.

- Nie uprzedziłem Katarzyny, dlaczego ją tutaj zapraszam, ale chcę, aby była *przy* naszej rozmowie. To JA podsunąłem jej tę kolekcję jako temat pracy doktorskiej. Bardzo proszę o tym pamiętać!

Zaczynam rozumieć. On odiera jakieś zastrzeżenia wysinięte przez tamtych wobec mojej osoby. Kochany stary tygrys, rzuca na szalę swój autouder. Co by się nie powiedziało o jego wadach, porządny jest ten mój naczelny choleryk. Wierzy wybranym przez siebie ludziom i broni ich z całym przekonaniem.

- To zmienia postać rzeczy - baka Załęski; jak widać, nie w smak mu ta bezceremonialność profesora. Ogarnia mnie wściekłość, jak ten milicjant mógł podejrzewać mnie o jakieś świństwo ze srebrami! Ale nie mówię nic, tylko patrzę na niego najpaskudniej, jak potrafię.

Profesor przechodzi do meritum, czyli do sprawy sfałszowanej kolekcji. Odnoszę wrażenie, że jest to informacja przeznaczona dla mnie, bo mówi o faktach, jakie on i tandem poruczników z pewnością już dobrze znają.

Wszystko zaczęło się od znalezienia dwóch fotograficznych wersji sreber w katalogu Stęmaszczyka. Ich pochodzenie próbował wyjaśnić Załęski w Brożanach.

Część tych zdjęć wykonano w muzeum na tle ciemnego stołu i takież boazerii. Inne nie wiadomo gdzie na tle udrapowanej tkaniny. Po dołączeniu do nich kadrów zrobionych przez milicyjnego fotografa całość otrzymali do badań milicyjni eksperci kryminalistyki. Tak \^buchła bomba!

Włącza ślę Załęski i cytuje z ekspertyzy: - na fotografiach pochodzących z Brożan wyodrębniono dwa rodzaje przedmiotów. Część z nich prezentuje eksponaty wystawione aktualnie w muzeum.

— Czy są to oryginały, czy też falsyfikaty, na ten temat nasi biegli nie wypowiedzieli się - podkreśla Bej. - To dziedzina historyków sztuki.

Przed kilkoma dniami porucznicy zwrócili się o pomoc do mego szefa. To on potwierdził swego czasu rzetelność monografii zmarłego kolekcjonera i autentyczność ofiarowanego przez niego zbioru, a poza tym profesor Kubera jest wybitnym specjalistą.



Werdykt profesora brzmiał jednoznacznie: srebra znajdujące się w gablotach brożańskiego muzeum to falsyfikaty, doskonale odwzorowane repliki!

VII

Sklepienie głowy opięte pozbawioną śladu włosów skórą ze zgrubieniami zrostów sprawia wrażenie nagiej czaszki z odkrytymi szwami na puszcze mózgowej.

Złudzenie potęguje zupełny zanik brwi, przez co i tak

wydatne luki czołowe wydają się jeszcze wydatniejsze; w jamach między tymi lukami i pozbawionymi mięśni kośćmi jarzmowymi bezrzęse, jakimś cudem ocalałe oczy z fałdkami powiek wyglądają jak kamyki w oczodołach szkieletu. Szczątek nosa zieje otworami, zakłęsłe policzki z wyraźnym kształtem szczęki i żuchwy i powęzłona na krawędziach, nie domknięta szczelina zamiast ust z widocznymi rzędami równych zębów.

Cały ten liczman w supłach i skrętach blizn, których bezlitosnej plastyczności nie łagodzi dwuwymiarowość fotografii.

Jestem wstrząśnięty! Spodziewałem się okaleczeń, lecz te, które przedstawiają zdjęcia, przerosły moje wyobrażenia. Nareszcie rozumiem, dlaczego ta twarz wydawała mi się zwidem, wytworem wyobraźni i grą cieni księżycowej nocy wśród bagiennych mgieł.

-Rzeczywiście, można go było wziąć za upiora - przy- znaje Dymitr.

Tym razem tandem poruczników poprosił i jego na rozmowę. Poprzednio, zanim jeszcze na interwencję milicji i z nakazu prokuratora wydano historię choroby zilustrowaną fotografiami, wezwano tylko mnie. Wezwano! Zabrał mnie umundurowany sierżant.

-Czy tę twarz pan widział? - pyta Załęski.

-Z pewnością tę samą - potwierdzam; jakaś fascynacja przykuwa mój wzrok do wizerunków ucieleśniających strzygonia z krwawej sagi babki Józefowej z Bagiennego Boru. Mój majak z bezpamiętnej nocy i ze snu w chacie na uroczysku.

-Leczyli go dwa lata - mówi Bej.

-Leczyli? To brzmi jak zły żart - nie mogę się pogodzić z myślą o takim rezultacie kuracji.

-Pan się myli - Bej z grubej teki w tekturowych okładkach wyciąga arkusz. - Proszę posłuchać: ...brak mięśni okrężnych oczu, ust, mięśnia trójkątnego, łopatkowo- 268 wo i mostkowo-gnykowego. Częściowa zgorzel płatów powiek, zniszczenie tkanki... ściągna... włókna... tkanka łączna...

W siichej, precyzyjnej, medycznej łacinie, którą w szkolarski sposób tłumaczy Bej, opisano stan pacjenta; nie był zdolny do samodzielnego istnienia. Karmiono go sztucznie, oddychał przy pomocy sondy wprowadzonej do tchawicy drogą operacyjną.

Ubytki ciała przekraczały jedną trzecią powierzchni twarzy i głowy.

Z takich okaleczeń rzadko kto wychodzi z życiem.

Przez dwa lata kuracji rehabilitacyjnej poddano go dwudziestu dwu zabiegom chirurgicznym. Dzięki przeszczepom połatano tę dosłownie dziurawą twarz, nagą czaszkę obleczono skórą. Nawet owa nie domykająca się na zębach szczelina jest całkowitym tworem lekarzy.

Ta straszna, nieprawdopodobna twarz to triumf chirurgii plastycznej. Człowiekowi przywrócono niezbędne do życia funkcje. Może oddychać, jeść i mówić.

- Ilyiko co to za życie? - wątpi Dymitr.

- Widzi, słyszy, czuje zapach i smak. Jest sprawny fizycznie. To bardzo wiele.

- Ale nie sposób żyć z tym między ludźmi, dlatego ukrywa się na bagnach — mówi Dymitr.

Po odnalezieniu chaty na biebrzańskich mszarach staraliśmy się uzyskać informacje o gospodarzu, aby wyjaśnić jego ewentualne związki ze Stelmaszczykiem.

- Mów jak najmniej! - zażądał Dymitr, gdy dotarliśmy do Bagiennego Boru.

Wąsaluka zastaliśmy na gumnie, klepał kosę, bo jak nam powiedział, na większość jego łąk nie wejdzie nawet naj\*- Iżejsza maszyna.

- Do kogo należy chata na bagnach? - zapytał bez wstępów Dymitr.

- Do tego, co kupił. Do warszawiaka.

- Jak się nazywa ten warszawiak?

- Jak zwał, tak zwał, aby imię dał - zbył Wąsaluk. - A czego tak o onego wypytuje? - przyjrzał nam się nieiiif nie.

- Według ksiąg hipotecznych ziemia jest wasza - łągał jak w transie Dymitr.

- A na co po rejentach chodził?! - zjeżył się nieprzyjaź- nie Wąsaluk.

- Bo warszawiak działkę z chatą chce sprzedać, to sprawdziłem, czy ma prawo własności. I nie znalazłem.

- I nie znajdzie - mruknął Wąsaluk.

- To znaczy, pan jest prawowitym właścicielem.

- Nie. Właścicielem jest pan Stelmaszczyk. My na kocią łapę załatwili, ale ja jemu nie zaprzeczę, bo my umowę wewnętrzną spisali, poświadczoną przez dwóch świadków. Między rzetelnymi ludźmi rejent niepotrzebujij. Pan Stelmaszczyk nie mówił?

- Ja nie rozmawiałem z samym Stelmaszczykiem, tylko z upoważnionym przez niego, tym, no... - Dymitr udawał, że szuka w pamięci nazwiska. - No z tym, co fotografuje.

- A kto jego wie, który to - maclmął ręką Wąsaluk. - Do warszawiaka na wikiendy różne przyjeżdżają. A to powęd- kuja, a to pofotografują, ale spokojne. Samego warszawiaka to ja już dawno nie widział, musi czasu nie ma... To, jak to? - zreflektował się nagle - chatę targował i nie wiedział, u kogo? - znów przyjrzał nam się nieufnie.

- Przecież mówię: rozmawiałem z upoważnionym. Siedzi tam teraz i pokazuje posiadłość tym, co chcą oglądać.

- Ja tam nie wiem, który to upelnomocniony, bo goście warszawiaka do wsi nie zaglądają. Droga im do chaty od Mogiły, z dala od wsi, a nasz sklep dla nich nieciekawym. Pewno sobie z Delikatesów specjalny przywożą... A onemu po co taka chata na pustkowiu? - zwracał się do Dymitra w formie bezosobowej, widać nie zasługiwał w jego mniemaniu na miano: pan.

- A Stelmaszczykowi po co?

- Warszawiak stateczny już człek, wiek swój posiadał, spokój po zgiełku miastkim lubi. A on mnie się widzi młody, a co młodemu samotnie robić na takiej pustaci, a?

- Niekoniecznie samotnie - zapewnił Dymitr.

- A i w tym bieda! Ja by i sam sprzedał, mam taki kawałek w sam raz.

- A skąd chiata! - pośpieszyłem z pomocą Dymitrowi.

- Chiata by się nalazła, mój ciosko się buduje... Miasi nie wiedzą kto on, ciosko? Imiennik, znaczy się - zamilkł, krytycznie zmierzył nasze sfatygowane koszule, a szczególnie obszarpane dżinsy, obcięte nad kolanami. - Wiedzieć powinni, u nas naród na różne nowinki niełaskawy, mnie by ze wsi wyświęcili i wy by życia nie mieli. A na zberezeństwa to nasi wsiowi całkiem srodzy.

- Na kogo tacy srodzy? - podpytywał Dymitr; widocznie liczył na jakieś plotki o gościach z uroczyska.

- Jak nietutejszy z kobietą na kartę rowerową żyje, nasze ludzie już ścierzpią, ale takich, co miast uczciwie wypić, to jakieś paskudztwa wachają albo zastrzykują, i swobody w gromadzie zażywają, to nasze ludzie nie ścierzpią. Bez obrazy, jak wy z jakich hipiszów, co o nich w gazetach pisali, to idźcie z Bogiem.

- A widział pan kiedy hipisa? - nie mogłem powstrzymać się od pytania.

- Widzieć nie widział, ale...

- To zostań pan z Bogiem - uciął Dymitr i pociągnął mnie za sobą.

- Bez obrazy - wołał za nami Wąsaluk; nie oglądając się maszerowaliśmy z powrotem. Pewnie utwierdziliśmy go w przekonaniu, że na wskroś przejrzał dwóch obszarpańców, co mogli wnieść zamęt w zdrowe obyczaje Bagiennego Boru.

- Rybarczyka też tam nie znają? - powraca do tego człowieka Załęski, chociaż poprzednio wypytywał o niego dokładnie, tylko w nieco innym kontekście, wtedy gdy

kilka dni temu o szóstej rano przysłał po mnie sierżanta.

- Niech się pani nie martwi, to w sprawie napadu na syna - sierżant skłamał litościwie, poruszony przerażeniem mojej matki; ojca nie było, pracował na rannej zmianie, zaś Maciusia zachował się godnie.

Zostałem doręczony porucznikom, pokwitowali odbiór na jakimś druku, poczułem się jak paczka.

Tandem przyjął mnie urzędowym chłodem, pedantyczną procedurą i odczytaniem tasiemcowej listy zarzutów. Nie zawierała jednak wszystkiego, i wtedy nie wiedziałem jeszcze: znają tę resztę czy pewne fakty trzymają w odwodzie.

Okazało się, nie znali. Wyłożyłem więc swoje atuty jako objaw dobrej woli. I tak to wreszcie przyjęli, chociaż jasne było, że w końcu sami, bez mojej pomocy, wydłubałyby te wiadomości. Kwestia czasu, lecz ten czas dla nich był drogi. Może dlatego potraktowali mnie w ostateczności jak sprzymierzeńca, chociaż kłopotliwego.

Zmuszeni byli operować równocześnie na wielu planach, taką konieczność narzuciło dochodzenie, które w konsekwencji objęło wiele osób i toczyło się w różnych miejscowościach: wiedli tę swoją walkę niezbyt śpiesznie, metodycznie, z pozoru nieefektywnie, lecz tam gdzie przeszli, nie pozostawiali białych plam. Walec drogowy!

Moją amatorską działalność przyjęli z mieszanymi uczuciami; doprowadzały ich do wściekłości moje zagrania, zaś zawodową zawiść i pewne uznanie wzbudziła docieklivość konkurencji, czyli Dymitra.

- Nie miałem do was zaufania. Cóż robić, nie każdy kocha milicję - postawiłem się, gdy Bej zagroził paragrafami.

- Nie musi pan kochać, ale pan nam przeszkadzał! - podkreślił Załęski. - Co pan ma jeszcze do powiedzenia?

- Dużo

- Już pan nam ufa? - Bej zakwaśił moje szczerą chęć. 272

- Nie mam wyjścia - odwzajemniłem się; zacząłem od pieca, to znaczy od zaangażowania mnie przez dubeltowego Rogera.

- Czy w firmie Sauville fałszowano dzida sztuki? - Załęski użył formy bezosobowej, imikając pytania wręcz, czy ja

falszowałem.

- Pastisz uprawiali nawet wielcy artyści. Jeśli twórca nie podpisze kopii cudzym nazwiskiem lub nie wyciśnie gmerku nie swoją puncą, nie popełnia fałszerstwa. A ja się nigdy z takimi praktykami u Rogerów nie spotkałem.

- Jaką pozycję zajmował tam Rybarczyk?

- Projektowanie, odwzorowanie. Nie wiem, czy wiedział wszystko o profilu zakładu. Ale jego związki ze Stelmaszczykiem wydają mi się niemal pewne.

- Jakiego charakteru związki?

- Kopiowanie przedmiotów cennych i podrabianie starych mistrzów.

- Jakim rodzajem pieczęci interesował się Stelmasz- czyk, gdy zaproponował panu fałszerstwo?

- Nie zdążył wytłumaczyć, za prędko go wyrzuciłem. Ale mogło chodzić o rodzaj puncy. Teraz tak myślę, wtedy nie zastanawiałem się. Sądzę, że napad na mnie łączy się w jakiś sposób z tą ofertą sprzed dwóch lat... - opowiedziałem Załęskiemu, co zastałem i co mnie spotkało w chacie na uroczysku.

Oni dotychczas nic nie wiedzieli o istnieniu tego domu.

- Widać wszedł pan tam jak Piłat w credo.

- Musieli się potężnie wystraszyć, ale pojęcia nie mam, co mogli właśnie wtedy robić, co chcieli ukryć? Zwariowany kolarz nawet okiem nie mrugnął na mój widok, Stelma- szczyk leżał na wyrku i zerwał się dopiero wówczas, gdy pan Wu dał dyla... rozumie pan coś z tego?

- Pan Wu? - Załęski wymienił spojrzenie z Bejem. - Jak wyglądał ten człowiek?

T- Nie wiem. Siedział tyłem do drzwi, kiedy wszedłem, uciekł.

- Waclaw Kruposz, mówi panu coś to nazwisko?

- Nie.

- Przyprawdź Kruposza! - zdecydował Załęski i skinął na Beja. - A pan - zwrócił się do mnie - podczas tej konfrontacji będzie milczał jak tresowana ryba.

- Wątpię, czy on mnie pozna.

- Nie pańskie smartwienie... Kiedy ostatnio widział pan Rybarczyka?

- W Paryżu i nigdy później.
- Słyszał pan coś o możliwościach kupienia kradzionego paszportu?
- Nie słyszałem.
- Padły następne nic nie mówiące mi nazwiska: Gerard de Villefort, Edmund Zelek, Iwona Biedronka, Melania Kazmierczak.
- Wrócił Bej z delikwentem.
- To nie ja! Ja z tymi bandytami nie mam nic wspólnego! - zajączkał na mój widok podopieczny Beja.
- I znów się pan wypiera, panie Kruposz - Załęski wskazał mu krzesło.
- Ma pan svimienie mnie oczerniać! - Kruposz spojrział na mnie z rozpaczliwym wyrzutem, ton był Magalny. - Panowie! - zaapelował do poruczników - ja nie tknąłem tego człowieka!... Owszem, to prawda, ukrywałem się w tej chacie na bagnach...
- Bardzo niadanie, że dopiero teraz wspomina pan o jej istnieniu:
- Miałem sam siebie pogrążyć, żeby wszystko skrupiło się na mnie... Jak ten pan-wskazał na mnie palcem-tylko wszedł do izby, przestraszyłem się i uciekłem. Ja wtedy byłem już doprowadzony do takiego stanu, że bałem się wszystkiego... omal nie utopiłem się w trzęsawisku, do rana siedziałem w trzcinach na kępie... Niech pan ma Boga w sercu - znów zwrócił się do mnie - niech pan powie prawdę. Czy chociaż palcem pana tknąłem? - zdaje się, Bej porządnie go podkniszył, zanim przyprowadził tutaj.
- A kto tego pana trącił? - podchwycił Załęski.
- Stelmaszczyk, łomem - skwapliwie doniósł Kruposz.
- Skąd pan to wie, skoro do rana siedział pan w trzcinach?
- Stelmaszczyk pienił się, jak mnie znalazł. Powiada, przez ciebie, idioto, musiałem tego szpicla imieszkodliwić. Zbieraj się, powiada, bo meta spalona. Szkoda, żeś nie utonął w tym bagnie... Panie, ja drżałem o życie.
- Kto tego wieczoru był w chacie?
- Stelmaszczyk i jakichś dwóch, nie znam. Ja przez wszystkie te miesiące na strychu pod kluczem siedziałem. Tylko mi jedzenie i kubeł na niec^stości wstawiali, ale niech mnie Bóg skarże, jeśli



wiem kto. A tego dnia Stelmaszczyk sprowadził mnie na dół, bo paszport przywiózł. Wieczorem miał mnie stamtąd wywieźć.

- A co oni robili tego wieczoru?
- Nic nie robili, czekali, aż burza minie.
- A ten gość na rowerze?
- Nie wiem, może trenował? Ja się o nic nie pytałem, słowem bałem się odezwać.
- Kto pana zainstalował w tej chacie?
- Stelmaszczyk. Przywiózł mnie tam nocą i nocą mnie wywiózł z tym paszportem, a o tym panu słyszałem, jak mówili, że go opatrzą i też wywiozą gdzieś dalej na rzekę...
- Na razie dziękuję, panie Kruposz - przerwał Załęski; Bej odprowadził klienta do drzwi i oddał w ręce mundurowego milicjanta.
- On prawdę mówi na raty - powiedział Bej. - Ciężko mu to idzie, nie przywykł... Następnego odcinka można się spodziewać dopiero przy kolejnej konfrontacji.
- Mógł nam pan pomóc znacznie wcześniej - wytknęła mi Załęski. - No cóż, pozostało nam jeszcze wyjaśnić sobie, kiedy pan przyszedł i co pan zastał w domu przy Wróblej. Wyjaśniłem.
- Po co pan tam w ogóle poszedł? - nie mógł zrozumieć Załęski.
- Obić mu pysk.
- Narobił pan bardzo wiele głupstw.
- To samo mówił Dymitr, mój przyjaciel.
- Zatajenie okoliczności napadu na pana, ukrycie Ważnych informacji w związku z morderstwem na Wróblej, do tego symulowanie amnezji. I wszystko tylko po to, aby ukiąć znajomość ze Stelmaszczykiem?
- Nie tylko. Powody złożone i teraz już bez znaczenia - nie miałem zamiaru rozwodzić się nad pobudkami mojego postępowania. Nie chciałem wspominać o Kaście i tej przelanej kłamrze. Ale Załęski, jakby śledząc bieg moich myśli, wyciągnął z biurka Kaścyną zapoń.
- Poznaje pan?
- Tak. To moja robota - przyznałem; nie rozumiałem tylko, jakim sposobem wydłubali tę cholerną spinkę zza ramy lukamy

na dachu mojego stychu. Przecież o rewizji bym wiedział.

- Nie interesuje pana, skąd to mamy?

- Oczywiście, interesuje. Ale to wy jesteście od zadawania pytań.

- Znowii pan kręci - napadł Bej. - W sąsiednim pokoju jest pani Polewicz i Kowalski, i oboje mówią. A raczej ona mówi, bo Kowalski ciągle się przechwala - wyraźnie bolały go sukcesy Dymitra.

- Nadużywacie swoich praw - wrzasnąłem; zląkłem się o Katarzynę, bo o Dymitra byłem spokojny. Da sobie radę, mimo wszystko jest z ich branży. Kruk kr-ukowi oka... i tak dalej.

- Niech mnie pan nie uczy prawa - odwrzasnął Bej; w tej chwili w jakiś sposób przypominał Dymitra. Widać ten zawód przyciąga ludzi o określonych predyspozycjach, wydobywa i utrwala pewne cechy, mniej świetne też. I to poczucie władzy nad innymi ludźmi!... Może mnie zatrzymać lub nie! Wszystko zależy, jak oni zechcą zinterpretować ów cholerny artykuł kodeksu, w który się wpasowałem. Niech to diabli! Jeśli się narażę temu zarozimiiałcowi, gotów mnie zgnoić w ramach prawa.

Pomyślałem o tamtym umimdurowanym waźniaku znad Wigier; oskarżył mnie fałszywie, działając przecież także w imię prawa. Użył je jak psa, szczując w obronie bezprawia i samowoli.

- Dlaczego znęca się pan nad Kaśką! - krzyknąłem od rzeczy.

- Pani Polewicz przyszła z własnej woli - przerwał Załęski i mimo wyraźnej dezaprobaty w spojrzeniu Beja wyjaśnił rzecz po ludzku: Katarzyna i Dymitr, sądząc, że mnie zatrzymano, z<sup>^</sup>osUi Się do niego sami proponując złożenie wyjaśnień. I właśnie wyjaśniają gdzieś po sąsiedzku.

Odetchnąłem. Jeśli przyszli sami, to chyba Dymitr rtiiał czas ustawić Kaśkę, aby nie mówiła głupstw. Upokarzała mnie ta jej pomoc.

- Znalaziono szczątki pańskiego kajaka spalonego na bagnach. Popiół i strzępy, ocalała kłamra.

- Gdzie jest ta, którą miał na obroży pies? — włączył się Bej; zrozumiałem, Kasia zdążyła się już zwierzyć.

- To może być ważny dowód - podkreślił Załęski.

- Ukiyty przez pana z premedytacją - nie darował Bej.

- Ależ ze mnie dureń! - zagulgotałem samokrytycznie.
- Z grzeczności nie zaprzeczam - ucieszył się Bej.

Przez cały czas ani razu dotychczas nie wierzyłem w możliwość, że klamrę Kaśki mógł sobie także skopiować ktoś inny. Była bardzo efektowna, a gotowy rysunek zostawiłem przecież w pracowni Sauvilla.

Na resztki mojego Neptuna natknął się stary rybak znad

Biebrzy i dał ^nać na posterunek w Goniądzu, ponieważ milicja ogłosiła wzdłuż szlaku aż po Nowogród o poszuki-<sup>\*</sup> waniu czerwonego składaka.

- Jak mam rozeznąć, która kłamra jest pańskiej roboty, jeśli pan sam nie potrafi - ubolewał Bej.

- Rozpoznam przy bliższym badaniu. W każdym razie ta druga musiała także powstać w paiyskim warsztacie.

- Mógł ją nosić Stelmaszczyk lub Rybarczyk. Któryś z nich przywiązał na niej psa - przypuszczał Załęski.

- Za strojna dla mężczyzny. To wybitnie damska ozdoba — oceniłem. — I wtedy mogła być tam kobieta. Na grzędce przy kominie widziałem schnące kobiece łaszki.

Nie myliłem się. Znacznie później dowiedziałem się od poruczników, że do tej kłamry z obroży Kropka przyznała się Iwona Biedroniówna. Dostała ją w podarunku od Stelmaszczyka, lecz wtedy gdy składałem wyjaśnienia, porucznicy jeszcze o tym nie wiedzieli.

- Na razie zostawmy ten temat - przerwał Załęski. - Stanęliśmy na waszym wywiadzie u Wąsalnka. Co robiliście dalej?

- Zajęliśmy się Kędrysiem...

Z Bagiennego Boru popłynęliśmy w górę rzeki z powrotem do Goniądza. Dymitr chciał lastalić ewentualne miejsce garażowania warszawskiego „taksa”, o którym mówiła babka Józefowa. Spodziewał się tam u^skać adres właściciela samochodu, a przynajmniej spisać numer rejestracyjny wozu, wówczas bliższe informacje otrzymałby w wydziale komunikacji. Ja natomiast próbowałem wyciągnąć jakieś wiadomości od przystaniowego.

Nie do wiary, ale bagna położone po drugiej stronie, rzeki i tamtejsze wioski były dla dziadka tak samo odległe i mało znane jak Łomża czy Białystok.

- Żadnych my spraw z nimi nie mamy i dróg, ani przeprawy od nas do nich nie ma, a Bagienny Bór to kawał za Gonią^em w d^ Biebrzy i het od brzegu - tłumaczył; 278 nazwisko Stelmaszczyka ani przezwisko warszawiaK nic mu nie mówiło.

- Czasami przypływa taki jeden z tamtej strony, łódką -

przypomniał sobie dziadek; nie zna go bliżej, pojawia się rzadko, w tym sezonie był ze dwa razy. - Nie mowny człek, ale grzeczny, nie powiem. Zagranicznym papierosem poczęstuje, na flaszkę da za popilnowanie motorówki, chociaż ja przecie ręki nie wyciągam. Potem jeszcze podziękuje... Ale nieczęsty on gość. Przybije do przystani, zapro- wiantuje się i nazad. Czy on kwatere gdzie nad rzeką ma, nie wiem.

- Samochodem do Goniądza nie przyjeżdża?

- Owszem, bywało... Wtedy u Rafała taksa zostawia, a po niego łódką przyjeżdżali. Zwyczajna krypa, tyle co z motorem, taka tutejsza. Ale ja już dawno ani jego, ani taksa nie widział.

Wiadomości dziadka okazały się bardziej rzeczowe niż babki Józefowej, lecz nie znaleźliśmy w Goniądzu żadnego wozu z warszawską rejestracją.

- Jemu Kędryś na nazwisko - przyznał zapytany Raf ał  
- u mnie samochód- trzyma, jak na rzekę płynie. Ale oh dawno u nas się nie pokazał.

Od Rafała nie dowiedzieliśmy się ani numeru rejestra- cyjnego, ani adresu, ani nawet imienia Kędrysia.

- Dowiemy się z książki telefonicznej! - olśniło Dymitra.

- To po co było pchać się w górę rzeki do Goniądza! - miałem mord w oczach; czułem w mięśniach te kilomety wiosłowania pod prąd.

- Ja także wiosłowałem - obraził się Dymitr. - A poza tym usłyszeliśmy tu sporo wiadomości!

- Jako detektyw na sól do zupy nie zarobisz - zdyskwali fikowałem jego talenty.

Kędrysiów w warszawskiej książce telefonicznej było wielu.

- Zawsze mniej jednak niż Kowalskich - pocieszył się Dymitr, lecz nie wiedząc nic o człowieku, który przedstawił się nam tym nazwiskiem, nie można było wykluczyć żadnego. Zawód także nie wydawał się bezbłędną wskazówką, nie mieliśmy pewności, czy fotografia uprawiana przez naszego Kędysia to jego fach, czy tylko hobby.

- Andrzej Kędryś, fotografik - wytypował Dymitr i jak się okazało trafił w dziesiątkę, tylko telefon Andrzeja Kędrysia nie odpowiadał.

Na rekonesans mój przyjaciel wybrał się solo. Jego zdaniem

mój wygląd, a szczególnie wzrost, za bardzo utrwał się w pamięci, chociaż sam nie był wiele niższy ode mnie.

Nie dyskutowałem z nim, moja sytuacja rysowała się raczej beznadziejnie, cóż jeszcze mogło ją pogorszyć.

- Ile mi dajesz za te matactwa? - badałem Dymitra; straciłem już wiarę w skuteczność jego przedsięwzięć. Ufałem jeszcze tylko jego znajomości prawa karnego.

- Kto składając fałszywe zeznanie, mające służyć za dowód, i tak dalej — bez zająknięcia wyrecytował Dymitr - podlega karze pozbawienia wolności do lat pięciu. Artykuł dwieście czterdzieści siedem, paragraf pierwszy K.K.

- Mam zacząć się przyzwyczajać? - na myśl o tych pięciu latach robiło mi się nieswojo.

- Nie musi być pięć lat, może być mniej, mogą zawiesić, a prokurator ma prawo w ogóle umorzyć. Zależy od okoliczności...

Zdychał mój optymizm. Teraz podobnie jak Kaśka podejrzewałem, że Dymitra interesowała wyłącznie sprawa, w którą się tak pięknie wrobiłem. Czułem się doświadczalną świnką morską.

Kędrysia w domu nie było. Dymitr odczytał szyld nad furtką prowadzącą do jego domu i dowiedział się od pani mieszkającej w drugiej połowie budynku, że Kędrysia nie ma.

- Pewno wyjechał na wilegiaturę - wyraziła przypuszczenie owa dama, osoba starsza i dyslingowana; nic więcej nie potrafiła powiedzieć o sąsiadzie zza wysokiego parkanu, gęsto obsadzonego pnączami.

Rodzaju przyjaźni łączącej Kędrysia ze Stelmaszczykiem - kiem nadal możemy się tylko domyślać.

- To wspólnik tamtego spod szafy - narzucało się wyjaśnienie.

Kiedy Zdęski pokazał mi album Stelmaszczyka i gdy skonfrontowałem to z moimi paryskimi doświadczeniami, zyskałem niemal pewność, że Stelmaszczyk zajmował się fałszerstwami z dziedzin sztuki. I być może proceder ten nadal kontynuuje bezkrawawy łowca znad Biebrzy.

- Roztruhan - jątręło się we mnie wspomnienie repliki tamtej czary, którą zrobiłem na zlecenie Rybarczyka. Fotografia owego kielicha znajdowała się w zbiorach przedsiębiorcy posadzkarskiego, tutaj na Wróblej. Za tę pracę otrzymałem w

Paryżu dwa tysiące franków. Tak pr^goto- wywali grunt do następnej propozycji, którą odrzuciłem. Ale kto mi teraz, poza Dymitrem, uwier^, że nie związałem się z aferzystami.

- Podejrzewam jakiegoś gnoja ze srebrami podkanclerskimi - krakał Dymitr. - Nie bez powodu tak się w nie wczepiła milicja. I co za fatalny zbieg okoliczności, akurat Katarzyna musi przy nich dłużyć.

- Temat podsunął jej promotor. Po prostu zbiór kompletny, a zatem rzadki, ze słynnej pracowni i nie ograny. Gdzie tu masz przypadek! - dowodziłem, aby stłumić niepokój o Katarzynę.

I to właśnie Katarzyna dała ostrogę Dymitrowi. Wpadł do mnie dobrze po północny i zasypał informacjami. Zawrzałem.

- Do ciebie, zdaje się, dotarło tylko, że Kaśka nocowała u cudzego faceta - przejrzał mnie Dymitr. — Jesteś niepo

prawny idiota! Czy ty me rozumiesz, co się dzige? Srebra są fałszywe!

Zmieniał się ciężar gatunkowy draństw, o jakie posądzałem faceta z Wróblej, Rybarczyka i szacowną paryską firmę. Działo się coś znacznie gorszego. Repliki służyły kradzieżom autentycznych dzieł sztuki. I chociaż orientowałem się w zainteresowaniach poruczników srebrami Meissoniera, ani przez chwilę nie podejrzewałem możliwości wymiany.

- Kędryś mi się nie zgadza - monologował Dymitr; opis człowieka, który podała Katarzyna, istotnie nie pasował do osoby widzianej przez nas, a przecież i my, i Kaśka, zwłaszcza Kaśka, mieliśmy okazję pr^rzyć się facetowi przedstawiającemu się tym nazwiskiem.

- Dubeltowy Kędyś? W dodatku podaje się za gospodarza chaty, której cichym właścicielem był Stelmaszczyk, nie mówiąc już o tym, że w dzień zbytkuje tam jakiś zakonnik, a nocami strzygoń!

- Kaśka też widziała strzygonia, a ponieważ nie wspominaliśmy jej o twoich zwidach, sugestia wykluczona - podkreślił Dymitr.

- Cholerny tłok w tej chacie. Po jakiego licha Kaśka tam polazła?

- Żeby złamać nogę. Egon Erwin Kisch w taki sposób stanął na ziepii australijskiej.

- Obchodzi mnie rozmnożony Kędryś, a nie Kisch, chociaż obaj na Ka.

- Dziennikarz! - jakaś myśl olśniła Dymitra. - Wprawdzie Sławek z naszego osiedla nie ta klasa, co Kisch, ale też reporter!

- Po co ci reporter? - nie rozumiałem jego przeskoku myślowego.

1

- Wyżu demograficzny, łącz się - przypomniał Dymitr hasło, które wysmarowaliśmy na bloku administracji wracając z balu maturalnego.



- Co tu ma do rzeczy wyż?
- Podesłać Sławka na oględziny do Kędrysia? - uronił koncepcję Dymitr. - Ale dziennikarz może się wypłoszyć - nareszcie pojąłem jego wolty od damanej nogi Kaśki poprzez Kische do wyżu.
- Mam! Luśka robi, klaps! w filmie - podsunąłem właściwą kandydaturę. I świtem zrobiliśmy najście na mieszkanie Luśki. Otworzyła jej matka, która już day^o przestała się czemukolwiek dziwić.

Wyciągniętej z łóżka Luśce Dymitr przedstawił swój plan. Zresztą zadanie było proste. 2^telefonować do Kędrysia, wyciągnąć go do kawiarni dla omówienia rzeko- myśli warunków zlecenia na fUm pr^odniczy. W taki sposób Dymitr chciał obieżyć sobie Kędrysia sam przez niego nie widziany.

- Obiecuj mu najwyższe honorarium - doradziłem.
- Adam jest ^pi! - zaprotestował Dymitr. - Obiecuj nędzne, aby mu się nie opłaciło przyjąć propozycji.

Czekaliśmy pod telefonem u Dymitra. Luscia po skomunikowaniu się z Kędysem miała nas zawiadomić, gdzie i o której wyciągnie gościa.

- Co mam robić? - kablowała Luscia, bo fotografik nie dał się wywabić na miasto, zaprosił do siebie, i to zaraz, później był zajęty.

- Wal do mego, przyjrzyj mu się dobrze, to wszystko! — poinstruował Dymitr.

Luscia przyjechała taksówką do kawiarni, gdzie na nią czekaliśmy, i najpierw kazała uiścić siedemdziesiąt złotych taryfy. To była kosztowna konspiracja, bo Dymitr wyznaczył miejsce naszego spotkania w odległej dzielnicy, bardzo daleko od domu Kędrysia. I być może miał w tym trochę racji, bo fotografik po zaproszeniu Luśki do siebie, odwrotnym telefonem sprawdził w sekretariacie zespołu filmowego, czy taka osoba w ogóle tam pracuje.

- Naszej oferty nie przyjął - zawiadomiła Luscia. - Powiedział, że środek na komaiy, potrzebny przy tej robocie, więc] by go kosztował, niż jesteśmy gotowi zapłacić za film - po czym opisała nam wygląd fotografika. Zgadzał się z opisem Katarzyny, my widzieliśmy w chacie kogoś innego.

- Lusia, ożenię się z tobą! - podziękował jej zachwycony Dymitr i od razu chciał zamówić dla niej węgierski tort.

- Lepiej postaw taksówkę do wytwórni, bo już mnie za długo nie ma w zajęciu — trzeźwo skorzystała z jego hojności Lusią. Z tortu zrezygnowała, dba o linię. Niebyło rady, dał jej stówę i złapał dla niej łebka.

Popędziliśmy do Katarzyny; jej dom znajduje się na granicy miasta. Połowa ulicy to jeszcze Warszawa, o czym świadczy chodnik i nieliczne latarnie. Druga połowa należy do podstołecznej gminy i ściele się wielogarbny, piaszczystym traktem.

Oczekując na jej powrót z instytutu, uwaliliśmy się w cieniu srebrzystych świerków, rosnących w kącie ogrodu. Panował upał.

Zajechał gniady fiat.

- Kawał chama w yellow bahama - powiedziałem sam do siebie, bo niemiły był mi widok profesora obejmującego kuśtykającą Kaśkę, chociaż nic poza tym do niego nie miałem.

Dymitr udawał, że nie słyszy.

- No, popatrz, ona już jeździ w swego szefa - szukałem wsparcia.

- Jak ona z tobą wytrzymuje, Adam! - odezwał się wreszcie.

- Nie wiem - przyznałem samokrytycznie; spod naszego świerka nie było już widać Katarzyny z profesorem, zasłonił ich węgiel domu. Cieszyłem się myślą o złości Dymitra, jeśli Katarzyna zaprosi starego do mieszkania na jakąś kawę czy coś w tym rodzaju. Ale spotkał mnie zawód, szef Kaśki chyba nawet nie wszedł do hallu, bo zaraz zawarzał swym gniadym.

- Co on taki nadęty? - badała Dymitra Katarzyna.

- Nie podoba mu się kolor wozu twego profesora - usłużnie doniósł Kowalski.

- On naprawdę nie ma większych zmartwień? - westchnęła Kasia; zwracała się tylko do Dymitra, ja byłem szkło. - Profesor potwierdził podejrzenia poruczników. Kolekcja znajdująca się teraz w Brożanach jest repliką. Jeśli teraz do j e g o sprawek - wskazała na mnie palcem - dosumują srebra, to... moje kondolencje.

- Mówiono o Adamie u profesora? - nie dowierzał Dymitr.

- Nie mówiono, ale przecież ja także trochę myślę -

pochwaliła się Kasia. -1 niech on na mnie tak nie patrzy, bo nie z czystego altruizmu łąał na wszystkie strony.

- Jaki miałem w tym interes?!

- Łyso ci było tłumaczyć się z paryskich znajomości i pokątnych chałtur?

Nie odpowiedziałem. Była jakaś część prawdy w zarzucie Katarzyny, chociaż nie tak jednoznaczna, jak teraz wynikało z jej tendencyjnej oceny.

- Też wybrałeś sobie porę na preparowanie człowieka - zniesmaczył się Dymitr.

- Niech on nie myśli, że cierpi wyłącznie przez swoją szlachetność - postawiła się Kaśka. Czołg, riie dziewczyna!

- Jestem drań! I jeśli zaraz nie przestaniesz, kogoś zamorduję!

- No to podgryzajcie sobie gardła, ja wychodzę - zagroził Dymitr.

- Zostań! — opamiętała się Katarzyna.

- Czy Wspominano o pożarze? - żywiłowa klęska, która kiedyś dotknęła Brożany, zajmow^a Dymitra od chwili, kiedy usłysz^ o niej od Katarzyny.

- Nie. Ale jak słyszałam jeszcze w Brożanach, coś tam było ze strażakami – przypomniała sobie Katarzyna.

- Kasiu, strażacy to są tacy panowie, co gaszą ogień - łagodnie wyjaśnił Dymitr.

- Nie rób ze mnie idiotki! Jak przyjechał do Brożan Bej, a później kapitan z Łomży, to stracił było wypytywać o ten pożar, a miejscowi wzięli wodę w usta.

Gdy wracaliśmy do domu, mój osobisty doradca prawny wiodł monolog o pożarze w Brożanach, z którego wynikało niezbyt, że tylko on, Kowalski, rozumiał, co się za tym kryje.

- Twoja koza na chodzie? - zapyta o motor; oczywiście była na chodzie. - Jedziemy do tej miejsciny!

- Teraz, na noc?

- Teraz. Weźmiemy namiot, prześpiemy się gdzieś po drodze.

Do Brożan, po biwaku w lesie, dotarliśmy się wcześniej. Głodni jak szakale poszliśmy do gospody. Na dziedzińcu grupki czekających, wewnątrz miejsca obsadzone szczelnie. No tak, gospoda jest jedynym zakładem gastronomicznym w miasteczku i podstawową bazą żywienia dla „Wczasów pod gruszą”, organizowanych tu przez przedsiębiorstwo turystyczne.

Pierwsza partia letników kończyła właśnie śniadanie, druga oczekiwała na miejscu, a była jeszcze i trzecia, bo ■ lokal nie mieścił wszystkich naraz.

- Miejscowych nie widać - rozejrzył się Dymitr; przeważały dzieci i kobiety. Starannie umalowane, w wesołych łaskach, opalone, lśniące od olejków.

- Miejscowi nie chodzą na śniadania do gospody - pouczyłem Dymitra.

- Dlaczego one tak nam się przypatrują? - dziwił się Dymitr; nasze wejście wywołało ożywienie wśród pań.

- Cieszy widok dorodnych mężczyzn - powiedziałem skromnie. - Nie widzisz, jaka tu na ten towar posucha.

**Tylko** tęga, niemłoda barmanka patrzyła przez nas jak przez szybę.

- Dla indywidualnych dopiero po wczasowych - warknął na naszą interpelację o śniadanie.

- Kawalek rybki pani znajdzie - Dymitr wciągnął sma-

kowity zapach dobywający się z kuclmi.

- Miejsc nie ma! - nasz głodny jęk był dla niej jako brzęczenie muchy.

- Zjemy przy bufecie albo na podwórku - zwalczałem trudności.

- Konsumpcja tylko pr<sup>^</sup> stoliku - odeła się, jakbym zaproponował coś nieprzyzwoitego; tu nikt nie oczekuje gościa, zwanego konsumentem. Uprzejmość to relikty tych zamierzchłych czasów, kiedy nie było pracowników zakładów żywienia zbiorowego, tylko restauratorzy i szynkarze.

- Powiedziałam! Indywidualnym dopiero, jak po wczasowych zostanie. No to nie sterczeć mi tu przy bufecie - ruchem tłustej ręki skreślała naszą obecność.

Na letniskowej mapie gastronomicznej nie pr<sup>^</sup>ależny do jaidegoś stada gość jest riatrętem, osobnikiem niepożądanym, przeszkadza i denerwuje. Nie lic<sup>^</sup> się w ambitnych planach regionu, chyba że ma dużo pieniędzy, ale turyści z dużymi pieniędzmi nie przyjeżdżają do brożań- skiej gospody.

- To może znajdzie się po kawałku chleba? - poprosiłem pokornie, ale to babsko było za grube i za stare, aby docenić nasz wdzięk.

- I po kubeczku wody - włączył się do zgrywy Dymitr. Fuknęła.

- Cóż, zabierzemy się do kontroli bez śniadania - powiedziałem wyłącznie do Dymitra i stał się cud. Zapłniętą tłuszczem buźkę matrony rozjaśnił niby-uśmiech, chociaż z pewnością orientowała się, że jeśli nawet pr<sup>^</sup>byliśmy na inspekcję, to nie do niej. Stała się uprzejma na wszelki wypadek albo z samego respektu dla wszelakiej kontroli.

Bo kontrolerzy jako tacy to *już* nie żadne anonimowe przybłędy, głodne nic, tylko osoby urzędowe.

Przy służbowym stoliku bezczelnie zeżarliśmy sielawę, i jajecznicę na boczku. Czuję się hochsztaplerem.

Dymitr odsunął wymieciony do czysta talerz i przyzwał kelnerkę, na co przytruchtała sama bufetowa.

- Którędy idzie się do tego pogorzelca - zapytał Dymitr, odliczając należność za wyłudzone jadło.

- Tego, co u niego był wybuch? - bystro popatrzył na nas

babizson; nauczeni doświadczeniem z WąsaluMem, przyodziani byliśmy schludnie.

- Od tamtych czasów coś się jeszcze u was paliło? - Dymitr nie okazał, że nic nie wiemy o wybuchu.

- Nie, na psa urok - zatrzepotała rękoma.

- To dlaczego pani pyta? - surowo skarcił Dymitr. Skoro pani wie, o kogo chodzi.

- Paru się spaliło, ale u Koczary się zaczęło. Dlatego się upewniam. A panowie z PZU może?

Milczeliśmy wieloznacznie. Nasza powściągliwość wzmogła jej swadę.

- Koczara przez PZU zdrowie stracił. To skandal, cztery lata się z nim chandyczą, po sądach włóczę. Ale Koczara uczciwy człowiek i nie smaruje. Jakby posmarował, gdzie trzeba, dawno by wygrał. Dali parę groszy, tyle co kot napłakał. Składki pod musem biorą, ale jak do płacenia przyjdzie, to figa — zademonstrowała figę złożyw- s^ serdelkowate palce. - Urząd silny, a Koczara biedny człowiek...

- I z tej biedy na nowo się pobudował - wtrącił zawistnie mężczyzna, który przystanął pr^ bufecie i od dobrej chwili przysłuchiwał się wywodom bufetowej.



- Pan mu dał na te budynki, panie Olędzki! - zachnęła się bufetowa.

- Nie dałem, a pani Genia niech da mnie sporty - rzucił

na blat monety, oczyma wskazał nam drzwi. Wyszedł zaraz i przyłączył się do nas.

- Pani Gienia to Koczarów familiantka... - wywiódł pokrewieństwo - a i pokumani, ona Koczarów najstarszego cierzestna. To jedna ręka. Jak na ten przykład turnus jesienią mniejszy, to w innych kwaterach pustki stoją, a Koczara zawsze gości ma. W jej ręku wyżywienie wczasowiczów, z nią spółdzielnia załatwia, no to już ona zawsze zadba, żeby letników najprzód jej sitwa miała, a dopiero po nich inne. Takie to sprawy.

- Wtedy, jak się Koczara spalił, też byli letnicy? - zweksłował Dymitr.

- Pełno po wszystkich kwaterach, bo to w lipcu zdarzyło się.

- Podobno strażacy się popili i nie było komu gasić - podjudził Dymitr.

- A nie wierz pan złym językom. Pokazy sprawności były. Za miastem ścianę pozoracyjną wystawili, elegancko to wszystko wypadło. Wieczorem zaś zabawę nad rzeką urządzili. Pomost z desek galanty wyszykowali, jedliną ustroili, lampiony, bufet, orkiestra. A że w programie mieli ognisko i pieczenie kielbasy, to dla bezpieczeństwa za miastem nad rzeką to wszystko narządzili... Nikt się nie pobił, bo ORMO i straż obywatelska czuwała. Wczasowiczom też się podobało, mało kto wtenczas w mieście został.

- Z tego ogniska powstał pożar?

- Ale, gdzie tam! Wszystko grzecznie, porządek jak się patr<sup>^</sup>. Panie, ja sam w straży jestem, to kto lepiej wie? Ludzie w najlepsze się bawUi, bo my opitych i awantur- nych wont, a tu jak nie huknie, jak nie trzaśnie i słup ognia, i zaraz łuna, a w tej łimie lak jakby artyleria grała. To u Koczary pociski pękały.

- Jakie pociski?!

- Zwyczajne, artyleryjskie.

- Nie rozumiem!

- Panie, my tu we wojnę frontów mieli trzy. W trzydziestym dziewiątym, w czterdziestym pierwszym i potem, jak Ruskie nazad Niemca pędzili. To u nas tego dobra wałało się jak nawozu i ludzie przywykli, a i obznajomili się z tym. A bieda była aż strach, bo my i palili się w czas każdego frontu, u nas położenie na tej skarpie niedobre. No, to jak człowiek tylko 285

życiem i jakim tam krowim ogonem marnym przetrwał, to ws^stkiego brakowało. No to zapalniki się wykręcało, proch precz, a z gilzów różne statki gospodarskie kowale klepali. Kwarty, garnki, a z większych to i patelnie.

- Panie, jest trzydzieści lat po wojnie! - jęknął Dymitr.

- A Koczara wciąż garnki z gilz robi?!

- A nie. Tylko u niego w podmurówce były niewypały zacementowane, a może gdzie indziej w obejściu leżały. Kto jego wie, komisja nie doszła. A on się nie przyzn^, może i sam zapomniał. Po wojnie ciężko było z budową, my po ziemiankach siedzieli, a kamienia na podmurówki czym z pola wozić, jak ze dwa konie na całe Brożany zostało. No to brało się, co bliżej, a gilzy też mocne, ale żeby specjalnie pociski brać, to nie... Może one gdzie w kące pod sąsiem abo w chlewie zapomniane leżały, w ziemię wrosły... Po tym pożarze to saperzy zjechali i po wszystkich domach badali, no i u takiego jednego za rzeką wykryli, dom rozebrali - rozwodził się Olędzki rad z wrazenia, a nam się włos jeżył na głowie.

- JakuKoczarygruchn^o,toludzidoziemipr^łożyło. Chlew rozniosło, czterdzieści Koczarówych bekonów w kawałki porwało. A u niego gumno w czworoboku, zaraz wogniu jakmaźnica stanco, a wiatr od rzeki na nieszczęście szedł, no i przerzucił się na inne. Straż i ORMO, i ludzie , dopiero przy muzeum ogień ugasili...

- Muzeum ewakuowano?

- Pamiątki wczasowicze na lynek wynieśli, bo cały tłum od tej zabawy pr^bie^.

- Kto pilnował pamiątek?

- A kto miał ^owę do pilnowania, jak Ȧrwiol miastu groził?

- Jaka była przyczyna pożaru?

- A kto jego wie. Wyszło na zaproszenie. Ludzie Koczarów Staśka o podpalenie pomawiali, nawet go milicja trochę pottrzymała, ale puścili, dowodów nie było.

- Kto własny dom podpali!.

- Kto! A komu w pierwszej kolejności pustaki i eternit, i wszystko? Pogorzelncom abo powodzianom. I jeszcze asekuracja, no to niektórym się opłaci. A Koczary chcieli się budować, żeby



więcej pomieszczenia dla letników i dla siebie mieć. Tamten ich dom był słabowaty, drzewjiiany, ot! po wojnie sklecony, chcieli lepszego. Ale dowodów nie było, a mało co to ludzie plotą, jak zazdroszczą. Inne spalone to na tym skorzystali, bo też drzewniane i stare domy z dymem im poszły, ale Koczara przechytr<sup>ł</sup>. Przez te pociski, niby spowodowanie zagrożenia powszechnego, od czterech lat się prawuje. Straty wielkie miał, prawda. Samych bekonów czterdzieści na rąbankę mu ten wybuch przerobił i tego odzalaować nie może, a że się u niego człowiek *żywcem* spalił, to cicho sza, pamięć u niego krótka.

- Co to za czowiek?

- Nietutejs<sup>^</sup>. Letnik jakiś, na kwaterze po sąsiedzku mieszkał. I on koni poszkodował, jak w tych dymach kwiczały. Poleciał, stajnię rozwarł, konie uratował i krowy uratował, ale jego samego podmuch w ogień miotnął. Popalonego strażacy z ognia wyciągali, pod strachem Boga, nie było wiadome, czy jeszcze jakie pociski nie zaczną pękać.

- Umarł?

Tego to już nie wiem, pogotowie go do Białegostoku zabrało.

- Jak się nazywał ten letnik?

Nazwiska Olędzki nie znał; natomiast Koczara w ogóle nie chciał z nami rozmawiać, a sąsiedzi, u których wówczas ten człowiek mieszkał, także wzięli wodę w usta.

Może i nie pamiętali. Od wypadku minęło cztery lata, a rotacja wczasowiczów co sezon. I kim był dla nich ten człowiek? Osobą marginalną, zaplątaną przypadkiem w kłeskę, która zagroziła miasteczku.

Nam ten dotknięty nieszczęściem człowiek, w połączeniu z ewakuacją miazmalnych eksponatów, które do rana stały na rynku w potłuczonych gablotach, wśród przypadkowego tłumiu, skojarzył się z upiorną <sup>^</sup>ową str<sup>^</sup>gonia z mszarów Bagiennego Bór u.

W białostockiej klinice Dymitr wyczerpał całą pomysłowość, aby zdobyć nazwisko ofiary brożańskiego pożaru.

- Andrzej Kędryś - dowiedzieliśmy się wreszcie - skierowany do kliniki rehabilitacyjnej instytutu chirurgii plastycznej na E<sup>^</sup>olnym Śląsku.

- Nie możesz wystąpić jako funkcjonariusz prokuratury?

— zniecierpliwilem się, gdy na złamanie karku goniliśmy na drugi -kraniec Polski do słynnej, jak twierdził Dymitr, kliniki wyspecjalizowanej w usuwaniu oszpeceń.

- Coś ty, bez delegacji? Nie mogę - tłumaczył mi Dymitr; samowolne działanie nazywa się u nich przekroczeniem uprawnień. Za coś takiego mogą nawet wyrzucić. A wyrzucony prokurator, jak zapewnił Dymitr, jest bardziej wyrzucony niż kto inny. - Bardziej skończony może być jeszcze tylko prokurator, który poszedł siedzieć!

Klinika mieściła się w kilkunastu pawilonach rozrzuconych na terenie starego parku; mogliśmy spróbować wejść tam dwójako: przez dyżurkę portiera lub w dowolnym miejscu przez dwumetrowy parkan. Wybraliśmy wariant pośredni.

z domu na skraju osady, gdzie pozostawiliśmy motor, pożycziliśmy kosy i grabie. Potem poczekaliśmy w pobliżu bramy wiodącej do budynków gospodarczych zakładu. I kiedy przed dostawczą nysą opuszczono łańcuch grodzący otwarte wrota, wkroczyliśmy tuż za nią.

Archiwum osiągnęliśmy bez przeszkód, a urzędnik wysłuchał nas z nieporuszoną twarzą.

- Przepustki na wejście są? - milczeliśmy. - Nie macie nawet przepustek? - zgorzysł się archiwista. - Jaasiu! - wychylił się przez otwarte okno.

Po chwili pojawił się Jasio, zwaliste byczysko w zielonym kitlu.

- Jasiu, pokażesz drogę do wyjścia, i przypomnij portierom, za co biorą pensję! Żegnam panów!

Eskortowani przez Jasia opuściliśmy teren kliniki. W torbie została nam butelka armeńskiego koniaku i karton Marlboro, czym zamierzaliśmy rozmiękczyć strażnika tajemnic kliniki.

Do Warszawy pełni nowych pomysłów wróciliśmy nocą, zaś o szóstej rano dalszym naszym osiągnięciem, położył kres sierżant delegowany po mnie przez poruczników.

- Skąd pan wczoraj wrócił? - zapytał Załęski, gdy tylko odebrał mnie od sierżanta.

- Z kliniki chirurgii plastycznej na Dolnym Śląsku. Szukałem tam śladów upiora. Widziałem go dwukrotnie nad Biebrzą.

- Zna pan Melanię Kazimierczak? — strzelił we mnie

nazwiskiem, wobec którego byłem bezradny. - Ona także widzi<sup>a</sup> upiora, tylko riie nad Biebrzą, a w domu na Wróblej. I co pan odkiął w klinice?

Wyrzucono mnie za drzwi... — opowiedziałem o rozmnożonym Kędiysiu i o człowieku spalonym w zabudowaniach Koczaiy.

Mocą prokuratorskiego nakazu porucznicy wydobyli wtedy historię jego choroby i zawołali Dymitra i mnie.

Gruba teka leży teraz na biurku Załęskiego, porucznik układa według numerów dwadzieścia dwa zdjęcia ilustrujące postępy leczenia, i chowa je do kopert.

- Strzygoń z uroczyska - mówi Dymitr. - Dlatego ożyła ta krwawa klechda w Bagiermym Borze. Chociaż się krył, ktoś go musiał jednak zobaczyć oprócz Adama.

- To on wywiózł mnie nocą na motorówce.

- Nie mó<sup>^</sup> być sam. Ktoś chyba musiał mu pomóc ukraść łódkę w Zarudziu. Nie ryzykowałby spotkania z ludźmi. Pomijając już sensację, jaką by wzbudził, przecież zapamiętano by taką twarz.

- Więc kto wystąpił przed nami w roli Andrzeja Kędy-sia. Kto garażuje w Goniądzu oliwkowego fiata, zarejestrowanego na jego nazwisko, i kto jako Andrzej Kędryś mieszka w Warszawie z patentem fotografa?

VIII

- Wyjdź! - krzyknął. Z prostokątu lustra zniknęło jego odbicie. Odwrócony do mnie plecami usko<sup>^</sup>ł w kąt.

W pojemniku, w roztworze fizjologicznym, pływała proteza; smągła, matowa skóra z włosami, z brwiami nad otworami pozostawionymi dla powiek i oczu, cienka przy ich wykroju jak skr<sup>^</sup>drfko wałki. Elastyczny futerał, wierna kopia tamtej, strawionej płomieniami twarzy Andrzeja, tylko bez zarostu, bo tego nie potrafi odtworzyć żadna protetyka.

Zanurzona w solach, zakłęśła i wiotka, sprawiała nie mniej niesamowite wrażenie niż ta rzeczywista, oszpecona twarz mojego brata.

- Barry wpadł! - zwałem na niego tę wiadomość, z powodu której jechałem tu z Warszawy i doznałem nad ranem.

- Wyjdź! - ryknął; nawet świadomość niebezpiee- 294

czeństwa nie wjA;>'nęła na zmianę jego obyczaju. Bez swej przyłbicy nie pokazywał się nawet mnie, a nie mógł jej nosić wciąż. Jej tkanka, cieniast sztuczna, wymagała regeneracji i przez kilka godzin musiała sycić się odpowiednim roztworem. Także twarz Andrzeja, ta stworzona przez lekarzy, musiała odpoczywać od maski przez noc.

- Wyjź! - powtórzył s Afoje; wycofałem się do izby, a on trzasnął drzwiami alkierza i przesunął rygielele.

Rozumiałem jego uraz, ale teraz... po otrzymaniu takiej wiadomości. Tjon bardziej że przecież wiedziałem, jak on naprawdę wygląda.

Przeszło cztery lata temu po raz pierwszy zobac<sup>^</sup>łem w szpitalu tę jego przeżartą ogniem twarz.

- Andrzej miał wypadek - powściągliwie zawiadomił mnie Stelmaszczyk, z okolicznościowo strapioną mordą, jakby składał kondolencje. On najchętniej spisałby na straty pechowego kamrata i żałował, że tamten nie wywinął orla na miejscu. Nieprzytomny stwarzał zagrożenie. Zresztą nie wiedział nawet, czy Andrzej jest nieprsy- tomny.

Gdy to ws<sup>^</sup>stko się stało, nie zbliżył się do niego i nie stuknął palcem o palec, aby przyśpies<sup>^</sup>ć ratunek, przezornie trzymał się z daleka i izolował swoich ludzi. Dopiero ja miałem być tym, kto zajmie się chorym i przekaże marszandowi niezbędne wiadomości.

- Co on robił w Brożanach? - pr<sup>^</sup>cisn<sup>^</sup>em Stelmaszczyka; jak dzwonek alarmowy zabrzmiała mi wymieniona przez niego nazwa miejscowości. Zanim wydusiłem z niego odpowiedź, domyśliłem się, że wypadek był połączony z tymi srebrami. Zbyt dobrze pamiętałem ich fotografie, z których marszand nie był zadowolony i rzucił je Andrzejowi w kantorze Dusi.

- Mniejsza o szczegóły. Toczy się śledztwo. Jeśli Andrzej się nie wygada, nikt nie będzie go podejrzewał - Stelmaszc<sup>^</sup>k udaw<sup>^</sup> pewnego siebie, lecz śmierdział strachem, pragnął śmierci kumpla i gdyby widział lepsze wyjście, nie wtajemniczyłby mnie w tę parszywą aferę.

Podkreślał udział brata, wiązał mi ręce jego losem, narzucone współnictwo umacniał pieniędzmi. Glista! Z pewnością potraktowałby mnie zupełnie inaczej, gdyby wówczas znał ciekawsze fakty z mego <sup>^</sup>ciorysu. Lecz w tym czasie wiedział o mnie tylko jako o młodszym Kędiysiu, nagrobkowym grafiku w firmie Dusi.

- Prawo jazdy masz? - zapytał.

- Mam.

- Przed domem stoi samochód - rzucił mi kluczyki,

książkę wozu i zwitek banknotów. - Nie licz się z pieniędzmi, jeśli będą potrzebne do wyciągnięcia z tego Andrzeja, ale jeśli jest z nim źle, twoja głowa, aby nie mówił. Andrzej wyżyje, czy nie, jeżeli nie będzie gadał, ty masz u mnie pięćset tysięcy i ten wóz.

- Kup pan se loda za te pieniądze, ja stawiam! -  
podarowałem mu jego obietnicę; zresztą nie dotrzymał jej nigdy, gdy minęły chwile strachu, nie było więcej mowy o czymś takim.

Niepotrzebnie się bał. Andrzej nie mó<sup>^</sup> nawet bredzić, bo okaleczenia wykluczały możliwość wydawania zrozumiałych dźwięków. A o jego życie lekarze toczyli zażartą walkę. I niepotrzebne tu były pieniądze Stelmaszczyka. Nawet nie śmiałybym nikomu proponować pieniędzy.

Po kilku miesiącach skierowano Andrzeja do kliniki chirurgii plastycznej. Przybył tam na noszach, przewieziony sanitarką. Wydarty śmierci, lecz półmartwy, pozbawiony możliwości normalnego życia.

Zaczął się ,dzieło stworzenia. Gdy poddano go pierwszym zabiegom, wysyłał do mnie lakoniczne kartki, pisane ręką pielęgniarki. Widzieć nie chciał nikogo.

Byłem w kontakcie tylko z lekarzem.

Brat wezwał mnie dopiero po wielu miesiącach.

Tak jak sobie życzył, przyszedłem do niego wieczorem. Oczekiwał w zupełnie ciemnym pokoju. Mimo mroku zaciągnął jeszcze okno szczelną storą.

- Wyglądam jak Frankenstein - powiedział; wtedy po dwudziestu trzech miesiącach usłyszałem po raz pierwszy jego  
^os.

- To nie powód, abyś siedział jak kret. Życia nie spędzisz w zaciemnionym pokoju.

- Nie wiem, co mam zrobić z tą resztą życia.

Był w stanie ciężkiej depresji, o czym mnie uprzedzono. Poddano go już wszelkim możliwym operacjom. Na dalsze przeszczepy i korekty musiał czekać kilka lat, wymęczona tkanka nie chciała absorbować dals<sup>^</sup>ch. A on zwątpił w możliwość poprawy w ogóle, bo nikt mu nie był w stanie obiecać przywrócenia ludzkiego wyglądu.

Przed wypisaniem go rozmawiałem z lekarzem.

296 - Nie wytrzyma czekania. Skończy jako obłąkany albo

popelni samobójstwo - przekonywałem; przez ostatni miesiąc bywałem u Andrzeja każdego wieczoru, orientowałem się w jego bardzo złej formie psychicznej.

- Nadzieja to silna podpora. Oczywiście, nadal musi pozostać pod opieką psychologa — stwierdził lekarz.

Tutaj, w zakładzie, oprócz ćwiczeń utrzymujących sprawność fizyczną pacjenta, kilka razy w tygodniu zajmowaliśmy się nim psycholog i psychiatra.

Nie można mieć bezkarnie takiej twarzy. Każde spojrzenie w lustro jest szokiem.

- Tu jest adres i polecenie do antropologa - lekarz podał mi wypisane przed chwilą pismo.

- Antropologa? - nie rozumiałem.

Lekarz podał mi następny papier: protokół komisji lekarskiej.

Wtedy po raz pierwszy usłyszałem o protezie i ten termin w odniesieniu do twarzy wydał mi się dziwny i nieodpowiedni. Robiono je tylko w Holandii.

- Pacjenta musi zakwalifikować właściwy mu ośrodek

zdrowia... - tłumaczył doktor. - W tym przypadku jest to tylko formalność, ale formalność konieczna.

Aby za społeczne dewizy otrzymać taką przyłbicę, pacjent musi stanąć przed komisją w swoim rejonie, która to komisja zatwierdzi orzeczenie kliniki. Podkładka dla księgowości.

O wypisaniu Andrzeja zawiadomiłem Stelmaszczyka. Przyjechał samochodem. Wówczas zobaczyli się po raz pierwszy po dwóch latach. Zdrowy, opalony, elegancki marszand i kukła omotana bandażami ze szczelinami na oc<sup>^</sup> i usta.

Zawieźliśmy Andrzeja do chaty na uroczysku.

- Nareszcie jest i strzygón - wysilił się na żart, wtedy dla mnie niezrozumiały. Po raz pierwszy w ogóle zobac<sup>^</sup>-łem to miejsce. Ale on i Stelmaszczyk dobrze znali ponurą legendę tej chaty i mokradła leżącego w widłach rzeki. - Co o mnie wiedzą inni?

- Dawno wyzdrowiałeś i siedzisz za granicą - wyjaśnił marszand.

- Co wiedzą o mojej twarzy?

- Nic nie wiedzą. Ja sam także tylko się domyślałem - skwapliwie zapewnił marszand.

- Nie śpieszyłeś się do mnie.

- Konieczna ostrożność.

- Jak ja będę <sup>^</sup>? — rozejrzał się po tym kolejnym miejscu odosobnienia.

- tylko do czasu otrzymania prote<sup>^</sup>-przypomniałem; Andrzej także został dokładnie zorientowany przez lekarza, co mu przysługuje. Powiedział to marszandowi.

- Żadnej służby zdrowia - zaprotestował Stelmaszczyk

- ja zapłacę. A prywatnie zrobią lepiej i szybciej - nic nie mo<sup>^</sup>o zachwiać jego wiary w moc pieniędzy i chociaż nie należał do hojnych, płacił teraz bez szemrania. Wolał płacić i nie ryzykować. Ubezpieczalnia, wykładając sped: e- czne pieniądze, z pewnością sięgnęłaby do okoliczności 298 wypadku. Marszand i Andrzej w żadnym razie nie pragnęli odgrzewać przyschniętej sprawy, której szczegółów jeszcze wtedy nie znałem.

Pół roku trwało oczekiwanie; przez ten czas tylko tr<sup>^</sup> razy omotanego bandażami Andrzeja wieczorem wyprowadzałem z bagiem i wiozłem nocą do Warszawy. Niezbędne wizyty u



antropologa: pomiary, gipsowe odlewy, fotografie.

Cały ten majdan przesłano wreszcie do Amsterdamu, opatrzony łacińskim słówkiem: cito! Międzynarodowe zakłęcie medycyny oznaczające pierwszeństwo. Widać sam wygląd pacjenta, utrwalony na fotografiach, nie wystarczał na przyspieszenie zlecenia.

Przez sześć miesięcy siedziałem z Andrzejem na błotach, robiąc tylko niezbędne wypadki do Warszawy. Aby nie wzbudzić ciekawości, po zaopatrzeniu rzadko przeprowałem się do Goniądza, do Bagiermego Boru nie zaglądałem.

Przed świtem brnąłem do szosy i stamtąd pierwszym pekaesem jechałem do Osowca. Tam też trzymem kupiony przez marszanda na imię Andrzeja samochód. Chleb nauczyliśmy się piec sami w tym archaicznym kominie.

Nie wiersyłem, że jakaś maska może dać złudzenie zwyczajnej twarzy, jednak podsyciałem nadzieję, której Andrzej uczepił się kurczowo. Pozwalała mu trwać bez opieki psychiatry czy psychologa.

Za dnia zamykał się w alkierzu, spał lub czytał przy oknie zasłoniętym firanką lub okiennicami. Wychodził tylko nocą, a gdy oswoił się i zaufał praznej pustce bagien, w księżycowe noce wypływał łódką, zapuszczał się coraz dalej. Rozsmakował się w niezwykłości pejzażu, w którym ja nigdy nie odkryłem uroków, tylko same dokuczliwości. Wtedy objawił swoje nowe zainteresowania.

Zażądał kamery. Wsiąkł, uciekł w to swoje podpatrywanie roślin i zwierząt. Gnany nowo odkrytą pasją przepadał na całe noce. Musieliśmy lunować między sobą hasło. Pomysł nasunęło wytropione przez niego leże błotnych sów.

Dmąc w odpowiednio złożone dłonie, potrafiliśmy wydobyć dźwięk podobny do hukania sowy, ludzaco przypominający zew pójdzłd. To było dobre hasło, tym bardziej że miejscowi nie naśladowali pójdzłd ze względu na związany z tym ptakiem złowrogi przesąd.

Głosem pójdzki zawiadamałem Andrzeja o swoim nadejściu, głosem pójdzki on uprzedzał przyplływając ze swoich wypraw. Brak odzewu miał sygnalizować nieproszonych gości, chociaż gości w tym czasie nie miewaliśmy. Stelmaszczyk nikogo nie

pr<sup>^</sup>syłał, nawet wtajemniczonych w istnienie tej kryjówki trzymał z daleka, z rzadka zaglądał sam. Wtedy Andrzej wychodził do niego szczerlnie omotany, czasami obaj wypływali łódką.

Całymi tygodniami przebywałem z Andrzejem, a gdy poprawiła się jego forma, zapytałem o szczegóły wypadku.

Opowiedział.

Fachowcy marszanda wykonali dwa komplety replik sreber. i jedna z nich trafiła do Wiednia, druga nie była przeznaczona na sprzedaż, miała zostać wymieniona na autentyczną kolekcję.

Marszand, po zebraniu informacji o miejscowej kustosz- ce, odrzucił możliwość porozumienia z nią. Fanatyczka zakochana w starociach, tylko zupełnie inaczej niż Stelmaszczyk. Zwyczajne włamanie także nie wchodziło w rachubę. Marszand obmyślił sytuację, w której eksponaty musiały opuścić muzeum.

Pozar!

Kto podłożył ogień? Pociągnęli losy; hominidy, Andrzej i Stelmaszczyk.

- Myślę - rozważ<sup>^</sup> teraz Andrzej - że on pomógł losowi, abym ja wyciągnął tę bierkę. Potrafił ze sobą wiązać ludzi na śmierć i życie.

Nigdy nie zrozumiałem, dlaczego przystał na udział w takim losowaniu, bo wyciągnięcie losu było już sprawą wtórną, konsekwencją zgody na to cholerne draństwo.

Sam przez całe swoje dorosłe życie poruszałem się poza granicami legalności, w sferze działań zagrożonych kodeksem karnym, lecz taki brak skrupułów przekraczał wszystko, do czego byłem zdolny.

- Nie mogłeś odmówić udziału?

Nie odpowiedział. Może tak spisał u tego fałszywego mecenasa sztuki, oślepl od chciwości, może uplątany wśród tej zgrai nie miał już odwrotu. W każdym razie to on podłożył ogień.

Latem miasteczko spęczniało uczestnikami względnie taniej rekreacji wczasów pod gruszą. Niemal w każdym domu mieszkali przybysze, a nad rzeką urządzono pole namiotowe. Z tej gromady niczym nie wyróżniała się kompania Stelmaszczyka, nie tylko Andrzej, ale nawet hominidy mieszkające w namiocie.

Wszyscy rozlokowali się oddzielnie, udawali obcych sobie ludzi. Stelmaszczyk z Biedronką przyjechali samochodem z

turystyczną przyczepą i nysą. Rozłożyli się biwakiem w lesie, daleko za miasteczkiem.

Akcję marszand zaplanował na niedzielny wieczór, w dniu, w którym przypadał odpust w tamtejszej kolegiacie, ale przelożył termin, kiedy usłyszał o pokazach strażackich. Uznał je za lepszą okazję.

I wszystko się udało, tylko nikt nie przewidział niewypałów utkniętych gdzieś na gumnie i zapomnianych w objęciu Koczary. Powojenna chłopska zapobiegliwość stała się wyrokiem Andrzeja.

Sam los zdawał się chronić te srebra. Okrutnie pokarawszy mego brata sprawił, że marszand nigdy nie wyekspediował ich za granicę, bo coś zawsze stawało na przeszkodzie. A Andrzej jiiż nie zdążył, chociaż, jak mi się wydawa

ło, on czuł przed wyzbyciem się ich zabobonny lęk, mimo że się do tego nie przyznawał.

Po dwóch latach szpitala i w pół roku po opuszczeniu kliniki jesienią otrzymał protezę. Przeszła wszelkie oczekiwania. To była jego dawna twarz, tylko bez zmarszczek i bez zarostu. Tęba się było dobrze przypatrzeć, i to z bardzo bliska, aby dostrzec pewną nienaturalność cery i krańce sztucznej skóry, kończące się na obrzeżu oczodołów i u nasady szyi. Sprawiały wrażenie nitych blizn, jakby po chirurgicznych szwach. Te niby szwy i nieco odmiermą żywą tkankę powiek, a także sztuczne rzęsy dobrze maskowały okulary, dwie zwykłe szyby w szerokiej rogowej oprawie, bo jakimś zrzędzeniem losu Andrzej wyszedł z tego piekła z nie uszkodzonymi oczyma, a wzrok zawsze miał dobry. Zaś nasadę s<sup>^</sup> osłaniały kołnierze, tak jak ręce i ciało pokiyte szramami okrywała odzież.

To arcydzieło protetyki przywróciło mu ludzki wygląd, ale musi<sup>^</sup>o podlegać codziennej konserwacji i nie znosiło słońca.

W listopadzie wróciliśmy do Warszawy ; źle mnie znosił w naszym małym mieszkaniu i nie czuł się zabezpieczony przed przypadkową ludzką ciekawością. Ratował się nocując u Stelmaszczyka, gdy tamten wyjeżdżał.

Ale pech chciał, tam zobaczyła go sprzątaczką. Przypadek sprawił, że przyszła niespodzianie o dwunastej w nocy. Religijna, wierząca w dusze pokutujące, wzięła go za upiora. Błagała Stelmaszczyka, aby wyświęcił mieszkanie. Marszand zwolnił kobietę, lecz Andrzejowi wymówił po- mieszkiwanie.

Wtedy Andrzej, za pośrednictwem Dusi, odkupił od wdowy po inżynierze część rudery, a po remoncie obwarował się tak, aby nikt nie mógł go zaskoczyć, lyiko ja miałem zapasowe klucz<sup>^</sup>.

# 1

Pozostał mu sentyment do chaty na bagnie, ciągnęła 302 nowo odkryta pasja. Polubił to odludzie, przesiadywał tam miesiącami. Najbezpieczniej czuł się na tym skrawku ziemi niedostępnym i zasłoniętym szuwarami od rzeki, niewidodżnym także z odległej wsi, odgradzony od niej trzęsawiskiem.

Skończyła się jego robota w nagrobnym kamieniarstwie. Nawet wtedy nie dowiedziałem się o współpracy Dusi z marszandem. A w ogóle to za jej pośrednictwem Andrzej wsiąkł w ich faktorię. Ta zamarynowana w occie cmentarna jagoda przejrzała go na wylot i jak na tacy podała Stelmaszczykowi. Przyjął się. Artysta był z niego nijaki, ale w podrabianiu ujawnił charakter, wyrobił się na specja od gotyckiej rzeźby.

Po otrzymaniu swej nowej twarzy Andrzej już nigdzie nie wyjeżdżał w sprawach antykwariatu Stelmaszczyka. Ta twarz, wymagająca ochrony i pielęgnacji, odkładana na noc, ograniczała swobodę, dyktowała sposób egzystencji, lecz nie przeszkadzała w pomnażaniu starych dzieł sztuki.

Pomnażał je więc w chacie na bagnach, a Stelmaszczykowi nawet odpowiadał taki układ. Ukrywane tam łupy i pewne rzadkie narzędzia zyskały dozorcę. Zainstalował tutaj snycerski warsztat i tutaj dostarczał dokumentację- oraz stare drewno. Drewno z odpowiednich stuleci, autentyczne i wyżarte przez autentyczne komiki, nierzadko z cennymi w tym kontekście zewłokami zdechłych owadów w wydrążonych przez nie korytarzach.

Ten surowiec brano z wykradzionych w tym celu belek z zabytkowych stropów, ze szczątków starych mebli. I zawsze wiek i rodzaj drzewa odpowiadał stylowi przedmiotu. Qęzki zgrzyz dla znawców sztuki; każda aparatura, nawet badania izotopowe zawsze potwierdzały zgodność wieku drewna z epoką p o w s t a n i a dzieła.

Produkcja mojego rodzimego artysty zyskiwała wysokie ceny na aukcjach w Wiedniu.

Gdy Andrzej oswoił się z protezą, przestałem zaglądać nad Biebrzę, miałem wstręt do tego terenu, gdzie przesiedziałem sześć miesięcy, na które skazałem się oczekując przyłbicy dla brata. Zresztą on nie potrzebował już niańki, a ja miałem swoje żyde.

Widywałem go rzadko, Stelmaszczyka wcale; zobaczyłem go dopiero wtedy, gdy zaproponował mi wyjazd po te dokumenty do Paryża. Potem potoczyła się lawina. Być może ja potrafiłem pierwszy kamyk, lecz to wszystko, co dalej nastąpiło, czy stało się z mojej przyczyny? Nie wiem.

Po śmierci marszanda Andrzej szybko wyprawił z powrotem Rybarczyka, a pod jego opieką Kruposza, czarno-giełdziarza i gospodarczego turkucia podjadka. Ten bęc- wał stracił grunt pod nogami nie z powodu swoich transakcji ze Stelmaszczykiem, tylko dlatego, że jakby mu tamtego było mało, sprzeniewierzył wielkie pieniądze w miejscu, gdzie pracował. Ścigano go listami gończymi, dla niego właśnie marszand sprowadził za moim pośrednictwem dokumenty z Paryża.

Rybarczyk mi się zatelefonować do Andrzeja, gdy znajdują się we Francji. Upłynął umówiony czas - telefonu nie było. Błąd strach padł na sieroty po marszandzie, czekali na znak życia stamtąd, przywarowali bezczynni i czujni. Nie doczekali się.

Andrzej z poczty zadzwonił do paryskiej firmy, w której rezydował Barry.

- Jeszcze nie wrócił — odpowiedziano.

- Witek, pójdziesz do jego rodziny i zapytasz, czy mają od niego wiadomości - zdecydował mój brat.

Wtedy dowiedziałem się, że świetny Barry ma w Warszawie matkę i siostrę.

- Tylko uważaj, ta rodzina nic nie wie o jego pracy w antykwariacie marszanda. I w ogóle musisz bardzo uważać...

- Boisz się, że on wpadł, a u rodzinki kocioł? - powiedziałem ^ośno to, co on myślał.

- Boję się - przyznał.

- I ja jestem tą najstosowniejszą osobą, aby wpaść w kocioł?

- Nie mam nikogo, komu mógłbym bardziej zaufać. Poza tym i ty naważyłeś tu piwa.

- Osobliwe rozumowanie — oburzyłem się. - Ja mu kazałem kantować latami, kraść, a teraz szwarcować jakiegoś ciolka?

- Pójdziesz czy nie? - zdenerwował się Andrzej.

- Pójdę. Ale na co ty czekasz? Myślisz, że to bydło cię oszczędzi, jak ich wsadzą do ciupy. Więcej, póki masz czas.

- Zdążę. Mam wszystko przygotowane. Ty także nie możesz zostać, znają cię i hominidy, i Dusia... Myślę jednak, że Rybarczykowi nic się nie stało, ale sprawdzić trzeba. Więc sprawdź i przyjeżdżaj do chały, muszę tam ukryć pewne rzeczy.

Przez telefon, podobnie jak i Andrzej, nic się od tej rodziny nie dowiedziałem. Zawsze odzywał się ten sam smutny kobiecy głos; - Syna nie ma!

Przedzierzgnąłem się w niemłodego franciszkanina. Habit i resztę ekwipunku kupiłem u jednego takiego, u którego można dostać z poczekaniem nawet żyrafę, a bez poczekania całą szatnię nietypowych ubiorów.

Potwierdziło się najgorsze, rodzina otrzymała zawiadomienie z prokuratury, że syn został zatrzymany. Zgarnęli go jako podejrzanego o współudział w przestępstwie granicznym.

Tak poległ Europejczyk, koneser, paiżanin Bany!

Poczułem się fatalnie, z ostrożnościami wróciłem do siebie - nie się nie działo. Wyglądało na to, że Rybarczyk nie puścił farby, bo zanim pojechałem nad Biebrzę ze sprawozdaniem, poszedłem jeszcze do Dusi - tam także zastałem spokój.

Zapakowałem swój zakonny mimdur, mógł jeszcze się przydać, i zabrałem go ze sobą.

Na błota przywlokłem się nad ranem i już ze ścieżki dałem głos pójdzki. Odetchnąłem, gdy usłyszałem odzew. Skąd mogłem wiedzieć, że ten mój niepoczytalny brat właśnie wracał z nadzaru, a ponieważ nie było go cały dzień, nie wiedział, co się dzieje w chacie.

Nadszedł na mój głos od strony swego stanowiska w łożach i nie dojrzał kajaku pozostawionego po drugiej stronie chaty za szczytową ścianą. Mijając otwarte okno zajrzał w nie na wszelki wypadek, zobaczył cudze gęby zagrzebane w betach i dopiero wtedy dostrzegł cudze wiosła oparte o okap. Prysnął w trzciny, w moment później przez to okno wyskoczył olbrzymi nagus.

Przywarowałem w szuwarach i sam ze sobą grałem w cetno i lichy. Kto to jest? Ale przecież glina oczekujący na klientów nie rozbierze się do samych majtek i nie będzie, a w każdym razie nie powinien, wylegiwać się jak palant.

Nagus powstał i wrócił do domu, tjon razem przez drzwi; długo odczekiwałem w trzcinach, łąziła mi po nogach obudzona żaba, zleciały się komary, na domiar wszystkiego podniósł się opar gęsty jak śmietana, rosił i przenikał do szpiku.

Zahukałem głosem pójdzki, ale w tę mokrą watę wsiąkał wszelki głos. Miałem dosyć, umyślnie zacząłem łamać suche źdźbła i stąpać głośno, błoto wdzięcznie mlaskało.

Zaczajony pod węglem stał ten sam nagus. Przedstawiłem się i zacząłem czynić honory domu. I^lko martwiłem się o Andrzeja, siedzącego gdzieś w kryjówce, wystawionego na żer komarom, bo to bydło najbardziej jest krwiożercze przed wschodem słońca i o szarówce. Nie mógł wrócić, bo jego sztuczna skóra - co sprawdziłem na wstępie - leżała zamknięta w pojemniku w alkierzu.



Po odjeździe nieproszonych gości wylazł ze trzciny i ze zwykłymi ceregielami prosto z sieni przemknął się do alkierza, gdzie w zamkniętym na klucz pojemniku jego maska syciła się roztworem fizjologicznym.

Po tej cioliernej nocy i z tą wiadomością o Rybarczyku nie czekałem, aż się zdąży ogarnąć, tylko wszedłem do alkierza.

- Wyjź! - ryknął; wiadomość, która mnie niemal fizycznie parzyła, nie była dla niego na-tyle groźna, aby zrezygnował ze swego obyczaju. Czy on aby miał wszystko po kolei w głowie?

- Przed nimi trzeba było zachować ostrożność i nie wsadzać gęby w okno - wypominałem, kiedy wreszcie w tym swoim rynsztunku, od stóp do głów w wytworne botki ze skóry morsa i golf ze szkockiej wełny, sięgający podbródka, odyglował alkierz i wyszedł do mnie do izby.

- Mówili coś?

- Mówił ten wielkolud. Spławiłem opowiadaniem o losiu. Nie wiedziałeś, że oni są w chacie?

- Liczyłem się, że być może on tu wróci, ale nie wiedziałem kiedy - mruknął.

Zastanawiałem się wtedy, czy on jest normalny. Siedzi jak na wulkanie, spodziewa się jakichś ludzi i daje się zaskoczyć.

- Czy ty masz dobrze w głowie? Zamiast filować gdzieś w pobliżu, włóczył się, jakby nigdy nie, po moczarach!

Milczał.

- Rybarczyka zaniknęli, a z nim razem tego ciolka. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Milczał.

- Kto są ci dwaj, co tutaj nocowali?

Milczał.

- Andrzej, jak ja ci mam pomagać, jeśli nie znarti prawdy!

- To ciężka prawda, nie wiem, czyją udźwigniesz.

Pojechał do Warszawy i znów wrócił nad Biebrzę. Popłynął ze mną łódką, wyprowadził na kępy, trzęsawisko liustało się pod nogami. Wokół nas szalała meszka.

- Może ty to lubisz, ja nie. Dalej nie idę - zaparłem się.

- Tutaj zatopione są w bagnie pojemniki ze srebrami.

- Niech bagno pochłonie te srebra!

- Zapamiętaj miejsce, żebyś trafił w razie czego. 307

- W razie czego, Andrzej?  
- Jeśli ja będę musiał uciec. Jeżeli ucieknę, zrobisz z nimi, co zechcesz. Przedstawiają bardzo wielką wartość.  
O miejscu ich ukrycia wiedział tylko Stelmaszczyk i ja. Lecz jeśli nastąpi generalna wyspa, nie ruszaj tych sreber przez parę lat. Będą ich szukać, nie znajdziesz nikogo, kto zaryzykuje ich wywóz. Pamiętaj!

- Ja też będę musiał uciekać, na kark ich nie zabiorę -  
byłem zły, że mnie tapla w tym bagnie, nie przyszło mi na myśl, o jakiej ucieczce mówi.

Nie chciałem tu dłużej siedzieć, czułem się jak w pułapce. Mój żywioł to miasto, duże miasto, a nie trzciny i komary. Andrzej mnie nie zatrzymywał.

- Zrób mi jeszcze zakupy i wracaj do Warszawy. Poszukaj tam na wszelki wypadek bezpiecznej kryjówki, być może mnie też jej będziesz musiał użyć.

Świtem wypłynął motorówką, to znaczy wybrał się gdzieś daleko. Ja z rana przepравиłem się tą jego małą łódką z motorkiem jak odkurzacz do Goniądza, kupiłem, co się dało, a po powrocie zatrzymałem się nad rzeką, aby się wykapać. Miałem ze sobą habit, w nim postanowiłem pojechać do Warszawy. I wtedy nadsięgnęły te cholerne, głupie dziewczyny.

Nie pojechałem tego dnia; do późnej nocy wartowałem, aby nawiązać kontakt z Andrzejem, który nie spodziewał się już mnie zastać. Przypłynął nad ranem, znów bez tej swojej przyłbicy. Tym razem moczyła się w kambuzie. Od tamtej pory, gdy zaskoczył go nagus z kolegą, zawsze zabierał ze sobą pojemnik na protezę.

Wtedy wymknąłem się dopiero o świcie.

Spotkałem się z Andrzejem, kiedy następnego dnia przywiózł tę dziewczynę do Warszawy. Znalazłem go w bardzo kiepskiej formie. Kiedy rzucił się na niego znany mu biały kundel, zyskał pewność, że to dziewczyna od tamtego wielkiego nagusa i chyba nie przypadkowo przyszła do chaty. Ale-nie to go najbardziej załamało.

Naraz zdał sobie sprawę, czego nie przeżył, co bezpowrotnie utracił i czego już nie odzyska.

Nie, nie zakochał się nagle w Katarzynie, chociaż to dziewczyna z wielkim wdziękiem.

- Piękna i Bestia - powiedział o niej i o sobie, niby z ironią, niby żartem.

Zanim utracił ludzką twarz, miał dziewczyny. Podobał się ten ładnie zbudowany siłacz z mięśniami jak spod dłuta, wyrobionymi w kamieniarskiej robocie. Więc miał różne kobiety, związki nietrwałe, bo goniąc za sławą i pieniędzmi nie szukał stabilizacji; imikał tych, które pragnęły zostać z nim na zawsze lub przynajmniej na długo. Nie obiecywał domu, rodziny, opieki nawet w dalekiej perspektywie. I one odchodzą znużone prowizorką, życiem z dnia na dzień. Zaś te inne, podobne z usposobienia do niego, także odchodziły, dla nich miał za mało pieniędzy, nie mógł zaimponować pozycją.

Paradoks. Właśnie teraz pragnąłby mieć bliską kobietę, a jednocześnie każda budziła rezerwę. Pod wpływem tej dziewczyny dotkliwie zrozumiał, że nawet gdyby się taka znalazła, która zechciałaby zostać przy nim, w co nie wierzył, on nie nadaje się do żadnego związku.

Nie mógł znieść, gdy Katarzyna siedziała obok niego w wozie, doprowadzało do wściekłości każde uważniejsze spojrzenie, nawet podanie ręki ze śladami blizn stawało się torturą.

- Może się czegoś nauczysz na moim przykładzie! - powiedział wtedy; dziwnie zabrzmiało w jego wydaniu to spóźnione moralizatorstwo.

- Ja uprawiam grę, a ty bezwzględny biznes - jak zawsze i tym razem nie mogłem się oprzeć, aby nie podkreślić różnicy.

- Mały, czy ty się tak zakłamujesz, czy jesteś taki głupi... Ciężko mi pomyśleć... - nie dokończył tego, co chciał powiedzieć; jego podły nastrój graniczył z depresją, tak bardzo rozstroiło go spotkanie z tą pociągającą dziewczyną. Przygnębiony ponad wytrzymałość przestał ukrywać przede mną ponurą prawdę, której wolałbym nie znać.

- Chciałeś wiedzieć, kim był ten nagus, co nas zaskoczył. Plastik, nazywa się Adam Zapala... Prerażony Stel- maszczyk omal go nie zabił... Człowiek jest zarozumiały, wydaje mu się, że kieruje swym działaniem i potrafi przewidzieć bieg wypadków. Tak, do jakiegoś momentu, aż popełni błąd. Od takiej chwili wydarzenia wymykają się spod kontroli, rozwijają żywiołowo,

zaczynają rządzić człowiekiem, chociaż sam dał im początek.

Błąd marszanda nie wydawał się groźny, gdy kilka lat temu w Paryżu postawił na niewłaściwą osobę. Stelmasz- czyk przeżywał wówczas okres niepewności i strachu. Nie wiedział, co ten chłopak zrobi po jego niefortunnej propozycji, czy nie zagrozi paryskiej faktorii. Ale on znikł z horyzontu, minął długi czas i nic się nie stało. Błąd jednak pozostał. Marszand nie mógł przewidzieć, że w dwa lata później ten lekkomyślny krok zagra tutaj, przypomni o sobie na biebryzańskich bagnach.

Wszystko zaczęło się od Kruposza. Ukradł wielkie sumy," bo z czasem przestało mu wystarczać to, co zarabiał na transakcjach walutowych z marszandem, a kiedy afera wyszła na jaw, uciekł i zażądał od niego pomocy. Ten nie miał wyjścia, musi ^ z nim coś zrobić, Kruposz sporo wiedział.

Ukrył go w diacie nad Biebrzą, siedział tam na strychu, namyślaliśmy się, co z nim począć dalej. Stelmaszczyk marzył, aby Kruposz zniknął, rozpułnął się, chociaż tego nie mówił. Gdyby nie ja, nie jestem pewien... na bagnach nie pozostaje ślad. Lecz wówczas Stelmaszczyk nie dojrzał widocznie jeszcze do takich rozwiązań, a może po prostu nie mi ^ odwagi.

Marszand postanowił sprowadzić z Paryża dokumenty i wyprawić tam Kruposza. Ten księgowy posiadał dużo pieniędzy, oczywiście w złotych polskich najwięcej. I bardzo drogo kosztował go francuski paszport. Ale musiał przyjąć każde warunki, bo irmego wyjścia nie miał.

Siedział tu wystraszony, rozumiał, że staje się coraz bardziej kłopotliwy, zdany na łaskę i niełaskę. Bał się już nie tylko więzienia, przerażały go te skryte myśli Stelma- szczyka, które wyczuwał instynktem ściganego.

Należało go jak najprędzej stąd wyf>rawić, dopóki nie zdechnie w nim reszta energii, dopóki pragnienie ucieczki nie zamieni się w apatię.

Lecz kurierzy byli w rozjazdach i wtedy Stelmaszczyk wysłał ciebie, Witek! A ja się temu nie sprzeciwiłem.

Nad Biebrzę dokumenty przywiózł Stelmaszczyk, gdy tylko je dostarczyłeś. Przybył razem z Dzikim, wysiadł w pobliżu Goniądza, natomiast Dzik pojechał do Osowca, tam zostawił wóz i stamtąd nocą przyszedł na błota. On miał odprowadzić

Kruposza do Białegostoku i wetknąć go w pociąg, później księgowy powinien już sobie radzić sam. Miał dobre papiery, opiewające na francuskiego Polaka, i dość pieniędzy.

Tego dnia Stelmaszczyk zobaczył w Goniądzu Adama Zapalę, a potem jego namiot i kajak na przystani. Bardzo się przestraszył, zrezygnował z przeprawy. Taksówką pognął przez Osowiec aż do krzyżówki na szosie przy trakcie do Bagiennego Boru.

Nazajutrz spadła na uroczysko Biedronka, bo zaraz po jego wyjeździe z Warszawy, bez uprzedzenia, zgłosił się z Paryża Rybarczyk. Zjawił się wściekły i niespokojny, żądał natychmiast owego widzenia z szefem. To przez ciebie, Witek!

Chłata zaroiliła się od ludzi. Stelmaszczyk jeszcze tej samej nocy chciał wyprawić Kruposza.' W zasadzie wszystko było gotowe, tylko do paszportu przeznaczonego dla niego należało wprowadzić pewne istotne, chociaż drobne retusze.

Niewielkie, lecz do ich wykonania potrzebne było źródło prądu, ale wszystko się sprzysięgło. Zepsuł się nasz mały agregat. Głupstwo. Wysiadł detal. Niestety, nie mieliśmy zapasowego.

Poradziłem sobie podłączając transmisję do roweru, posadziłem na nim Dzika. A za oknami świat oszalał, od południa srożyła się burza. Niemal na oczach podnosiła się woda, a nie była to pierwsza ulewa tego lata. Biebrza rozlała szeroko, zatopiła trzciny, tylko ich kity wystawały ponad lustro. Chatę odsłoniło od strony rzeki.

I na to wszystko wszedł Zapalę.

Kruposz uciekł, a Stelmaszczykowi puściły nerwy. Łomem osuszył przybysza przekonany, że plastik z rozmysłem wytropił go w tej kryjówce. Kiedy wybie<sup>^</sup>em z alkierza, olbrzym już leżał z rozwaloną <sup>^</sup>ową.

Na Stelmaszczyka rzucił się pies, chociaż wyglądał jak puszek od pudru, Stelmaszczyk go kopnął, kimdel potoczył się pod piec. Przytrzymałem go, ugryzł mnie w rękę, i chwyciłem pas Biedronki. Wisiał przy jej spodniach suszących się w kuchni wśród innych jej szmat. Na tym pasie uwiązałem psa z tyłu chaty. Lecz rano znalazłem po nim tylko przegryziony rzemień, przez noc nikt nie pamiętał o tym psie.

Zaraz wieczorem Dzik wyjechał z Kruposzem do Dusi, pierwotny zamiar wsadzenia go do pociągu w Białymstoku teraz

wydawał się już zbyt ryzykowny.

'Tymczasem Stelmaszczyk z Biedronką zacierali ślady, ale to wymagało czasu. Musieli zabrać agregat, całą moją pracownię snycerską i przechowywane tu przedmioty. Więc Zapałę należało trzymać dotąd, dopóki wszystkiego się nie zwinie. Zanim ocknął się z zamroczenia, dostał silny środek nasenny. Dostawał go jeszcze kilkakrotnie.

Ale co z nim zrobić później? Stelmaszczyk widział tylko jedno wyjście. Bagno! Ja miałem to zrobić, kiedy on odjedzie z Biedronką. Jak podział w zyskach, on zaczął, ja miałem dokończyć, inaczej stawałem się tylko świadkiem.

Nie wepchnąłem plastyka w bagno, wywozłem go motorówką. Chata i tak nie nadawała się już do dawnych celów, chociaż nie było pewności, czy ten człowiek ją odnajdzie, jednak należało się spodziewać, że będzie szukał.

Czy zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie groziło nam wszystkim ze strony Zapały? Oczywiście, liczyłem się, że zawiadomi milicję. Lecz nigdy bym się nie zdobył na utopienie go w trzęsawisku jak szczura.

Przygotowałem się do przeprawy z marszandem. Po przeciwstawieniu się jego woli w sprawie tak istotnej, stosunki między nami musiały ulec zasadniczej zmianie. Zwyczajne odejście nie wchodziło w rachubę, z tej faktorii zwyczajnie nie można było odejść. Ale też nie mogłem sobie tak siebie usunąć, mniej więcej nasze siły były równe. To znaczy, moja pozycja i związki w siatce równoważyły jego władzę.

I mimo tego kryzysu wszystko wzięłoby inny obrót, gdyby nie ty, Witek!

Rybarc<sup>k</sup> przyjechał sfinalizować kupno sreber, a przy okazji doniósł, jak wyłudziłeś od niego w Paiyżu i przywłaszczyłeś pieniądze Stelmaszczyka, wykorzystując równocześnie jego kanał dla zdobycia fałszywego pasz- , portu!

Takich nadużyć nie puszcza się płazem.

Szczęście w nieszczęściu, Stelmaszczyk zwierzał się ze swych zamiarów Biedronce i jej kazał umówić goryli. Żal jej się ciebie zrobiło, dała mi znać, co marszand postanowił.

Nie mogłem znieść myśli o twojej twarzy po brzytwie Balwierza, może gdybym sam nie był tak strasznie okaleczony, przyjąłbym wiadomość spokojniej.

Poszedłem do Stelmaszczyka, aby ciebie wybronić i zwrócić mu pieniądze za ten wyludzony paszport. Nie myślałem, że go zabiję! Gdybym postanowił to zrobić, inaczej bym wszystko urządził.

Może nie doszłoby między nami do tak gwałtownego starcia, gdyby nie zdarzenie z Zapałą, które zaogniło konflikt i doprowadziło do wybuchu. Zamiast rozsądnej rozmowy skoczyliśmy sobie do oczu.

- Ty strachu na wróble, potrafisz tylko tą swoją potworną mordą straszyć sprzątaczkę... - rzucił się na mnie Stelmaszczyk.

Już nie panowałem nad sobą, zamroczyła mnie wściekłość. Mimo tych blizn i choroby zostało mi jeszcze dość — krzepy, aby rozbicić mu łeb, chociaż wcale tego nie chciałem.

Wiesz, on na tym swoim kredensie trzymał takie rupiecie retro. Na nieszczęście w zasięgu mojej ręki znalazł się tłuczek ze starego mózdzierza. Ogarnięty amokiem złapałem ten liuczek. Nie wiem, Ue razy uderzyłem. Kiedy się ocknąłem, on leżał na podłodze, a jego twarz była tak potworna jak moja.

Nie czułem żalu, wtedy zdałem sobie sprawę, jak bardzo go nienawidziłem. Z zimną krwią usunąłem ślady i zwałem mu na głowę nastawkę z kredenjsu.

Świeciły przyściennie kinkiety, w telewizorze szedł jakiś program muzyczny, huczała sygnałem strącona ^uchawka telefoniczna. Nie tknąłem niczego.

Pozamykałem wszystkie drzwi, a klucze i tłuczek wyrzuciłem po drodze do ścieku.

Trudno mi napisać o srebracli. Nie, nie z żalu po tych kubkach, talerzach, dzbanuszkach. Bo cóż to w końcu jest? Wartość muzealna i rynkowa, oczywiście rynkowa! Ale nie dlatego trudno o nich pisać, tylko jak dokładnie wytłumaczyć, gdzie są ukryte. Sami chyba nigdy by ich nie znaleźli, musieliby przekopać kawał bagna nad Biebrzą.

Trochę sam się sobie dziwię, lecz nie chcę tych antycznych blach ani tych pieniędzy, jakie są warte. Więc niech je wydobędą, niech wrócą tara, gdzie ich miejsce. A przede wszystkim będzie to jakaś pomoc dla Andrzeja.

Andrzej! Leży w więziennym szpitalu, odratowali. Zawrócili go z drogi ostatecznej ucieczki; jakiz byłem głupi, kiedy nie

rozumiałem, o jakiej ucieczce on mówił. Ale żyje, a póki człowiek żyje, ma jakieś szanse, więc niech dobrowolny zwrot tych eksponatów zwiększy tę jego szansę.

Jednego dnia wygarnęli wszystkie znane mi sieroty po Stelmaszczyku. Siedzi Dusia, hominidy, Biedronka. Najbardziej szkoda mi Biedronki, ale cóż mogę dla niej zrobić poza posłaniem paczki z adresem nie istniejącego nadawcy.

Mnie oczywiście szukają. Od dawna! Ciekaw jestem, kto z nich mnie ugotował. Pewno wszyscy po trochu.

Zawczasu pożegnałem się znów ze swoim rodzowym nazwiskiem, nie jestem do niego szczególnie przywiązany, i przeszedłem na awaryjne papiery. Czyste, dobre, nigdy nie używane.

Powinienem zmienić teren, ruszyć w Europę, ale muszę być blisko Andrzeja, jak długo mogę mu w czymś pomóc.



Więc tylko zakleić ten list, zaadresować: Prokurator Generalny PRL. Wyślę poleconym, adres nadawcy? Oczywiście adres Andrzeja i w jego imieniu. Jeśli nawet poczta zwróci, to ten donos trafi w ręce milicji, z pewnością ciągle jeszcze pUnują domu Andrzeja.

No więc proszę, zabierajcie te swoje srebra. Ja stawiam!

I jeszcze jedno, stara niemiecka pocztówka z początków stulecia. Teraz takie są modne. Wygrzebałem ją na Wołów- ce, tak się ta dzielnica kiedyś nazywała, na niedzielnym targu.

Na karcie uśmiechnięta para w podkowie, wszystko w kolorkach. Pocztówkę wyśle Barrakuda z Wiednia, bo właśnie tam się wybiera. Więc co napisać? Zwyczajnie i krótko:

Pozdrowienia z Prateru dlń poruczników przesyła Gerard de Villefort.

„Czytelnik”. Warszawa 1981. Wydanie I.  
Nakład 100 320 egz. Ark wyd. 14,3; ark. druk. 20. Papier  
offset kl. VII, 60 g, 93 cm.  
Oddano do składania 23 X 1979 r.  
Podpisano do druku 22 IX 1980 r.  
Druk ukonczono w lu^m 1981 r Zakł. Graf. „Dom  
Słowa Polskiego” w Warszawie. Zam wyd. 834; druk  
2979/K 0-124. Cena zł 40. Printed in Poland

Seria z „Jammikiem” 1 9 7 8

Agatha Christie KURTYNA

Jerzy Edigey NAGŁA ŚMIERĆ KIBICA

Olle Hógstrand ZAMASKOWANA

ZBRODNIA

Ross MacDonal d ŚPIĄCA

KRÓLEWNA

Alistair MacLean LALKA NA

ŁAŃCUCHU

Zygmunt Zeydler-Zborowski

ALMmmS PIJĄ SŁONĄ WODE

1 9 7 9

Jeremi Bożkowski ZBRODNIA NA  
EKSPORT

Joanna Chmielewska STUDNIE  
PRZODKÓW

Richard Hey  
FABRYKANT AŃIOŁKÓW I SPÓŁKA

Jacek Joachim KRÓTKA PODRÓŻ

Zofia Kaczorowska UKŁAD ZE  
ŚMIERCIA

Hans Walldorf CZERWONA KOŚĆ  
SŁONIOWA

Ross MacDonald BŁĘKITNY MŁOTECZEK  
Arkadij i Georgij Wajnerowie BECZKA  
ŚMIERCI

1, **W**  
'**L**OO  
,